Stefan Żeromski

PISMA STEFANA ŻEROMSKIEGO

ARYMAN MŚCI SIĘ — GODZINA. Wydanie trzecie. 1923.
BIAŁA RĘKAWICZKA. Sztuka w 3-ch aktach z prologiem i epilogiem. 1921.
BICZE Z PIASKU. (Początek Świata Pracy. Organizacja inteligencji zawodowej. Drożyzna i Zamoyszczyzna. Nowa Warszawa). 1925.
DLA MŁODZIEŻY. Książka pierwsza. 1921.
DLA MŁODZIEŻY. Książka druga. 1921.
DUMA O HETMANIE. Wydanie piąte. 1923.
DZIEJE GRZECHU. Powieść w 2 tomach. Wydanie VI. 1924.
ECHA LEŚNE. Warszawa 1920.
INTER ARMA. Warszawa 1920.
LUDZIE BEZDOMNI. Powieść w 2 tomach. Wydanie V. 1923.
MIĘDZYMORZE. Warszawa 1923.
MOGIŁA. Warszawa. 1923.
OPOWIADANIA. (Doktór Piotr. — Cokolwiek się zdarzy. — Ananke. — Zmierzch. — Złe przeczucie. — Po Sedanie. — Zapomnienie. — Pokusa. — Siłaczka. — Oko za oko. — Niedziela). Wydanie V. 1923.
O PRZYSZŁOŚĆ RAPPERSWILU. Kraków 1912.
ORGANIZACJA INTELIGENCJI ZAWODOWEJ. Warszawa 1919.
POCZĄTEK ŚWIATA PRACY. Kraków 1919.
POMYŁKI. Warszawa. 1923.
PONAD ŚNIEG BIELSZYM SIĘ STANĘ. Warszawa. 1920.
POPIOŁY. Powieść z końca XVIII. i początku XIX. w. w 3-ch tomach. Wydanie VI. 1925.
POWIEŚĆ O UDAŁYM WALGIERZU. Wydanie trzecie 1923.
PROJEKT AKADEMJI LITERATURY POLSKIEJ. Wyd. II. Warszawa 1925.
PROMIEŃ. Powieść. Wydanie IV. 1923.
PRZEDWIOŚNIE. Powieść. Warszawa. 1925.
ROZDZIOBIĄ NAS KRUKI, WRONY. Wydanie IV. 1923.
RÓŻA. Dramat niesceniczny. Wydanie czwarte. 1923
SEN O SZPADZIE. Kraków. 1914.
SEN O SZPADZIE I SEN O CHLEBIE. Warszawa 1923.
SIŁACZKA. — NA POKŁADZIE. (B. U. L. Nr. 5). 1907.
SŁOWO O BANDOSIE. Wydanie nowe. 1920.
SNOBIZM I POSTĘP. Warszawa. 1923.
SUŁKOWSKI. Tragedja. Wydanie IV. 1923.
SYZYFOWE PRACE. Powieść. Wydanie szóste 1924.
TUROŃ. Dramat w 3-ch aktach. Warszawa. 1923.
UCIEKŁA MI PRZEPIÓRECZKA... Komedja. Wydanie II. Warszawa 1925
URODA ŻYCIA. Powieść w 2 tomach. Wydanie III. 1925.
UTWORY POWIEŚCIOWE. (Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczu — Tabu. — Cienie. — Kara. — Legenda o bracie leśnym). Wydanie V. 1923.
WALKA Z SZATANEM. I. NAWRACANIE JUDASZA. Powieść. 1921.
WALKA Z SZATANEM. II. ZAMIEĆ. Powieść. 1921.
WALKA Z SZATANEM. III. CHARITAS. Powieść. 1921.
WCZORAJ I DZIŚ. Serja Pierwsza. (Tabu. — Ananke. — Doktór Piotr. — Siłaczka. — Kara). 1925.
WCZORAJ I DZIŚ. Serja Druga. (Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy. — Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczu). 1925.
WIATR OD MORZA. Wydanie drugie. Warszawa. 1922.
WIERNA RZEKA. Klechda domowa. Wydanie IV. 1925.
WISŁA. Wydanie II. Warszawa. 1920.
WSZYSTKO I NIC. Wydanie drugie. Warszawa 1923.
ZMIERZCH. — COKOLWIEK SIĘ ZDARZY. (B. U. L. Nr. 41). 1907.

PISMA STEFANA ŻEROMSKIEGO

PIERWSZE WYDANIE ZBIOROWE

POWIEŚCI HISTORYCZNE

WARSZAWA — MCMXXV — KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

STEFAN ŻEROMSKI

POPIOŁY

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

TOM DRUGI

WYDANIE SZÓSTE

WARSZAWA — MCMXXV — KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

Przedruki nieuprawnione przez autora wzbronione.
Wszelkie prawa autorskie co do tłómaczeń i przeróbek zastrzeżone
Copyright by Stefan Żeromski, nineteen hundret twenty five

3241 ❋

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

W WARSZAWIE PRUSKIEJ.

Na obraz pierwszych po powrocie miesięcy domowego żywota Rafał spędził w Tarninach lat cztery. Orał, siał, kosił, żął, zwoził snopki, młócił zboże i sprzedawał. Pod kierunkiem ojca, który nim rządził, jak podstarościm, ex-filozof zmienił się na ślepe i głuche narzędzie tej wyższej a wszechwładnej woli. Nie otrzymywał do ręki na swe osobiste potrzeby więcej nad trochę koprowiny i to w przypadkach wielkiego faworu, wszystko zaś, czego potrzebował, udzielane mu było w naturze z rozmysłem i zastanowieniem. Jedynym środkiem osiągnięcia jakiejkolwiek gotówki, niezbędnej na sprawienie ubrania choć trochę modnego, na pohulankę w mieście, były tajemne sprzedaże zboża z sąsieków, haracz nakładany bezprawnie na chłopów, ujmowanie obroków koniom folwarcznym i tym podobne procedery. To też osiadła w duszy pod-dziedzica głucha wściekłość na szaty, które nosić musiał, na zajęcia, które spełniał, na wszystko, co go otaczało. Nikt go nie rozumiał, i on nie cenił nikogo według istotnej wartości. W ciągu tego czasu Rafał nie wyjeżdżał prawie

z domu i najbliższej okolicy. Ledwie kilkakroć był w Sandomierzu. Zimową porą, w karnawale, hulał po dworach okolicznych, i to byłoby najszczytniejszą jego rozrywką, gdyby nie męczarnie, doznawane przy spotkaniu się tam z sąsiadami ubranymi według najświeższej mody.

Na jesieni roku 1802 od jednego z takich właśnie sąsiadów, który tłukł się po różnych stronach Galicyi i Prus Południowych, Rafał powziął wiadomość, że książę Gintułt jest w kraju, że przesiaduje bądź u siebie w Grudnie, bądź w Krakowie. W duszy Rafała zrodziło się wówczas rozpaczliwe postanowienie. Napisał do księcia obszerny list, niby to z dziękczynieniem za wszelkie dobrodziejstwa, a w gruncie rzeczy skargę na obecne swe położenie. Długo, bo kilka tygodni, smażył ten list w największym sekrecie późnemi nocami, a gdy go wreszcie ułożył i, tysiąc razy odczytawszy, przepisał na czysto — doświadczył uczucia niebywałej ulgi. Nie myślał wcale o skutku tego przedsięwzięcia, wiedział nawet, że nic z tego wyniknąć nie może, a jednak sama myśl, że list ten dojdzie rąk księcia, sprawiała mu szczególną radość. Sam odwiózł ów drogocenny skrypt na pocztę w Sandomierzu. Przez kilka tygodni myślał jeszcze o nim, później, gdy odpowiedzi nie było, zaczął żałować tego, co napisał, a wreszcie popadł w dawną apatyę.

Tymczasem odpowiedź nadeszła, ale na ręce starego Olbromskiego. Książę pisał do cześnika, nie wspominając o odezwie Rafałowej, z uprzejmem zapytaniem: czyby to familijnym widokom nie dogadzało, gdyby Rafał mógł na czas pewien objąć miejsce sekretarza

przy osobie książęcej? Zapewniał w sposób jak najpochlebniejszy, że postara się godnie wynagrodzić jego pracę, a zarazem rzucał mglistą obietnicę pokierowania losem młodzieńca. Jeżeli zgoda na to nastąpi, książę prosił, żeby Rafał przybył do Warszawy jeszcze tej samej jesieni. Stary cześnik w ciągu kilku dni nosił ten list przy sobie i głęboko się nad propozycyą zastanawiał. Dogadzała jego ambicyom, czyniła zadość pojęciom o trzymaniu się pańskiej klamki, ale z drugiej strony miała pozbawić folwark takiej, jak Rafał, siły roboczej. Zwyciężyła wreszcie pokusa karyery. Jednego dnia, po obiedzie cześnik zatrzymał wszystkich i odczytał list książęcy. Nadymał się przytem setnie, jako taki, do którego książęta *familiariter* pisują. Pod Rafałem nogi się ugięły, gdy to usłyszał. Cześnik niby to zadawał żonie, Rafałowi i córkom pytania, jak się na tę sprawę zapatrują, ale w rzeczywistości tylko odwlekał chwilę ogłoszenia dawno powziętej decyzyi. Nareszcie wyrok został ogłoszony. Ze wzdychaniem i rozkładaniem rąk cześnik zgodził się na wyjazd syna. Od tego dnia zaczęły się przygotowania, szycie bielizny, pranie, reparowanie i starania o paszport do Prus Południowych.

W listopadzie Rafał wyjechał z domu. Rzucał go z uczuciem radości. Nie żal mu było nikogo i niczego. Wszystko rwało się w nim i kipiało, lecąc naprzód. Swoimi końmi zajechał na granicę pruską, a stamtąd do Warszawy pędził dyliżansem pocztowym. Wprost *z pocztamtu* udał się do pałacu księcia Gintułta. Była to stara siedziba magnacka, ukryta w ogrodach, zdala od głównych ulic miasta i ich zgiełku. Opuszczony pa-

łac ze ścianami, z których tynk oblatał, z pordzewiałemi kratami bram, a dziedzińcem trawą zarosłym — był jakoś niegościnnie zamknięty, gdy Rafał stanął u jego podwojów. Wszystkie okna były na głucho zasłonione zczerniałem płótnem firanek, drzwi pozamykane. Po upływie znacznego przeciągu czasu stary odźwierny dostrzegł wałęsającego się przychodnia i zapytał, czego sobie życzy. Gdy Rafał, pełen nieprzyjemnych uczuć, odpowiedział kim jest i co go sprowadza, ów człowiek powiódł go do bocznych skrzydeł pałacu. Szli przez długie korytarze, minęli jedną i drugą salę i znaleźli się wreszcie w obliczu księcia. Rafał ledwo go mógł poznać. Twarz jego zczerniała, zeschła i okryła się zmarszczkami. Oczy przygasły. Ten sam tylko grzeczny uśmiech ją rozwidniał, jak gdyby sztuczne światło rozpraszając zmrok wieczoru, który następuje niepowstrzymanemi falami.

— Z dawna myślałem, — rzekł książę po przywitaniu, — żeby cię mieć przy sobie. Kiedy napisałeś do mnie, ucieszyłem się prawdziwie. Jesteś mi potrzebny.

Rafał kłaniał się, z radością słysząc, że książę mówi do niego: *ty*.

— Musisz jednak wiedzieć, — ciągnął Gintułt, — że się zaprzęgniesz do pracy niemałej i ciągłej. Zajęty jestem książkami, pisaniem. Codziennie będziesz zmuszony spędzić ze mną kilka godzin na robocie. Później możesz czynić, co ci się podoba. Więc jakże?

— Jestem do dyspozycyi księcia pana.

— Dobrze. Umiesz po niemiecku?

— Tak. Umiałem dosyć dobrze, ale przez cztery lata w domu nie miałem w ustach jednego wyrazu.

— To nic. Chodzi o to, żebyś umiał w razie potrzeby napisać. Potrafisz?

— Potrafię.

— Wszakże — ciągnął pan z uśmiechem — chodziłeś na filozofię?

— A tak... Chodziłem.

— Po łacinie umiesz także.

— Umiem.

— Otóż to właśnie! Ponieważ ja w łacinie jestem prawie ignorant, a muszę teraz dużo czytać w tym języku, więc ty mi będziesz na polskie tłumaczył.

— Jestem do usług.

— I jeszcze jedno. Wkładam na ciebie obowiązek milczenia o tem, co tu będziemy pisali, czytali, mówili i robili, obowiązek milczenia zupełnego. Nie powiesz o tem nikomu ani jednego wyrazu. Dasz mi na to uroczyste, szlacheckie słowo. Czy możesz mi dać takie słowo?

— Daję na to słowo honoru.

— Mówię ci to zaraz, gdyż chcę, żebyś od pierwszej chwili przyzwyczaił się do tego, że nic o mnie nie wiesz, nic nie słyszałeś, nic wreszcie nie rozumiesz.

— Słucham księcia pana.

— Teraz idź spać i posilić się. Masz tu pokojów bez liku. Wybierz sobie, który ci się podoba, i zajmij. Musisz tylko poprzestać na jednym służącym, który i mnie obsługuje. Gdy się wyśpisz po drodze, przyjdź do mnie.

Rafał, oszołomiony tem wszystkiem, nie mógł zebrać myśli. Najbardziej podobała mu się perspektywa

spania po kilkodniowem trzęsieniu się na wózku i w dyliżansie. W jednym z pobliskich salonów stary kamerdyner przygotował gościowi pościel i oddalił się. Obudziwszy się nazajutrz rano i nie słysząc nigdzie w pobliżu najlżejszego ruchu, Rafał ubrał się prędko i zaczął rozglądać. Szerokie okno było zasłonione wyniosłemi drzewami, z których sypały się złote liście. Gruby mur otaczał ze wszech stron ten osamotniony park i zamykał go od strony Wisły. W długich alejach, zasępionych cieniami lip i grabów, gdzie niegdzie przesuwał się blady promień słoneczny. W całym domu panowała cisza tak głęboka, że słychać było szelest liści, upadających na zeschłą trawę. Rafał odwrócił się od tego widoku i szmeru. Na palcach wyszedł ze swej sypialni. Sąsiednie sale były puste. Był w nich półmrok, gdyż zasłonione okna nie przepuszczały światła. Meble były obszyte pokrowcami, lustra osłonione, żyrandole, świeczniki w płóciennych futerałach. Zimno i nieprzyjemny odór wnętrza, w ciągu wielu lat zamkniętego, odstraszały przechodnia. Idąc tak naprzód z pokoju do pokoju, Rafał trafił na uchylone drzwi z kutego żelaza i wszedł do sali olbrzymiej, wysokiej na piętro. Była to biblioteka. W szafach, wpuszczonych w mur, za drzwiami z drucianej siatki albo szkła, widać było mnóstwo książek, ustawionych na półkach kilku rzędami. W połowie wysokości tej wielkiej izby biegła ozdobnie rzeźbiona balustrada galeryi. Tu i owdzie stały posągi, globusy, leżały olbrzymie teki i zwoje. Rafał szedł cicho, rozglądając się po tych bogatych ścianach i sprzętach, gdy wtem z jednego kąta rozległ się głos księcia:

— Jesteś, mości sekretarzu! Przychodzisz w samą porę. Właśnie mam chwilę czasu i chęć do gawędy. Więc siałeś na wsi pszenicę sandomierkę, żyto, a nawet jęczmień?

— Tak jest.

— I znudziło cię to do cna?

— Znudziło.

— I zatęskniłeś do świata?

— A zatęskniłem.

— Masz zupełną słuszność. Trzeba koniecznie tęsknić do czego innego, przenosić się sercem z miejsca na miejsce, z zawodu do zawodu, odmieniać same pożądania, bo inaczej ziemiaby nas obsiadła i pożarła. Widzisz, ja w tym czasie, gdy ty siałeś i żąłeś, nabrałem manii do czytania książek. Dawniej ta żyłka nie odzywała się we mnie. Wystarczało mi samo życie człowiecze, nasze obecne, a to, co jest w książkach, uważałem za strawę godną szczurów, robaków i łysych staruszków. A oto nagle przyszło i trzyma... Waszmość, mości cześnikiewiczu, do książek nie masz gwałtownej inklinacyi? co?... powiedz szczerze...

Rafał zaczerwienił się, jak zbrodniarz, schwytany na uczynku pierwszej kradzieży.

— Nie wstydź się tylko, mój drogi. Niema w tem hańby. I mnie pewne okoliczności wepchnęły na tę żmudną i zakurzoną drogę. Włóczyłem się ostatnimi czasy po świecie, zawadziłem o Egipt, wiesz?... ten, co to w Afryce...

— Och, wiem! — rzucił Rafał, dotknięty do żywego.

— Udałem się w tę podróż po wojnie, która się

tam rozegrała. Chciałem odszukać grób jednego przyjaciela, tam, pod beznosą czaszką sfinksa poległego. Tymczasem te piramidy, obeliski, sfinksy, pustynia, miasta zaginione i wszystko, co się tam działo, tak mię, uważasz, wzięło, że zacząłem z książek dochodzić, co i jak. Moi przyjaciele, a osobliwie jeden, którego bardzo kochałem, zostali tam zamordowani.

— Zamordowani! — krzyknął Rafał, ogarnięty przez głęboką, porywającą ciekawość.

— A tak. Ten, który był Polakiem, wyższy oficer w służbie francuskiej, nazwiskiem Sułkowski, został rozsiekany przez Arabów w bitwie, gdzie we dwudziestu żołnierza bił się na śmierć z kilku pułkami. Drugi Francuz, niejaki Venture...

— I ten został rozsiekany?

— Tak, pono z woli wodza, owego Napoleona, o którym musiałeś co słyszeć.

Rafał spłonął znowu ogniem wstydu, gdyż słyszał przecież niemało, ale opinii najsprzeczniejszych. Książę zamilkł na pewien przeciąg czasu i siedział bez ruchu z głową podpartą na ręku. Usta jego były odęte a szkliste oczy posępne. Rzekł wreszcie:

— Brat twój umarł tak młodo w sprzeczce ze mną... Tamten, generał, zginął, ledwie się do niego zbliżyłem i ledwiem poznał jego duszę. Nawet ciała jego nie znalazłem. Nawet szczątków. Krew zmoczyła spłacheć piasku Sahary — i po wszystkiem. Kwiat na tem miejscu nie wyrośnie, gdzie zgasły oczy króla w rodzie ludzkim... Tak, bracie. Otóż będziemy, jeśli twoja wola, spisywali razem różne rzeczy o tych dalekich krajach, szczególnie o pustyni, Egipcie, Ziemi

Świętej, Azyi Mniejszej, Syryi. Będzie ci się to wydawało dziwne, ale zapomnisz o tem i nie będziesz myślał. Później ci to wytłumaczę. A teraz weź oto ten sekstern i pisz wyraźnie na pierwszej stronicy te słowa:

»Z pierwszego listu świętego Hieronima do Heliodora:

O puszczo! kwieciem Chrystusowem kwitnąca...

O osobności, gdzie one rodzą się głazy, z których w Objawieniu miasto wielkiego króla wystawione zostaje!

O pustynio, po przyjacielsku z Bogiem się ciesząca«!

— Taka będzie dewiza tego pisma, a teraz zaczniemy...

W chwili, gdy to mówił, żelazne drzwi szczęknęły, i bez szelestu wszedł do sali służący, cicho wymieniając jakieś nazwisko. Książę dał mu znak skinieniem głowy. Kamerdyner odwrócił się, uchylił drzwi i wpuścił do sali wysokiego, barczystego pana. Nowo przybyły miał ogromną głowę z nadzwyczaj wydatnemi rysami twarzy. Oczy jego były wypukłe i natarczywie uważne, po dziecięcemu patrzące. Włosy nad czołem, sklepionem tak jakoś twardo i niewzruszenie, jak odłamy skały, były poskręcane i spiętrzone w naturalne loki, niby u Murzyna. W tyle głowy ujęte w kitajkowy czarny worek, tworzyły długi harbajtel, związany na końcu wstążkową kokardą. Ten wielki mężczyzna ubrany był w mundur oficera pruskiego z czerwonymi wyłogami. Szedł wyprostowany, głośno stukając obcasami trzewików o marmurową posadzkę. Gdy spostrzegł Rafała, na jego twarzy odmalowało się

zdziwienie, prawie zdumienie. Przez chwilę nie odrywał od niego oczu, i przykry niepokój w nich się odmalował. Rafał uczuł odrazu dla tego człowieka niewytłumaczoną życzliwość i przyjaźń. Książę wstał ze swego miejsca, skłonił się przed wchodzącym i zaraz, wskazując mu Rafała oczyma, rzekł tonem uspokajającym, po francusku:

— Mój nowy sekretarz, Olbromski...

Po chwili zwrócił się do Rafała:

— Możesz teraz iść na miasto i zabawić się, robić, co chcesz. Zażądaj od Łukasza pieniędzy i powiedz mu, kiedy ma ci przygotować posiłek.

Rafał wyszedł co prędzej. Na ulicy zapomniał o wszystkiem. Czuł tylko, jak nadzwyczajnie zardzewiał. Nie umiał chodzić po miejskich kamieniach, wiedział o sobie, że jest niezgrabny, sztywny, przygarbiony i prostak w każdym ruchu. Gdy go wymijały piękne pojazdy eleganckich pań i panów, prostował się, ile mógł. Miasto zrobiło na nim wrażenie. Był przygnieciony jego wielkością i, jak mu się zdawało, niesłychanym majestatem. Mijał jedną ulicę za drugą, dworki otoczone parkanami, z za których rozłożyste drzewa wychylały się na błotniste koleje ulicy, pałace gdzie niegdzie za żelaznemi kratami błyszczące, kościoły, nowo wzniesione domostwa. Gdy tak, wlokąc się bez celu, oglądał jedną budowlę za drugą, ktoś go niespodzianie zawołał po imieniu i nazwisku. Rafał podniósł głowę i ujrzał stojącą na środku wiedeńską basztardę, ciągnioną przez pięć ślicznie dobranych szpaków, a w niej z pańską gracyą rozwalonego kolegę z filozofii, Jarzymka.

— Rafuś! — wołał tamten — jeżeli jeszcze żywisz ku mnie żakowskie gniewy, to nie wysiadam wcale, ale jeśli przeprosiłeś się ze mną w myśli, to spadam w twoje objęcia...

— Chodź-że, chodź! — krzyknął Rafał ze szczerą radością.

Jarzymski wyskoczył na kamienie i zaczął ściskać kolegę. Już jednak po chwili zawołał:

— Po stroju od strony Opatowa, czy Sandomierza wnoszę, że przyjeżdżasz wprost ze swego dystryktu.

— Nie inaczej, a ty?

— Ja tu mieszkam.

— Tu? w Warszawie? I dawno?

— Od lat trzech, to jest od chwili, gdym się uwolnił z pazurów stryjaszka i zwalił z karku jego opiekę. Ale o tem potem. Przedewszystkiem siadaj-no, jedziemy do krawca.

— Ależ zaraz...

— Ani jednego słowa! W takich szatkach można robić furorę, ale nie tutaj. Jedziemy do krawca i do szewca.

— Nie, stanowczo! W tej chwili jest to niemożliwe...

— Jak chcesz, ale... jak cię widzą, tak cię piszą. Przecie to my w Krakowie nie dawaliśmy się zjeść w kaszy, a nawet... No, ale skoro inaczej sobie życzysz. Do domu! — rzucił rozkaz stangretowi.

Rafał nie mógł się oprzeć i siadł do powozu. Rumaki, powodowane przez zręcznego stangreta, szły zwolna, w pląsach i potrajały okazałość ekwipażu. Jarzymski z niedbałością rozparł się w siedzeniu i roz-

mawiał z Rafałem, który mimowoli bokiem się do niego usadowił. Wówczas przybysz spostrzegł całą wykwintność stroju kolegi. Jarzymski, pomimo jesiennego chłodu, miał na sobie długopoły frak ciemno-zielonego koloru z czarnym kołnierzem, złoconymi guzikami i żółtą podszewką, spodnie papuzie, kamizelkę koloru słomy, pluszowy cylinder i lśniące buty z żółtemi sztylpami. Nie był to już lekkomyślny młokos, chyłkiem wymykający się z pod wzroku opiekunów, lecz wykwintny, zimny i pewny siebie panek. Utył i zmężniał, aczkolwiek był wydelikacony jak kobieta. Jego czoło białe, jak alabaster, odbijało się od rdzawej twarzy, nasyconej żywą barwą krwi. Twarz ta, spojrzenie oczu, uśmiech i ruchy, wszystko oznaczało siłę, równowagę, spokój.

— Powiedz-no mi — cedził, nie śpiesząc się — gdzie ty mieszkasz? W jakimś tanim zajeździe, co? Przyznaj się... Ja nikomu nie powiem. W jakimś zajeździe, którego dobra opinia grasuje wciąż między Koprzywnicą a Zawichostem od czasów Wielkiego sejmu? co?

— Nie, ja mieszkam u księcia Gintułta.

— Gintułta! — zdziwił się Jarzymski tak bardzo i głęboko, że aż wyprostowany usiadł. — Tam, w tym pałacu pustym, jak trupiarnia?

— A tak.

— A skądże, przepraszam, taka konfidencya?

— Ja dawno już znam tego Gintułta.

— Prawda, prawda! teraz przypominam sobie, żeś to ty jego poniekąd wychowanek. Bo tu, uważasz, nikt z nim nic ma szczęścia... Za wysokie progi, a jakże!

— No, ja jestem u niego sekretarzem.

— Sekre!... A niechże cię!

— Cóż ci to?

— No, nic nie szkodzi. Jakoś to będzie...

— Nie rozumiem, co mówisz.

— E, nic! A cóż ten Gintułt tak, u licha sekretnie pisze, że aż ty musisz mu pomagać? Przecie urzędu żadnego nikt teraz nie piastuje, więc co za aparencye?

Rafał przypomniał sobie nakaz książęcy i odrzekł:

— Nie wiem, bo jakem ci wspomniał, od wczorajszego dnia tu dopiero jestem.

— Opowiadają o nim duby smalone. To jakiś dziwak i nudziarz. Nie należy do towarzystwa, a nawet do żadnego z tutejszych towarzystw, ani stronnictw. Siedzi sam w domu, a jeżeli się gdzie zjawić raczy, to tyle zawsze pokaże ludziom efronteryi i wyniosłości, że każdy gorętszy kipi. To też tu młodzież ostrzy sobie na niego pazury.

— Zmiłuj się!... o co?

— No, o co! Waryat jakiś jest, sensat, nudziarz, powiedziałem ci. Chodzi, jak paw, nie poznaje najtęższych ludzi.

Po chwili dodał:

— Był niby we Francyi, był, podobno, we Włoszech, jeździł do Egiptu, tłukł się po Arabiach i Azyach i stamtąd przywiózł te jakieś farmazońskie banialuki, któremi się tak rozpiera. To o nim rozpowiadają świadomi rzeczy. Ja draba nie znam, co może jest i lepiej, bobym z miejsca zekpał.

— Powiedz-że mi: a ty co tu porabiasz? jak czas spędzasz?

— Ja, kochanku... Ja mieszkam tutaj, w Warszawie.

— A w Nieporęcicach któż gospodaruje?

Jarzymski uśmiechnął się smętnie i dmuchnął w palce.

— Jakto?

— Niema, braciszku! Poszły Nieporęcice...

— Bój się Boga!

— A no...

— Cóż ty mówisz... Taki majątek!

— Prawdę mówię.

— No, a jednakowoż stać cię na taki ekwipaż.

— A widzisz.

— Jakże sobie dajesz radę?

— Ekwipaż mam i dom prowadzę. Żyje się w świecie, moje dziecko sandomierskie. Wiesz co?... szkoda, że ty jesteś tym jakimś tam sekretarzem. To tak głupio brzmi, że aż abominacya bierze. Ale to się odrobi, będę w tem.

Powóz wjechał w obszerny dziedziniec i zatrzymał się przed lustrzanemi drzwiami parterowego domu. Wybiegł służący w liberyi i pomógł panom wysiąść. Za chwilę znalazł się Rafał w mieszkaniu dość obszernem, a urządzonem w sposób nieco dziwny. Obok mebli wykwintnych stały tam graty najpospolitsze. Nie były to salony mieszkalnego domu, lecz męskie, kawalerskie pokoje. Niektóre z nich były brudne, jak numery zajazdu. Dopiero w kilku ostatnich, które wychodziły na puste place, słychać było zgiełk rozmów czy swarów.

Jarzymski ujął Rafała pod rękę i prowadził tam

właśnie. Po drodze stały ogromne fajczarnie, tu i owdzie porozrzucane przybory do czarnej kawy, tace i butelki. Dym tytuniowy gęstymi zwojami wałęsał się po kątach. W ostatnim, najobszerniejszym salonie były porozstawiane stoły do kart, i kilkunastu młodych mężczyzn grało tam, widać, od bardzo dawna. Kupy dukatów leżały przed nimi. Jedni z graczów byli wybladli po nocy niespanej, inni porozbierani do koszul. Były wpośród nich twarze piękne i ohydne, ale przeważnie piękne, wykwintne, młodociane. Na Jarzymskiego i Rafała nie zwracano prawie uwagi. Ten i ów witał się z wchodzącym przez ramię i półgębkiem rzucił pierwszy lepszy frazes. Twarze to były zimne i pozornie obojętne, niektóre jakby znudzone, ale wszystkie oczy gorzały od tego szatańskiego ognia, którym, według chłopskiej legendy, przepalają się złote pieniądze, zakopane w ziemi. Trwało milczenie. Niekiedy tylko przerwał je głos tego lub owego gracza:

— *Va banque!*

Rafał był onieśmielony, a zarazem wstrząśnięty do gruntu. Coś go ściskało za gardło. Tak już dawno nie grał, a podobnych gór złota nie widział w życiu. Dym wyborowych tytuniów przenikał go nawskróś i otumaniał mu głowę. Jarzymski posadził go na krześle w bliskości ciągnących bank, a sam znikł w przyległych pokojach. Przez czas pewien Rafał czuł się bardzo onieśmielonym, ale zwolna oswoił się z sytuacyą, tem snadniej, że nikt nań uwagi nie zwracał. On zato z pilnością przyglądał się twarzom, jednej po drugiej. W pewnej chwili Jarzymski wrócił. Przysiadł się do Rafała i oparł się o niego ramieniem o ramię, jak

to miał zwyczaj czynić, gdy obok siebie wysiadywali godzinami na szkolnych ławach. Teraz to namacalne uprzytomnienie szkolnej zażyłości było dla Rafała szczególnie przyjemne. Po niejakim czasie Jarzymek nachylił się i zapytał, szepcąc, zupełnie jakby byli na lekcyi starego *Nempe:*

— Chciałbyś zagrać, stary?

— Nie, nie! — odpowiedział mu szeptem socyusz — dopiero przyjechałem... A zresztą... ja nie mogę grać tak hazardownie.

— Jakby się też stary cześnik dowiedział, Jezu Chryste, Panie miły!

— Ale nie o to, tylko...

— Tylko o co?

— To magnacka gra!

— Moje dziecko... — uśmiechnął się Jarzymski — nie wchodzilibyśmy też do gry tych ichmościów. Ja sam przecie nie przysiadam się do nich. Masz najzupełniejszą słuszność. To są grube sumy. Każdy, należący do motyi, musi przynieść spory worek. Gdybyś chciał, zagralibyśmy sobie po staremu, w wiścika, jak to na Kleparzu bywało, pamiętasz?

— No, w wista... Choć ja tyle już lat nie grałem...

— Ale gra została ci w głowie, tego nie skłamiesz.

— Gra mi nie obca, to prawda.

— A więc widzisz...

Jarzymski wyszedł, kazał przewietrzyć sąsiedni pokój i rozstawić tam stoliki. Zarazem poszeptał protekcyonalnie z młodzieńcami, którzy równie jak Rafał przypatrywali się grze ogólnej. Zapoznał ich z Rafałem,

Byli to Litwini, synowie obywatelscy, przecierający się w Warszawie. Zasiedli we czterech do stolika i, gdy dano kartę, Rafał, zaczerwieniony po same uszy, odezwał się: po czemu grają? Jarzymski rzekł z niedbałością:

— Jak tu zwykle — po dusiu, a zakłady po trzy na partye.

Rafał miał przy sobie kilkanaście dukatów, które mu z rozkazu księcia wręczył kamerdyner, jako ratę przyszłej pensyi sekretarskiej. Wstyd nie pozwalał wstać od stolika, a zimne poty biły na czoło, gdy myślał o straszliwej cenie kart.

Jarzymski nachylił się i szepnął mu do ucha:

— Nie turbuj się o pieniądze. Płacę za ciebie.

Po chwili znowu mu szepnął:

— Graj śmiało.

Ale Rafał i bez zachęty odzyskiwał już spokój i pewność siebie. Z samego procesu gry wiało na niego dawno, dawno zapomniane upojenie. Jakoby dźwięki muzyczne, przypominające ubiegłą młodość i złączone z nią szczęście, działał ten wist. Machinalnie rzucając, biorąc, tasując karty, przebiegał marzeniem, które o bycie swym nic zgoła nie wie, rozległe chwile ubiegłych zdarzeń. Uczucia, pogrzebane w ziemi, dźwigały się ze swoich łożysk, i grunt drżał wokoło. Dziwnym kaprysem losu szalenie szła mu karta. Nie zastanawiał się ani sekundy nad żadną kombinacyą, nie wiedział nic o tem, co robi, a wykonywał wszystko przepysznie, jakby za dyktandem szatana. Litwinkowie grali wciąż obojętnie, ale twarze ich były coraz bardziej sztywne, i oczy coraz silniej przymglone. Jarzymski śmiał się niekiedy, niedbale gwarzył o Sandomierszczyźnie, o szlach-

cie z pod Koprzywnicy... Kiedy niekiedy oczy jego wpijały się, jak szpony, w ręce i twarz Rafała, pragnąc wyśledzić i chwycić w lot tajemnicę tak dziwnego szczęścia. Po chwili jednak te jastrzębie spojrzenia ginęły w dobrotliwie filisterskich uśmiechach. Wszystkie te okoliczności budziły w szczęśliwym graczu tylko mętną radość. Był tak pewny swego szczęścia, że gotów był stawiać jak największe s my z najzupełniejszą pewnością, że je w trójnasób odbierze. Nie chciało mu się tylko zaczynać takiej sprawy. Mrok zapadał. Wniesiono świece, i Rafał wówczas dopiero spostrzegł, że cały prawie dzień spędza przy stoliku. Właśnie przerwano grę. Z dziesięciu robrów wygrał siedm większych i zakłady, co mu dało w zysku około setki dukatów. Gdy od niechcenia zgarniał do kieszeni ów stosik złota, Jarzymski odciągnął go na bok i z przyjaznym uśmiechem mówił:

— Cóż, Rafałku?... weselej tu żyć można, niż pod opieką staruszków.

— No, pewnie.

Rafał uśmiechnął się bezmyślnie.

— Teraz powinieneś stanowczo wejść w koło towarzyskie. Będę w tem, żeby ci pomódz. Nie bardzo tylko rozgłaszaj o tem sekretarstwie u Gintułta...

— Ale ba!...

— Dajże pokój. Już ja to urządzę. Przedewszystkiem musisz się po ludzku przebrać. Dziś mamy jechać do klubu i na teatr. Mógłbyś z nami... ale w tych szatach nie sposób. Wiesz co, włóż dziś moje suknie, jak to dawniej bywało. Jesteśmy jednego wzrostu.

Rafał przystał i poszedł za gospodarzem do gar-

deroby. Wypłynął stamtąd ubrany czarno we frak i pończochy, z modną chustką na szyi. Karciarze rozjeżdżali się, i wkrótce Rafał został sam z Jarzymskim. Przechadzali się po zadymionych pokojach, rozmawiając, dopóki nie założono koni do karety. Wkrótce mała, wygodna karetka niosła ich do perukarza, a stamtąd, wyświeżonych i uczesanych według ostatniego wzoru — do klubu. Rafał, wyczuwając na lędźwi ucisk ciężkiej kupy złota, leżącego w kieszeni, był tak pewny siebie, jakby do owego klubu jeździł codziennie, w ciągu lat. Uczucie owej pewności upodobniło się do uczuć Jarzymskiego i przemocą wdarło się na wyżynę. Rafał istotnie znał wszystkie sprawy, które dopiero miał poznać, rozumiał okoliczności, o których istnieniu dopiero miał się dowiedzieć. Śmiało, z elegancyą i wyniosłością, przeszedł między szeregiem lokajów, zginających grzbiety, roztwierających drzwi, i znalazł się w salach rzęsiście oświetlonych. Stary pałac, przez sprytnego kamerdynera-dorobkiewicza zamieniony na klub tak zwany angielski, nosił jeszcze dawną, Stanisławowską cechę. Te same jeszcze zostały ściany, obicia, gzymsy, odrzwia, stare portrety i meble, tu i owdzie wkradł się jakiś haniebnie rażący, iście szelmowski przybysz, jakiś kredens sosnowy, ledwie powleczony siarczystą ochrą, jakiś stół rozsuwany, jakaś szafa-kulfon z kieliszkami. Meble były zniszczone, obłamane, pokryte brudem. W każdej z tych sal było jeśli nie pełno, to hałaśliwie nad wyraz. Goście klubowi, podzieleni na grupy, zasiadali przy stołach i stolikach, gwarno ucztując. W kilku miejscach ów gwar zamieniał się na zwadę i hałas, ale najbardziej wrzaskliwie

było za drzwiami, do których właśnie zmierzał Jarzymski. U samych prawie podwojów nasunął się buńczucznie idącym przed oczy człowieczyna w haftowanym fraku z głową upudrowaną i czerwonym nosem. Kłaniał się do samej ziemi, nie spuszczając z Rafała badawczego oka w sposób napastniczy.

— *Blacha* ucztuje... — mówił z boleścią, przyciskając dłonie do piersi.

— Mój przyjaciel. Ja prowadzę. Słyszysz, Kaczorosiu?

— Słyszę, ach słyszę! Przecie nie mogę... Tu tyle saloników, dam cudowny gabinet hrabianki Rozalii, perłę...

— Idźże, Kaczorosiu, ode drzwi, żebym cię snadź nie skaleczył — prosił go rzewnie Jarzymski.

— Boję się! Wyznaję to ze skruchą. Na miły Bóg, boję się! Rotmistrz mię przestrzeli na wylot zatrutą kulą.

— Dawno ci się to, kochanku, należy za zmarnowanie tak pięknego pałacu. Słyszysz chyba przecie, co do ciebie mówię. Ja prowadzę!

Gospodarz klubu wzniósł oczy w kierunku zczerniałego sufitu, jakby wzywał Boga za świadka swej niewinności, i usunął się. Jarzymski otwarł drzwi z hałasem i wszedł pierwszy, prowadząc Rafała pod ramię.

Niewielka owalna sala, na której progu stanęli, była pełna gości. Szeroko rozsunięty stół zajmował jej środek. Stosy butelek, kosze z owocami, dzbany, piramidy cukrów, poprzewracane olbrzymie bukiety jesiennych kwiatów, piętrzyły się na tym stole, dokoła którego siedzieli i stali towarzysze zabaw księcia Pepi.

Wszyscy ostrzyżeni byli à la Titus, albo à la Caracalla, Większość była w towarzyskim kostyumie. Ci ludzie dobrego wychowania, dziedzice wielkich dostatków, spadkobiercy historycznych imion, śpiewali i krzyczeli jak opętani. Skoro tylko drzwi się otwarły, barczysty wąsal olbrzymiego wzrostu przywitał wchodzących tubalnym głosem:

— Kto śmie?

A po chwili, ujrzawszy Jarzymskiego, miotał weń krzykliwe słowa:

— Z kim tu wchodzisz, starosto przemyski?

— Z przyjacielem, mości odźwierny! — odparował Jarzymski równie wrzaskliwie i prezentował Rafała wszystkim:

— Kolega mój i najbliższy przyjaciel, Olbromski, dziedzic z Sandomierskiego.

— Z Sandomierskiego... — mruknął wąsaty.

— Prosimy... — ozwał się jeden głos w tłumie.

Rafał wiódł po zgromadzeniu ogniste oko, jak gdyby szukał, kogo ma chwycić za gardło, i dopiero po chwili zlekka skłonił się wszystkim. Krzyki na chwilę umilkły. Ktoś niezręcznie zakaszlał, inny usunął się krzesłem. Znalazły się dwa miejsca przy stole.

— Mówimy tu — wołał do Jarzymskiego przez stół ów wąsal, którego zwano rotmistrzem — o Stasiu Woysiatyczu, co to pragnął wejść do najpierwszego towarzystwa, przybywszy wprost z Kobrynia..

— A trafił na zebranie niby masonów.. — przerwał mu młody blondynek, mielący już językiem — a te farmazony zaczęły go wodzić po piwnicach... Kazali mu — che-che — dotykać z nabożeństwem głów ka-

puścianych i wymawiać przy tem jakieś głupie słowa, zanurzać ręce po łokcie w garnkach kwaśnego mleka i rysować końcem palca krzyże na połciach słoniny. Trzymajcie mię!... umrę ze śmiechu...

— Ty go musisz znać, Jarzymski, tego tam Woysiatycza, bo ty znasz przecie wszystkich bez wyjątku.

— A ty, rotmistrzu, coś się nie wstydził z tylemi wąsami służyć pod Zajączkiem, znasz tylko bogatych.

— Masz słuszność. Ja nie ze wszystkimi zabierać zwykłem.. Mam, uważasz, krótką z przyrodzenia pamięć co do hołoty.

— Osobliwie, gdy przyjdzie długi oddawać.

— Karciane, arystokrato — wołał rotmistrz coraz głośniej wśród powszechnego hałasu — zaciągnięte w twojem *atelier*...

— Dowiedziałem się, że *atelier* Jarzymskiego mieści się nie tam w prywatnem mieszkaniu, lecz zgoła gdzieindziej — zcicha wycedził wysmukły, wytworny w każdym ruchu młody mężczyzna, ślicznie odziany i szeleszczący jedwabiem.

— Ba, to rzecz wiadoma! — prawił rotmistrz: — rzecz wiadoma, że ma dwa, ale mówię o karcianem.

Jarzymski zlekka poczerwieniał i niedbale strzepywał pył z klapy fraka.

— Słuchajno, Szpilka, za wiele gadasz... — rzekł do owego modnisia o szyderczej twarzy.

— Za wiele? Żartujesz!... Jestem powściągliwy, jak ksiądz Baudouin. Jeżeli mówię, że baronowa...

— Szczęśliwy! — zaryczał rotmistrz — stokroć szczęśliwy! Baronowa drze starego kasztelana, a on...

W owej chwili Jarzymski nagłym ruchem ręki potwał wielki obmokły bukiet ze stołu. Ktoś z boku siedzący chwycił w lot jego rękę i przydusił ją do serwety. Całe towarzystwo nie przestawało chichotać. Rotmistrz ocierał spoconą twarz i zwolna mówił:

— Staniesz mi jutro przy szopie i odpowiesz za ten bukiet, któryś ruszył.

— Uszy ci obetnę, stary tchórzu!

— Dobrze zrobisz. Nie będę przynajmniej nic już słyszał o tobie, twoich koniach i twojej baronowej. A teraz dosyć! Wołać Kaczora...

— Kaczor! — krzyczano.

We drzwiach pokazał się upudrowany czerep gospodarza.

— Wina tu przynoś, zbogacony lokaju! Spasłeś się, gruby jesteś jak słowik Forcellini'ego, śpisz sam na hetmańskiem łożu i o panach swych zapominasz! — wołano.

Wnet ukazały się nowe kosze. Brodem znowu popłynęło wino szampańskie, biały burgund, stare węgierskie.

Ktoś śpiewał:

Je ne trouve rien de charmant
Comme les belles;
Je ne pourrais un seul moment
Vivre sans elles,
Mais sans jamais trop m'engager
Je les courtise...

Ktoś inny pijanym dyszkantem kończył:

Toujours aimer, souvent changer
C'est ma devise...

— Jarzymski, to się do ciebie nie stosuje... — drwił z kąta zezowaty mlokos — ty jesteś stały.

— Słyszałem od wiarogodnych matron... — gadał rotmistrz niby to do przyjaciela, zwanego »Szpicem«, ale tak, że wszyscy słyszeli — napewno... karmi go łyżeczką. Daje mu trzy razy dziennie tokaj zgęstniały. I tylko dlatego...

— Ale też i oszczędza na tem, bo on jej znowu służy i za karneciarkę i za pucmacherkę... — szeptał Szpic.

— Mylicie się! — wołał zezowaty — nie stąd on czerpie głównie swoje zyski. Co to dla niego! Życie tak wystawne wymaga sum niemałych. Ja nie chcę rozgłaszać, ale mam wiadomości. To człowiek pracy, zasługi, obowiązku. Ma ukryty browar, tylko jeszcze nie wiem gdzie, na Kłopockiem, czy gdzieś w okolicy Wareckiego. Wyrabia szlacheckie piwo, jako że i sam jest szlachcic z prapradziada. Rankiem, kiedy my wszyscy bezbożnie śpimy, rozwozi je po Żydach, przebrany za fornala. Tak ten człowiek pracuje!

— Zamilcz! zamilcz... — wołano.

— Czemu go drażnicie?

— Bo chcę i mogę... — zaperzył się Szpic.

— Takeście już zgałganieli, — zaczął ryczeć rotmistrz — że chcecie wybić ostatnią źrenicę wolności klubowej, wyrwać wolne słowo z gardła! Przenigdy! Trupem się tu uwalę, a będę gadał, co mi się podoba!

— Dajcież mu się wygadać... — rzekł Jarzymski.

— Będę gadał, i to wciąż o tobie. Wiem, a przynajmniej słyszałem, że w Borchowskim ogródku na Miodowej ułatwiałeś...

— Chce mię nietylko jutro przy szopie zgładzić swoją straszną szpadą, wsławioną w dwunastu ucieczkach z placu boju, — drwił Jarzymski — ale jeszcze zdyshonorować przed śmiercią dla uniknięcia spłaty długu.

— Mylisz się. Będę tańczył na twoim grobie, to prawda, ale ci wystawię pomnik ze stosownym napisem w języku łacińskim. Wyliczę wierszem jambicznym twe zasługi.

— Tego nie rób, bo i w krótkim wierszu nie wytrzymasz, żeby nie zełgać.

— Zauważyłem, — przekrzyczał innych zezowaty, wyłażąc ze swego kąta, — że Benedykt dąży do *absolutum dominium.*

— Nikt nie zauważył tego, — odparł nazwany Benedyktem — prócz ciebie, bo ty masz wprawę. Nie rozumiem tylko, czemu się teraz martwisz tem, z czego niedawno radowałeś się tak głośno.

— Cóż znowu ci plotą?

— Przypominam tu bladookiemu, że jest mieszczaninem, należy do stanu trzeciego, nie do nas, którzy tyle win dźwigamy na frakach i fryzurach.

— Dowiedź mu tej hańby, bo inaczej skażemy cię na zapłacenie całej kolacyi.

— Przecie to oczywiste. Jużem był wówczas wyszedł z kołyski na szerszy horyzont, a nawet stawiałem pierwsze *pas* na niełatwej wcale posadzce umizgów, gdy obecny tutaj bladooki zapisywał się na ratuszu warszawskim w poczet mieszczan, do cechu cnotliwych szewców, czy nawet do grona arcywymownych krawców.

— Kłamiesz! — zawołał zezowaty.

— Pójdziemy na ratusz i sprawdzimy!

— Walmy na ratusz!

— Każemy Koehlerowi pokazać ten dokument.

— Więc jakże? — krzyczał mówca — jeżeli znajdziemy tam jego podpis z odpowiednio patryotycznym zakrętasem, co wtedy? Gdzie sprawiedliwość?

— Wrzucimy go do otchłani białoskórników, zjednoczonych z szewcami.

— Kazali mu zanurzać ręce po same łokcie w słojach z kiszonymi ogórkami i wymawiać po trzykroć: *Mak be nakl* — bełkotał blondyn, siedzący obok Rafała.

Patrzał mu w twarz zupełnie zamglonemi oczyma i czepiał się rękoma ramienia. Jarzymski, bynajmniej nie zmieszany mnóstwem zaczepek rotmistrza i innych, dbał o Rafała z pilnością. Nalewał mu z grubej butli burgunda, podsuwał talerze i potrawy. Rafał pił chętnie, byleby nie siedzieć z bezczynną niezgrabnością, którą (czuł to dobrze) wszyscy widzieli. Wino dodało mu odwagi i wesela. Coraz bezczelniej i niedbalej wlepiał oczy w twarze siedzących, wsłuchiwał się w rozmowy, a raczej w kłótnie wrzaskliwe, w opowieści i grube anegdoty. Francuzi emigranci prym trzymali w tym względzie, choć i krajowcy dotrzymywali im kroku. Po drugiej stronie stołu rozwalił się był i siedział z łokciami daleko na stół wysuniętymi człowiek lat czterdziestu z górą, o twarzy czerwonej i surowych oczach. Rozpiął koszulę, rozluźnił chustkę i głośno sapał. Oczy miał wlepione w Rafała.

Rzekł do niego:

— A waszmość z jakich Olbromskich, jeśli łaska?...

— Słyszałeś, że z Sandomierszczyzny — burknął Jarzymski, przerywając rozmowę z kim innym.

— Ciebie się pytają, filozofie? Z Sandomierskiego? Jeśli z Sandomierskiego i Olbromski, to powinien być bratem czy krewniakiem Piotra...

— Brat jestem.

— A no! Gdzież on teraz siedzi, ten mizantrop?

— Umarł kilka lat temu.

— Umarł... — rzekł tamten ze spokojem, jakby się dowiadywał, że brat Rafałów inny folwark wziął w dzierżawę. — Szkoda chłopa, oficer był, co się zowie, z instrukcyą, choć pedant i kaznodzieja. Stał w mojej okolicy. Żyliśmy. *Febris* go trzęsła z indygnacyi, kiedyśmy, młodzież okoliczna, sprowadzała sobie guziki modne do fraków, szlaczki do kamizelek, sprzączki do trzewików, paryskie trzewiki i worki do włosów od Carpentiera, kiedyśmy o tem gadali, sprzeczali się, dysputy wiedli. Bywał u mnie w Oleśnicy, kiedy to pod Połańcem leżeli.

— W Oleśnicy! — żywo zawołał Olbromski.

Jedno z najpiękniejszych wspomnień żywota, noc słowicza z przecudownemi gwiazdami, jakich już nigdy potem oczyma nie widział, przemknęło w lotnem widzeniu.

— No, w Oleśnicy, w mojem gnieździe. Znasz może waszmość to miejsce?

— Tak. Jeździłem tamtędy do brata pod Małogoszcz.

— A toś sobie wasze twardą drogę wybrał... Ze Staszowa na Brody, co?

— A właśnie! Wielkie tam stawy, trzciny, dalekie łąki.

— A stawy piękne, to prawda. Knieja tam teraz, bracie, otworem staje... Psy skomlą! Tylko patrzeć, rychło pierwszy przymrozek pobieli suche liście...

Podniósł się, wyciągnął rękę i, patrząc w Rafała swemi ciężkiemi oczyma, mówił:

— Skoroś waść dobrze o Brodach wspomniał, a Oleśnicę znasz, z mojej strony jesteś, a nadto brat dawnego towarzysza, toś sam towarzysz i brat. Piję w twe ręce, bracie... jak ci na imię?

— Rafał.

— W twoje ręce, Rafał! Nasamprzód za tamtego, za Piotra. Niech sobie odpoczywa w pokoju wiecznym!

— Niech odpoczywa w pokoju wiecznym... — rzekł Rafał rozrzewniony, wychylając wielki kielich do ostatniej kropelki.

— *Iterum*, bracie!

— *Iterum atque iterum*!

— To nie był łotr, pies i zawalidroga taki, jak ja i ty. Boś i ty łotr, pies i zawalidroga, skoro siedzisz między tymi urwipołciami i żłopiesz wińsko, zamiast psiarnię puszczać. Ty myślisz, że ci psy nie zależą pola, że ty godnego psa możesz latami trzymać w zamknięciu. Bajki!

Rafał kiwał dobrodusznie głową i przez łzy patrzał w twarz mówcy.

— Tamten to był statysta, mądrala. Cho-cho! Jak nam nieraz zaczął *de publicis* bajać, to my się mało nie pobeczeli. Chociaż co do szermierki, to nie. Nigdym się z nim, dziękować Bogu, nie składał ze zwady i w kolerze, alem też zimnem okiem snaduiej widział.

Poszatkowałbym go na kapustę, gdyby do rzeczy przyszło, bo ręki, powiem ci otwarcie, nie miał...

Rafał pomyślał sobie, że pewnie dlatego nieboszczyk brat wybrał pistolety po sprzeczce z Gintułtem. Zląkł się walki na szpady. Ze strachu umarł... Niemiłe rozczarowanie co do brata, obrzydliwe rozstrzygnięcie zagadki przewinęło się w jego sercu. Uderzył w kielichy i pił tęgo, żeby z siebie wygnać zmorę wspomnienia. Wnet zaczął mu imponować nowy przyjaciel. Pragnął rzucić mu się w objęcia, czemkolwiek wyrazić swoje uczucie. W pewnej chwili wstał i zawołał na cały głos, uroczyście wznosząc szkło do góry:

— Wnoszę ten toast na cześć psiarni w Oleśnicy!

— A ten co znowu? — wołano.

— Słyszeliście!

— Kto to jest?

— Dojeżdżacz Kalinowskiego..

— Ja wznoszę ten toast — wołał zezowaty, naśladując do złudzenia drżący nieco głos Rafała — nietylko na cześć psiarni w Oleśnicy, lecz i na cześć kurnika w Pacanowie!

Głosy te ginęły w nadzwyczajnej wrzawie. Rafał ze ściśniętemi pięściami zaczął się przedzierać do zezującego prześmiewcy, ale nie mógł roztrącić zbitego tłumu. Dwaj przeciwnicy rzucali się tutaj na siebie z krzykiem:

— Twoje dobra na Litwie! Kłamco, drżyj! Wiadomo przecie, żeś się dorobił, jako hecmajster, na Brackiej ulicy.

— Cha-cha-cha — ryczał tłum zgromadzony. — To cię zajechał. Tej plamy nawet Caren z ciebie nie wywabi.

W całej sali nie było już ogólnej rozmowy, ani rozmowy wogóle. Przekrwione oczy ledwo widziały. Jedni ściskali się z niezmierną serdecznością, inni patrzyli na się wzajem zpodełba.

Przez rozwarte okna wiał przejmujący chłód jesienny.

Rotmistrz przekrzyczał wszystkich:

— Czy tu myślicie do rana siedzieć? Teatr!

— Prawda — wołano — teatr! Teatr się zaczął. Co żywo! Zbierajcie się. Kończcie!

Jak na zawołanie okrągły gospodarz zjawił się we drzwiach. Nisko schylił wypudrowaną głowę... Wymienił jakąś sumę, a wnet ten i ów zaczął rzucać na stół dukaty obrączkowe. Gospodarz zgarniał je z rzewnym uśmiechem, schylając kark i przymrużając oczy w taki sposób, jakby tylko, tylko oczekiwał ciosu katowskiego topora. Zjawili się lokaje, podający kapelusze, laski, płaszczyki, okrywki. Cała banda z hałasem minęła salony klubu i wypadła na ulicę. Mżył drobny, zimny deszczyk. Ciemności niezgłębione panowały naokół. Nigdzie nie było widać ani fiakrów, ani przewodnika z latarnią, więc całe towarzystwo, głośno hałasując, ruszyło środkiem ulicy, po błocie. Jarzymski chwycił Rafała pod rękę i pociągnął go naprzód:

— Idziemy na teatr...

— Teatr... Czy do tego Bogusławskiego?

— Co pleciesz?!

— A przecież go wszyscy chwalą, co widzieli...

— U was na wsi?

— A no...

— Wiedz-że o tem, że tamto jest buda, o której się nawet nie mówi. Dobre to sobie jest dla stangretów, lokajstwa, łyków i wszelkiej gawiedzi z miasta. Nigdy się z tem nie odzywaj, że chcesz to widzieć, bobyś się finalnie skompromitował. No i mnie przy tej okazyi. Idziemy na *théâtre de société*, do Radziwiłowskiego pałacu...

— Ależ dobrze! Nie wiem o niczem...

— Trzeba, żebyś wiedział, skoro jesteś między ludźmi, należącymi do socyety. I tam chodzi wprawdzie banda Sołtykowska i Sapieżyńska dla pokazania na złość nam swej polakieryi, ale główny kontyngens widzów — to motłoch. Uważasz?

— Jeszcze jak!

Wlekli się środkiem ulicy, skręcali za drugimi z zaułka w zaułek, utykając w dołach i kałużach. Idący przodem śpiewali jakąś pieśń awanturniczą. Rafał, już w klubie zamroczony, na powietrzu tracił coraz więcej władzę w nogach i rękach. Gdyby nie Jarzymski, runąłby był w pierwszą lepszą kałużę. Długo nie wiedział wcale, gdzie jest. Dopiero wprowadzony na schody, wiodące do sali teatralnej, przyszedł nieco do siebie. Banda tłoczyła się przy drzwiach zamkniętych, usiłując wejść, chociaż już pierwsza komedyjka Dorat'a p. t.: »La feinte par amour« miała się ku końcowi. Kiedy Rafał za innymi wtłoczył się do sali, spostrzegł, że była pełna po brzegi. Znalazłszy się na parterze, w sąsiedztwie lóż, zajętych przez damy, towarzysze wyprawy przycichli i uspokoili się. Wejście ich zwróciło uwagę wszystkich. Spostrzeżono wyrazy ich twarzy i we wszyst-

kich łożach poczęto szeptać. Rotmistrz zauważył to i mówił swym basowym szeptem:

— Widzą nas nawskróś. Jesteśmy śmieszni.

— Wychodźmy, jak tylko sztuka się skończy.

— Wychodźmy!

— Duszno...

— Anizetka, — szeptał rotmistrz — podaję myśl: chodźmy *in corpore* do budy Bogusławskiego. Tam także dziś pokazują. Można będzie zabawić się.

— Dobra myśl!

— Wychodźmy!

— Dalej w drogę!

Wkrótce, skoro tylko zasłona spadła, całe gremium wysunęło się chyłkiem. Większość miała tu oczekujące przed teatrem powozy, karykle i lokajów ze światłem, ruszono tedy na Plac Krasińskich gwarno i z pieśniami. Jarzymski jechał w powozie z Rafałem i kimś jeszcze, kogo zwano Bursztynkiem. Ów towarzysz wyprawy ciągle coś gwarzył, zanosząc się od śmiechu.

— Cóż oni tam będą odstawiali? Jarzymek, ty wiesz pewno?

— Jakiego prawdopodobnie »Cyda« albo »Hamleta«. Kto ich tam wie? Może jaką niemiecko-czułą operę, jaki »Flet zaczarowany«...

— Piękne, ach, dekoracye, »pendzla« pana Smuglewicza i wycie tych oberwańców w języku przodków... Cóż my tam będziemy robili?

— Zobaczy się. Jest bufet.

— No, bufet... Ale ja nie jestem spragniony ich lokajskiego piwa... Przepraszam, może tam sprzedają piwo szlacheckie?...

— Wyrzucę cię z powozu!

— Wobec tego...

— Siedź spokojnie i czekaj!

— Podejrzewam cię oddawna, że jesteś owładnięty przez wulkaniczne ognie patryotyzmu *d'antichambre* i dlatego mię tam wieziesz w chwili, kiedy otoczon jestem przez mdłości.

— Mogę cię, powtarzam, zaraz wyrzucić, jeśli ci o to idzie.

— A przepraszam! Nie masz po temu prawa, skoro w perspektywie jest bufet.

Za chwilę wszyscy znaleźli się w ciemnych, łojowemi świeczkami nędznie rozwidnionych przejściach i sionkach teatru. Z hałasem i wrzaskami kazali sobie sprowadzić aktora, sprzedającego bilety, który już był kasę zamknął, i, rozmawiając na głos, weszli do sali. Było tam pełno, tylko publiczność była zupełnie inna. Grano tragedyę Racine'a p. t.: »Brytannik«. Ponure gadanie wierszem rymowanym rozlegało się ze sceny, słabo rozwidnionej świeczkami.

— To jest ogromnie wzruszające, mości panowie, nieprawdaż? — mówił głośno do kolegów rotmistrz, ledwie wszedł na salę i nim spojrzał na scenę.

— Jesteśmy poruszeni do głębi żołądków...

— Mnie wątroba wyskoczyła z klubów i chodzi samopas.

— Rozepchnijcie, jeśli łaska, tych rodaków z Podwala i Krzywego Koła! — wołał Anizetka. — Nie po to przyszedłem do tej otchłani z zapłaconym biletem, żeby mieli sposobność deptania po moich wypielęgnowanych nagniotkach.

— Żądaj natychmiastowego zadośćuczynienia od tej chudej aktorki, która do reszty zgłupiała, ujrzawszy boleść, wyrytą na twem obliczu.

— Wielki Boże! widzę mego fagasa. Ogromne uczucia miotają jego piersią, gdy słucha tych pięknych banialuków... A jednak tytuń kradnie mi wciąż tak samo, nie bacząc na doznaną podniosłość wrażeń.

— Gdzież jest bufet zapowiedziany w programie widowiska? — wołał towarzysz, którzy przyjechał w karetce Jarzymskiego.

— Bufet jest w izbie sąsiedniej! — głośno odezwał się jakiś mężczyzna, siedzący w loży parterowej.

— Dziękujemy za tak dramatyczną wskazówkę nieznanemu przyjacielowi naszej niedoli... — mówił impertynencko rotmistrz w kierunku owej loży.

Rozepchnął tłum, który w milczeniu przysłuchiwał się awanturze, i szedł w stronę bufetu. Większość towarzyszów udała się za nim, niektórzy zostali na środku parteru. Rafał znalazł się w bufecie i znowu pił dużo. Słabo wiedział, że czegoś krzyczano, a sam miał przed oczyma to salę widzów, to znowu przekąski i flaszki, rozłożone na stole bufetowym. Rzucał na ten stół dukaty, wygarnięte z kieszeni, leżał w czyichś ramionach... Kłóły go po twarzy ogolone brody, muskały wąsy, świeciły się przed nim roziskrzone oczy, i przyjazne głosy mówiły mu jakieś zdania, na które zgadzał się bez zastrzeżeń. Przez pustą już salę teatru, którą oświetlała samotna świeczka w latarni, późno w noc wyszedł w towarzystwie innych osób z płonącą głową. Wlókł się po błocie ulicznem, hałasując tak samo, jak inni. O jakiejś porze ujrzał przed sobą, w grubej cię-

mności dwie latarnie nadjeżdżającego powozu. Furman krzyczał ordynarnie z kozła, żeby się z drogi usuwać. W tej samej chwili Rafał ujrzał w świetle prawej latarni eleganckie żółte sztylpy i buty unurzane w błocie, a stojące na szprychach koła. Gruby pomruk rotmistrza rozległ się nad głowami idących, i furman z krzykiem przerażenia runął z kozła w kałużę. Nogi w sztylpach znalazły się na miejscu furmańskich. Konie, ściągnięte potężnym ciosem bata, skoczyły z miejsca, jak oszalałe, i kareta poleciała w zaułek. Słychać było przez chwilę rozpaczliwe wrzaski zamkniętych w niej kobiet.

Ktoś mówił:

— Nic się wam, baby, nie stanie! Rotmistrz odwiezie was na miejsce dwa razy prędzej, niż to bydlę...

Ulice były zupełnie puste i ciemne, jak pieczary. Strącenie z kozła furmana było dla tłumu, idącego dotychczas w spokoju, jak gdyby pobudką do czynu. Opanowała wszystkich istna furya. Rafał słyszał ciosy lasek, spadające na łeb i grzbiet furmana, i zanosił się od śmiechu, słysząc jego wrzaski. Gdy stangret wydarł się z rąk napastników, laski poczęły spadać na ściany kamienic, drzwi sklepów, żelazne kraty ogrodów. Co chwila jakaś szyba, śpiąca skromnie w ciemności, wydawała dziewiczo przeraźliwy wrzask, rozlatując się w kawałki. Świstały w powietrzu zerwane ze ścian blaszane szyldy, dudniły bramy szczelnie zamknięte, w które łomotano pięściami, kijami, obcasami. Ktoś skrzesał ognia, i przez chwilę Rafał podziwiał czterech ze swych nowych towarzyszów, z których dwaj stali na balkonie pierwszego piętra wąskiej kamieniczki. Dostali

się tam po żelaznych sztachetach, otaczających sąsiedni ogródek. Dwaj inni stali jeszcze na szczycie ogrodzenia, przechyleni nad ulicą. Tak wspólnemi siłami wyrywano ze ściany szyld, przytwierdzony do żelaznej sztaby nad zamkniętemi drzwiami sklepu. Kilka par tych potężnych rąk szarpało sztangę do góry i na dół, Gruz sypał się w oczy... W tej samej chwili trzeszczały podważane drzwi i wydawały znakomity łoskot talerze felczerskie, strącone zwysoka, któremi ktoś wydzwaniał marsza. Tu i owdzie w oknach zapalało się światło. Przerażone białe figury snuły się i biegały za wybitemi szybami...

Dopiero połowa ulicy została w ten sposób oporządzona, gdy naraz z głębi sąsiedniego zaułka dały się słyszeć kroki ludzi równo maszerujących. Jak błyskawica cisnęła, w ciemności swój nagły strzał światła ślepa latarnia.

— Zybenknopfy — wrzasnął przyjaciel Rafałów, właściciel oleśnickiej psiarni.

— A łotry, jesteście.

— Bij pludra!

— *Hab acht!* — rozległ się w ciemności spokojny głos.

Tłum pijany zbił się w gęstą kupę. Gdy nowy sztylet światła latarni przebił mroki głębokie, Rafał zobaczył w nim potężne ręce, trzymające, niby sztandar, wyrwaną sztabę z szyldem. W chwilę potem blacha szyldu zgrzytnęła w powietrzu. Rozległ się furkot drąga i urywany ryk. Po nim drugi, trzeci. Żołnierze patrolu dobyli szabel i poczęli z ramienia rąbać na ślepo. Anizetka, Bursztynek, Szpic, Szpilka i wszystek tłum to-

warzyszów runął na nich z laskami, z kamieniami, znalezionymi na ziemi. Wnet żelazny drąg siłacza z Oleśnicy przeważył szalę zwycięstwa na stronę awanturników. Ront rozsunął się i cofał pod ścianami kamienic. Rozlegały się świstki, krzyki niemieckie, wołające o pomoc, jęki i przekleństwa.

— Do kupy! — wołano.

— Do kupy, mości panowie! — komenderował przygodny wódz.

— Wziąć się za ręce i wtył!

— Osaczą nas, wtył, — wołali wszyscy.

Rafał nie miał nic w ręku, nawet laski. Mimo to z wyciągniętemi rękoma szedł naprzód, co chwila ściskając dłońmi ciemność. Gniew ukropem kipiał w nim i gnał go do boju. Szukając tak w mroku rękoma, ujął mizerne drzewko, przywiązane do wysokiego i tęgiego kołka. W mgnieniu źrenicy owa żerdka poczęła śmigać i szeroko grać w powietrzu, zataczając obszerne kręgi. Koniec jej trafił wreszcie na żywe mięso.

Wówczas dopiero Olbromski wziął walić z sandomierska. Żołnierz, z którym się zmagał, płatnął go do krwi raz i drugi pałaszem w szyję i w rękę. To podnieciło animusz aż do wściekłości. Wymacawszy go dobrze obłudnymi ciosami, Rafał rypnął z góry, w łeb, od jednego razu i obezwładnił. Prusak osunął się na ziemię. Wówczas zwycięzca znalazł go nagiemi rękami i począł kuć w zęby. Gdy tamten na dobre omdlał, powlókł go ze sobą po błocie, mamrocząc sobie pod nosem.

Wedle rozkazu wodza garść walecznych awanturników cofała się pośpiesznym marszem ku wylotowi

ulicy. Patrol, nie czując przed sobą napastujących, zaczął posuwać się naprzód, świecąc sobie latarniami, dźwigając z ziemi poturbowanych, cucąc omdlałych.

Tymczasem *Blacha* uchodziła coraz szybciej, zwartą kolumną. Kiedy dosięgnięto placu i ulic z niego wychodzących, wszyscy czemprędzej dla zmylenia pościgu rozeszli się w różne strony. Rafał jakoś otrzeźwiał i zdołał dopytać się o Jarzymskiego. Szli w kilku, prędko, bocznemi ulicami, zaułkami, przejściami, wziąwszy się za ręce. Nie zatrzymali się wczesniej, aż dosięgli bezpiecznego schronienia. Znaleźli je w wiadomych Jarzymskiemu rozkosznych gajach asyryjskiej Mylitty.

GNOSIS.

Nazajutrz Rafał ocknął się bardzo późno w jakiemś ciemnem schronieniu. Była to sypialnia Jarzymskiego, który obok chrapał na sofie. Z niewysłowionym podziwem Rafał zaczął liczyć czas i spostrzegł, że okna stancyjki nie były zasłonione. Był to więc wieczór dnia następnego. W przyległych pokojach słychać było gwar rozmów osób grających w karty. Olbromski leżał na swej pościeli z oczyma przymkniętemi, pełen takiego do siebie wstrętu, że z najgłębszą wdzięcznością powitałby kata i jego propozycyę przechadzki na szafot, byleby z zawiązanemi oczyma. Nie był w możności znoszenia fizycznych uczuwań wczorajszego dnia, a osobliwie nocy. Chował przed niemi głowę to tu, to tam, odwracając się ku czemuś jaśniejszemu, ale w każdem miejscu ciemności bielało straszliwie śmiejące się podle, ociekłe cynizmem, nagie cielsko dnia wczorajszego. Miliardy ukłóć bezsilnego żalu kąsały piersi, jak nocne komary błotnistej okolicy. Nie można było ani ich odegnać, ani spostrzedz. Tylko żądła ich zostawały w człowieku, i rozlegał się cichy, bezmyślny, obrzydły głos.

W jednej chwili Rafał zdecydował się, że musi wyjść z tego lokalu. Znalazł pociemku ubranie i wdział. Narzucił płaszcz na ramiona i wyszedł. W kieszeni namacał jeszcze kilka dukatów. Jednego z nich wcisnął w garść lokajowi, którego w przedsionku zdybał, i kazał się odprowadzić do pałacu księcia Gintułta. Był pewny, że go tam już wcale nie wpuszczą, a jednak tam właśnie dążył.

— Jeśli — myślał — nie zechce mnie więcej widzieć, no, to co innego... Wtedy poszukam jakiego hotelu, zajazdu...

Pragnął tę noc za jakąbądź cenę przepędzić w samotności, nie słyszeć obok siebie chrapania Jarzymskiego. Nie myślał o tem wcale, co będzie czynił później; chodziło mu jedynie o chwilę bieżącą, o zdarcie koszuli Dejaniry. Gdy wreszcie stanął przede drzwiami pałacu i zadzwonił, wydało mu się to rzeczą tak głupią, że kazał służącemu Jarzymskiego czekać na siebie. Był pewien, że go krótko i węzłowato wyprawią tam, skąd przyszedł. Tymczasem stary Łukasz otworzył mu drzwi z tym samym powinnym i grzecznym ukłonem, prowadził go z życzliwymi ruchami. W pokoju, gdzie Rafał pierwszą noc spędził, było ciepło. Służący zapalił dwie woskowe świece i cicho oddalił się. Rafał czuł dla niego wielką i rzewną wdzięczność. Był oto nareszcie sam w cichem i poważnem miejscu. Co tchu rozebrał się, zakopał w pościeli i miał zamiar zdmuchnąć świecę, gdy drzwi się znowu zcicha otwarły, i Łukasz wniósł na tacy dużą szklankę jakiegoś napoju. Ustawił to na stoliku obok łóżka z łagodnym i uroczystym wyrazem twarzy a z ukłonem wyszedł. Rafał

skosztował owego napoju i znalazł, że jest dobry nad wszelki wyraz. Wypił do dna.

Zaledwie zgasił świecę, uczuł się znowu w mocy niezwyciężonego wstrętu. Nie były to wspomnienia, gdyż te pieściły go raczej i władały nim jeszcze, nie były wyrzuty sumienia, tylko nieznośne, przemierzłe uczucie obecności złego.

Zamykał oczy, poczynał myśleć o czem innem, budował plany na przyszłość, nerwowo grał w karty, wykonywał w marzeniu bohaterskie napady w gronie elegantów pierwszej wody, gdy oto nagle zjawiła się na jego piersiach ohydna głowa. To było właśnie samo, w osobie swojej — złe. Coś, jak głównonóg-ośmiornica z kostnemi ssawkami, potworne, bez kształtu, zimne, oślizgłe, opasujące. Nie dawało się odtrącić, ani zedrzeć z piersi. Zimny pot osiadł kroplami na czole pełnem ołowiu, a na duszy owa tajemnicza zmaza, której żadna z potęg nie mogła zniweczyć. Gdy ciężki sen zawarł powieki, i wówczas cierpienie zostało na piersiach. Głowonóg przemienił się w kobiecego trupa, w rozdęte, opuchłe, śliskie i lepkie ciało topielicy. Straszliwe zwłoki oplotły szyję śpiącego grubemi rękoma, wygniłe oczy wlepiły się w jego sen, i dawno struchlałe usta przywarły do jego ust. Słyszał w głębi swej duszy przemierzły podszept miłosny...

Obudził się późno w nocy i usiadł na pościeli, wstrząśnięty czemś obcem, jakby ręką mocnego człowieka. Łzy płynęły z jego oczu, zalewały twarz, łzy, dobywające się z najgłębszego dna duszy. Ale zarazem wylewy ich oczyszczały tajemnicze, podziemne głębie, z których pochodziły. Całe ciało trzęsło się, gdy tak

spływały, podobnie jak drży ziemia, gdy burza w dal i noc uchodząca grzmi i strzela piorunami. Nagle z mroków półsnu wywinęła się jasna myśl, zupełnie jak postrzegalny dla oczu, kształtny gzygzak światła:

— Cóż mi to jest?

Ale odpowiedź nie wysuwała się z ciemności. Tylko nowy potok bujnych, silnych wzruszeń, niby młoda krew z rany, zadanej żegadłem zbója, spłynął i obmył twarz skrytą w dłoniach. I tak już prawie do samego rana trwało bezkształtne dumanie, walka nie dająca się wyrazić słowami, jakoby zawód choroby z chorobą o całe bary i piersi, jakoby zapasy siły z siłą. Na podobieństwo przelotnych obłoków widziadła przemierzłe objaśniały straszliwe dzieje tych rzeczy, spraw i ludzi, z którymi stykał się wczoraj. Dolatywało do niego z próżni niewysłowione skowyczenie nędz ludzkiego motłochu, zionął z pojedyńczych chwil wczorajszych, jak gdyby z zaklęsłych grobów, fetor gnojowisk podłości, upadku, pomsty, zbrodni, zdychania w hańbie. Co kiedykolwiek słyszał o tych sprawach, to teraz z siłą roztrzaskującą głowę rwało obok, stronami. Ręce drętwiały z ohydy, że się niemi dotykał tych ran, broczących siną, zgniłą krwią, głowa płonęła od myśli, których rozumu, zdawało się, nie był w stanie objąć i zmieścić w sobie.

Nazajutrz wstał z łóżka blady, zdruzgotany na duszy, sam dla siebie odmienny i niezupełnie zrozumiały. Obojętnie szedł do sali, gdzie poprzednio zastał księcia. Już zbliżając się do drzwi żelaznych, usłyszał rozmowę, która pod wysokiem sklepieniem donośnie się rozlegała. Książę rozmawiał ze swoim towarzyszem,

owym majorem wojsk pruskich. Obadwaj pochyleni byli nad księgami wielkich rozmiarów, oprawionemi w białą skórę. Gdy Rafał wszedł, na chwilę zamilkli i przerwali swą pracę. Wojskowy, podobnie jak za pierwszym razem, skierował na niego swe oczy naiwne i badawcze, zdumiewające oczy olbrzymiego dziecka. Na ukłon Rafała odpowiedział przyjaznem pochyleniem wielkiej głowy i uśmiechem tak szczerym, pełnym dobroci, zachęty, jakiejś nieśmiałej przychylności, która narzucać się nie chce, lecz przyjętą być pragnie, że Rafał znowu uczuł się wzruszonym. Tylko dziś w daleko większej mierze...

— Miałem już zaszczyt — rzekł książę, wskazując Olbromskiego oczyma — przedstawić mego sekretarza.

— A tak... Bardzo mi przyjemnie poznać waszmość pana.

— Będziemy teraz mieli możność szybszego dociekania w Augustynie — szepnął jeszcze książę jakby prosząco.

— To bardzo dobrze, osobliwie dla mnie. Waćpan przyjeżdża wprost ze wsi — spytał major.

— Tak, nie był tu wcale i nigdy. Nikogo w Warszawie nie zna. Wszak prawda?

— Tak, prawda... — wyszeptał Rafał.

— Przez kilka lat sam gospodarował, własnoręcznie siał, orał... Wszak prawda? takeś mi wasze donosił w liście?

— Tak, donosiłem...

Na twarzy majora zaświecił się uśmiech dobry, głęboki, jakby do dna rozwidniał całe jego ciało. Zara-

zem jakieś prędkie zachłyśnięcie, dające się często zauważyć u nieśmiałych chłopców, wstrząsnęło kilkakroć jego olbrzymią, niedźwiedzią figurę.

— Praca na zoranej roli — zaczął mówić głosem wstrzemięźliwym, dopraszającym się o łaskawy posłuch — wydaje mi się być najwyższem szczęściem, jakiego człowiek dostąpił. Tak sądzę, tak w głębi serce mniemam. Nigdy sam nie byłem do tyla szczęśliwy, żeby tej łaski dostąpić. Jestem żołnierzem... Mieć w ręku swych możność wyprowadzania z nagiej ziemi czegoś tak tajemniczego, cudnego w swej budowie, w swem życiu i śmierci, jak kłos pszeniczny, nie jest-że to być współtwórcą cudu?

Rafałowi nie trafił do przekonania ten wywód. To też na twarzy jego odmalował się mętny jakiś wyraz. Major niezrażony mówił dalej głosem cichym, z niemiecka akcentując wyrazy i zdania:

— Nigdzie potęga, niewysłowiona mądrość, miłość jednako zawsze silna, bez początku i końca wiekuiście ta sama, wielki duch budownika świata, nie objawia się bardziej, niż w dojrzewaniu ziarna, w rodzeniu się traw na łące, gdy przygrzeje słońce wiosenne — i w umieraniu ostatniego potrawu, gdy słoty października zasłaniać je zaczną. Czyś waszmość kiedy widział taką chwilę, czyś okiem wewnętrznem z głębi siebie patrzał na to, jak naga ziemia drży pod słońcem, jak wody stojące na niej trzęsą się i raz wraz połśniewają, a mech drobniutkiej trawy schyla się i wałęsa za wiatrem, jakoby nikły dymek?

— Widziałem... — rzekł Rafał ze drżeniem.

W myśli jego, jak żywa, stanęła taka chwila. Zda-

wało mu się, że wypukłe, przymglone oczy majora widzą tę chwilę dokładnie, jasno, nie gorzej od niego. Jakiś nieprzyjemny lęk obszedł go dookoła.

— Już w duchu dawnych, mgłą czasu zakrytych plemion żyła ta sama trwoga i wytryskała z niej cześć dla trawy rodzącej się z małego ziarna, które wiatr nosi, dla drzewa, wypuszczającego śliczne liście i niedościgłe gałęzie, dla kwiatu, co kielich swój kształtuje w mrokach nocy, przed zimnym porankiem...

Zadumał się na chwilę, jakby zapomniał, że ma słuchaczów, i z uśmiechem niemal radości, z oczyma zaszklonemi sennemi łzami, mówił:

— Dawny zapomniany bóg... Mithras! Władca, od którego woli zależy barwa młodych listeczków, kiście zbóż, kielichy kwiatów na tej całej cudownej ziemi... Boski ogrodnik! On, który sprawia, że owoc gruszki dojrzewa, że jabłka wonne wyciekają z żył prętów, że czerwienieją pod zwiędłymi liśćmi, zwiędłymi tak samo, jak więdnie piękna matka z nienasyconej miłości dla czerstwego synka... On sprawia, że ciemne śliwki okrywa cudowna, jedyna barwa, a winograd zwisa z wątłego szczepu i ciąży, jakby się kłonił do snu. U pelazgijskich, pono, plemion, wykwitło inne widziadło, którem tylekroć poiliśmy się z księciem. Nie prawdaż?

— Tak jest, mistrzu...

— Widomy kształt Demetry, zwanej »Pelasgis«, to jest niby to osoby, ducha tego, czem jest rodzenie się z ziarna. Demeter jest symbolem ziarna nasiennego, ostatniego tworu całego żywota wszystkich na ziemi roślin. W ziarnie ustaje twórczość rośliny, a ono samo

staje się twórcą, macierzą, rodzącą niezliczone, niezliczone pokolenia. Ziarno nasienne jest obrazem prawzoru, z którego pierwsza roślina poczęła się przed wiekami. Demeter jest obrazem praziarna i wszystkich jego potomków, jest zarazem widomym znakiem siły, która nigdy się nie wyczerpie, potęgi, która była, jest i będzie aż do skończenia świata. Ja... przepraszam, że nadużywam waścinej cierpliwości... Ja tak jestem porwany tą boską opowieścią o dziejach Demetry i, co jest najciekawsze, o jej uroczystościach w Eleuzis, że często — może zbyt często? — rozpowiadam. Czy waszmość raczysz przebaczyć tej gadatliwej naturze żołnierskiej?...

— Ależ, miłościwy panie!... — bełkotał Rafał.

— Czemże jest znane waćpanu porwanie Persefony-Kory? Sławny *katodos*? To dzieje ziarna każdego po szczególe, więc dziecięcia Demetry. Pochłonięcie zasianego przez skibę ziemi. Ciężka żałoba matki Demetry — to zima, szereg dni mrocznych i dżdżystych, w których ciągu ziarno leży ukryte w gruncie. Persefona przebywa tam u swego podziemnego małżonka. Ale nadchodzi radosny *anodos*. Niewolnica w pełnym blasku piękności wydostaje się nad ziemię i łączy z rozkwitłym Dionizosem. Ziarno wypuszcza ze siebie kieł, przebija ziemię, wystrzela jako łodyga, ozdabia się kwiatem i nowe rodzi ziarna. W Eleuzis oddawano cześć tej właśnie wiecznej sile natury, jej przecudownej nieskończoności. Przez hymny, święte tańce, sceny mimiczne, nagłe zjawienie się kształtów przy brzmieniu w tej samej chwili słów uroczystych, nakazów, wygłaszanych przez hierofanta z rodu Eumolpidów, wlewały

się do serc i otaczały czcią należną wszystko żywiące promienie słoneczne, której my zapomnieliśmy zgoła...

— Demeter szuka swej córki po całej ziemi przez dni dziewięć, a dziesiątego przybywa do Eleuzis... — mówił major, coraz bardziej zwrócony do księcia i zapominając zupełnie o obecności Rafała. — Niesie w ręku swych dwie pochodnie, znak widomy oczyszczającej siły ognia. Spoczywa w Eleusis i łamie długotrwały post przez popijanie napoju z wody i miodu, zwanego *kikeon*. To wszystko działo się przed nocą tajemnic. Ci, którzy są *mystaj*, bez różnicy płci pozostają sami, oddzieleni od profanów. Z pochodniami w ręku zwiedzają miejsca boleści Demetry, więc zdrój Antion i Smutny Kamień. Tajemniczą część uroczystości zwiastował głos *hierokeryksa*, nakazujący tym, którzy są *mystaj*, zupełne milczenie... Milczenie, milczenie... — mówił zwolna, topiąc wzrok w oczach księcia.

Obaj siedzieli naprzeciwko siebie, uśmiechając się prawie ze szczęściem do jakichś myśli, Rafałowi nieznanych.

Pierwszy książę odwrócił głowę i, schyliwszy ją nad książką, rzekł zcicha:

— Ponieważ jest sekretarz... wrócimy może do Augustyna...

— Ach, tak... Ponieważ jest sekretarz... Ilekroć zetknę się z pięknym światem Greków, staję się poganinem...

Książę przez chwilę wygładzał niecierpliwie w ręku kartę wielkiej książki, a wreszcie rzekł, obracając się do Rafała:

— Chciałem cię właśnie prosić, żebyś mi wytłumaczył ten oto ustęp z łaciny na polskie.

To mówiąc, posunął ku niemu olbrzymi wolumin.

Rafał skwapliwie jął się tej roboty, uszczęśliwiony, że nareszcie zyskuje w tem towarzystwie jakąś wyraźną rolę. W tej samej chwili książę mówił do majora:

— Świat grecki... Co do mnie, nic mi jeszcze nie mogło zastąpić wspomnienia odludnych pieczar pustyni. Kryjówki dziś drapieżnych zwierząt tam, gdzie wykołysał się duch ludzkości, gdzie w bezgranicznem odosobnieniu Paweł z Tebaidy sto lat przepędził, pierwszy pustelnik, gdzie Antoni w świętych marzeniach wyhodował nadziemską duszę swoją! Nigdy i nic już na świecie nie mogłoby przewyższyć uczuć zdumienia, skruchy i trwogi, jakich się tam doznaje.

— Na pewno tak jest, na pewno, jak mówisz, bracie starszy, a jednak... Ja się do tej wysokości wznieść nie mogę. Jestem ciężki, jak kłoda ściętego drzewa, jestem jak głaz na pastwisku, który tylko od własnego ciężaru w ziemię wrasta. Oto wszystko. Wzruszenie moje jest tak leniwe, tak poziome... Jeżeli coś jeszcze wzruszyć mnie jest w stanie, to wiosna. Gdy, jak mówi stary Hezyod w *Dniach i nocach* — »w liściach dębu pierwsza kukułka zakuka i rozraduje ludzi na ziemskim przestworze«... moje zbutwiałe serce uderzy jeszcze. A kiedyindziej...

— Należy wytężyć siły... — mówił książę głosem przejmującym, a tak cicho, że ledwie go było słychać. — Skierujmy dusze ku wzniosłości! Pomyślmy tylko, za-

nurzmy wszystek umysł w ten potężny widok, gdy Fortunatus, kapłan manichejski, po dyspucie ze świętym Augustynem odchodzi z Hipponu. Znowu na puszczę! Wczoraj czytaliśmy dysputę. Całe zdania świętego stoją mi w pamięci, jakby promieniami ognistymi wysmalone. Te proste słowa: *versatur ibi quaestio — unde sit malum...* To nie dwaj ludzie mocują się w słowie, nie dwaj kapłani, nie wyobraziciele dwu kultów, lecz zaiste dwa olbrzymie symbole, dwa żywioły. *Unde sit malum?* Święty biskup, który tak słusznie nosi miano *divus*, czyli Mąż z Boga... mądry i myśli przezroczystej jak krynica w górach, twierdzi, że zło urodziło się w człowieku z jego wolnej woli. Człowiek sam jest winowajcą. On jest grzesznikiem przed wiekuistym Panem. A tamten przychodzień z pustyni, gdzie ze swej pieczary w ciągu wielu lat wpatrywał się w niebiosa, gdzie przez szereg dni i nocy w samotności rozważał, ośmiela się głosić, że natura złego współwieczna jest Bogu. Rzuca przed rodem ludzkim ten olbrzymi cios, to brzemię myśli, tak ciężkie, że, zda mi się, ziemia pod niem zadrżeć musiała. Ale następnego dnia po dwu stoczonych dysputach publicznych, Fortunatus wyznaje, że nie znalazł dostatecznych odpowiedzi na kwestye, zadane mu przez biskupa. Wyznaje, że jest zwalczony w słowie. Zarazem wszakże zaznacza, że nie jest przekonany w duchu i do katolików się nie przyłącza. Dziś już owego miasta *Hippo regius*, gdzie numidyjscy królowie władali — wcale niema. Kamienne domki, zamki, termy, świątynie, place — zasypał piasek. Przekreślona jest potęga miecza i zmazana. Został przeciez kazdy dreszcz dwu

duchów, spierających się o poznanie wieczności, i nas tak samo, jak ich przenika. Ci, którzy odtrącili wszystko, aż do napoju i jadła — żyją wiecznie.

Oto w zwątpieniu stokrotnem, tysiąckroć rozbity i niepewny bardziej, niż do miasta przyszedł, Fortunatus oddala się na pustynię, by znowu w samotności żgać, podniecać i wyostrzać myśl swoją, palić ją srogiemi żagwiami głodu, biczowań i udręczeń ciała. Zacznie tam na nowo zgłębiać, ważyć i przenikać duchem widziadła staro-parskie Azyi... Spojrzyjmy, jak samotnego, niby gęste obłoki, otaczają Angramajniu i Ahuramazda — *in exordio duae substantiae a sese divisae...* Jakże się nie ulitować nad nim, gdy w ciemnej nocy spogląda na ziemię, głębokością mroku okrytą, i źrenicą wlepioną w niebiosa usiłuje zobaczyć cień przedbytu, pierwsze ciała ogniste, światy rozproszone, słyszeć huk wichrów straszliwych, pędzących światy i głos jedynego wodza ich, jak mu kazano uwierzyć. Jaskinię jego otacza ślad lwa i hyeny, przelatuje nad nią cień orła i sępa, głowę okrąża myśl o krokodylu i skorpionie, którzy się pasą mordem słabych, a żywią śmiercią niewinnych. Przelatują nad nim samum i kamsin, dzicy, bez rozumu zabójcy wszystkiego, co żywie. We dnie pali go słońce aż do śmierci, a w nocy udręcza zimno, za którem czai się choroba. Mdła mucha roznosi śmierć, wyssaną ze zwierzęcego trupa, i zaszczepia ją w ciało dzieciątka, które już mówić i myśleć zaczęło, którego oczy stawały się cudniejsze, niż złote wino, a zęby bielsze, niż mleko. Któż jej nakazał taki uczynek?

Patrzmy, jak oczy Pustelnika wyschłe i spalone

wznoszą się do niebios, szukając tego, który jest *Propater* czyli *Bythos*, co znaczy *Głębia*, który jest *Arretos*, co znaczy Niewypowiedziany... Za plecami swemi ma plemię ludzkie. Widzi całe jego dzieje i wszystek żywot. Wiekuisty tryumf liktora i wiekuiście zdeptany duch. Widzi, że wszystko co jest, jest materyą swaru, przyczyną bitwy, że zaiste wojna bez końca, *Polemos propater*, jest losem człowieka, a ginie w niej słabszy i lepszy. W sobie samym ma żywioły nieznane, gdzie rozkosz splata się z boleścią, gdzie mądra myśl wyrasta wolno i wśród większego mozołu, niż palma w szczerej puszczy, a jeden wybuch namiętności do cna łamie i niweczy przez setkę nocy i dni trudu wypielęgnowaną...

Gdzież wzrok obróci? W dziecinne lata... Tam, dokąd chodzi najchętniej ludzka niedola, żeby się wśród łez uciszyć? Ale przenikające i badawcze wejrzenie mądrości ujrzy tam jeno bytowanie cielesne, pełne dziedzictwa złości, wyniesionej z żył ojca i z łona matki. Spojrzy w idącą bezlitośnie starość i z przerażeniem zobaczy zło najstraszniejsze: choroby ciała, jak z bezrozumną głupotą, młotem z żelaza rozbijają przemądrze zbudowane kości i doskonałe tkanki. Ujrzy ruinę ducha, równego Bogu, który wśród nędzy i rozpaczy upada, drży i skamle... Któż uczynił to wszystko zło? któż je wysnuł ze swego łona? Skąd się poczęło trzęsienie ziemi i burza na szlakach morskich? Azaliż człowiek stworzył jadowitą żmiję i podłą hyenę? azaliż on wymyślił śmierć?

Skierujmy dusze nasze ku wzniosłości! Idźmy za wzrokiem Fortunata... Oto wpatruje się ze swej pie-

czary w najwyższą potęgę ziemi, w najzawilszą sprawę świata, w sprawę odrodzenia rodu ludzkiego. Widzi na brzegu morskich zalewisk pelikana, który błąka się nad falami i znosi dzieciom swym strawę. Jest on jakoby znak hieroglificzny wszego żywota, napisany w chwili poczęcia ziemi między morzem a lądem suchym. Mówią dawne legendy, że pelikan krwią żył swoich wskrzesza zabite dzieci, że rozdziera dziobem pierś swoją... Stamtąd wychodząc, Fortunatus przejrzał wszystko, przemyślał wszystko. Widział w dumaniu szczęśliwego ojca, któremu los dał kości twarde, a w nich niepożyty szpik. Widział go, jak się doczekał siwizny syna, jak w nim powtóre przeżył dojrzały żywot, zamknął w pamięci ogrom zdarzeń od dziejów pierwszej miłości aż do dziejów ostatniego złudzenia. Z nich wysnuł niewzruszoną mądrość męską. Widział go, gdy się doczekał wnuka i w jego szczebiocie trzeci raz usłyszał gwarę swego niemowlęctwa.

Widział go wreszcie zaszłego w lata, w głęboką, »dobrą«, jak mówi Pismo, starość, kiedy zwolna a chętnie i z pociechą stawał się jakoby rolą niską i płaską, gruntem spokojnym i niemym, próchnicą, gliną i piachem bez imienia, w który wrastają korzeniami rozłożyste, szumiące drzewa. Z niego idzie w gruby śniat, w tęgie konary i w obie ibkie gałęzie, w lotne, poświstne za każdym wietrzykiem rózgi i witki — sok żywota... Widział go, gdy się w głuchej tajemnicy przed resztą ludzi kłonił do snu wiecznego i chętnie marzył o wypoczynku w śmierci, nad którym unaszać się będzie gwar i szczebiot pokoleń. Widział tę jego chwilę, kiedy znużony długością a niskością zabiegów i zdobyczy

żywota, zapragnął odpocząć i usnąć tęgo. Położyć, jako Jakób patryarcha spracowane i osłabłe nogi na łożu i nie wstawać już, lecz na wieki umrzeć.

Katodos Persefony!... Ale wnet wspomniał mu się inny... Tamten, dojrzałych lat, któremu grozi rozstanie z synkiem maleńkim. Patrzy nieszczęsny ojciec na białe kudełki swego jedynaka, na okrągłe rączki i nogi, na małe barki, które będą musiały dźwigać wszystką niedolę życia, wszystkie jego męczarnie, zbrodnie, krzywdy, widziane i przeżyte w ciągu ubiegłych lat. Wdycha oddech bezwonny, przenika wzrokiem krynice oczu, pięknością równe gwiazdom, świecącym po nocach. Przytula do ust jasne czoleczko, w którem przeglądają się myśli młodociane na obraz białego obłoku, kiedy stoi nad tonią jeziora w górach — do kości piersiowych przyciska główkę, jakby ją pragnął wgnieść, wprowadzić napowrót we wnętrzności żył swoich, wtulić całego w serce rozszarpane od boleści i z nim razem ujść w zaświaty, na pagórki wieczności. Widzi z pieczary swej Fortunatus nieszczęśliwego, kiedy dojrzał już śmierć, idącą ku wezgłowiu, i bawi się po raz ostatni rączkami dzieciny swojej, zlewa nań błogosławieństwo, jak mówi Pismo, piersi i żywota, a ona krekorze i gędzioli wesoło, jak ptaszek w wiosenne rano pyta się o nędzne rzeczy bieżącej godziny, nic a nic nie wiedząc, jaka to ręka nad nią się wznosi. Nie mógł doczekać piątej rocznicy urodzin swego jedynaka, jako ów Hektor, który w szyszaku bojowym syna drogiego całując i pieszcząc rękoma, mówił modlitwę do Zeusa i bogów: »Niech o nim kiedyś powiedzą: O wiele był lepszym od ojca...«

Któż stworzył dzieje tamtego żywota? Azali ta sama ręka tworzy dobro i zło? Czemu tak bez rachuby skrzywdzony jest umierający na korzyść szczęśliwego Jakóba? Jakaż to nagroda niebios okupi boleść opuszczenia bezsilnego dziecka, stracenia go z oczu, wydarcia z ramion? Cóż jest gorszego pod słońcem nad ową przepaść cierpień ojcostwa? Puścić samotne chłopiątko w świat, owładnięty przez krokodyle i skorpiony, na ląd, w który uderza niespodziane trzęsienie ziemi, na morze, które gonitwa wszechwichrów zamienia na bezrozumnego kata... Myśleć, konając, że pójdzie samo jedno między zbiry ludzkie, że je bezbronne otoczą przemądrze, chytrze ukryte, niezbadane choroby — trąd i syfilis, ospa i tyfus, że stokroć gorsze od chorób otoczą je zbrodnie ludzkie, nieprzeliczone wymysły łajdactwa, co się już formą żywota stały, rozuzdane chuci i brudy... Myśleć, że czystemi oczyma, w których zamknięty jest firmament niewinności, będzie widziało ową walkę zbójców ze zbójcami, że z czasem stanie się samo jedną więcej sztuką jakiejś gromady...

Oto powiedział w duchu swym Fortunatus, że złem jest ojcostwo i rodzenie. Zaprzysiągł przed swoją duszą, że nie chce mieć syna, że zamordowałby zrodzonego w pośród grzechów. Sam wyniesie ducha swego w pustyni ponad ludzi, jedynego urobi na obraz Ahuramazdy i wówczas wyda wojnę ciemnościom. Wywiedzie duch swój z bagna grzechów ludzkich, wydźwignie z błot Arymana i stanie ponad światem, jako wiekuista pochodnia...

Rafał miał oczy spuszczone na wiersze książki,

ale rozmowa, chociaż półgłosem w jego obecności prowadzona, przeszkadzała mu rozumieć tekst owego rozdziału *Contra Fortunatum quendam Manichaeorum presbyterum.*

Książę, wypowiadając zdania napół rozumiane przez nowego słuchacza, co chwila zwracał nań oczy swe przymglone, ściemniałe, nie widzące, skierowane do wewnątrz. W pewnej chwili oczy te ożywiły się, i książę rzekł innym głosem:

— Tu ci będziemy przeszkadzali rozmową naszą. Zdaje mi się, że wygodniej ci będzie w pokoju, który jest obok.

Rafał zabrał ową księgę, ciężką, jak naręcze bukowego drzewa, i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Była to pracownia. Na środku mieścił się ogromny stół, a dokoła niego stały fotele, obite skórą. Okno było otwarte, i naprost niego sunęła się w dół stara grabowa aleja. Rafał przymknął drzwi i usiadł w fotelu. Skoro tylko poczuł, że jest sam, zaraz upadł w łoże duchowego lenistwa, dał się ogarnąć doskonałej bezwładności woli. Głowa jego zsunęła się na rozłożone karty książki, jak ciężki, lity, nędzny kamień. Ani jednej myśli, ani najsłabszego uczucia! Jedno jeszcze, coby mogło dźwignąć i podniecić, to znowu burgund. Zwolna, jak parny obłok, przesunęła się tajna żądza w czystej swojej postaci, nie pochwycona jeszcze przez myśl, ani nawet przez chęć. Czuł to, że skoro się tylko oblatwi z tłumaczeniem łaciny, pójdzie znowu do Jarzymskiego. Nic to, że przychodzi w nocy obmierzłe uczucie złego...

Z największą niechęcią zabrał się do przekładu.

Przyszło mu to z łatwością większą nawet, niż przewidywał. Nawykły w szkołach do zagadnień sofistycznych, z pewnym rodzajem satysfakcyi wciągnął się w przedziwną dysputę św. Augustyna z przeciwnikami Kościoła.

Minęło południe, i jesienny wieczór nadchodził, gdy wreszcie skończył wyznaczoną pracę. Odsunął ją z dziwnem uczuciem. Zdawało mu się, że myśli, które przełożył, ożyły i że się weń wpatrują zastygłemi oczyma... Z kart tej olbrzymiej książki wionęła ubiegła noc, jej widma i wzdychania. Liście o barwie jasnego mosiądzu i liście o barwie rdzy żelaza, wolno spływając z grabów, z topol i lip, zasłały sobą całą długość i szerokość alejki. Roztrącały promienie słońca, które przez miejsca ogołocone, przez pustki świeżo powstałe, wlewało się do głębi. Chłód zimny powiewał z wąskiej, dalekiej uliczki...

LOŻA UCZNIA.

W mroźny wieczór marcowy Rafał jechał z księciem saniami na ulicę Mazowiecką do pełnego tajemnic »czerwonego domu«. Otulony w niedźwiedzie futro, wzdrygał się jednak od przykrych dreszczów wewnętrznych i napadów gorąca. Zdawało mu się, że konie biegną za prędko, pragnął nawrócić jeszcze, prosić o chwilę przejażdżki po mieście... Jeszcze, jeszcze...: Tymczasem furman zatrzymał konie na rogu ulicy, i młodzieniec poddał się konieczności. Wyskoczył z sanek, zrzucił z ramion szubę i śmiało wszedł za księciem w ciemne przejścia za bramą. Kiedy przewodnik jego zastukał do pierwszych drzwi, otworzył je stary, zgarbiony służący, odebrał płaszcze i wskazał ręką korytarz prawie ciemny, bo rozwidniony tylko przez płomyk latarni, daleko umieszczonej. Mimowoli Rafał zapinał swój czarny frak na wszystkie guziki i przyciskał do boku kapelusz.

Napotkane drzwi otworzyły się. Książę wprowadził swego sekretarza do małej salki i wyszedł. Gdy za chwilę powrócił, był we fraku, zapiętym na wszystkie guziki, w czarnych pończochach i płytkich trzewi-

kach ze stalowemi klamrami. Z pod jego fraka wysuwał się biały fartuch z jedwabiu, nie dosięgający kolan, a z lewego ramienia na prawy bok szła szeroka, biała szarfa. Na ręku miał rękawiczki.

Przeszli teraz w milczeniu przez dwa puste i zupełnie ciemne pokoje. Znagła drzwi się piorunująco otwarły, i Rafał znalazł się sam jeden w sali wysokiej, sklepionej, ciemnej prawie, obitej suknem. Był tam stół czarny dziwnego kształtu, a na nim trupia głowa, w którą wstawiona świeca tliła się bynajmniej nie tajemniczo. Przychodzień powiódł oczyma wokoło i nie bez drżenia zobaczył w kątach czaszki, piszczele, gnaty ludzkie. Zamiast wszakże spodziewanego dawniej wzruszenia, doświadczył raczej drgawek gniewu. Wściekał się, że oto zostawiono umyślnie trupie piszczele i głowy dla przestraszenia go, jak durnia.

Wspomniał swoje nocne przeprawy i zaśmiał się czaszkom w oczy. Zamiast modlitwy i skupienia, tylekroć zalecanej mu na tę chwilę przez księcia, czuł niecierpliwość, sprzeciwiającą się wszelkiemu nabożeństwu. Za drzwiami słyszał gwar przemów uroczystych, wygłaszanych podniosłym tonem, albo okrzyki chóralne, jakby żołnierskie na placu mustry potwierdzenia. Ale oto po ciszy chwilowej wydźwignęła się z mroku i ciszy pieśń. Zrazu przez jeden głos zaczęta, rozlała się w chór szeroki:

»O, selig war dieses Pilgerleben
An meines Freundes Arm durchlebt,
Fest steht er wie ein Fels im Meere,
Von Ungemach sein Haupt erhebt...«

Jeszcze brzmiała pieśń, gdy błysło światło jakoby

w rozdzielonym murze. Miękko odsunęły się niewidzialne drzwi, i stanęli w ich świetle trzej mężowie ubrani tak samo, jak książę. Znajdujący się pośrodku miał na ramieniu obnażoną szpadę. Zbliżywszy się do Rafała, ów mąż środkowy począł mówić po polsku głosem cichym i łagodnym. Z długiej jego przemowy słuchający zapamiętał powtarzane wielekroć wyrazy: zaufanie, i szczerość, miłosierdzie dla ubogich, posłuszeństwo, łagodność, cierpliwość, odwaga i milczenie. Na zapytanie: czy trwa w zamiarze pełnienia wszelkich wymagań? — odpowiedział twierdząco. Wówczas trzej mężowie znikli, znowu pozostawiając go w samotności. Nim wszakże zdołał przyjść do siebie i uczuć przyjemność odosobnienia, drzwi, jak poprzednio, rozstąpiły się, i te same osoby weszły powtórnie. Stojący pośrodku zaczął mówić na temat wymienionych siedmiu obowiązków, każdego z nich znaczenie, ważność i rozciągłość oznaczając w długim wywodzie. Gdy na zadane w końcu pytanie: czy chce należeć do zgromadzenia, praktykującego te cnoty? — znowu twierdząco odpowiedział, mówca dał znak, a jego towarzysze przystąpili do Rafała i zaczęli go rozbierać. Ściągnęli z niego frak, kamizelkę i obnażyli lewą pierś; ściągnęli trzewik, pończochę i obnażyli do kolana lewą nogę. Szeroką i grubą chustą zawiązali mu oczy. Wówczas usłyszał głos mówcy:

— Zabieram kapelusz waćpana, szpadę, zegarek i wszelkie metale, jakiekolwiek masz przy sobie.

Drzwi cicho zaszemrały, i dał się słyszeć podniesiony głos, a po nim trzykroć hałaśliwe przyklaskiwanie i chóralny okrzyk:

— *Huze, huze, huze!*

Po chwili Rafał uczuł, że stoi między dwoma ludźmi, że ktoś jest przed nim i dotyka jego piersi końcem szpady. Głos tak łagodny poprzedniego mówcy brzmiał teraz dziko i nienawistnie w brutalnem zapytaniu:

— Czego tu chcesz?

— Chcę być przyjęty do społeczności wolnych mularzów... — rzekł Rafał.

— Stanie się zadość twej woli, — odpowiedział ten sam głos — może z niezmiernem narzekaniem twojem. Bacz, co mówię.

Dwaj towarzysze, stojący u boku przychodnia, poprowadzili go naprzód. Idący przed nim zastukał. Obcy jakiś głos znowu kilkakroć zapytywał Rafała: kim jest? z jakiego kraju? ile ma lat? czy trwa w zamiarze wstąpienia do towarzystwa? — a gdy udzielił odpowiedzi na każde z tych żądań, z trzaskiem drzwi się otwarły, i pytający przed chwilą pchnął go w ręce dwu dozorców, stojących obok, z wołaniem:

— Precz, nieszczęśliwy! Oddaję cię losowi twemu...

Wówczas Rafał uczuł, że go prowadzą do sali wielkiej, ciepłej, pełnej ludzi i światła. Ustawiony twarzą w jakimś kierunku, którego ruchami nakazano mu trzymać się ściśle i ciągle, usłyszał znajomy sobie dobrze głos książęcego przyjaciela, majora wojsk pruskich. Ten mówił:

— Zuchwalco światowy! Jakież przedsięwzięcie wiedzie cię tutaj! Może prosta ciekawość? Może chęć przeniknięcia skrytości? Drżyj! Drżyj, nieszczęśliwy! Stoisz nad brzegiem przepaści, która ci się odgraża

zgubą ostateczną. Odpowiedz! Czy prosta ciekawość wiodła cię tutaj?

— Nie.

— Słowa twe nie starczą za dowód. Bracie Dozorco! przyłóż koniec szpady do serca zuchwałego! Każ mu dla poszukiwania światła odbyć drogę z Zachodu na Wschód, a gdybyś ujrzał najlżejszy w nim upór, przeszyj mu nawylot zdradzieckie serce!

Wówczas Rafał uczuł znowu mocno o pierś swą oparte ostrze szpady w tem miejscu, gdzie bije serce. Ktoś ujął go za prawą rękę i prowadził wpółokrąg sali. W pewnem miejscu kazał mu złożyć głęboki ukłon, o kilka kroków dalej zalecił, żeby się nisko schylić, jak gdyby się przechodziło pod nawisłem sklepieniem, to znowu wysoko podnosić nogę, jak dla ominięcia przeszkody. Gdy go nareszcie prowadzono, jak sądził, na dawne miejsce, dało się słyszeć tępe uderzenie drewnianego młotka — i zaraz potem hałas, krzyk, szczęk broni. Rozległo się drugie uderzenie — i wszystko ucichło.

Wtedy ktoś po niemiecku pytał drugiego: jak się »przychodzień« sprawował? — a tamten odpowiedział, że z odwagą.

Dał się słyszeć głos majora, mówiącego po polsku:

— Prowadźcie go pod stalowe sklepienie...

Młodzieniec usłyszał szczęk wielu szpad, uderzających jedna o drugą, i szedł pod stalowym szczękiem schylony, wpółokrąg. Na końcu drogi znów oddał pokłon.

Po raz trzeci ozwał się major:

— Prowadźcie go w te okropne strony, do których my sami zbliżamy się ze drżeniem. Każcie mu doświadczyć skutków pałającego ognia. Tak, Bracia moi! Dajcie mu poznać gwałtowność wszystkich żywiołów, a jeśli zadrży, rzućcie go w otchłań obok niego krążącą!

Rafał uczuł, że około jego twarzy płonie sucha żywica, to znowu, że z dwu stron leci nań wiatr z miechów. Za chwilę obalono go na taczki i wieziono po nierównej pochylni. Wreszcie pozostawiony na chwilę w spokoju, zajął miejsce w końcu szeregu osób, które się wciąż naprzód posuwały.

W pewnej chwili usłyszał głos majora:

— Każ mu zgiąć lewe kolano, położyć rękę na Ewangelii, daj mu cyrkiel w rękę. Niech koniec jego do serca swego przyłoży...

W tej chwili, po raz pierwszy Rafał doświadczył niewymownego, panicznego uczucia przestrachu. Słuchał łagodnej przemowy Mistrza, który mu tłumaczył ważność złożonej przysięgi... Zawahał się. Jeszcze chwila, jeszcze jedno mgnienie oka — i zerwie się na równe nogi, zedrze z oczu zasłonę. Precz, zimny pot oblał go całego...

Wtem rozległo się drewniane uderzenie młotka i wolę jego przetrąciło. Uczuł, że w tej samej chwili na ciemieniu głowy jego spoczęły zimne końce kilkudziesięciu szpad. Został tem dotknięciem jakby do ziemi przybity, jakby przykręcony mutrami. Wola zginęła do ostatniego źdźbła, do znaku. Tuż nad nim rozległ się miękki, dobrotliwy głos księcia Gintułta, który czytał słowa przysięgi. Rafał uradował się do

głębi, docna, jak wówczas, kiedy spostrzegł, że ratuje Krzysia Cedrę. Zaczął powtarzać cudze słowa, z owem głębokiem, przeraźliwem, a przecież wciągającem niezrozumieniem, z trwogą dochodzącą znów do szaleństwa, do furyi, do zanikania tchu, jak wówczas w Sandomierzu, kiedy pierwszy raz miał przystąpić do konfesyonału.

— Przysięgam — powtarzał — przed Bogiem Najwyższym, całego świata Budowniczym, na zbawienie moje i na honor mój nieskalany, jako skrytości Mularstwa z jak największą dochowam pilnością. Przysięgam, iż póki życia mego, nie dam żadnej pobudki, ażeby skrytości rozniesione były, nie dopuszczę, żeby do wiadomości publicznej bądź napisane, sztychowane lub innym jakimbądź sposobem podane były. Nadto przysięgam i obiecuję jak najświętobliwiej dochować, a w razie konieczności krwią i życiem wszystkich statutów najpoważniejszej sposobności bronić. W przypadku przestąpienia pozwalam mieć gardło przerznięte, serce i wnętrzności wyszarpane i do morskiej rzucone przepaści, ciało moje na popiół spalone i po wszystkich częściach świata od wiatru rozproszone. Niechaj mi Najwyższy świata Budowniczy udziela swej pomocy! Na potwierdzenie przysięgi całuję słowa Zbawiciela mego...

Ledwie nowy mularz ostatnie słowa wymówił, rzekł Mistrz katedry:

— Bracie poświęcicielu, przybliż czarę do krwi!

Rafał rozpoznał, że to książę stoi obok niego i że on nosi miano poświęciciela. Przystawiono mu pod serce chłodne naczynie mosiężne. Zarazem usły-

szał głos majora, którego już w myśl nazywał Przewielebnym Mistrzem katedry. Mistrz przytknął ostrze cyrkla do lewej piersi nowego ucznia i mówił po niemiecku:

— W imię Najwyższego Budownika świata...

Nacisnął mocno cyrkiel i głośno rzekł:

— *Im Namen der gesetzmässigen, verbesserten und vollkommenen St. Johannis-Loge, genannt »Zum Goldenen Leuchter«...*

Trzeci raz nacisnął cyrkiel i wygłosił:

— Mocą powierzoną mi, za zezwoleniem wszystkich Braci, przyjmuję cię, jako ucznia Mularza. Podnieś się. Prowadźcie go na Zachód.

Uczeń miał znowu obok siebie dwóch ludzi.

— Bracie dozorco! — mówił Mistrz — zapytaj go, czy pragnie dostąpić pierwszego stopnia światła?

— Pragnę... — rzekł Rafał.

Poczęło gaszenie świateł, swąd świec i zadmuchiwanie płomienia żywicy. Zarazem usłyszał, że wszystkie kroki kierują się ku niemu i uczuł ostrza wszystkich szpad na swoich piersiach. Znowu *Meister vom Stuhl* rzekł, uderzając młotkiem:

— Bracie Dozorco, daj mu pierwszy stopień światła.

Wówczas odsunięto nieco z oczu Rafała przepaskę.

Ujrzał płomień spirytusu, palący się na wzniesieniu, gdzie siedział Mistrz. Twarz Majora, oświetlona kiedy niekiedy przez migotliwy płomień, ukazywała się jakoby w chmurze. Rozległo się drugie uderzenie, i znowu wyżej odsunięto opaskę. Gdy po raz trzeci

miał uderzyć młotek, Mistrz mówił groźne słowa głosem tak nie groźnym, że Rafał pełen był wesołości i figlarnych konceptów:

— Drżyj waćpan, gdybyś miał zostać wiarołomcą! Drżyj!

Nie drżał ani trochę.

— Wszystkie zwrócone ku tobie oręże przeszyją zdradzieckie serce twoje, gdybyś kiedy złamał przysięgę!

Zwolna zaczęto łożę oświecać, a w całem zgromadzeniu stała się solenna cisza. Rafał znowu został sam między dwoma dozorcami, ci zaś, którzy przed chwilą kierowali przeciw niemu swe szpady, uszykowali się we dwa szeregi, inni zajęli poprzeczne ławy, jeszcze inni — odosobnione miejsca przy stolikach. Stojący w szeregu trzymali szpady w ręku.

Najprzewielebniejszy zapytał:

— Czego chcesz, mości panie?

— Światła — rzekł Rafał.

— Dozorcy! udzielcie przyjętemu wielkiego światła!

Za trzeciem uderzeniem zdjęto z oczu Rafała zasłonę.

— Bracie mój, — rzekł mistrz swoim dobrym, radosnym głosem — jesteś do nas za ucznia przyjęty. Jeśli na to zasługiwać będziesz, nietylko te wydobyte, ale wszystkie na całej ziemi oręże Braci pośpieszą ku twej obronie.

Brat Rafał ogarnął to miejsce ciekawem spojrzeniem.

Był w sali, obitej suknem niebieskiem. W głębi jej stał tron ze złotemi ozdobami. Przed tronem był

ołtarz, a wyżej stół ze świecznikiem trójramiennym. Po bokach wznosiły się dwie śpiżowe kolumny. Na jednej z nich dostrzegł literę *B*, na drugiej *J*. W pobliżu kolumn stały dwa wielkie lichtarze z płonącemi świecami, w głębi, obok ołtarza — trzeci. Tuż przed sobą miał kobierzec z dziwnymi znakami.

— *Zur Ordnung!* — rzekł Mistrz.

Wszyscy schowali szpady do pochew. Nareszcie zasłoniono nowemu uczniowi ramię i kazano mu iść naprzód, stawiając stopy pod kątem prostym. Gdy postawił siedm takich kroków, rzekł Mistrz:

— Postawcie go na cyrklu mądrości, na węgielnicy szczerości, na gwieździe płomienistej.

Wykonał znowu trzy trudne kroki we wskazanych miejscach. Mistrz zwrócił się do niego z długą i serdeczną przemową, wręczając mu podane przez mistrza obrzędów na aksamitnej poduszce: fartuch haftowany z jedwabiu, białe rękawiczki męskie i białe rękawiczki damskie (znak czci dla kobiety), a wreszcie nauczył go znaku ucznia, to jest przykładania do gardła ręki złożonej w kształt węgielnicy, oraz powitania braterskiego.

Gdy te wszystkie ceremonie zakończyły się pocałunkiem mistrza, Rafał oddany dozorcom, wysłuchał długiego i zagmatwanego wykładu kobierca. Niewiele z tego zrozumiał. W głowie miał szczególny szum i ogień, w skroniach czuł bicie krwi. Nieznane mu twarze Braci przejmowały go teraz uczuciem nieokreślonem. Wiedział, że jest już z nimi złączony na zawsze, a przecież byli dla niego obcy i jakby wrogowie.

Przewielebny uderzył młotkiem i zapytał:

— Bracie Pierwszy Dozorco, która jest godzina?

— Północ.

— Ponieważ jest północ, oświadcz-że w rzędach swoich, że zamyślam tę sprawiedliwą i doskonałą lożę ucznia zamknąć przez trzy uderzenia wielkie i otworzyć lożę stołową.

Trzy uderzenia Mistrza, powtórzone przez dozorców, zamknęły posiedzenie. Zgromadzeni przeszli korytarzem do innej sali, gdzie już były zastawione stoły. Była to długa izba z nagiemi ścianami. Mistrz katedralny zasiadł pośrodku, obok niego z prawej strony książę, a tuż przy tych dygnitarzach posadzono Rafała. Stoły były ustawione w podkowę, i nowy mularz widział ze swego miejsca wszystkich współbraci. Sądził, że teraz skończą się już obrzędy, ale się zawiódł. Mistrz, zwrócony do dozorców, oświadczył uroczyście:

— Loża stołowa ucznia jest otwarta, i każdy brat może pracować wedle projektu pracy, jaki dany będzie.

Gdy uderzył młotkiem, milczące aż dotychczas towarzystwo poczęło rozmawiać. Bracia sami roznosili potrawy. W drugim rzędzie poza nakryciami stały butelki z winem i szklanki okrągłe, dziwnego kształtu, ze rzniętymi symbolami, a dnami grubemi na cal. Po trzeciem daniu Mistrz, uderzywszy młotkiem, mówił:

— Bracia, napełnijcie strzelby prochem tęgim!

Bracia usługujący napełnili szklanki winem białem.

— Czy wszystkie strzelby nabite są prochem tęgim?

— Wszystkie — rzekł brat Dozorca.

— Damy ognia ten pierwszy raz na zdrowie króla

i pana naszego Fryderyka Wilhelma! Ręka prawa do strzelby, strzelba do lica, do ust, ognia!

Wszyscy spełnili puhary. Ujrzawszy, to Mistrz komenderował:

— Strzelba do lewej piersi, do prawej, do środka piersi, dwa razy uczynić trójkąt!

Bracia sprawnie, jak jeden, wykonali tę komendę. Stawiając szklanki, uderzyli niemi jednocześnie wszyscy z głośnym hałasem. Powtóre w ten sam sposób wypito zdrowie Wielkiego mistrza, *Landes Gross-Meistra*, Brata Fryderyka von Castillon, profesora filozofii w król. Akademii Berlina, później zdrowie Wielkiego Wschodu, Mistrza katedry, urzędników loży *Złoty lichtarz* i świeżo przed miesiącem powstałej »na wschodzie« Warszawy loży pod nazwą *Friedrich Wilhelm zur Säule*, wreszcie zawiązującej się loży sióstr masonek. Wypite wino działało na Rafała w sposób nadzwyczajny. Nie był pijany, nie był nawet podochocony. Teraz jego myśli zaczęły żyć. Widział jasno, rozumiał, jak nigdy w życiu, co się z nim dzieje — i był wszystkiemu rad. Męska, potężna siła płynęła teraz w jego żyłach, ramiona dźwigały się do czynu, umysł był ostry, jak topór. Spoglądał w oczy nowych swych braci, w jedne oczy po drugich, w twarze Niemców i Polaków, po raz pierwszy widziane, i w każdem oku widział siłę nieubłaganą, taką samą, jak w sobie.

Wtem Mistrz katedry wstał, mówiąc:

— Ostatni ten raz wystrzelimy za zdrowie wszystkich masonów, od bieguna do bieguna ziemi, więc przed wystrzałem uczyńcie, Bracia, na znak tej tajemniczej ligi, ciągły łańcuch, łącząc ogniwo z ogniwem.

Wówczas rozległa się pieśń Braci, mówiących po polsku:

»Jedność jest kamień węgielny
I przybytek okazały,
Gdzie Budownik Nieśmiertelny
Żąda od nas wiecznej chwały.
W nim to moralni Mularze,
Wzgardziwszy przesądem świata,
Cnocie stawiają ołtarze,
W cnotliwych uznają Brata...«

Wszyscy stanęli w otworze stołu i podali sobie ręce. Mistrz podał ręce dozorcom, ci braciom służącym, urzędnicy między sobą wszyscy aż do Rafała, najnowszego ucznia. Łokieć prawej ręki każdego łączył się z lewym łokciem sąsiada, a dłoń spoczęła na jego ramieniu. Wszystkie oczy skierowały się ku oczom Mistrza, utopiły w nich i tak na długo zastygły. Jakże dziwnemi stały się te oczy Mistrza katedry! Jakże były wzniosłe, potężne, jakże były silne i wszechobejmujące! Ogromny, straszliwy dreszcz, jak cios zatrząsł całem ciałem Rafała, spadł powoli do jego stóp i, zdało się, jak gdyby wsiąkł w ziemię...

LOŻA PROFANKI.

Książę Gintułt przy pomocy »brata« Rafała pisał swe dzieło szczególne. Była to niby historya zakonu Templaryuszów, ale dzieje stanowiły tylko tło rzeczy. Właściwie zaś był to wykład systemu filozoficznego. Rafał z konieczności, wbrew woli, pogrążony został w surowe studya źródeł do tej pracy, począwszy od zamierzchłych kultów religijnych Azyi i Afryki, badania sekt u ich źródeł, a kończąc na materyałach do historyi Jakóba Bernarda Mollay'a, arcybiskupa z Bordeaux, Bertranda de Got, późniejszego Klemensa V-go, Filipa z przydomkiem »le Bel« i żony jego, królowej Joanny. Osobliwie król Filip stał się osobistością, z którą się niemal przestaje. Ciągle również miał przed oczyma dzieło św. Bernarda, nadewszystko jedno z nich, mianowicie *Exhortatio ad Milites Templi.* Często pisał te słowa, które z dziwną rozkoszą to tu, to tam, w różnych miejscach tekstu książę mu dyktował: »Żyli, nie mając żadnej własności, a nawet własnej woli. Prosto odziani, pyłem zakurzeni, opaleni słonecznym promieniem, zdawali się być nieśmiertelnymi za życia, jak

wiara, co ich żywiła. Nic ich odwagi zachwiać nie mogło, żadna przeciwność nie oziębiła. Wielkość niebezpieczeństwa zdobiła im zwycięstwo. Każdy krok ich był krokiem ku potomności«. Te studya niewiele wpłynęły na usposobienie Rafała. Ani jeden krok jego nie zmierzał ku potomności. Znużony i znudzony pisaniem, wymykał się wieczorem w sekrecie do Jarzymka. Grał i hulał. Książę, żyjący odludnie, nie wiedział o tym trybie życia swego »brata« sekretarza, a jeszcze mniej mógł wiedzieć gruby a ciężki *Meister vom Stuhl*. Zresztą Rafał ukrywał się doskonale. Miał własny klucz od mieszkania i nikt, z wyjątkiem starego sługi, nie wiedział o jego nocnych wycieczkach. Do loży uczęszczał jak najpilniej i nigdy nie zasłużył na karę za spóźnienie. Sumiennie płacił składki (z pieniędzy wygranych w karty) i zwolna zyskiwał sobie opinję dobrego brata u ludzi najlepszego towarzystwa. Wprowadzony do loży przez księcia poniekąd z konieczności, dla zupełnego utajenia prac i schadzek z Mistrzem katedry, stał się nietylko członkiem najlepszego towarzystwa, lecz i poprawnym mularzem.

Nikt nie zwracał teraz uwagi na jego sekretarstwo. Wszyscy wiedzieli, że jest to rola przygodna, jak urząd w loży.

Na uroczystość świętojańską loże warszawskie niemiecko-polskie: *Zum goldenen Leuchter* i *Friedrich Wilhelm zur Säule*, pragnęły wystąpić okazale, by mieć o czem donosić Wielkiemu Wschodowi »na wschodzie« Berlina. Postanowiono tedy powołać do życia rozsypane loże sióstr masonek i złączyć je w jedną. Kilkanaście sióstr z lóż dawnych Wschodu polskiego miesz-

kało w Warszawie. Byłykandydatki, nowe pragnące z nudów i dla mody wstąpić do loży, byleby się jaka otwarła, więc Polacy, pracujący pospołu z Niemcami, zakrzątnęli się żywo. W początkach czerwca powstał zawiązek loży niewieściej i wnet był »afiliowany« do loży męskiej na wschodzie Warszawy pod nazwą *Zum goldenen Leuchter*. Odbyło się wkrótce pierwsze wspólne posiedzenie, wzbudzając nadzwyczajne zainteresowanie w świecie masońskim. Szeptano ciągle, że Mistrz katedry pragnie wprowadzić do loży swą młodą małżonkę, przed rokiem poślubioną, z ciekawością wyliczano imiona sióstr, które miały przybyć. Rafał z zapałem wybrał się na tę niezwykłą uroczystość. Loża tego wieczora była przybrana nieco inaczej, niż zwykle, choć temiż barwy. Mistrz zasiadł na wzniesieniu. Brat Straszny stanął za nim z mieczem i łańcuchem w ręku. Wśród ogólnego naprężenia Mistrz katedry zabrał głos i polecił mistrzowi ceremonii, oraz wielkiemu przewodnikowi udać się do sali sąsiedniej i prosić zgromadzone tam siostry dawnych lóż polskich, aby weszły do świątyni. Nim się ukazały, na dany znak Bracia zanucili śpiew:

»Witajcie, siostry swobody,
W tajcie w świątyni chwały,
Którą ręce świętej zgody
Dla dobra świata zdziałały!
Wznoście z bratniemi ofiary
Podstawy cnoty ołtarzy
I złóżcie na nich te dary
Co zdobią wolnych mularzy!«

Po odbyciu ceremonii wkroczyło do sali kilka-

naście przekwitających, albo już zupełnie przekwitłych piękności z ostatnich lat Stanisławowskich. Siostry złożyły naprzód gałązki oliwne u stóp ołtarza a później zajęły miejsca w kolumnach. Wielki Mistrz otworzył lożę i wygłosił w języku francuskim powitanie i naukę. Gdy wyrzekł ostatnie słowo i pięćkroć uderzył młotkiem, który dnia tego był przewiązany wstęgą błękitną, zcicha, jakby onieśmielony, zapytał, czy nikt nie ma żadnego przedłożenia. Mistrz ceremonii odpowiedział, że jest profanka, która pragnie być przyjętą do towarzystwa masonek. Na pytanie: czy nikt się nie sprzeciwia tej prośbie, gdy zgromadzeni, powstawszy, wyciągnęli prawe ręce ku obrazowi, Przewielebny wysłał jednego z braci, aby kandydatkę przygotował. Rafał doznawał silnego uczucia niesmaku i zawodu.

Damy, które miał przed oczyma, nie budziły w nim entuzyazmu, a i kandydatka, jak należało przypuszczać, powiększyć miała liczbę tych malowanych i fryzowanych zwalisk, przyłożyć nowy grymas zalotności do sumy wystudyowanych, ale dawno bezskutecznych uśmieszków. To też z jawną niechęcią myślał o długich ceregielach, czekających go tej nocy w loży, dusznej, jak łaźnia rzymska. Brat Stuart znikł był za drzwiami sali rozmyślań, dobrze Rafałowi pamiętnej, i długo nie wracał. Tymczasem Mistrz zadawał siostrze mistrzyni masonek pytania z rytuału, na które ona wprawnie i z wypróchniałym wdziękiem odpowiadała:

— *Que faut-il pour rendre une loge juste et parfaite?*

— *Trois la composent, cinq la rendent juste, sept la rendent parfaite.*

— *Qui sont-ils?*

— *Le Vénérable, deux Surveillants, deux Compagnons et deux Apprentis.*

— *Dans quelle loges avez-vous été vécu?*

— *Dans la loge Saint-Jean.*

— *Pourquoi nos loges sont-elles dédiées à Saint-Jean?*

— *Parce que les Frères Maçons qui s'étoient unis pour la conquête de la Terre Sainte avoient choisi Saint-Jean pour patron...*

Wtem rozległo się twarde uderzenie we drzwi, i po zwykłych pytaniach, oraz odpowiedziach, stanęła na progu profanka. Oczy jej były zawiązane bardzo szeroką przepaską, która prawie całą twarz od czoła aż do ust zasłaniała. Złota frendzla przepaski spadła na ramiona śnieżnej białości, na piersi obnażone. Z pod zasłony widać było tylko przepych bujnych, pozłocistych włosów, w grecki pukiel *krobylos* związanych, i uchylone usta. Niepewne światło sześciu lamp spirytusowych rzucało na tę postać przerywany blask. Rafał spostrzegł uchylenie ust, trwożliwe uchylenie, jak u trzyletniego dziecka, spostrzegł je i zamarł w oczekiwaniu, tęsknem aż do boleści. Ani jedna myśl nie była w stanie wydźwignąć się z jego mózgu. Serce biło coraz wolniej, i tylko same wargi bezdźwięcznie łkały:

— O, włosy, włosy złote... O, usta, o moje usta...

Bracia i siostry na widok profanki trzykroć przyklasnęli, uderzając ręką po prawem biodrze. Dwaj bracia Stuarci oprowadzili przybywającą dwakroć dokoła loży, trzymając ją pod ręce, poczem umieszczona na-

przeciwko Przewielebnego Mistrza katedry, z pochyloną głową czekała.

On rzekł:

— Kobieto, kim jesteś?

— Nazywam się Helena de With.

Usłyszawszy ten głos, Rafał o mało nie krzyknął. Zdławił głos w piersiach, i tylko palce jego prawej ręki wpiły się jak szpony, w dłoń lewą. Rozpacz i szczęście płynęły przezeń, jak wiatr przez gałęzie drzewa.

Przewielebny mówił coś do profanki i plątał się w tej przemowie, jak żaczek wydający lekcyę. Nareszcie po nieskończenie długich pytaniach i odpowiedziach, po ceremoniach, które, zdawało się trwały dziesięć lat, Rafał ze drżeniem usłyszał te jego słowa:

— Damy ci pierwszy promyk światła, który ma kierować twoimi krokami. Niech dadzą pani de With pierwszy promyk światła.

Mgła łez zasłoniła oczy Rafała. Widział, że ktoś zbliża się do pani de With i odwiązuje przepaskę. Machinalnie podniósł swą szpadę, jak wszyscy, żeby nad kandydatką utworzyć stalowe sklepienie. Błyski kling zasłoniły mu twarz, odkrywającą się z pod przepaski, ale ją ujrzał za chwilę. Bez oddechu, jakby bez wzruszenia, zimnym, obłąkanym wzrokiem zobaczył tę twarz, oczy królewskie, łuki, brwi i policzki cudniejsze od woni kwiatów wiosennych. Usłyszał znowu głos jej, gdy przysięgła wobec Stwórcy wszechrzeczy i na wszystko, co może być święte dla kobiety uczciwej, że dochowa tajemnic pod karą miecza Anioła Niszczyciela. Rafał trząsł się i dygotał z zimna, słysząc te

wyrazy. Włosy jeżyły mu się na głowie, a wiatr śmiertelny owionął czoło. Kły i pazury wilcze werznęły się w jego gardło, młotem biły go w dekę piersiową, włamały się pod żebra, a zielony blask ślepiów owionął go, wychodząc ze strasznej nocy. Przecudny głos brzmiał, jakby pieśń z pod nieba:

— Oby ogień, panujący w wyższych powietrznych sferach, ogarnął moją duszę, a oczyszczając ją, oświecił na drodze cnoty...

Brat Straszny potrząsnął łańcuchem, założył go na szyję nowej uczennicy. Rafał nie widział, co się działo, nie rozumiał czemu wstępującej siostrze przypięto biały fartuch i dano nowe rękawiczki. Nie rozumiał ani jednego słowa z przemowy Mistrza; patrząc, nie widział, jak Mistrz z uśmiechem szczęścia oddał nowej siostrze, a żonie swej, pocałunek pokoju, mówiąc:

— Pozwól, abym ci dał pocałunek pokoju, a ty go oddasz braciom i siostrom, równie jak słowo, znak i dotknięcie.

Rafał był wtedy w sobie samym. Na nieznanym, tamtym świecie. Krwawemi oczyma patrzał się w duszę swoją, leżąc na dymiącym śniegu wśród pól. Widział śmierć, która idzie. Nowo przyjęta siostra posuwała się zwolna, jak piękny duch, jak wzniosły a rozkoszny dźwięk, wydobyty z najczarowniejszych strun wiolonczeli, oddając braciom i siostrom pocałunek pokoju. Wyciągniętą ręką dotykała palców każdego i zcicha, z uszanowaniem i pokorą wymawiała tajemnicze »słowo« — *Feix*, co znaczy: »Szkoła«. Oczy jej były spuszczone, a cudne, prawie odsłonione piersi oddychały głęboko. Kiedy zbliżała się, obszedłszy środek,

do kolumny, w której na samym końcu stał Rafał, powiodła okiem z wyrazem lekkiej, mglistej niechęci. Szła przecież dalej, wykonywując rozkaz Mistrza. Tak przyszła przed Rafała. Wyciągnęła rękę i dotknęła stawów jego ręki, podniosła oczy z szacunkiem i cichą trwogą, pewnie dla zbadania, czemu ta dłoń tak drży, podniosła oczy, jak na twarz każdego z braci... Ale ujrzawszy tego ostatniego w szeregu, oniemiała. Oczy jej nagle zastygły, twarz odchyliła się jeszcze bardziej w górę. Kolana pod nią zgięły się. Zdawało się, że padnie w tył. Wolno udźwignęła lecącą głowę. Wtedy uśmiech...

— *Feix* — wyszeptała, drżąc jeszcze, ale w uśmiech cała pogrążona, jak w blask miesiąca.

Usta jej zbliżyły się do warg Rafała i dotknęły ich cichem, straszliwem muśnięciem rozkoszy. W tej samej chwili szept, szept szczęścia, przemieniony w strach piorunowy, spłynął z nich w usta kochanka:

— O, Boże...

POKUSZENIE.

Helena de With błąkała się po swym buduarze. Gruby dywan tłumił szelest jej kroków, adamaszkowe ściany zasłaniały od zewnętrznego szmeru. Było dokoła niej cicho, cicho i ciemno. Parna noc czerwcowa zeszła na ogród i dom, objęła wszystko wrzącym uściskiem. Liście drzew, zasłaniające okna, wisiały nieruchomie i ciężko, jak płyty, młotem wykute z żelaza... Helena zbliżała się do okien, wychodziła na balkon, wiszący ponad trawnikiem, znowu cofała się w głąb pokoju, miotając się bez wiedzy, bez woli...

Paliła ją suknia na ramionach i biodrach, cisnęły ją ciżmy ze śliskiego atłasu, dolegało jej związanie nieobjętych, nieogarnionych, ciężkich włosów. Tysiąc już razy pomyślała, żeby zrzucić suknie i rozpuścić włosy, ale za każdym razem ręce jej opadały bezwładnie i splatały się z boleścią. Spoglądała w czarną noc, stojącą między pniami drzew, w noc słabo poczerwieniałą u brzegu od niezastygłej jeszcze żarnicy wieczornej, czy nadchodzącego już wschodu, w noc upalną, jak żelazo, gdy stygnie, i usta jej szeptały

ciche, sekretne, zakazane, w tęsknocie poczęte wyrazy. Wlepiała wzrok w aleje niewidoczne, których głębokie jaskinie przejmują zmysłowym lękiem, rozkosznym strachem, i słuchała, jak przed nią i za nią nieruchomą i wieczną jest cisza nocy. Wyciągała ku ogrodowi stęsknione ręce i stęsknione usta, przycisnęła do pustki czoło, pragnące wsparcia, kładła je na ramieniu nocy, a rozchylonemi nozdrzami chwytała cierpką woń narcyzów, głuchą, niemą, bezdenną woń tęsknoty. Jakże dziwną była dla niej ta duszna noc, jakże była osobną, odmienną i jedyną w życiu! Porywała ku sobie, ku głębiom pełnym rozkoszy niewysłowionej, których przecież nie da zaznać nigdy... Długie pogody, suche wiatry i morze upału składały się na nią, tworzyły ją od tygodni. Stała teraz nad ziemią straszna i urocza, mocna a nieprzemożona, wołając z głębokich ciemności. Radość wznosiła się na kłębach zapachów z mroku jej, radość wszystko ogarniająca, wspaniała, olbrzymimi ruchy wyzwalająca ciało i duszę. Ale nie sama ta radość dawała szczęście. Och, nie! Była tylko, jak gdyby nadzieją szczęścia, które jest w pobliżu, krąży dokoła domu, czai się w słupach dymiących aromatów, czeka i lękliwy krok stawia bez szelestu. Serce biło w Helenie de With twardymi ciosami, a uderzenia jego rozlegały się w uszach, jak kroki szczęścia nadchodzącego. W jednem miejscu, między obłokami liści widać było czyste granatowe niebo i miliardy na niem gwiazd. Gwiazdy były jaskrawe, bliskie ziemi, brylantowe. Zdawało się oku, że widzi ich bryły i ostre kanty. Helena wzniosła oczy ku wiekuistej nieskończoności nieba i stała tak długo, kołysząc się łagodnym, melodyjnym

ruchem. Słyszała w sobie jakoby melodyę gwiazd, śpiew ich, wdzierający się do serca niewidzialnemi drogami, jak wdziera się do duszy zapach kwitnącego ogrodu. Mówiły gwiazdy:

— Czemże ty jesteś, który chciałeś nazwać mię żoną? Ktoś ty jest i skąd wziąłeś prawo nad moją pięknością? Cóż mi ty w darze przyniesiesz? Czy masz oczy, którebym kochała aż do śmierci za dziewiczość moją? Czy masz włosy, które się śnią uśpionej w nocy i w zamyśleniu chodzącej we dnie?

Potworny jesteś i obmierzły w twojej mądrości i dobroci, z uśmiechem cnoty na ustach i od szukania po ziemi prawdy ze zmarszczkami na czole. Głowa twoja jest zimna i ciężka, słowa twoje żelazne, mądre i obojętne. Nie pachnie ani jeden wyraz, nie obudzi żalu ani tęsknoty... Gardzę wszystkiemi słowy twojemi wysnutemi ze starych ksiąg, wspaniałym, wszystko wiedzącym uśmiechem i gorzkiemi a szczeremi łzami nad nędzą i małością zachodów człowieczego rodu! Gardzę twoim niezwyciężonym rozumem i wspaniałem sercem!

Jeśliś jest wyższy nade mnie, to tobą za to właśnie gardzę!

Jeśliś jest lepszy ode mnie, to tobą gardzę po stokroć!

Nie chcę, żebyś miał prawo do jednego palca mej ręki, do jednego włosa mej głowy. Wszystkam jest jego w marzeniach całej młodości, wszystka jestem od stóp do głowy, od włosa na głowie do małego palca u nogi, wszystkam jest jego! Słowa jego szeleszczą za mną, wzdychają we mnie i pogrążają się w moje oczy. Czy

patrzę na falę morza, na widoki ziemi, na obłoki nieba — widzę jego spojrzenie. Usta jego czerwienią się od krwi, jak róże w moim ogrodzie, czarne brwi zsuwają się potężnie od władzy strasznej i słodkiej nade mną, nad moją duszą i ciałem, od władzy, którą tak kocham. Za jego szczęście na ziemi dałabym sobie bez żalu uciąć tę rękę, za jego taką samą miłość dałabym sobie wyrwać piersi, a za to, żeby w głuche noce być jego, dałabym sobie wyłupać oczy...

Łkała, nie roniąc łzy z oczu. Szarpała cudnymi palcami żelazne ozdoby balkonu, jakoby powrozy niedoli, które ją opasywały, i wiła się na miejscu, jak nadeptana żmija.

Ale oto ramiona jej zadrżały od niewiadomych dotknięć zapachu klombów. Wzburzona nienawiść ucichła w sercu. Coś jak wietrzyk lekkie i wonne owionęło jej czoło, głowę, poruszyło włosy i spłynęło na obnażoną szyję. Uczuła w sercu swem z niewymowną pokorą powiew szczęścia. Złożyła ręce na piersiach, schyliła głowę... Przez serce jej płynęły wtedy marzenia:

— Widzę usta jego przy moich piersiach, a czoło przy nagiem ramieniu. Włosy jego głowy są na ręce mej obnażonej, a białe czoło naprzeciwko ust. Czerwone są jego wargi, jak róże z mego ogrodu, a ruchome są i żarliwe, jak krew, kiedy wytryśnie ze świeżej rany i uchodzi. Białe zęby błyskają między uśmiechniętemi wargami, jak krótka wiosenna błyskawica. Któż to mię całuje w tej ciszy i ciemności? Czy to ty mię całujesz, błyskawico? Czy to wy, róże? Czy to ty mię całujesz, młody mój cieniu? Echo moje w górach, błękitne widmo na drogach morza, obłoku mój na niebie? Duszo mej duszy?...

TAM...

W pierwszych dniach lipca pani de With wyjechała z Warszawy na kuracyę do Bardyjowa. Do granicy austryackiej nad Pilicą jechała swymi rozstawnymi końmi, a dalej odbyła podróż dyliżansem pocztowym. Niezwykle krótko zatrzymała się w Krakowie. Co dziwniejsza, powzięła nagłe postanowienie odwiedzenia swych stron macierzystych, Dersławic, dóbr swoich w Sandomierszczyźnie. Ochmistrzyni i pannom służącym kazała czekać na siebie w Krakowie, a sama wczesnym rankiem wyjechała, gdy służące jeszcze spały. Uczyniła to tak niespodziewanie, bez poprzedniego rozważenia sprawy, jak to miała we zwyczaju, że stara Balbisia, ochmistrzyni, która ją wyniańczyła i wychowała, z podziwu wyjść nie mogła. Tymczasem pani de With jechała co prędzej, ale nie w stronę Sandomierza. Suto płaciła pocztylionom od stacyi do stacyi, zmieniała konie i pędziła w tumanach kurzu po urwistych górskich drogach. Gdy w ostatniem miasteczku, którego już w nocy dosięgła, wysiadła przed nędzną żydowską oberżą, była okryta pyłem od stóp do głowy.

Rozognione jej oczy szukały czegoś — i znalazły. Rafał Olbromski stanął przy drzwiczkach powozu i uściskiem mocnym, jak wieczny ślub, objął jej rękę. Zaśmiała się krótko, gardłowym śmiechem i równie mocno rękę jego przygarnęła do serca.

— Pojedziemy dalej... — szepnęła.

— Nie! Tu zostańmy — błagał, pochylony ku niej.

— Pojedziemy dalej! — rzekła stanowczo, zamknąwszy oczy przed jego oszalałem spojrzeniem. — Czy są konie?

— Są... ale tu zostańmy...

— Jedziemy!

Rafał odszedł, żeby wydać rozkaz. Helena wyskoczyła, weszła do oberży i usiadła w kącie pustej izby. Świeciła się tam już na szynkwasie łojowa świeczka. Po chwili on przyszedł i stanął w taki sposób, żeby ją od światła i żydowskich oczu zasłonić. Ale korzystał z tej samej chwili: patrzał na nią. W półciemności widzieli wzajem tylko swe oczy i tonęli w nich, zapamiętawszy się na śmierć. Była to rozkosz zaiste śmiertelna, wyzwolona, naga, szczęście jednej chwili, trwające przez wieczność. Teraz dopiero czuli oboje, jak straszliwie i nad życie się kochali. Gdyby jedną chwilę trzeba było oddać, cofnąć, odjąć sobie za cenę życia, zrzekliby się życia z drwiącym śmiechem. Słowa, jak ciężary bez wartości, zważyły i upadły na dno dusz. Tylko anielskie uśmiechy wzajemnego pozdrowienia, jak o świcie mgła sucha w ziemi ukwieconej, wstały i rozszerzyły się w oczach i ustach.

Dał się słyszeć na brukowanem podcieniu radosny tętent kopyt końskich i hulaszczy a do gromu po-

dobny turkot kół. Rafał uczynił znak głową, że już czas. Ale jego towarzyszka nie podnosiła się z miejsca. Odsunął się od światła i zajrzał w oczy. Siedziała nieruchoma z oczyma idącemi za nim, z uśmiechem zaczarowanym. Rondo kapelusza, związanego pod brodą, oskrzydlało jej twarz. Tylko niektóre pasma włosów wymykały się wzdłuż policzków. Szary płaszcz podróżny z pospolitego płótna okrywał ją całą od stóp do szyi. Ręce leżały bezwładnie, splecione na kolanach. Była tak przecudowna, tak nieznana, tak obca, a zarazem tak do jego istoty należąca, wydarta z głębi piersi, że jak skamieniały nie mógł się poruszyć. Toż jest Helena z Dersławic?

Stał w obłoku powietrza, uszczęśliwionym przez jej obecność, i powtarzał stokroć ów pewnik, że ona jest napewno tu, gdzie na nią czekał tyle godzin w spazmach tęsknoty i paroksyzmach zwątpienia. Nierychło, nierychło przesunęła się w duszy jego smuga łaskawego światła, ciepła i wonna myśl, że to jest pierwsza chwila, pierwsza godzina i pierwszy dzień, że nastanie szereg godzin błogosławionych, dni szczęśliwych szereg nieskończony.

Ta sama myśl odbiła się w jej oczach, w ustach i na czole. Ujrzał ją wszystką rozkwitłą, jak jerychońska róża. Serce nie biło w jego piersiach, lecz drżało, ręce same się splotły i błogosławieństwo wypełzło na wargi. Tak samo splotły się jej ręce i oczy zasłoniły powiekami. Stał, patrząc w swe ziszczone szczęście, i modlił się bez słów, bez poruszenia zastygłą wargą.

Za chwilę rzuciwszy karczmarzowi sztukę złota, wsiedli do kutej krakowskiej bryki. Tęgim kłusem ru-

szyły z miejsca spasione, rosłe konie. Na gościńcu za miastem poszły jeszcze lepiej z kopyta. Zakochani siedzieli przytuleni do siebie, czując, jak w ich żyłach przepływają te same strumienie ognia. Kiedy niekiedy tylko oddawali sobie wzajem kilka słów, słów-pieszczot, słów-uniesień. Konie parskały na równym, wyschłym gościńcu. Obłok kurzawy wstawał z pod ich kopyt, otaczał wasąg i podróżnych. Noc była księżycowa, widna. Nie postała na niebie ani jedna chmurka. Wiatr rzeźwy ciągnął od gór, gdzie niegdzie wywabiał z dolin wilgotne opary, mgiełki w tych miejscach zrodzone i nie chcące odejść. Dźwigał je po zboczach i garbach wyniosłych regli. Gościniec biegł dolinami gór, które wierzchołki swoje wznosiły coraz wyżej i wyżej. Szerokie lasy, czarne puszcze przelewały się z góry na górę, wznosiły i zniżały. I droga — to leciała w dół, ku rzece błyszczącej na kamieniach, to znowu wspinała się na przełęcze, wdzierała na strome zbocza. Tu i owdzie wyzierał ze szczytu góry kadłub skalisty i szarzał w świetle miesięcznem. Czasami droga szła przez modrzewiowe aleje, przez jaworowe ulice i świerkowe podgaja. Często bryka leciała z łoskotem wzdłuż uśpionych wsi podkarpackich, między stadami psów, skaczących na wysokość drabinek wozu. Wsie spały, były puste i jakby wymarłe. Ani jedno światełko nie zapowiadało w nich życia. Psy, ze wściekłością odpędzające wędrowców od tych schronisk, rosły w oczach i zdawały się być potwornego kształtu i ogromu. W jednem miejscu konie krótko wytchnęły przed zatarasowaną we wsi karczmą. Obok karczmy stała chata pod cieniem wielkich modrzewi. Światło księżyca przeni-

kało ruchome, miękkie, delikatne, żółtawe w tym blasku gałęzie, których szczyty chwiały się zwolna, stykając się i rozchodząc pomiędzy sobą. Jedna ściana domostwa i połamane linie góralskiego dachu z szerokim okapem oblane były światłem księżyca, a cały dom w mroku ginął. Na tej ścianie ubogiej światło uczyniło sobie królewski przybytek. Śniło na niej przedwieczny swój sen. Widzieli każdą, od lat zczerniałą belkę, każdy w niej cios siekiery, każdą okrągłą wypaść sęka, rysunek rdzenia i warstw drzewa. Płazy te miały teraz nie swoje barwy. Któż wie — może śniły tej cudnej nocy sen o życiu na pochyłości urwiska góry, w szumie gałęzi, w poświstach zielonych igieł, gdy huczą trąby górskiego wiatru...

— To nasza droga, nasza biała, szczęśliwa droga... — szepnęła Helena. — Tam pojedziemy. Tam jest droga, prowadząca do szczęścia...

— Patrz, a ta biała ściana domu... — mówił Rafał cicho, jakby zwierzał tajemnicę i nie chciał przerwać zaczarowanego snu ściany.

— Nie, nie! Tam...

— Przecudna, biała ściana...

Głos obojga był inny, odmienny, zgoła niepodobny. Słuchali się wzajemnie z radosnem zdumieniem, a każde słowo, każdy dźwięk spadał w tajemniczą skarbonę, jak dyament bez ceny. Woźnica skoczył na kozieł, i ruszyli dalej. Gościniec biegł teraz chyżo w dół, ku rzece lśniącej, z szumem i zawodzeniem rwącej po kamieniach. Łożysko jej, wysłane szeroko rozmieconymi głazami, widać było z oddalenia. Nad brzegiem stały wierzby o wąskich a długich liściach, które teraz

w świetle księżyca jaśniały od rosy szarobiałej. Liście te chwiały się i wyginały ku światłu, łudząc, że to one szemrzą tak głośno.

Wysoko wzbił się księżyc. Było po północy. Szczyty leśnych gór odrzynały się w zrzedłym błękicie nieba kudłatą i potarganą, ale kędzierzawą i wełnistą linią. Zimno było coraz bardziej, jak na nizinach w późnej jesieni. Na prawo i na lewo leżały przy białej drodze cienie tak głębokie i czarne, że zdały się być otchłaniami bez dna. Szły przed oczyma w głębokość gruntu, jakby wskróś ziemi jaskinie dolin. Tam to rzucała się droga w rozwartą paszczę. Oczy wierzyć nie chciały, że ta jasna, srebrnolita wstęga tam pójdzie, że tam właśnie ośmieli się powieść za sobą. Serca wołały na nią, gdy nagle zwracała w bór czarny i zimny, w gęsty jego mrok, w knieję, ziejącą mroźnym oddechem. Olbrzymie świerki wychylały niespodziewanie kolosalne swe szczyty, jak gotyckie wieże, otoczone bogactwem kwiatonów. Słychać było, gdy konie szły pod górę noga za nogą, szept drzew, ni to mowę wysiłu tych miejsc niezdobytych przez człowieka, ni to przestrach pustyni ze snu ocknionej. W cieniu śniące gałęzie, cicho zwieszone ku ziemi, wzdrygały się niespodzianie i pochylały z cichym a złowieszczym sykiem. Łoskot kół bryki huczał, a porywczy tętent kopyt rozlegał się na sennej drodze. Leciał stamtąd w martwy las na podobieństwo tysiąca toporów, rozrąbujących kamienną ciszę.

Strach — nie strach owiewał dusze. Patrzali w ten kraj, jakoby w obraz miłości swej, w tajemnicę swego życia. Skądże przyszła ku nim ta ziemia przedziwna?

kto ją dla nich uczynił? Oczy nurzały się w nią, nurzały bez końca i, zapamiętawszy się w cudnym blasku miesięcznym, nie mogły objąć piękności. W sercach powstawał niesłychany żal, przeobrażał się w krzyk przerażenia czy radości, w hymn święty, na który w mowie ludzkiej niema słów. Dusze, jak niemowy, chciały z siebie wydrzeć choćby jeden dźwięk, jedną nazwę, jedno imię, a tylko głębokie westchnienie, do stworzenia sylaby niezdolne, zawierające w sobie całkowite czucie — wyrywało się ku gwiazdom, rozsypanym w niebiosach.

Wtem droga zawisła nad urwiskiem i skręciła się w miejscu. Las uciekł z przed oczu i jakoby ciemne skrzydło chyżo poleciał w bok, na dół. Helena krzyknęła. W dali, w przestworzu, w odległej dolinie między dwiema górami, których czarne puszcze zlewały się ze sobą, ukazał się inny świat. Zdało się, że się odchyla kraina księżyca...

Zdaleka, z nieskończoności, z za czarnych lasów płynął poziomo złoty dym obłoku i rozwiewał się w błękitną nicość. Nad nim, z pomiędzy miękkich zwojów podnosiły w niebo kamienne głowy bezleśne turnie, rozszarpane, jakby były skamieniałym na wieki wiatrem. Zimne ich oblicza uśmiechały się w złotawem niebie. Helena przycisnęła ramię swe do ramienia kochanka i nachyliła ku niemu usta. Usłyszał jej szept:

— Widzisz! Tam jest nasze szczęście. Widzisz? To jest szczęście...

Cichy śmiech, cichy śmiech zadrżał jej w krtani. Po chwili znowu szeptała:

— Czekałam na ciebie tak długo, przez całą mło-

dość, o szczęście, o złote moje, o niebotyczne, o najwyższe, uśmiechnięte... Tu, na twoich piersiach był wilk, tu, gdzie tak bije serce! Aleś go zabił. O, panie mój! Straszna morda wilcza i białe kły były tu, obok gardła. Krzywe pazury wbijały się między żebra, a ślepie patrzały w twe oczy! Jakżeś jest mężny, silny i straszny! Jakżeś jest niezwyciężony! Mocniejszy jesteś, niż zima, niż lód, niż wicher! Mocniejszy jesteś, niż wilk. Ty się nie boisz nikogo na ziemi! Masz przy sobie sztylet, nabitą kulami broń, ale nadewszystko ty jeden masz serce z żelaza. Drwisz sobie i śmiejesz się wesoło z ludzi, z przysiąg i ślubów. Nie boisz się nikogo, nikogo, nikogo na ziemi. Ani ludzi, ani zwierząt! Któż może wyjść naprzeciwko nas? Powiedz... Nikt! My jesteśmy sami jedni na świecie! Jesteś straszny! Jesteś piękny! Drżę na samą myśl... Jestem twoją służebnicą... O, miły... Tam...

GÓRY, DOLINY.

Chata ich stała samotnie u skraju puszczy. Czarny jej dach ginął w cieniu odwiecznych jaworów. Z wielkich pniów świerka wyciosane były ściany chaty, jakoby zamek. Śpiczasty a rozłamany pośrodku dach jej wysuwał się poza ściany i tworzył chodnik pod okapem, od dżdżu chroniący. Ściany domowe dawno zczerniały: były ciemno-bronzowe, jak odświętna cucha górala. Mocne drzwi, nabite kołkami, prowadziły do tej świetlicy, gdzie się przed ludźmi schowało ich szczęście. Kochane były te drzwi!

Jakże im miły był śliski zgrzyt zasuwy, gdy o świcie stary gazda przynosił pod ich próg mleko jeszcze dymiące, placki z owsa, ser owczy, miód i poziomki! Jakże im miłe były te drzwi grube, składane niezwykle, okrągłe u góry, spojone drzewną swą mocą, nabite jesionowymi kołkami, a uroczyste, jako organy, gdyż w późną, dżdżystą noc znużeni i głodni, przemokli i senni, przychodzili do nich zdaleka i kołatali w nie hałaśliwie, mówiąc: Otwórzcie się, drzwi kochane, prowadźcie nas do domu szczęścia, do świetlicy miłości... Odemknij się, wrzeciądzu bukowy, litościwy

bracie, coś nas już puścił za wysoki próg ciemnego domu szczęścia, za próg wysoki, świetlicy miłości...

Przed chatą ciągnął się w dół smug łąki aż do potoku, który się pienił między kamiennymi złomami. Otaczał cały ten smug wał z drobnych kamieni, niby wąż różnobarwny, w rudą i sinawą rdzę obleczony. Gdy słońce ranne, jak przez witraż, wdzierało się przez tęczowe i małe szybeczki chaty i gdy przesuwało po ciemnych, sękatych ścianach malowidła z za świata, wstawali, żeby zanurzać oczy i dusze w łące-kochance. Łąka zmieniała się, jak ich dusze. Co dnia była ta sama, a co dnia inna, wciąż piękniejąca. Było w niej coś z wiatru, z płynących w niebie obłoków, coś ze spienionej wody. Leżała na zboczu pochyłem ku południowi. Szeptający z pomiędzy korzeni, z podmokłego mechowiska, ukryty między ziołami ponik leśny tu i owdzie rozkisał w młakę. W tych miejscach rozpleniały się trawy nasiąkłe wodą, o barwie najżywiej, najjaśniej zielonej, która wznieca w żyłach i kościach radosną siłę. Zagajnikiem rosły tam skrzypy i miękkie błotne paprotki zielonowłose, końskie ziele z białymi puszkami i nikłe sity. Na suchych wzgórkach, do których woda przystępu nie miała, szerokimi bryzgami miotała się koniczyna i bujne fale mietlicy zawsze rozkołysane. W dole, gdzie w kamiennem łożysku pieniła się zdyszana, niemilknąca chuć potoku, młodego syna źródlisk podziemnych, co przeżarł granitową skalinę Tatr, aż się wyrywał w ciepłe niziny, kępami rosły niezapominajki. Łagodny zapach wznosił się z łąki-kochanki, mlekiem i miodem płynącej, w ciche, błękitnawe nadednia.

Jasna woń miodu płynęła z lepkiej koniczyny i szorstka woń z czombrów. Patrzały z jej głębi w okna chaty oczy łąkowych złocieni i ruchliwe liliowe dzwonki z łonami rozdartemi przed chwilą za sprawą słonecznych promieni, patrzały wysokie kwiaty ostów o barwie gasnącej zorzy i przyziemne, żółte, zanikłe polne bratki. Pozdrawiały wstającą ze snu Helenę słodyczą swoją i mówiły do niej, że dla nikogo, dla samych siebie kwitły przez wieczność, że nieskończone szeregi wiosen, których myśl ludzka nie obejmie, minęły już, nim przyszła w to miejsce ze swym kochankiem. Pozdrawiały ją od wieczności, która dawno przeminęła, i kiwały ku niej fioletowemi, żółtemi i rumianemi głowami. Pojmowała ich sekretną mowę, wielbiła ją westchnieniem krótkiem i trwożnem, tajemnicę bytu wiecznego, jakby niemowlątko, poczęte w drżącem łonie.

Cóż im miała odpowiedzieć, żeby przeraźliwego krzyku o wieczności nie rzucały jej w serce? Jakże je miała zakląć? Co na swoje usprawiedliwienie powiedzieć? Nie mogła nic... Mówiła im, że jest grzesznicą, przytakiwała swemu potępieniu... Kiwała jasną głową ku kwiatom, spowiadała się ziemi rodzącej, wodzie, która pokazuje uciekanie wszystkiego, dalekim poświstom wiatru. Nie mogła nie przyjść w to miejsce ze swym kochankiem. To tylko, co miała do powiedzenia.

Częstokroć z sennych objęć wstawała po północy, gdy księżyc-wietek, z rogami zwróconymi w stronę zachodnią, niechętne, rude swe światło wtrąca do ziemskiej ciemnicy, zbliżała się do okna, by widzieć, co

czyni łąka. Ale kwiaty unikały wówczas jej oczu. Kryła je tajemnicza zasłona z rosy i z nikłego światła utkana, tuwalnia cieńsza od najniklejszej pajęczyny. Z nieprzełamaną wówczas chęcią zbliżała się ku progowi, żeby boso i tak, jak stała, iść cicho, zrazu po kamiennych skrzyżalach za progiem, a potem wkroś tej łąki, nie depcąc kwiatów, schylać się nad każdym i wydzierać z niego, gdy śpi, zelżywe tchnienie wieków.

Dodnia, w pogodne czasy, szli w góry. Helena ubierała się w kierpce góralki i w lekkie, wykwintne, najozdobniejsze szaty z jedwabiu, przeznaczone nibyto do wód w Bardyjowie. Rafał przywdziewał strój myśliwski. Miał zawsze przy sobie damasceński puginał, przywieziony z Azyi i darowany mu swego czasu przez księcia, oraz nabite pistolety. Ścieżkami najmniej znanemi, wzdłuż szlaków, które były zazwyczaj suchemi łożyskami potoków, wskróś leśnych ostępów, po korzeniach, urwiskach i głazach przedzierali się dokąd oczy poniosą. Na wyniosłych wierzchołkach, gdzie żywej istoty nie było nigdzie, jak daleko i szeroko sięgną oczy, obejmowali się wpół i zapadali w głuchy sen, albo splótłszy się na wzór dwu limb zrosłych od lat, szli oczyma po niezmierzonych obszarach niebios i ziemi. Strudzenie wydzierało z ciał ludzką namiętność. Wtargnąwszy na te wyżyny, odtrącali precz nietylko suszę i wodę, strząsali ze stóp proch ziemski, ale również wychodzili duchem z kości swych, żył, ciała i krwi. Przystępowali wówczas do rozkoszy najwyższych, jakoby do początku szczęścia wiecznego, do granicy tamtego świata, do namiętności niebieskiej. Oto-

czeni przez gęste obłoki gór, w świetle przeczystych promieni słońca, pozostawali dla siebie siostrą i bratem, którzy się na wieki wieczne kochają. Przyciskając do piersi schudłe w miłości ciało, wyszczuplałe a zwiędłe i twarde od słońca, od wiatrów barki — przestawał widzieć w niej radości cielesne, szczęście człowiecze. Nie mógł odszukać w niej kobiety i niespodziewanie, a wciąż w oślepiającem jasnowidzeniu, które trwało bez przerwy, w radości nieznanego porządku, spostrzegał ducha. A gdy oczyma zatapiał się w jej oczy, gdy wdzierał się w nie, wstępował i przebywał nieznane światy, tracił świadomość o tem, że sam jest drugim duchem, odmiennem ciałem, innym człowiekiem. Na jawie, w biały dzień, własnemi oczyma widział w niej swojego własnego ducha. Mijały długie godziny i rozległe czasy, w których przeciągu zapatrywali się w swe oczy aż do śmierci. Tylko uśmiech, kiedy niekiedy przepływający przez oczy, przez usta, przez powłoki ziemskie, przez ręce uściskiem zwarte, przypomniał, że nie są odłamami góry, obłokami płynącymi w lazurze nieba, dwiema falami lecącej wody, że jeszcze żyją na ziemi. Wtedy przedziwne pragnienia wznosiły się z ich serc, podobnie jak z nicości wstają w szczelinach granitu błędne chmury, pożądania, które idą coraz wyżej, coraz wyżej i widzą pod sobą obszary niedosięgłe. Czasu jednej z takich minut wyszeptała:

— Umrzyjmy już...

Nie zdziwił się. Podnieśli czoła i, sparłszy je na ręku, długo patrzyli na krawędź, na której były ich głowy. Śliska, czarna ściana wpadała w przepaść, zio-

nącą z głębi ziemi. Potok szumiał po dnie, rojąc się w niem, jak biały pędrak, który trupa pożera. Dokoła wąskiej czeluści jakoby kamienne ostrza, groty, obuchy, piły, łańcuchy i kleszcze katowskie czekały w zimnem milczeniu.

Rafał rzekł:

— Śmierć... Już nas nie będzie. Przestaniemy być, widzieć się nawzajem.

Uśmiechnęła się wesoło i łagodnie, jak matka, kiedy objaśnia naiwny błąd dziecięcia:

— Zaczęłaby się naprawdę wieczność. Tak jak teraz, na zawsze, bez odmiany. Sen dusz, kiedy spoczywają w objęciach.

— A jeśli nie to?

— To! Już większego szczęścia być nie może. To jest granica. Widać tamto, jak tę oto węgierską stronę. Wejdziemy do krainy szczęśliwości...

— Więc zdejm ubranie. Podrzemy suknie twoje na pasy, zwiążemy się nimi, żeby, spadając, nie rozlecieć się w rozmaite miejsca przepaści.

Ona powoli, jak przez sen, wstała i ze swym spokojnym uśmiechem poczęła rozrywać stanik. Ale gdy z pomiędzy czarnego jedwabiu zajaśniało ramię bielsze od czystego obłoku, przywarł do niego ustami. Łzy spłynęły z oczu obojga... I znowu pochłaniał ich sen na jawie, pełen ułudy bardziej istotnej, niż twardy granit, na którym leżały ciała, bardziej rzeczywistej, niż łoskot wód, spadających w dół, w przedwieczne czary z kamienia, niż widok zaklęsłych żlebów, w które przez stulecia sypią się brzegi piargu. Dokoła twarzy fruwał wiatr szczytowy, osadzający na skórze coś

jakby suche nici pajęcze. Niby rozlane wino pachniały z dołu kosówki, przygrzane przez słońce. Daleko w głębiach rozpadlin widać było odległe hale, jasnozielone niby ogrody, obwiedzione kamiennymi płoty. Na zboczach niższych gór, obdartych z murawy, bielejących wiekuistemi ranami i nigdy nie ginącemi rzeki osypisk, zwisały królewskie delie lasów prastarych, puszcz macierzystych. A wokół pobratymczo stały poszczerbione turnie. W mroku ich złomów wisiały czarne łachmany śniegu o barwie trupiej kości, którą wicher, słońce i deszcz w próchno obracają. Czaiły się tam, jak olbrzymie, białawe nietoperze z rozciągniętemi skrzydłami.

Zdarzyło się innym razem, że halny wiatr zastał ich na zrębie skały wapiennej, pod szczytem leśnej góry. Rzeźwe, gorące powiewy paliły im twarze. Siedzieli nieruchomo, trzymając się rękoma skały, którą czas łupał w tafle drobne, a deszcz ściągał w doliny. Helena, z głową opartą na kamieniu, patrzała w małą zwiędłą gencyankę, która pośród rudego mchu samotnie dogorywała. Białe, długie, prześliczne palce dotykały z czułością stulonych błonek chorego kwiatuszka, podnosiły je i usiłowały ocucić. Z boku nad przepaścią wrastały w skałę niewielkie świerki rozwarte, a u góry spłaszczone. Szczyty kolosalnych smreków, gdzieś w dole, jakby u samego podnóża góry wrosłych korzeniami, nachylały swe włochate wierzchołki, obwieszone szyszkami do samych jej wysmukłych nóg, łasiły się na obraz dzikich zwierząt, któreby ugłaskał widok piękności.

Wiatr halny mącił las, jak mistral mąci Liguryj-

skie morze. Ciskał weń znagła wybuchający pocisk burzy. Kiedy przeciwko niemu chcieli stawić czoła i barki, chwytał się z nimi w zapasy. Uczuwali wtedy rozkosz porwania, stawali się podobnymi do świerków, jodeł i buków. Była w tem rozkosz zamknięta, niewyrażona, osobna. Z radością patrzali, jak potężne świerki zwijały się do wewnątrz, wokoło pnia. Był to znak, że idzie podmuch — moc, powiew — wódz. Pod ciosami jego tchu schylała się od korzenia wszystka puszcza. Jęk czołobitny zcicha zamierał, gdy przeszedł w chwale poświstów. Zdało się wówczas, że góra rusza się w swoich posadach, chwieje zwolna na fundamentach i głucho skrzypi w węgłach i przyciesiach.

Ale oto trzask gałęzi, łoskot i chaos nacichał i płynnemi falami przelewał się w szum, a z szumu wychodził w obszar milczenia. Trwało chwilę oczekiwanie nabożne, głuchy bezwład i odpoczynek w niemocy, dopóki cienkie gałęzie nie poczęły trzepać się i obłędnymi skoki bić pnie, podobnie jak zrozpaczony człowiek bije samego siebie w piersi i głowę. Gaje kosodrzewiny zaczynały szumieć żałobnie. Zdala, po górach zasłanych lasami, przechodził z hukiem wicher.

Helena, rękoma objąwszy kolana, wpatrywała się w bure, gorące chmury, które pędem wylatywały z kamiennych dolin w szalejące lasy, i śpiewała pieśń, złożoną z dziwnych słów. Nazwy, uwielbiające moc wichru, pochwały piękności jego wybuchów płynęły z jej piersi tak samo, jak owe śliczne a niespodziane chmury z łona gór. W ustach zmieniały się na śpiew solowy, dostrojony do melodyi szumnych poświstów, do niezgłębionych akordów ryku puszcz, wylatującego z do-

lin ku niebu, a w którym słychać jakoby śmiganie olbrzymich ptasich skrzydeł po niezmierzonych obszarach.

Niejednokrotnie długotrwały deszcz trzymał zamkniętych w jakiejś kolebie skalnej u wejścia do jaskini, albo pod cieniem olbrzyma-świerka, którego dolne gałęzie obwisły i dach nieprzemakalny dokoła stworzyły. Bawili się wówczas i opowiadali »historye«. Rafał malował życie swoje, rozpowiadał o świecie, jaki widział, jej niedostępnym i nieznanym zgoła. Nic w tych spowiedziach nie było tajnego, nie został ukryty ani jeden szczegół. nie zatajony grzech ani jeden, nie przeceniona cnota. Wszystko wychodziło na jaw w słowie tak, jak było. Tak samo mówiła ona. W tych godzinach nieporównanych wypełzała na światło całkowita jej natura, dobywał się wszystek instynkt aż do korzenia. Stawała się wówczas prostą, kryniczną, jasną, przeźroczą, jak woda stoku, i tylko nowe kłęby przeźroczystości, wciąż z dna jej duszy bijące, czyniły ją pełną rozkoszy wciąż nowej a nieprzebranej, ciągle odmiennej, a zawsze jednako silnej. Wieczną falą biła z niej doskonała lekkomyślność, rzeczywista istota i pierwiastek natury, wesołość wszystko zwyciężająca, mądre, spokojne i jedyne w świecie lekceważenie tego, co jakoby jest wielkie, i tego, co jest jakoby małe. Nic między nimi nie było, co być »powinno«, lecz wynurzało się wszystko, co jest w istocie, co było naprawdę, co przeczuwali, że z pewnością będzie. Z tem właśnie twarzą w twarz obcowali. Cieszyli się, patrząc nagą a nieustraszoną źrenicą w sprawy i zajścia ducha niebezpieczne, zakaźne, trujące. Byli dla siebie

nowi, niespodziewani, rozciekawiający w tem, co było szczere i istotne. Stali się jak dwa kwiaty, co zawierają w sobie woń i truciznę. Kochali w sobie z natarczywą i porywającą gwałtownością owe jaskinie i zaułki, skrytki i sekretne rozpadliny dusz.

Zdarzało im się wśród ciemnych nocy, kiedy niewyczerpany, pracowity deszczyk górski zcicha siąpi, a woda kapie z każdej igiełki świerkowej, błądzić bez celu po niedostępnych drożynach, które zdają się gardzić przechodniem, deptać go wzajem, za każde postawienie na nich nogi oddawać jej tysiące uderzeń. Po wygrodzonych żerdziami drogach, obok których stoją szeregiem modrzewie i szemrzą w ciemności jedwabne baśnie, lubili błąkać się w pobliżu swego domu. Świerki, wylaniające się z mroku, zdały się być wówczas obojgu krzykami ciemności... Daleka woda potoków szumiała...

A gdy przemijał deszcz, rozdzielały się chmury, i odmieniała niepogoda, wchodzili ciekawie w las, patrzeć, co się z nim stało. Badali pilnemi oczyma, jak przecudna, nowa zieloność, trwająca jeden dzień, wpełzła w pomrok pod ciemnymi smerekami, otacza pniaki drzew dawno ściętych i niebieskawo-szare kamienie. Nad łuną jej płomieniejącą zwieszają się tu i tam mokre, ciężarne gałęzie, niby ciemne dymy. Helena wciągała płucami zimną woń mokrych paproci, rozmiękłego próchna pniaków i zakrzepłej, stężałej od chłodu żywicy. Czystą rozkosz z serc wydobytą i ukazaną w zewnętrznym świecie odnajdowali, patrząc w ścigłe potoki, które się wyrywają z pomiędzy kamiennych głazów. Długie spędzali godziny, pieszcząc oczyma nici wody,

wytryskujące z pomiędzy pniów, ze mchu, jakby z przebitego boku góry.

Wielkie żabice, rozdzielające strumień na niezliczone potoczki, odziane były grubym, zielonym kożuchem. Świerki, co wysysają podziemne źródło, były w tem miejscu potwornej wielkości. Zwierzali sobie myśl, ze ta dziwna woda rodzi się z niczego a zjawia znikąd, że jest od początku rozdzielona przez głazy, jak ich miłość, a później łączy się sama ze sobą, ażeby gnać w kamiennem łożysku, wśród rozkoszy, pian, rozdymać w banie i wiry, miotać się w szumnych, niespodziewanych wybuchach, aż do przepaści wodospadu... Czy i przepaść wodospadu będzie w ich życiu, jak w tym potoku? — pytali się nawzajem... W jednem miejscu znaleźli drzewo wyrwane, leżące wpoprzek strumienia. Woda je jadła przez lata. Chciwą i wściekłą żuchwą, białymi kłami pian gryzła je wciąż, bez jednej chwili wytchnienia. Więc litowali się nad przeklętą dolą napoły zgniłego kloca, brali udział w życiu jego, jak częstokroć żyjemy cudzem życiem we śnie, odchodzili stamtąd zasmuceni, jak gdyby w nich zamieszkały na nowo małe, dawno wygasłe, dobre dusze dziecięce.

Nadewszystko jednak kochali jeziorko. Zwali je »zmiennem«. W odległej nieraz stronie zwracali na się oczy i bez wymienienia nazw, pewnym ruchem brwi i powiek, pewnym uśmiechem wiadomym wspominali sobie o niem. Wtedy, wstawszy z miejsc, szli do niego prędko w odwiedziny. »Zmienne« leżało na szczycie kamienistej wysokości, otoczone głuchym, zewsząd idącym lasem. Nie było do niego ani drogi, ani perci.

Pełne było ciemnej a przeźroczystej wody, gdzie zawartem kołem zielonem odbijały się świerki odwieczne i niska kosodrzewina. Czasami przeglądały się w niem żółte, dalekie turnie, jakby je ku tej wodzie samotnej i dalekiej gnała tęsknota. Nikt tam nigdy nie bywał. Ani człowiek, ani zwierzę. Nad głębią fruwały tylko niebieskie łątki.

Kiedy niekiedy zabłąkał się aż tam z odległych regli pomarańczowy motyl. Leśny ptaszek, siwarnik, ukryty w czarnej głębi smreków, zcicha i rzewnie świergolił. Zresztą była cisza. Las obejmował staw silnem ramieniem. Jak mąż ślepy, głuchy i zdziczały w mękach zazdrości osłaniał wiekuistym uściskiem łono tej cudnej, mieniącej się wody, która zamykała w sobie wszystkie cuda niebios, poranną i zachodnią zorzę, różnobarwne obłoki, wiatr i złotą błyskawicę, gwiazdy, księżyc i samo wieczne słońce. Uwięziona woda czyniła sobie igraszkę ze wszystkiego, co wolność jej krępowało: ze świerków, kosówek, brzegów i złotego szlaku więdnących szuwarów. Ciągnęła w swoje odmęty las, pozwalała mu składać kosmate gałęzie na łonie swem, spokrewnionem z zorzą poranną, na łonie swem niepochwytnej barwy, jak kolor piór na szyi pawia, ale nim chwila minęła, rozgarniała jego gałęzie, czyniła z nich smugi długie, jakoby włosy zielone, przędła je w sploty cudaczne, ciągnęła wpoprzek swej tafli i kołysała powłóczyste zwoje na falach szklistych. Jak niespodziany uśmiech, wznosiły się i cicho gasły ruchome wełny.

I oto ginął w nich kaprys. Wizerunki drzew odmieniały się w widma długie, niepodobne do niczego

na ziemi, niby to w kliny włochate, nastrzępione, mokre, ostrzami zanurzone w głębinie i dosięgające tak nieskończenie niskiej granicy, że ją ludzkie oko ledwie mogło pochwycić. Widma drzew wracały stamtąd, umykały w górę, strwożone i chwiejne, wałęsały się, drżąc, to tu, to tam, jak muzyka złowieszcza, szybka i okropna, piorunującemi zmianami swemi wyrażająca dokładniej, niż rachunek, bojaźń nocy bezsennej, bojaźń rozwartej przepaści bez dna.

Helena, skoro tylko na brzeg jeziora przypadła, siadała w nieruchomości i mówiła do wody:

— Cóż mu dziś zrobisz? Jak się odmienisz? Siostrzyczko-niewolnico, jakże się będziesz dzisiaj bawiła? Ach, sama nie wiesz, sama jeszcze nie wiesz, co się z tobą za chwilę stanie...

I oto, jak gdyby w odpowiedzi, rozwierało się lazurowe łono jeziora, i z nieopisanym przepychem płynął w niem obłok oślepiająco biały, namaszczony królewską mocą i potęgą wszystkiego blasku słońca. Kształt swój przemieniał zwolna: cudowna, złoto-biała jego głowa układała się inaczej, coraz inaczej, by lepiej śnić jej było, śnić-myśleć o niebie bezmiernem, ojcu wiecznym, o ziemi, ślicznej matce. Wskroś obszarów lazuru szedł rozwiać się w postać inną, w coś innego się zamienić, przeistoczyć — i zginąć.

OKNO SKALNE.

Wysoko, wysoko, ponad szerokim, rozległym lasem, leżeli tego dnia u wejścia do pieczary. »Okno« skalne wychodziło na przepaściste zbocza grani. Stamtąd dopiero widać było dolinę, jak długa i szeroka. Wewnętrzna ściana wapiennej skały, wznoszącej we mgłę swój połupany szczyt, otwierała się w pewnem miejscu, i ciasny otwór prowadził tamtędy do skalistego *asylum*, jakby na straszny dziedziniec zburzonego zamczyska. W górze, na zrębach, podobnych do piór skrzydła pancernego rycerza, chwiały się odwieczne kępy świerków, i zawisał rudy mech. Z owego kotła skalnego schodziła dokądś w dół grota, ciągnąca się długim a ostro sklepionym korytarzem. W cieniach jego leżał lód ziemią okryty, a ze ścian sączyła się wilgoć obmierzła. Dzikie ściany tej niedosięgłej fortecy i czarny las nad niemi, stały nad rozkoszną słoneczną doliną, która leżała nisko, otulona w jasne hale, w nadrzeczne murawy, wzdychając ciągle odmiennym szumem Dunajca, podobna do uśmiechu srogich i straszliwych gór. Strome turnie wychylały się ponad

urwisko, wychodząc poza swoją podstawę, jakby mierzyły przepaść u ich stóp. Dziwnie uroczy mech przykrywał ich szczeliny. Wszczepiały w nie żarłoczne korzenie małe świerczki i nikłe drzewka jarzębiny.

Na bujnych trawach o szerokiem liściu, na kępach zeschłych borówek, co otulały luzem leżące kamienie, wypoczywali jak na puchu. Wygrzewali się w słońcu przy otworze pieczary i w szczelinach skalnych.

A gdy słońce zbyt doskwierało nagłością płomieni, z chichotem kryli się przed niem do wnętrza jaskini, zawierającego w swej głębi bryłę wiecznego lodu. Śmieli się w głos ze słońca, wyczuwając plecami jadowity chłód pieczary. Chwytali czerstwe zimno zdrowemi płucami i spalone twarze znowu obracali ku słońcu. Tak im długie godziny spłynęły na wypatrywaniu ziemi i nieba. Sennemi oczyma witali pracowników górskiego południa, lekkie wydłużone pomłody, białe obłoczki, jakoby tchnienia wiatru stężałe i w kształt zaklęte, kiedy z gór w cichości świętej wychodząc, przepływają nad najpiękniejszą doliną świata. Ociężałemi źrenicami wodzili po otchłaniach leśnych, szarozielonych, skąd pojedyńcze skały wynurzają się niespodzianie, skąd wykwitają żywą barwą kiście buków. Od szczytu gór leciały ich oczy w dół za cieniami, pełnymi czarnego błękitu. Setnem i tysiącznem spojrzeniem pozdrawiali pionowe skały, obwieszone subtelnem złotem zżółkłej jarzębiny. Napotykały ich oczy miejsca tak cudne, niewiarogodnie piękne, że Helena załamywała ręce i płakała z zachwytu. Kiedy niekiedy rzucali w ten wielki a bezładny przestwór, w ten olbrzymi kraj niczyj, krzyk zgodny i śpiewny.

Wywoływali swe imiona spieszczone, przemienione w pocałunek i, zachwyceni, z nabożną rozkoszą słuchali, jak wysmukłe, rzeźbione szczyty wapniaków i niedostępne zwały dalekiego granitu, jak niezgłębione lochy i podziemia, lasy i potoki, ale i ścieżki skaliste wołają ich po imieniu, wzywają ku nim zewsząd. Rozkoszny dźwięk imienia Heleny oblatał przestwór daleki, aż jak melodya najcudniejsza tej ziemi wracał do nich i owiewał radością niewypowiedzianą. Wydawało się im wtedy, że to góry wołają same, że się góry i rzeki tak samo w nich kochają, jak oni w sobie. Osiągali chwile szczęścia największego na ziemi. Cały świat zewnętrzny przemienił swą istotę na rozkosz, a rozkosz była na usługach miłości. Wywołując tak podrugie i potrzecie echo swych imion, wyrzucali zarazem z piersi błogosławieństwo nieba i ziemi, wychwalanie wszystkiego, co jest pod utwierdzeniem, hymn dusz wzruszonych do samej głębi, owo, jak mówi Pismo, błogosławieństwo niebieskie zwierzchu, błogosławieństwo przepaści, leżącej w dole, błogosławieństwo piersi i żywota. Nie byli w stanie odejść stamtąd. Nie mogli oderwać się od doliny, bali się stracić z oczu najmilsze turnie, rozkoszny szum potoku i swoje echo kochane.

Zostali tam na noc. U wejścia do pieczary rozłożyli ognisko i zwyczajem swoim, płaszczem wspólnym okryci, usnęli. Świtało, gdy Rafał zbudzony został z twardego snu przez straszne uczucie. Targnął się z ziemi... W mgnieniu oka poczuł, że jest związany. Chciał prawą ręką dosięgnąć sztyletu, który miał w zanadrzu, ale ręka nie ruszyła się z miejsca. Uczuł, że

sztyletu już niema. Leżał twarzą ku ziemi, z rękoma w łokciach i dłoniach, z nogami w kolanach i stopach spętanemi powrozem, przywiązany do świerkowego pnia. Gdy to w późnie uczuwał i zaczął rozumieć, nagle usłyszał rozpaczliwy jęk Heleny. Szarpnął się ze wszech sił, wygiął jak żmija i zdołał odwrócić głowę. Ujrzał wtedy w płomieniach buchającego ogniska bandę zbójców, złożoną z siedmiu czy ośmiu osób. W przerażeniu, które mu język wbiło do gardzieli, nie chciał uznać rzeczywistości, wlepiał w nią oczy i nie był w stanie uwierzyć temu, co widziały. Przypatrywał się rzekomo sennemu widziadłu, wysokim czapkom tych ludzi, do których jeden przyczepił sobie ogon lisa, drugi skrzydło, wyrwane zabitemu orłowi, trzeci kły i paszczę niedźwiedzia, czwarty pazury wilcze... Widział, nie wierząc oczom, ich broń: zakrzywione sztylety, strzelby nabijane srebrem i mosiądzem, za pasem wąskie siekiery, pałki-bunkosze w ręku. Oglądał ich koszule czarne, wysmarowane tłuszczem, portki czerwone, cyfrowane bogato, szerokie pasy, wspaniałe cuchy...

Wydarł się raptem z taką mocą, że postronki wrzynęły się w niego aż do kości, a same kości zatrzeszczały. Ujrzał między tymi ludźmi Helenę, jak ją jedni drugim wydrzeć usiłowali. Ryk, jak nóż z żelaza, rozdzierał jego piersi i gardło, głowa, siepiąc się ślepymi rzuty, trzaskała w pień smereka, a oczy wywracały w dołach. Krzyk Heleny wzywał go na pomoc... Zobaczył, jak ją jeden z chłopów powalił na ziemię. Widział, jak się zaciekle, straszliwie, zębami broniła, jak ręce zbója zdzierały z niej suknie, szar-

pały koszulę, a wreszcie to najstraszniejsze, co mógł zobaczyć na ziemi. Począł żreć kamienie obłąkaną gębą, zanosić się od wściekłego wrzasku, od bydlęcego ryku, od wycia waryata. Ciało jego wiło się w sznurach, palce wszczepiły w żwir skalny. Ktoś siadł mu na plecach i potężną dłonią przydusił łeb do ziemi. Nie słyszał już wtedy nic i nie mógł nic widzieć. Płaty krwi zaczęły bić go w oczy, a ogień buchnął w mózgu. Udało mu się dźwignąć głowę. Dojrzał, że Helena z rąk drugiego zbója, który ją wśród chichotu bandy powtórnie obalić chciał na ziemię, i, jak poprzedni, posiąść, wydarła się. Westchnął z ulgą, gdy półnaga, skrwawiona, jednym susem skoczyła przed siebie, na wystający, najwyższy brzeg turni, a stamtąd — w przepaść.

MOC SZATANA.

Był jasny dzień, kiedy się ocknął z morderczych objęć snu. Leżał długo bez ruchu, bez zdolności udźwignienia ręki, nogi, powieki. W chwili tej wspomniał, co się z nim stało... A kiedy wszystko przeszedł myślami, otwarł oczy, żeby zobaczyć, gdzie jest, z niedbałością tak wielką, że nie sprawiłaby mu zmartwienia wiadomość o śmierci własnej. Ujrzał dokoła siebie jamę skalistą, czarną i zaciszną. Olbrzymia wanta, jak wystający okap, zwieszała się nad tą doskonałą i ciepłą kolebą. Pod głową miał obfitą kępę naniesionego mchu, na sobie obszerną, zbójecką cuchę. Słońce świeciło, a zielone uplazy, łagodnie zniżając się w dół, uśmiechały się dobrotliwie. Gdy dźwignął głową i odsunął brunatną cuchę, spostrzegł, że jest odziany w jakieś cudackie ubranie, w czerwone spodnie obcisłe i wyszywany serdak. Obok posłania leżał nóż kończysty, wy ięty, niby turecki jatagan, oprawiony w rękojeść z cisowego drzewa z mosiężnem okuciem. Tuż leżała, cieńszym końcem podsunięta ku ręce, jesionowa maczuga z bulwami w grubszym końcu, którą od jednego

razu możnaby zabić konia. Leżały dwa duże placki, owczy ser i trocha wina w grubej, brzydkiej butelce. Rafał uczuł na głowie swej i na ciele bandaże, a pomacawszy, rozeznał, że głowę ma obmytą i rany jej zawiązane czystemi szmatami.

Próbował wstać, ale skoro się z miejsca poruszył, uczuł po raz pierwszy, że Heleny niema. Boleść runęła na niego, jakby się zwaliła owa nawisła skała. Leżał pod nią bez protestu, zabity i rozmiażdżony. Długo to trwało, tak długo, jak tylko zmysły mogły udźwignąć. Ale po upływie niewiadomego czasu boleść zaczęła przemieniać się i doskonalić. Nie zechciała być dłużej nędznym głazem, który rozgniata ślepym i głupim ciężarem. Stała się jakoby chytrym a podłym człowiekiem. Wyrosły z jej kamiennego cielska dwa organy: wspomnienie i marzenie. Temi dwiema rękoma ujęła głowę zbudzonego z niewiedzy i poczęła ją równo, łagodnie kołysać. Raz ją obracała oczyma ku ubiegłemu szczęściu, drugi raz ku przyszłości, tonącej we mgle marzeń. Między jednym a drugim ruchem, jak mechaniczne wahadło, wydawała z żelaznych trzewiów swych szczęk suchy, przeraźliwy w zimnej łagodności, miękki, dokonany głos: Niema...

Rafał leżał zrazu, jak przedtem, zwyciężając wszystko siłą ciała, ale ona była mocniejsza nad wszelką siłę. Jej długa praca była nieskończenie wytrwała, obrachowana przed wiekami, zastosowana do wszelkiego oporu w ludzkim gatunku. Głos jej wdzierał się do skrytości duszy niespostrzeżenie, jak żądło komara a działał straszliwie, jak uderzenie kuli działowej. Nadeszła zła chwila. Nieszczęśliwy zerwał się ze swego

posłania. Wyszedł z koleby. Był w jakiemś miejscu nieznanem, w zacisznej dolinie, otoczonej lasami. Patrzał w te miejsca spłoszonemi oczyma. Uczuł katowskie prześladowanie, jakiego dopuszcza się na jego duszy ten obcy widok. I oto nagle rzuciła się na niego rozpacz. Zwalił się na ziemię, zaczął rwać włosy, zdzierać bandaże, targać na sobie szmaty, tarzać się po kamieniach... Zaczął krzyczeć w niebogłosy, byleby nie słyszeć cichego szczęku, melodyjnego poszeptu boleści: Niema... Czaszka jego tłukła się o kamienie, i bujna krew znowu broczyć zaczęła na jasne kwiatuszki hali, którym na słońcu tak dobrze było wysysać przedpołudniową rosę. Głęboki ból w głowie, choć sprawiał ulgę, zagłuszając nieszczęście, opamiętał go i wytrzeźwiał. Przycichło zarówno marzenie, jak wspomnienie... Wstał tedy, związał głowę szmatami, wziął w rękę bunkosz, za pas wetknął nóż. Z pośpiechem wypił wino i zjadł podpłomyk. To uczyniwszy, poszedł przed siebie z zamiarem szukania miejsca, na które spadła Helena. Dziwił się, jakim sposobem nie uczynił tego aż do tej chwili. Szedł wielkiemi krokami, rozwalając po drodze piargi, miażdżąc młode smereki, wbijając w ziemię stopami górskie zioła. Było południe, gdy wyszedł z owej doliny. Skoro stanął u jej wylotu, spostrzegł natychmiast, że jest w bliskości podnóża skały, na której spędził ostatnią noc. Rozgarniając rękoma gałęzie świerków, szedł do podnóża niebotycznej krzesanicy...

Schylał się ku ziemi, ku kwiatom jeszcze w wilgoci pogrążonym. Wszystkie były świeże, soczyste, szczęśliwe... Szukał na nich śladów krwi sercem za-

twardziałem, okrutnem, pełnem zbójeckiego męstwa, patrzał znieczulonemi oczyma. Przebiegły był w chwili tej, jak pies, a władał wszystką siłą swych zmysłów, jak człowiek zimny i mężny. Tam jednak, gdzie przewidywał, śladów nie było. Dopiero, gdy po stokroć wzdłuż i wpoprzek obszedł podnóże skały, wciąż oddalając się od niej, i stanął u brzegów strumienia, nagle uczuł uderzenie w serce. W tem miejscu gałęzie świerka były oddarte od pnia, murawa zdeptana licznymi śladami stóp i umyślnie zatarta surową ziemią. Wzniósł oczy i dojrzał miejsce: podchmurny ów zrąb na skale, wystający daleko.

Począł szukać wyraźniejszych dowodów i znalazł je w zdeptanej ziemi... Czarne, wilgotne zlepki gruntu były przesycone tak obficie krwią, że uwierzył. Znikło ostatnie złudzenie. Ślepy topór ściął ostatni sen czuwającego, czyli nadzieję. Serce poczęło na nowo szarpać się w piersiach, jakoby istota osobna, nie należąca do człowieka, jakoby siła samoistna, jakoby druga nieużyta władza. Czyniło teraz rzecz swoją w piersiach nagle i strasznie, jak grabarz z trumną najdroższą. Wybladły, na drżących nogach, zlany potem, stał na tem miejscu z oczyma wlepionemi w ziemię. Słuchał. Łudziło mu się, że jest przed sądem, że mu czytają wyrok. Słyszał nie słowa, lecz przeraźliwy sens wyroku. Teraz dopiero zrozumiał, czemu wszystko stało się tak, jak się stało. Teraz dopiero wiedział, co z nim samym było, co jest i będzie. Jakże się niegdyś łudził, sądząc inaczej! Ale głos przebrzmiał.

Dawał się słyszeć naokół tylko szorujący, kamienny szum potoku, płynna jego melodya, jak się

przez wilgotne igły świerkowe przelewa. Stojąc tak bez sił, na cudzych niejako nogach, dziwił się i zdumiewał, że w żyłach jego nie płynie już zdrowa krew ludzka, lecz że błyskają i trzeszczą, pryskając iskrami, gibkie płomyki, że w kościach głowy buzuje się pożar, a mózg trawi ognisty wybuch. Ręce konwulsyjnie ścisnęły narzędzia, służące do zadawania śmierci, a pełna żaru głowa o czemś strasznie skutecznem w struchleniu, w podnieceniach, wśród rachunku i łez zaczęła marzyć...

Poszedł na prawo i poszedł na lewo dla odszukania najgorszej prawdy. A gdy powrócił w to samo miejsce, upadł na nie głową, ustami i sercem, samowładnie teraz chodzącem po bezmiarach niedoli, po ojczyźnie trwogi, wśród półmroku narodzin nowego dnia, straszliwej doby nieświadomości.

Zbliżył się wieczór, gdy powstał i z trzeźwością drugiego człowieka, który dawno, przed secinami, zdawało się, lat, z jego ciała został wytrącony, zaczął szukać mogiły Heleny, ciała jej, śladu zabójców. Niekiedy wśród tej cudzej trzeźwości przelatywała głupkowata chęć zemsty, jak gdyby chęć rozrywki u człowieka, który się nudzi. Wtedy szedł prędzej, dopóki nie zaczął śmiać się ze swych kroków, ze swej ręki obwisłej, nie zdolnej do wywleczenia zza pasa sztyletu, do podźwignienia pałki. Z łatwością odnalazł ślady zbójników na trawie, choć już była wyschła i odprostowała się w ciągu upalnego dnia. Ślady szły w górę doliny i potoku. Tam i sam znajdował miejsce, na którem składano ciało zabitej. Spostrzegał krew zaschłą na kamieniach i trawie. Ale w pewnem miejscu ślady

weszły na kamienistą perć i prawie zginęły. Gdzie niegdzie czerniała jeszcze na szarym głazie grudka ziemi wilgotnej, przyniesionej na podeszwie kierpca, roztartej i dotychczas niewyschłej. Raz jeszcze znalazł dużą kroplę krwi. Potem wszystko ustało. Szedł tedy naprzód i wracał. Szedł i wracał. Szukał miejsca, w którem banda zboczyła ze ścieżki, i nie mógł go już znaleźć.

Przeląkł się bardzo, gdy ujrzał dokoła siebie nagły górski mrok. Porwał się naprzód i poszedł percią w górę, biegł szybko, co prędzej, jakby uciekających przed nim ścigał na oko. Zdziwiony i pełen strachu stanął nagle u brzegów »zmiennego« jeziora. Głos obcy, głos okrutny, jakby głos skał otaczających, powiedział mu, że w tę wodę musieli wrzucić ciało zabitej, przywiązawszy do szyi, do rąk, do nóg nadbrzeżne głazy wielkości młyńskiego kamienia. Pragnął odszukać potwierdzenia tej prawdy w zdeptanych szuwarach, w tatarakach i trzcinach, w zmąconej mułem wodzie, ale noc już schodziła z turni, noc ciemna.

Jakże straszliwą wydała mu się ta noc, zbiegająca szybką stopą ze szczytów górskich! Wietrzyk, przenikający doliny, chłodnawy, rzeźki podmuch niemocniejszy od powiewu wachlarza z kości słoniowej, skropionego wonią fijołków, był już dla jego zmysłów nie wiatrem, lecz żywym zbójcą, który się skrada, żeby zdradzieckie pchnięcie zadać pod serce. Nim chwila upłynęła, ten sam wiew odmieniał się, przeistaczał w wytrysk mądrości, przy którego dźwięku ubiegłe rzeczy ukazywały się oślepiająco wyraźnie, jako ułomki całości, jako fragmenty i ziarna olbrzymiej a wszechmo-

cnej sumy. Cicho w ostatnim blasku zorzy lśniła woda jeziora. Czasami zakołysała się wątła fala, w tej samej chwili zrodzona, poruszyła wysmukły badyl trzciny i uwikłana między szuwary, zasnęła wśród ich zastępu. Kiedy niekiedy coś na powierzchni plusnęło cicho, że ucho ledwo mogło rozeznać ten głos. A nim serce zatrwożyć się zdołało, nim zdążyło zacząć oczekiwanie, już szmer ów na wieki wieków utonął w milczeniu. Rafał siedział na brzegu jeziora, objąwszy rękoma kolana. Tak tu zawsze siadywał z Heleną. Wszystko wiedział, wszystko pamiętał. Na czułych wagach ducha wszystko zkolei przeważał. Bezsilne nadzieje sączyły się z jego serca. Obiecywały przez mgnienie oka, że z fal tej wody wyjdzie utopiona, że się na płaskiej tafli zakołysze. Ale nim jedna chwila przeminęła, nadzieja spadła na ziemię, jak łza spada z rzęsy, a towarzyszył jej śmiech, potępiający ją jako głupstwo.

Ponad głową, w której myśli huczały i grzmiały, rozwijało się milczenie na prawo i lewo, milczenie większe i cięższe od gór. Szeroka ciemność ogarnęła wszystko, ukoiła snem wszystko, dała wszystkiemu spoczynek, z wyjątkiem jednej boleści. Na ciemnem niebie czerniejące ostrza świerków wrzynały się w duszę, jak piła, i rozszarpywały ją na drzazgi. Niejasne zarysy skał zawisły nad głową, jakoby młoty i obuchy siekier. Czarne niebo zaciężyło na ciemieniu, niby wieko skrzyni z żelaza, ustawionej między zachodem a wschodem słońca. Wtedy z piersi wydarł się głos, równie twardy, zimny i wyzywający, jak były te zjawiska:

— Cóżem wam uczynił? cóżem uczynił?

Czemu prześladujecie mnie, grozicie mi i mścicie się nade mną w straszliwej mojej męczarni?

Kochałem was nietylko swojem sercem, ale i jej sercem, która wpośrodku was została zamordowana!

Męczarnia moja straszniejsza jest, niż wszystko, co przecierpiane było na ziemi... Zmiłujcie się nade mną, góry skaliste! zmiłujcie się nade mną, drzewa czarne i ostre! zmiłuj się nade mną, wodo cudowna, wodo straszliwa, któraś miłość naszą widziała... I ty, o niebo...

Ale gdy te westchnienia wyrywały się z jego piersi, uczuł w sercu i w mózgu, że nie słyszy go nikt i nic. Pustynia na zachodzie, pustynia na wschodzie... Świerszcz tylko nocny, w suchej trawie ukryty, skrzypiał. Wówczas krwawa, bezrozumna, z każdą chwilą coraz dziksza pomsta wybuchnęła w piersiach, zapaliła mózg i oczy.

—Precz odejdźcie, widziadła!

Któż was uczynił wspólnikami mojej męczarni w ciągu jednego dnia! Któż was przemienił w części prześladowania, w narzędzia rozpasanej tyranii!

Stańcie się tem, czem jesteście...

O, góry, góry — stańcie się na nowo zimnemi górami, budzącemi młode siły i radość...

Ty, lesie, bądź znowu szumiącym lasem...

O, zmienna wodo, bądź tą, która nas oboje kochała...

Ty, niebo wieczne, bądź sobą, które wzrok nieszczęśliwego ku sobie przyciąga i każdą boleść uśmierza...

Odejdźcie od mego serca! Niech spocznie w do-

broci nocnej, niech wytchnie na posłaniu lasów, na wodzie cichości, niech się spłacze i ukoi w niebie wiecznem...

Mrok zachował swoją niezmienioną potęgę.

Tak noc minęła. Nade dniem zaczęły wstawać z jeziora mgły. Wiotkie postawy rozpościerały się nad nieruchomą wodą. Nikłe ich włókna oplątywały wyniosłe badyle trzcin, o suche szypuły zaczepiały się nićmi wiotkiemi. Kołysząc się sennie, tkały jakąś wiadomość, hafstały na płótnach swych bezdźwięczny wyraz niedocieczonej tajemnicy. Nim udręczone oczy mogły obaczyć pracę ich, dostrzedz, co czynią, płatały ją chyżymi ruchy. Burzyły drogocenne, śniade tkaniny, zrywały nici, subtelniejsze od księżycowych promieni, i ciskały je na wielki stos. Wznosiły się kłęby dymów, okrągłe fale czyniły szybkie obroty, zataczały się bystre, rozpędzone koła. Faliste a za chwilę wzdęte opony, jak żagle, unosiły się nad czarną tonią. Oto wypływa z pomiędzy nich obłoczek, leżący nawznak, senne ciało, które woda niesie, dokąd chce. Plączą się długie, faliste włosy dokoła bladej twarzy. Płyną na łono odsłonione żałosne zwoje. Drżą i stulają się ze wstydu a trwogi okrągłe barki, kształtne biodra zanurzają w wodzie czarnej, w wodzie miedzianej, którą jaśniejąca pleśń rannej zorzy powleka. Coraz jaśniejszą, coraz bardziej wyraźną stawała się mgła nadwodna. Mrok spływał z wierzchołków leśnego ostępu, niby szata posępna. W dali, na rozjaśnionem niebie ukazały się szczyty gór. Oblicza ich były przepiękne, ozdobione wspaniałością wschodu. Trupie czoła turni wdziały dyademy ze złotych blach, uwieńczone kwia-

tami. Szaty mgieł owiewały ich tułowia, głębokie cienie fijoletu spłynęły po nagich piszczelach. Nieszczęśliwy na widok tej nowej zimnej piękności, obojętnej na śmierć, która się tu dokonała, zapłonął gniewem, jakby i jego w zimną bryłę bytu przeistoczył pozłocisty ogień poranku. Chwycił rękojeść noża i poszedł przed siebie mocnym, wytężonym krokiem, krokiem — czynem. Gniew spalił w nim wszystko, prócz pragnień ruchu i gwałtu. Jak kozica wdarł się na wyniosłe pasmo. Stanąwszy na przełęczy, jął orlemi oczyma wypatrywać wrogów. Był teraz silny, zwinny, pełen potęgi. Rzucił w kamienny świat krzyk z całej piersi. Na wschód, na zachód, na północ i na południe... Głos nieszczęśliwy leciał w ciemne doły, w błękitne przepaście, jak anioł z wątłemi skrzydły, rozbijał się na krawędziach, roztrzaskiwał o strome gzymsy i skonał w łożyskach otchłani.

Wróciło echo imienia Heleny, żałobne i przebite, wróciło z północy i południa, ze wschodu i zachodu. A później cisza... Ale już wyważone zostało z zawias wszelkie czucie i runęło w proch. Szedł przełęczami, szczytami. Miał puste doły granitu, gdzie wiekuista pustka leży. Spoglądał w lasy dziewicze, gdzie tytaniczne drzewa rosną niedotknięte siekierą. Przeskakiwał przepaści, w których czeluściach marzy cmentarny śnieg, i skąd cieką wody ku ziemi, zaglądał w błękitne, zielone i litworowe jeziora... Ze żlebów, rozpadlin, wdzierał się na nowe, coraz wyższe wierzchołki. Widział w drodze swej niedźwiedzia i orła, ale nie zwracał na nich uwagi, płoszył tu i tam stado kozic, ale nie śledził ich oczyma. Póki słońce w błękitnem niebie

świeciło, szedł naprzód. Dawno zjadł resztkę chleba i okruchy sera. Nie czuł głodu. Usta mu wyschły i potrzaskały się, gardziel miał pełną ognia, a w piersiach dźwięk i tętent rozszalałego serca, które teraz łoskotem swoim napełniło obszar pustyni. Nieraz zdawało mu się, że już te same turnie widział, że już je deptał i przeklinał, że z ich wierzchołków strącał już głazy, które tylko mógł udźwignąć. Ale o tem wiedział, jakby przez sen. Szukał teraz ludzi. Ludzi! Wbijać w ich piersi ostry sztylet, miażdżyć ich głowy jesioniową maczugą, rozdzierać podłe gardła i deptać nogami nikczemne trupy! Po łokcie uwalać ręce w dymiącej krwi i pluć w nikczemne, zastygłe, wywrócone oczy! Nigdzie ludzkiego śladu... Nigdzie w nocy nie widać ogniska... Otaczały go krzesanice, turnie, wirchy — żółte, szare, czarne i niebieskawe. Więc je wymijał lub zdobywał, co siły w kolanach. Wbiegał na nie, jak na pagórki. W nocy nie spał. Przytulony do skały czatował na zbójców.

Śniło mu się na jawie, że jest lisem, do którego jamy wdarły się jamniki. Widział oczyma, całym mózgiem i wszystkimi nerwami skoki lisa, sztuki jego i fortele. Widział, jak się pomyka na coraz wyższe piętra i kominki jamy i, cierpliwie siedząc, bada niebezpieczeństwo. A gdy niestrudzone psy podkopią jego kryjówkę, skacze na inną, na inną, aż do ostatniej. Nie opuszcza go nadzieja, wyrachowanie, wiara. Ale oto wydarte zostały ostatnie podstawy, i najwyższy, ostatni krużganek lada chwila runie. Wówczas lis chybkim i pewnym susem skoczy na łby psów, przywalone gliną i przebiegłszy po nich, popędzi do wylotu jamy. W stru-

chłałem sercu słyszy huk strzału myśliwca, który tam nieruchomy czatuje.

Nim wysunie głowę, przez mgnienie oka mierzy przestrzeń, a później rzuca się naprzód, wyczekując strzału nastawionem uchem, strzału, który już zna, który już wielokroć zadał mu rany straszliwe. Oto on sam jest lisem i czeka na huk strzału. Za chwilę ma skoczyć z nory i wlec się później z odstrzelonemi nogami i przetrąconym krzyżem. Za chwilę, za mgnienie oka... Bo teraz ciężki jest, jak głaz. Ręce jego, nogi, głowa, a osobliwie stopy — to głazy takie same, jak naokół. Tem się tylko różnią od otaczających granitów, że w nich ani na sekundę nie zasypia cierpienie.

Skoro tylko wstał nad dalekimi krańcami świt i pierwszym promieniem ukazał mu długą drogę, nieprzebyty szlak, wstał z miejsca swego cierpienia i szedł co prędzej. Tak minął trzeci dzień i czwarty... Słońce budziło go i popędzało ognistą rózgą do pochodu. Stał się podobny do czarnego cienia, do zgorzałych zwłok, w których płonie duch i oczy... Leciał w pustynię, nie widząc już skał, ni drzew...

Nareszcie spotkał ludzi...

Szedł onego dnia w dół rozległego zbocza, które gdzie niegdzie porastała niska świerczyna. Okrągłe głazy, wymiecione przed wiekami siłą lodowca, leżały tam i sam. Kryształowych przestworów nocnego jeszcze chłodu wszystka potęga młodocianego słońca nie mogła przełamać. Zrzadka stojące, wynioślejsze świerki rzucały na krótką trawę, jeszcze mlekiem rosy okrytą, nadzwyczaj długie cienie. Zaczerwienione badyle goryczki zdobiły oddalone zakątki, jak kwiaty samotne, pełne

smutku... Las w dole zapełniony był mgłą poranną o barwie ziarn jałowcu wczesną jesienią.

Wyniosły czub buka, zabłąkanego między świerkową czeredę, zdawał się spływać z chmur. Rafał zwolna szedł w las i trafił na potok, płynący z boku góry. Poznał go... Zwalone drzewo i wodospad... Stanął nad jego brzegiem i patrzał, jak wartki nurt niesie między głazami liście, przez wiatr zdarte z czoła buka, jak z nich tworzy rude groble, wiry krążące po płaniach i szerokie zatory.

Myślał żałobnie o liściu buka, który był niegdyś maleńki u łona matki-gałęzi, pełnego słodyczy soków, o burzach wiosny, co nad młodym liściem przeleciały, w kościste turnie trzaskając ogniami piorunów, o halnych wiatrach, wydzierających z łona gór przepiękne chmury... Ten sam liść pędzi teraz pospołu z innymi, by stworzyć kupę gnoju, zdala od matki-gałęzi, zdala od rodzimej, wapiennej gleby buka, nawet zdala od ziemi.

Wtedy, gdy o tem myślał, zwilżając zeschłe wargi kwaśnym owocem dzikiej maliny, znagła otoczyli go ludzie. Nareszcie ich widzi! Porwał za sztylet, ale już było zapóźno. Kilkanaście rąk chwyciło go za ramiona, wydarło nóż z za pasa. Poczuł, że mu ręce skrępowano na plecach, łącząc dłonie zapomocą spojenia wielkich palców żelaznym pierścieniem. Gdy nogi zakuwano w kajdany, obejrzał tych ludzi wzgardliwem spojrzeniem. Byli to żołnierze. Poznał, jakiej są broni. Widywał za szkolnych czasów tych augsburskich piechurów. Kazano mu iść na dół. Nie chciał. Wówczas przystawiono do niego kilkanaście bagnetów. Nie chciał.

Wtedy dźwignęły go z ziemi razy bata. W dolinie, za lasem, obaczył rozłożony obozem oddział kirasyerów lotaryńskich. Żołnierze przypatrywali mu się ciekawie i mówili do niego po niemiecku. Rozumiał ich doskonale, ale milczał, zobojętniały na wszystko, co nie miało styczności z jego duszą. Cieszyli się, że pojmali zbójnika... Sześciu jeźdźców przywiązało go do swych siodeł. Skoczyli na koń, dobyli szabel i poprowadzili go między sobą w daleką drogę. Szedł teraz rozdołami, po podgórzu węgierskiem, mijał łąki, wsie piękne, leżące spokoinie pod cieniem jaworów. Przebywał czystą, zieloną rzekę, po drewnianych mostach, sztucznie wiązanych. Tu i tam sennemi oczyma widział bydło rozrosłe z niezmiernymi rogami. Kilkakroć w górskiej wiosce żołnierze przystanęli na chwilę, żeby się napić wody. Czasami który z nich wymienił nazwę wsi: Krasnohorka, Krywe, Lekotka... Były to jedyne dźwięki, które od nich słyszał. Gnali go dalej a dalej... Coraz częściej trafiały się wsie długie, ciasno zabudowane, z bielonemi chaty o dachach ze słomy, albo zczerniałego gonta. Zdala wśród nich widać było białe, grubomure kościołki z gontowymi dachami i baniami pokrytemi zardzewiałą blachą. Naokół widać było pod górami folwarki z murowanymi budynkami. Wyżej lasy świerków, buków i dębów. Szła obok drogi wierna towarzyszka rzeka, zasłana żabicami. W jednem miejscu siedział w czółnie kudłaty dziad, czekając na tych, coby się na drugi brzeg przewieźć chcieli. Zgonionemu przyszło na myśl słowo *Charon*... Ale co znaczy to słowo? skąd przyszedł taki do głowy dźwięk?... Gryzł oczy i wargi biały kurz gościńca. Twarda i długa jest

droga nieszczęścia. Załamuje się w stu kierunkach, zwija się w tysiące pierścieni. Najeżyła się wszystka ostrym głazem, jakoby grotami włóczni, i stanęła nieprzyjazna a mściwa przeciwko bezbronnym stopom.

Oto w trakcie tego pochodu wytrysnął w rozległej dolinie zamek na stromej skale. Kręty, kamienisty dostęp prowadził konwój do jego żelaznych drzwi. W dole szumiała zielona Orawa, w dali widać było polskie wielkogóry. Jeniec ujrzał przed sobą mocne, kute drzwi, odwieczną rdzą pokryte, krzywe zawiasy i haki z żelaza... Ciasne przejścia pod murem niezmiernej grubości, idące w półkrąg, zamknięte dziedzińce... Potem potworne podobizny dwu lwów z szarego kamienia, schody kamienne, wyszczerbione, ciemne przejścia, ganki, lochy podobne do kominów, wreszcie zimno podziemi, wydrążeń omurowanych i jam we wnętrznościach turni... Trzask zardzewiałego rygla, przed oczyma nikły jakiś brzask światła, nad głową strop półokrągły, wykuty w skale, z którego cieknie szkliwo wilgoci... Cisza nareszcie i legowisko...

»WŁADA«.

Zostawiony w ciemności, usiadł na ziemi i z uciechą wsparł plecy o zimną ścianę. Głuche mroki lochu roztrącał w jednem miejscu promień światła, padając z pod sklepienia. W skale niezmiernie grubej wybita była kwadratowa jama. Kraty w niej kazały wierzyć, że to okno. Do tego źródła światłości prowadziła framuga tak głęboka, że zdała się być drugą izbą. Na warstwach skały, zwojami idących, na wsparciu ich i umocnieniu z granitu, przyniesionego pracowitą ręką człowieka, światło dnia pełzło niepewne, wylękłe, kamienne, jak wszystko naokół. Więzień spoczął. Nie biegnie już krwawą stopą między cuchnącymi kadłubami zgrzanych koni, nie słyszy tętentu kopyt, dzwonienia pałaszów i ostróg, trzaskania strzemion i trzęzli, nie czuje żądzy oporu, ani wybuchów gniewu szlachcica, którego chamy... Głowa leniwo zwisła na piersi, włosy zsunęły się na czoło, i wśród delikatnego mrowienia na skórze czoła, gdy się zsuwały, przepływa żałosna myśl:

— Czemużeśmy się wtedy sznurami z sukni nie związali i nie rzucili razem?...

Straszliwe widmo żalu, *infelicissimum genus infortunii*, stanęło obok i napój z żółci a octu przykłada do warg. W tej samej chwili ktoś w pobliżu wyszeptał, wysyczał słowo, drugie, trzecie... Więzień z odrazą i trwogą dźwignął głowę i zmrużonemi oczyma jął patrzeć w daleki kąt ciemnicy. Gdy oczy jego przywykły do mroku, zobaczył człowieka. Nieznany towarzysz siedział na ziemi. Przykuty był do swego miejsca, do haka, poza nim wbitego w ścianę. Kilkakroć szeptał coś zcicha, wymawiał słowo tajemnicze. Gdy nie otrzymał wcale odpowiedzi, rzekł głośno po polsku:

— Cóżeś jest za jeden, człowieku?

Rafał z najgłębszą odrazą usłyszał w tem miejscu mowę ludzką. Milczał.

— Cóżeś jest za jeden, człowieku? Węgier, Lipták, czy nasz z Polskiej?

I teraz przybysz nie dał żadnej odpowiedzi. Ale tamten nie przestał mówić. Głos jego dygotał z rozkoszy. Coś w tonach jego drgało i zanosiło się od wytrysków uczucia. Zadawał nieskończoną liczbę pytań prędkich i namiętnych, dowiadywał się, czy też już jesień, czy buki po reglach czerwienieją, czy też już kurniawy jesienne były, czy nie. Pytał się i odpowiadał sobie, że pewno kierdele zeszły w dół, a bace idą przy koniach, perciami. Hale puste, ino się ta niedźwiedź kole schronisk wałęsa...

Ten szepcący głos był tak silny, tak potężny, że zdawał się huczeć pod sklepieniem i w kątach ciemnego lochu, ale w tej samej chwili Rafał usłyszał w szumie swej głowy, który go na chwilę nie opuszczał,

w łoskotach i osłupiałych wzdrygnieniach serca — inny głos. Tamten rozlegał się między niebem a ziemią, strzelał, jako młoty gromu i trzaskanie piorunu w głuchą noc, lecąc nad wielkim obszarem w odgłosach świstu bicza i ciosów rzemienia. Człowiek słuchał zdrętwiały w sobie aż do ostatniej kropli krwi, aż do korzeni włosów:

— Wyrwę ci z serca ostatnią pociechę, jakobym wyrywał ślepcowi kij z ręki, gdy się do przepaści przybliża.

Otoczę cię trwogą tak nieprzejrzaną, jak ciemność głębokiej nocy, długą, jak żal.

A później spuszczę na cię nie wątłą trwogę, lecz smycz zgłodniałych nędz aż do nieznanej, aż do ostatniej, której jeszcze nawet wśród snu ciężkiego nie oglądałeś w mglistem przeczuciu.

Spojrzysz wtedy przy blasku piorunu w moje otchłanie, nad które górska koza nie chodzi, gdzie ptak w locie truchleje, gdzie wąż nie pełza, gdzie promień słońca na mgnienie ludzkiej źrenicy chyłkiem zagląda, gdzie odrętwiała ciemność leży przez wieki. Tam przebywa zemsta, która jest moją.

Wezmę na własność każdą chwilę, którą swoją przywykłeś nazywać, wyciągnę ją na długość rozleglejszą, niż wszystka władza twej wyobraźni.

Zatrzasnę drzwi mego zamku i zatarasuję okiennice, żeby ani jeden twój jęk nie doleciał do mego ucha.

Zapomnę, żeś jest na ziemi.

Niech cię upadającego potrąca w samotności twoja zła dola, jako chce.

Przepadnij!

Zimne ciało słuchacza zsunęło się na ziemię. Głowa upadła na twarde kamienie, a spalone na węgiel usta uczuły smak więziennej wilgoci. Do serca spływały krople gorzkie, jak żółć i ocet. Ciemność, ta ciemność, w której przebywa zemsta, ogarnęła jego głowę, a kolana swe wgniotła mu w piersi. Był, jak kamień na drodze, który każda noga potrąca. Wtedy to poczęły mu się wspominać odległe, odległe poszumy, jakoby świst-poświst na leśnej górze Łysicy w Świętokrzyskiem pasmie. Przyjdą zdaleka, nadciągną z końca świata, przepłyną dookoła ze śpiewem i zginą. Oto dźwięk łaskawy twarz mu owiał leśną, jodłową wonią. Nim nadpłynął drugi, czoła dotknął błogosławionemi rękoma i trzeci, tamtych dwu towarzysz. Uczuwać powiew i ich zapach, dotknięcie, uczuwać na ustach, w sercu — tak było dobrze. Płynęły przyniesione na skrzydle anielskiem z dziecinnych lat... Zeschłemi wargami, nie wiedząc czemu, wymówił do Niego:

— Boże, bądź miłościw...

Serce nie szalało już teraz, jak zamieć zimowa, nie burzyło wiązań piersi, nie szarpało się, jak niewolnik w łykach. Szło znużonym, obojętnym krokiem wędrowca, przybywającego do głuchej mety, która gdzie jest i jaka... komuż wiadomo?... Zdało mu się tylko przez niewyraźne drzemanie, że owa meta to wąskie, długie, z czarnego piachu i skał międzymorze, gdzie jedynie drapieżny ptak czasami spoczywa. Zdawało mu się za chwilę, że on sam to jest nie co innego, tylko wicher bezgraniczny, lecący nad morzami. Wały pod

nim morskie, brunatne, równie pod nim, porznięte w szkliste skiby. Granitowe, ciemnowode wełny ubrały się w piany. Ląd zginął. Skaczą olbrzymie potwory, wiekuiście młode góry morza przez niski ląd z okrzykiem swoim straszliwym.

Huczą zielone fale przypływu, przebiegając wydmy czarnych piachów, pękają u tej samej mety i z niepowtórzonym jękiem, z okrutną skargą wydają z łon ten sam głos odwiecznej żałości, głos wypływający z ludzkiej duszy... W sercu zostaje pusta ciemnica, miejsce, skąd odszedł nawet żal, nawet wyrzut, niby miejsce w domu, z którego wzięto na barki i wyniesiono trumnę.

Nie jest już wichrem, lecz topielcem wywleczonym za długie, mokre włosy, z niezgłębionego odmętu. Ręce ma zimne, jak woda, nogi zdrętwiałe, oczy z lodu, serce nieruchome i obojętne bardziej, niż podwodny kamień, przez który spienione skaczą fale. Głowa spoczywa jakoby na czyjejś dłoni dobrotliwej, zaznając ciszy i nicości. Tymczasem drzwi się dawno otwarły, i dozorca więzienny, przestąpiwszy próg kaźni, postawił obok Rafała posiłek i wodę. Był to chłop barczysty w jakimś wyszarzanym, urzędniczym kostyumie. Skoro tylko stanął w progach, więzień przykuty zaczął go o coś błagać, jęcząc i skomląc.

Dozorca przez czas pewien śmiał się oschle. Miamlał przytem różne wyrazy niemieckie i węgierskie, polskie i słowackie.

— *Die schwerste! Jo... Die schwerste! Die Kerkerstrafe des dritten Grades... Ne mohu...*

Więzień znowu zaskomlał, jak pies. Strażnik ru-

szył ku niemu i kluczem żelaznym odemknął obręcz, która w połowie korpusu obejmowała skazańca. Zbój, spuszczony z łańcucha, stanął na nogi i zawył radośnie. Wyciągnął ręce do góry i rozprostował zgięty krzyż. Dozorca cofnął się do drzwi i zaparł je swoją osobą. Wtedy uwolniony zaczął biegać w kółko po izbie, dzwoniąc kajdanami ręcznemi i nożnemi. Zawracał w miejscu i skakał aż do sufitu, zwinnie, pomimo kajdan, wyrzucając nogi. Splótł ręce i założył je na tył głowy...

— No, Mocarny, potańcuj... Zbójnickiego! — mruczał dozorca, śmiejąc się po swojemu.

Góral puścił się w tan. Przeginał się w tył, ciskał naprzód, wywijał rękoma i skakał w prawo, skakał w lewo od jednej ściany do drugiej. Jego nogi w mgnieniu źrenicy dokonywały błyskawicznych skurczów i wygięć nie do uwierzenia. To elastycznie ginęły, to znowu, jak doskonała stal, kuły kamienne płyty posadzki. Prędko, coraz wścieklej miotała się jego oszalała głowa. Była i pod stropem i nad ziemią, leciała kołem. Czarna koszula migała to tu, to tam. Z piersi wypadał obłąkany krzyk, ptasie czy zwierzęce pogwizdywanie, pochutnywanie sylabowe wilcze czy rysie. W pewnej chwili ten ogromny chłop jednym skokiem znalazł się we framudze okna. Nim dozorca zdążył słowo rzec, giest uczynić, wdrapał się po murze, wszczepiając bose stopy w szczeliny między głazami. Uchwyciwszy się rękoma żelaznych prętów małego okienka, zawisł pod sufitem, jak pantera. Jego wychudła twarz, obwieszona pozlepianymi kudłami, przywarła do żelaznej kraty, a całe ciało znieruchomiało nagle i zastygło.

— Mocarny! Halt! Mocarny, ja tobie mówię! *Nieder!* — ryczał dozorca, chwytając go za bary.

Góral nie poruszył się i nie odpowiadał. Oczy jego były wlepione w widne na niebie, dalekie polskie góry. Długi, czarny policzek przywarł do zardzewiałych krat, włosy zwisły w tyle zadartej głowy długimi strzępami, jak nastroszone ptasie pióra. Tak wisząc w oknie, zaśpiewał, zaklął, zaszlochał:

»Ej, wirsycku, wirsycku, ej, dałbyk cię ozłocić,
E kieby mi się mogła, ej, moja wola wrócić...«

Był to krzyk przeciągły, prawdziwy krzyk z głębi duszy, wołający na góry, które żyją i czują. Całe podziemie, cały zamek napełnił ten głos. Zdawało się, że zatrząsł jego podmurowaniami i sufitem, kowanym w skale. Dozorca siepał się z więźniem. Ten, jakby zapomniał, gdzie jest, i co się z nim dzieje, śpiewał jeszcze mocniej:

»Ej, wirsycku, wirsycku, ej, dałbyk cię ozłocić...«

— Mocarny! — wrzasnął dozorca, bijąc go kluczami.

— »Ej, wirsycku, wirsycku...«

Udało się wreszcie strażnikowi grodu chwycić zbója za kołnierz i zwlec na dół. Stanęli obaj w smudze światła, tuż nad głową Rafała. Góral wstrzymał pilnowacza i, pokazując leżącego, spytał szeptem:

— Cóz to za człowiek?

— A kto jego wie? Taki sam pewnie zbój z gór, jako i ty.

— To ta nie zbójnik.

— No?

— To takisi sponiewierany ceper. Ka ta takiemu!...

— A skądże na nim cyfrowane portki zbójnickie, cucha i pas?

— Cy ja wiem skąd? Moze kany ukrad...

— Zbójom ukrad! To musi być chwat!

— Chwaty som ta jest wselnijakie.

Za chwilę góral, wtłoczony w obręcz, przykuty do haka, na swojem miejscu siedział już w kucki. Podbite obcasy strażnika zadźwięczały na chropawych głazach, zgrzytnęła zasuwa we drzwiach. Ucichł odgłos kroków na schodach.

Rafał oddawna ocknął się już był ze swego upadku, widział taniec i słyszał rozmowę. Wszystko, co przecierpiał, całe nieszczęście, którego udźwignąć już nie mógł, zwalił na głowę towarzysza kaźni. Gniew osobniczy wilka skupiał się w nim. Poczuł w duszy nową siłę, jakoby w mocnej dłoni poczuł nagle jedlca ciężkiego miecza. Zwolna przez jego głowę waliła się olbrzymia myśl, że to jest może jeden z tych, którzy się poważyli na nią, na tę, której już nie był w stanie wspomnieć... Zła krew zalała mu mózg i ogniem dymiącym napełniła żyły. Wstał ze swego barłogu i twardymi krokami zbliżył się do górala. Czuł w garściach dziką siłę do zduszenia gardzieli, która przed chwilą napełniła to miejsce podłym krzykiem.

— Słuchaj! — rzekł, stojąc nad zbójem — zaduszę cię, jak psa! Jesteś skuty. Nie ruszysz się. Zaduszę cię. Mów prawdę...

Góral skulił się, zwinął w siebie. Patrzał weń z mroku stalowemi oczyma. Milczał.

— Dawno tu siedzisz?

— Musi dawno!

— Ile czasu?

— Od siedmi roków siedzem.

— Od siedmi... — powtórzył Rafał głosem szyderczym, który się z niego samego natrząsał, jako wróg.

Spytał jeszcze:

— Za co siedzisz?

— Za co? A tobie na co wiedzieć?

— Nie powiesz?

— Co mi ta! Cłeku! Powim. Za cóz byk miał siedzieć, kiek dezenterował!

— Kiedy?

— He! Kie ja z wojska! Kęs casu, bracie. Wzieni me w halak. Kiecki nam koło usy pozaplatowali, portecki cywone dali i hybaj! Do pandurów. Pośłimy we Węgry, het! ku morzu, w takie straśne równie, pustacie, co nie daj, Boze. Wytrzymałek bez jeden rok, bez drugi, alek ni móg dockać końca, kraju... Telo me docliwiło, cok wzion i zdezenterował. We dnie jek sie krył, a na mroku leciał ku halom. Ale sie w jednem mieścisku, na węgierskiej stronie, do mnie przyznali. Wzieni łapać. Dopadli me w takiej wąskiej ulicce, zaparłek sie do muru plecami — byłek chłop! — wzionek skalami prać, byłbyk to poprał na kupe, nie daliby rady. Ale me śtukom wzieni. Zaśli me ze zadku, postronek na syje zarucili i łapili. Toz to w seści me bez miasto wlekli. Musiałek bez takom ulice biegać, co me z dwok stron bili. Cosi piećset kijów wsypali. Dobrze! Juści odesłali me z wartowniki do Preśburgu, do regimenta. Ale w drodze useptalimy sie z jednym

wojakem, co me wiód, co był z Luptowa, juści zdezenterowaliśmy oba. Kaz było iść? He, bracie! Co ino raz wiater nas obleciał, wiedzielimy ka! Dopadlimy do hal, uzdobierali sie, Luptak był za harnasia, i pośli na zbój. He, to było zycie honorne! Śli my w Polskom, cy ta na Węgry, na Śląsk, na Morawe, sedy nas było pełno, ale po komórak ludzkich pusto... Pandury a wojaki wse nam deptali po piętak, a ślakowali. Naostatek źle nam wysło. A syćko bez babe! Kto sie frajerek rad trzymał, ten niedługo zbójował. Zabawili my sie hań u jednej, nie skoro w nocy i po ćmie nas przysiedli. Piecioro uciekło — ja zaś w pazdurak im ostał.

— Cóż wtedy?

— W Sifcug, bracie.

— Cóż to jest?

— Nie wis? To sie lepiej ani nie pytaj...

— Ja się niczego nie lękam. Powiadaj.

— Sifcug, wis, to je tak: Hań, nad okrutnom wodom, nad Dunajem, ka Sigedyn, wis? som ta jest młacyska, bory straśne, topiele, co ik ani nie zgruntujes, ani nie przeźres, bo kansi idzie, aze do kraju świata. No, toz to nas hań przywiedli, śleje kie koniowi zarucili i wprzągli do takiego sifu ze siaciem, psenicom — jako padło. Sif wodom seł, a tyś sie po kraju potykał ciągnęcy... Kieś nie wytrzymał, a padł i skapiał, no, to cie hnet w tem błocisku zagrzebli. Ale to ta nic. Dy lekcej hań na dnie w borze gnić z pniakami, niźli tak zyć. Gorzej było, kieś zasłabł, a nie zdek i nie zdołeł iść, kie cie postrzał ozbił, abo ci gicale w tej młace pokręciło, abo gad uzar. Praśli cie

na tym sifie, i tameś cekał abo końca kary, abo śmierzci. Kie przyszła noc, toś, jako stał, pokalany po syje, w tyk stoplanyk gałganak, seleś spać Ale przód łańcuski na ręce, na nogi włozyli, a do belki przykuli. I takeś gnił w tym gnoju i gawiedzi, a zima cie trzęsła. Bo w tyk młacyskak, kie sie zmirkało, sła ze ziemie taka mgła gęsta, brzyćka, z takim pukem — to cie tak przejeno, coś zębami piknie kłapał, jako wilk. A na raniu, lemze malućko namieniało na świtanie, hybaj! we wode, w młacysko! A nie kces, to cie tak kijem dobili, coś nie kciał a wstał i seł, choć ci płacki z óc durkały...

— No, dobrze, dobrze... Słuchaj! A żebyś tak spróbował wydać kryjówki tamtych wszystkich. Lżejby cię sądzili.

— Ni! To ta nic nie płaci. Choćbyś sto razy prawde powiedział, to telo bedzie, co i przez niej. Wezmo cie na spytki, na męki.

— Na męki?

— Zje ba jakoz! To ino zabawa, kie ci myske na pępek pod garnusiem puścili. Więcej nie trza. Ale ja ta wolem dobrom, bo krótkom mękę, niźli długi kryminał.

— Słuchaj, a jakżeś wytrzymał, jakżeś wyżył tyle lat?

— Jakek wyzył? He, bracie, powiem ci jako... Mas tu siedzieć — ani nie wiem, coś za jeden — ale cobyś wiedział: syćko przetrzymies, ino trza wiedzieć sposób.

— Sposób?

— Na jedno musis przystać: abo sie głodem za-

mórz, łeb se o mur ozwal, abo kieś chłop, kie mas siłe w zyłak i kościak, to se upatrz takie jedno misce w sobie, chyć sie ónego pazdurami, — i trzym, a powiedz se tak: niekze ta! Niekze... Bij, kie mas wolom...

— Nic mi z twojej nauki... — rzekł Rafał, śmiejąc się ze swej doli gorzkim, ostatnim śmiechem.

— Bedzie cię biło rok, bedzie dwa. Ty się trzym! Nic nie pytaj. Stępi się to złe, kij mu się na drzazgi ostrzepie, straci władę i pójdzie se w dyasi. Nie dam ci rady, rzece, boś chłop! Insy bedzie niby w sobie tęgi, ale go bieda w miesiąc stępi, bo siły nijakiej ni ma, jako ten pniak w lesie: po wierchu mocny, ale go kopnij — ozleci sie, próchno z niego, jak ciasto. Taki se bedzie banował, a to na nic — to nagorse. Ty sie trzym! Choć i płono, choć i boli... Wytrzymies, nie bój sie nic. Ha, kie juz telo zdoles wytrzymać, to sie w tobie, bracie, siła zsiednie, jak krzemień. Włada na cie przyńdzie telo, co kazdej biedzie do gardła skocys... A zdusis! Hej!

ARCYKAPŁAN.

Pomimo uwag woźniców i rad najdoświadczeńszych a najśmielszych górali, książę Gintułt uparł się, żeby jechać dalej. De With ani się nie opierał, ani go nie zachęcał. Był wciąż tak samo obojętny, tak samo pozornie wesoły. Uśmiech, niezłomną potęgą woli wydobyty, uśmiech stworzony chceniem z nicości wesela, uprzejmy i trwały, pozostał na jego ustach taki sam, jak w zaraniu podróży. Wcześnie wyruszono z Waasen. Kilku wieśniaków szło przodem, żeby odwalać zaspy, jeśli gdzie drogę przecięły, a obadwaj podróżni wybrali się w ich tropy pod opieką trzech silnych Szwajcarów. Kiedy wstąpili w czeluść kamienną Reussu za Göschenen, przewodnicy nakazali surowe milczenie. Wszyscy szli wolno, skradając się na palcach. Pod chmurami, między szczytem a szczytem krzesanic, na zrębach i gzymsach, lekko i wdzięcznie przechylone w dół marzyły w słońcu lawiny. Śliczny poranek wyzłacał ich łapy złożone na krawędziach, szyje i głowy zwisające dla zasłyszenia grzmotów, skowyczeń, dzi-

kiego szumu i samotnej pieśni górskiej rzeki, która przeraźliwymi skokami miotała się w czarnych turniach, w śnieżnobiałych zaspach, między zielonymi soplami i wśród tafel lodów olbrzymich, jak same skały. Ze drżeniem, odsłoniwszy głowy, mijali Szwajcarowie dyabelski most, oślizgły przesmyk w otchłani, gdzie przeszywające gwizdanie Hutschelm'a oddech tamuje. Dwaj podróżni szli z przymkniętemi oczyma. Trwoga śmiertelna obchodziła ich wokoło. Z pod ścian, z głębi bulw i garbów zielonych soplów patrzały w nich oczy poległych w tem miejscu.

Potęga szumu zdziczałej wody powiadała dzieje boju. Kiedy noga za nogą idąc, przebyli most i kamienne galerye, de With podniósł oczy po swojemu sennie, w uroczystem oczynieniu przypatrywał się temu miejscu, skałom, rozjuszonej rzece i tajemnicom przeszłości, drzemiącym w czarnym cieniu.

— Jakiż to urok!... — rzekł do towarzysza.

— Prawdziwie...

— Mówiłeś mi, że miejsce bitwy, Lecourbe?...

— Tak jest, miejsce bitwy. Czy chcesz może, kochany, poznać dzieje zdarzenia?

Skinął głową z wyrazem mniemanej ciekawości, sztucznego zajęcia. Rzucił pośpiesznie oczyma po skałach, po drodze, po moście... Już za chwilę oczy jego utknęły w próżni i powlokły się ze wstrętem na kulach niedoli, swą własną drogą, jak żebrak, idący bez celu szlakami świata. Książę zamilkł.

Ruszyli dalej, ale tylko do Hospenthalu udało się im dotrzeć. Wnet słońce zaszło za garby Furki. Nikt z mieszkańców nie chciał słyszeć o drodze. Wypadło

tedy nocować w tej ostatniej mieścinie przed łańcuchem gotardzkim, dokąd sięga gwara niemiecka. W małej, starożytnej izdebce z krzywą podłogą, było duszno nad wyraz. Książę nie spał. Słyszał w drzemaniu wersety litanii do wszystkich Świętych, którymi, głośno je wyśpiewując, stróż nocny zaznaczał kwadranse mijających godzin. Skoro świt, ruszono dalej.

Szła już przez przełęcz gotardzką nowa, w roku 1800 zbudowana droga, ale w tym dniu śladu jej nie było. Zamiecie przywaliły dolinę niezmiernemi zaspami. Wpoprzek drogi i rozdołu, wiodącego na szczyt, runęły nowe, lodowate góry, nowe przełęcze, łańcuchy i doliny. Były to twory równie bezcelowe i niepojęte, jak węzeł łańcuchów górskich, które się tu schodziły z czterech stron świata. Jechali zrazu konno, potem przesiedli na sanie. Ale zimno nie dawało pobłażania. Na połowie drogi do szczytu puścili się piechotą. Brnąc w sypkim śniegu, a torując sobie wciąż drogę łopatami, posuwali się w górę.

— Jesteśmy w samem siedlisku przyrody na kalenicy dachu Europy. Jakże się to tutaj gmatwa kłąb jej pomysłów! Sama nie wie, co robi... — mówił książę.

De With uśmiechnął się łagodnie.

— Pocóż są te góry, te bezgraniczne, ledwie ogarnione myślą łańcuchy kamienia i przepaście? Pocóż są te zaspy? Naco była okropna zawieja, która je tu przyniosła?

Mistrz katedry patrzał w pole śnieżne czystemi oczyma, jakby szukając tam słów, które wyrzec należy. Wzruszył po dziecięcemu swą wielką głową i chrapliwym głosem, naraz zwróciwszy się do księcia, rzekł:

— Nie wiem.

— Dla człowieka, ażeby człowiek...

— Nic teraz nie wiem.

Na szczycie, około martwych jezior, które o tej dobie zginęły bez śladu pod lodami i zwaliskiem śniegów, zerwała się zamieć tak straszna, że obaj podróżni zwątpili o swem ocaleniu. Stali w samych chmurach, w lodowatej pracowni śniegu. Nie wiedzieli, czy dokoła nich krąży noc, czy dzień. Wicher straszliwy ryczał w trąby jaskiń niewidzialnych. Przelatując tamtędy z północy na południe globu ziemskiego, grał na harfie łańcuchów górskich, świstał w szczeliny lodowych pieczar, gdzie już nie masz życia. Gardziel przepaści wyrzucała w chmury chichotem drgający dech.

Serca biły przyśpieszonem tętnem, a nogi drżały. Napół skostniali, śmiertelnie znużeni, upadając co krok w lotne zaspy, przywlekli się do schroniska. Tam przewodnicy po długich mozołach rozniecili ogień, zgotowali wody i jaki taki posiłek. Zawinięci w futrzane płaszcze, podróżni spędzili tę noc na drzemaniu w pobliżu ogniska. Następnego dnia z równym mozołem zeszli do Airolo na włoskiem zboczu Alp. I tam leżały zaspy, a zadymka kryła światło. Najętymi końmi ruszyli co prędzej w dół przez Biasca, Bellinzonę, Lugano. Dopiero w lombardzkich nizinach wionęły ku nim powiewy italskich ogrodów i ciepłych mórz. Ziemia była jeszcze szara i zimna. Sennie nad jej mokremi płaszczyznami, dokoła nieskończonych rowów, stało drzewo oliwne, podobne do wierzb Północy. Ale już tu i owdzie lśniąca murawa płoniła się w ciepłem zaciszu przykop, zwróconych ku południowi. Wieśniak

wychodził do pracy w polu i z uśmiechem zdumienia a mimowolnej wzgardy poglądał na ciepłą, zabawnie obszerną odzież ludzi, przybywających z za gór. Nigdzie nie zatrzymując się dłużej, rozstali się podróżni na nizinach z rzeką Ticino, którą byli widzieli, gdy zlatywała potokiem ze śnieżnych jaskiń Gotardu. Przebyli leniwą, mułem i kamieniami zawaloną Po.

W pierwszych dniach marca dosięgli liguryjskich Apeninów i wjechali w ich wąwozy. Po górskich drogach wlokły się ładowne zaprzęgi o dwu olbrzymich kołach i prastarym, starorzymskim hamulcu, ciągnione przez osły, muły i konie. Woźnica trzaskał wesoło z bata, pędząc w doliny, gdzie spał perłowy zmrok wiosennych mgieł, wdzierając się na skaliste przełęcze i znowu lecąc na dół. Gdzie rzucić okiem, słały się oliwne gaje, powlekając srebrną szarością wyschłe, kamieniste pagóry. Lśniły się pod słońcem chropawe, jak zeschła ziemia, ściany domostw wieśniaczych. Po nadrzeczu tuliło się tam i sam zwarte, spiętrzone miasteczko o domach jasno-żółtych. Zwisał z ogrodowych murów przypołudnik o trójgraniastym liściu, a tu i owdzie kwiat jakoby naszego ostu wytryskał z jego zwojów. Potworny kaktus wwiercał w szczeliny skał i ścian szpony swych korzeni i wystawiał na słońce krzywe pazury łap rozpłaszczonych. Za żelaznemi kratami domów zalśniła kiedy niekiedy rabata lewkonii, przemknął dokoła twarzy cudowny odór gajów różanych, musnął oczy daleki widok kamelii w kwiatach, siejących dokoła swych ślicznych osób białe i ponsowe płatki uwiędłe. De With, który był w tym kraju po raz pierwszy w życiu, patrzał na wszystko okiem zga-

słem tak samo, jakby miał przed sobą ściany i piec zimowego mieszkania. Na szarą barwę jego twarzy gorący wiatr, przylatujący z za mórz, wywabił słabe rumieńce. Między zsuniętemi brwiami została posępna rysa. Wjechali w granice rzeczypospolitej Liguryjskiej niegdyś Genueńskiej. Góry były coraz wyższe, coraz bardziej skaliste...

Nareszcie po tylu dniach rozwarły się wyloty dolin, rozstąpiły się skały. Na widnokręgu lśniło się morze dalekie. Książę miał w oczach płomień, a okrzyk szczęścia w ściśniętych ustach. Nie mógł powstrzymać myśli, która, jako prawda nieujęta, niejasna, nie dająca się zawrzeć w słowie, rozpierała mu piersi. Rzekł wreszcie:

— Jakże obmierzłymi są kraje, w których los postawił naszą kolebkę! Oto jest ziemia godna człowieka. W niej się zamyka świat i jego dzieje. Przybiegliśmy do tych brzegów nietylko cieleśnie, ale duszami, tak samo, jak tu ciągnęły barbarzyńskie plemiona ze wszelkich obszarów i stron Północy, ze wschodu i zachodu. Nie mogę się zaprzeć... Kłamałbym, mówiąc inaczej: jeżeli kocham jaką krainę, to tylko tę. To jest ojczyzna mojej duszy... Spojrzyj...

Na krańcach widnokręgu wyginał się lśniący łuk morski, wiecznie napięty. Promienista strzała słońca leżała w jego cięciwie. Wzrok nurzał się w zieleni obszarów wodnych z taką rozkoszą, jak w powietrzu. Chwiały się fale w świetle, podzielone przez stęgi błękitne, jakoby na chóry anielskie, śpiewające pieśń morza.

Daleko, ze skalistych w dole brzegów, olbrzymie

pinie wychylały nad morzami czarne korony, a najdalej na cyplu kamienistym strzelała w niebo kępa cyprysów na podobieństwo pięciu czarnych płomieni. Z nicejskiego brzegu we mgle bielały liguryjskie Alpy, a na lewantyńskim czarną masą rozsiadły się Apeniny, chropawe od piargów, czarne, jakby spalone przez *sirocco* góry Rocca, Giugo, Santa-Croce...

— Genueńska zatoka... — mówił książę do siebie. — Melodyą fal swoich wykołysała dziecięce i młodzieńcze wichry marzeń, straszliwe burze żądz czynu Krzysztofa Kolumba. Jej to nawałnice ciosały w jego duszy wolę straszliwą. To ta zatoka wywiodła go w tajemnicze pustynie wód, w nieskończony, siwy ocean, w szlaki jego młodocianych marzeń, do Indyi... My nędzni ledwie wątłemi myślami zdołamy obejść te drogi przezeń odkryte, przepłynione aż do ostatniej granicy, skąd mógł napisać do królowej Izabeli te dumne, zaiste królewskie słowa: »Ziemia nie jest tak wielką, jak pospolity lud mniema; przeciwnie, ziemia jest mała«. To samo błękitne morze wyrzuciło ze swoich pian na ląd starego świata Korsykanina, pierwszego konsula, co teraz zbrodniami tyranii napełnia grozą Francyę...

De With grzecznie potakiwał, albo słuchał cierpliwie.

Powóz skierował się na prawo i biegł na główny gościniec, prowadzący do Genui. Wkrótce podróżni znaleźli się w jej wąskich ulicach, w tych ciasnych lochach, wiodących z góry w otwarte morze. Krótko tu jednak bawili. Celem ich podróży była posiadłość »brata« Vicini w okolicach miasta. Przebrawszy się w hotelu w suknie lżejsze i cieńsze, podążyli we wska-

zanym kierunku. Willa Vicini leżała na górze, obrosłej krzewami. Było południe, kiedy stanęli u wejścia.

Wpuszczeni do ogrodu przez starożytną, żelazną bramę, szli przez czas pewien w górę wąskim korytarzem, utworzonym przez dwa wysokie mury. Fale bluszczu przesadziły szczyty murów i, płynąc, kapiąc, wisząc soplami długimi aż do ziemi, uczyniły z tej drogi majestatyczny, a zarazem cudnie przychylny krużganek. U krańca jego były drzwi domu. Jońskie i korynckie kolumny bielały na słońcu, barwiąc dalekie tło ciemnych gajów niewymowną plamą. Służący prosił przybyszów, żeby zechcieli zaczekać na przebudzenie starego margrabiego w salonach dolnych, czy w ogrodzie. Wybrali ogród i poszli w górę po ścieżce wysypanej żwirem drobnych kamyków, które morze z dalekich stron przyniosło i na brzeg wyrzuciło, a pracowity człowiek na tej drodze rozsypał. Małe jaszczurki przebiegały słoneczne place, zatrzymując się chwilami i patrząc zielonemi oczyma na nieznanych ludzi. Ludzie Północy szli krok za krokiem, wielbiąc oczyma cudne drzewa, a raczej niewysłowioną ich piękność. W jednem miejscu mur był niższy, i można było, wspinając się na palce, zajrzeć na drugą jego stronę. Rósł tam na południowym stoku, ze wszech stron okolony ścianami, wirydarz owocowy. Wiosna go już dotknęła.

Jak senna rozkosz ukazały się przed oczyma pod przeciwległym murem wysmukłe rózgi brzoskwini, oblepione jasno-różowem kwieciem, które same liście wyprzedza. Stało pod słońcem. Książę zmrużył oczy od przelatującego ciało dreszczu. Marzył. Zdało mu się wskutek osobliwego złudzenia, że widzi jasną, niewinną,

zawstydzoną dziewczynkę lat piętnastu. Byłażby to jego siostra, czy inna, obca? Widział ją kiedy, czy nie? Taka właśnie, jak te gałęzie: wszystka różowa, skromna i siostrzanej duszy... Ma ją w oczach, a od tego widoku bezcennemi kroplami szczęście spływa w zaskorupiałe rany serca.

— Bądź pozdrowione, drzewko...

Całą przestrzeń zwartym gąszczem zarosły rozłożyste pomarańcze i cytryny. Każda gałązka była obarczona płomiennemi kulami dojrzewającego owocu. Jasno-srebrzyste cytryny liczne były, jak liście. Już figa puściła ze swego szczytu nowotne, wątłe, prawie białe listowie, a słodki kasztan pąki, które ozdobiły końce jego nagich a powikłanych gałęzi.

Weszli do parku. Stanął przed nimi eukaliptus z pniem prostym i wyniosłym jak maszt, ukazał się jego cielisty odziemek, który zrzuca korę na podobieństwo człowieka pod zwrotnikiem, zrzucającego ciepłą odzież. Sięgnął od stóp do połowy, zda się, wysokości góry. Tam, w wyżynie rozpostarł swe nieogarnione konary i gałęzie, pręty i liście, zwisające, jak u topoli, ciemne i twarde niby pergamin. Wychylił się z gąszczów bukszpanu laur kamforowy z małym i wątłym liściem i magnolia, olbrzymia jak lipa wielowiekowa. Co krok zastępowało drogę i zasłaniało pół nieba inne zjawisko. Więc w jednem miejscu chwiał ciemnemi sukniami i żółtymi kwiaty, liśćmi jakby wyciskanymi ze skóry, bukszpan, dziwny obraz świerka i mirtu... W innem, między garbami góry, dumały brazylijskie i afrykańskie palmy. Ich pnie chropawe i włochate, najeżone tarczami i kleszczynami, książę przywitał westchnieniem. Łuszczane kadłuby wydźwignęły

się w przestwór i miotały tam kity piór. Wśród ich gałęzi leżały już na złotych prętach żółte, okrągłe, tęgie gruzły niedojrzałych daktylów. Wkroczyli w głęboki cień. Podniósłszy oczy, ujrzeli niezmierne widły, odnogi i pędy libańskiego cedru o korze brunatnej ze srebrzystą tam i sam poświatą mchu, ze złotemi bulwami żywicznego obaru. Obwieszony niezmierną liczbą szyszek, obszar korony cedru tworzył sam z siebie puszczę. Stojąc na wyniosłości tej góry, patrzał już może w liguryjskie wybrzeża tysiąc lat, a może dwa tysiące, bo długości jego wieku nikt nie wie i nie zbada... Może gałązkę jego zasadził tutaj pierwszy żeglarz fenicki, może rzucił ziarno idący światami Żyd Wieczny Tułacz...

Tu i owdzie otwierały się między gajami rozległe, pochyłe trawniki, zamknięte ze wszech stron łączki, usiane kwieciem tymianku i rozmarynu. Z za drzew dochodził wesoły i niespokojny plusk małej fontanny i ciche szemranie wody, uchodzącej w głąb płaskiej cysterny z białego marmuru. Któżby się dziwił, gdyby na jego spotkanie wyszedł z wilgotnych, lśniących zarośli nagi faun o ciele brunatnem i włochatem, gryząc złotą pomarańczę i śmiejąc się z łotrowską rozpustą? Któżby się zdziwił, ujrzawszy na gzymsie marmurowym białe, jak on, ciałko nimfy? Ucho słuchało, czy nie odezwie się radosny głos piszczałek i krzyk wiosennej radości...

Przezierały w istocie z głębin liści białe ramiona. Ale to była podobizna człowieka, wykuta w marmurze. Kiedy zbliżyli się do tego wizerunku, ujrzeli, że źrenice jego i powieki były wyżarte przez czas i deszcz.

Patrzały bezkształtnymi dołami. Ust już nie było, a spięcie togi na obnażonem ramieniu było tak samo porosłe mchem, jak czoło i brwi.

— Śpij w spokoju, potężny patrycyuszu... — rzekł Gintułt, odchodząc z tego miejsca.

Z zadumy i znużenia wyrwał ich szelest listków cienkich jak jedwab, wątłych, gładkich i subtelnie kreślonych niby wodnymi znakami, a ruchliwych i czułych na każde tchnienie bardziej niż puch. Szept kończystych listków, gdy się jedne do drugich z trwogą tuliły ostremi w brzegu powierzchniami modrawej barwy, wzbudzał szczególną litość. Białe, równe, okrągłe pędy, poprzedzielane od reszty roślin, jak cudzoziemcy wyrzuceni na niegościnny ląd. Był to biały bambus. A dalej o kilka kroków czerniały, lśniąc i świecąc, i dzwoniły tą samą zaiste mową kępy czarnego.

Wskutek ciągłej wędrówki pod górę podczas upału przybysze byli bardzo znużeni. Siedli na kamiennej ławce. Książę Gintułt wydobył teczkę i jął przeglądać listy i papiery, które należało wręczyć »bratu« Vicini, skoro go według znaków poznają.

Wtem podniósł oczy — i papiery upadły mu z rąk na kolana. Naprzeciwko ławki, po drugiej stronie placyku, zasypanego szarym żwirem, stały cyprysy w grupie, tworzącej jakby czarną i ciemną kaplicę. Szczyty ich strzeliste, zionące w niebo ostrymi językami, schodziły się w górze. W głębi, pomiędzy ich pniami w mrocznej nawie, skąd ranna rosa jeszcze nie odeszła, stało rozłożyste drzewko rododendronu, na wysokość nie przechodzące wzrostu człowieka. Cała jego korona była w olbrzymich kwiatach, a wątłe listki ginęły między

nimi. Barwa kwiatów była karminowa, a w głębi kielichów ciemniejąca aż do najtęższego karmazynu. Wytryskała z cyprysowej ciemnicy, jak gdyby krzyk symboliczny, znak-zwiastun prawdy, pierwszy raz spadającej między rzesze ludzkie. Ten krzak ognisty, zionący najpotężniejszym ogniem przyrody, stał w swem ciemnem odosobnieniu, jakoby arcykapłan, wznosząc ku niebu tajemniczy, najwznioślejszy głos życia.

Obaj podróżni, wstawszy, zbliżyli się ku niemu. Z rozkoszą i czcią patrzyli na jego kwiaty olbrzymie, których głąb purpurową nakłuwają czarne znaki, jakoby ukąszenia ciemności. Książę Gintułt podniósł rękę i ułamał jedną gałązkę, otoczoną kwiatami. Podał ją mistrzowi. Ten wziął ją i przez chwilę trzymał w ręku ściśniętych. Oczy miał spuszczone na kwiaty.

Znagła ciężkie drżenie przebiegło całe jego wielkie ciało od stóp do głowy. Upuścił gałąź na ziemię i stał nad nią ze zwieszoną głową, jak nad otwartym grobem. Książę poznał jego cierpienie.

— Niema już, bracie, tej, — rzekł de With — która była godną tych kwiatów. Dla niej tu urosły. Ją wysławiają. Duch mój poznał...

Schylił się jeszcze bardziej, zgarbił. Splecione kurczowo ręce przycisnął do piersi. Z niewidocznych oczu jego padło na kwiaty kilka samotnych łez, a z ust te słowa ciche:

— Któraś wzgardziła mną i odeszła, któraś zdeptała głowę moją, i serce, i duszę moją... Odpuszcza ci się twa wina... Tak żywej, jako i umarłej. Niech będzie błogosławione szczęście twoje... We wszystkiem, coś uczyniła dobrego i złego... A jeśli już odeszłaś z ziemi, bądź błogosławiona... na wieki... Na wieki...

NIZINY.

Jednego z pierwszych dni września 1804 roku Rafał Olbromski wyszedł z dolin i lasów i zmierzał ku nizinom. Rok z górą przesiedział w więzieniu na zamku orawskim, jak pospolity zbrodniarz, aczkolwiek nie popełnił czynów, o które go posądzano. W ciągu kilku pierwszych miesięcy milczał wzgardliwie i nie chciał wymienić nawet swego nazwiska. Jako odmawiającego wszelkich zeznań, według nowej procedury austryackiej z roku 1803, karano ciężkiem więzieniem za samo milczenie. Nie mógł przecie inaczej. Musiałby był odsłonić całą nagość swego nieszczęścia, wykryć tajemnicę śmierci Heleny de With, opowiedzieć dzieje miłości i śmierci. Musiałby wydobyć z lochów wspomnienia cały sekret, zniesławić po śmierci tę, która z jego winy zginęła, dla uratowania swego życia, życia, co obmierzło... Powiedział sobie, że lepiej tak, jak jest. Leżeć w barłogu więzienia, aż koniec jakiś będzie! I wzgardziwszy samą śmiercią, czekał na nią obojętnie. Śmierć nie przyszła. Wysłała naprzód służebnicę swoją, chorobę. Tyfus więzienny porwał go w szpony i trzymał tak długo, jak

chciał. W trakcie tej choroby sprawa wykryła się nagle i prosto. Oddział piechoty — drugi regiment pandurów, Panalisten Croaten grafa von Nadasti, w kierpcach, czerwonych majtkach i baranich czapach, »ślakujący« zbójników nowotarskich, — wykrył podczas rewizyi w chacie gazdy, u którego Rafał czasu szczęścia przemieszkiwał, jego paszport i niektóre rzeczy. Zabiegliwy gazda pieniądze na wszelki wypadek dobrze ukrył, a o papiery dbał niewiele. Sędzia obieralny, prowadzący na Węgrzech w komitacie najbliższym sprawy zbójeckie, otrzymał te dokumenty po upływie znacznego przeciągu czasu, domyślił się jednak odrazu, że należą do tajemniczego więźnia. Stwierdzenie tożsamości osoby było już tylko kwestyą czasu. Kiedy w chwili badania sędzia wymienił jego nazwisko, ten zadrżał i wlepił weń oczy ślepe z boleści. Ale za chwilę, gdy go pytano, gdzie jest kobieta, z którą, według świadectwa gazdy, mieszkał na podhalu, skłamał z prostotą, szczerością dziecka i nadzwyczajnie bezczelnym sprytem, jakoby to było dziewczę lekkich obyczajów, spotkane przezeń na ulicach Krakowa. Sprzykrzywszy ją sobie, wygnał. Oto wszystko. Poszła do miasta z płaczem. Gdzie jest obecnie, tego nie wie. Zapewne w spelunkach miejskich prowadzi swe rzemiosło. Przebranie swe za zbójnika wytłumaczył łatwo i jasno, umiejętnie przeinaczając szczegóły rzeczywistego wypadku. We wrześniu puszczony został na wolność. Jako szlachcic, nie otrzymał nawet zwykłej porcyi kijów, którą prawo austryackie żegnało swoich pupilów więziennych. Z całego dostatku otrzymał paszport swoj pruski i kilka strzępów zbójeckiego ubrania, w które nie sposób było się odziać.

Dozorca więzienia z litości darował mu, co mógł zbyć bez żalu: zdarte, zawadyackie buty węgierskie z cholewami, kaszkiet urzędowy pozbawiony oznak, wreszcie krótki i wyszarzany spencerek furmański. Tak odziany Rafał wziął kij w rękę i ruszył z tego miejsca. Kiedy minął żelazne drzwi zamczyska, nie obejrzał się poza siebie. Czmychał, jak lis, którego rana się podgoiła. Co pary w piersiach, dolinami Wagu... przed siebie! Był zniszczony do ostatniej kości, zniweczony do ostatniej żyły. Twarz miał żółtą z sinemi plamami, nalaną, opuchłą, włosy przerzedzone, brodę zarosłą. Był tak słaby, że nogi w goleniach wyginały się pod nim, kolana same raz wraz leciały ku ziemi, a w dłoniach czuł wciąż ogień, jakby w nich ściskał dwa płomienie żywe. Jedna w nim tylko była chęć mocna i niewzruszenie twarda: — Uciekać! Rwał też bez wytchnienia. Czasem na wozie Słowaka, wspinającego się w górę po drzewo, odpoczął i skrócił sobie drogę o zuchelek. Czasem przysiadł na rozworze bryki żydowskiej i niepostrzeżony przemknął kilkaset kroków. Wśród nieopisanego mozołu przedostał się dolinami ku Czaczy. Miał w tem miejscu odpocząć, ale ujrzał przy drodze kamienny słup z obrożami na łańcuchach do zamykania szyi a rąk skazanego na pręgierz, więc w nocy kopnął się dalej. Naprzełaj, rzadko kiedy dopytując się o drogę, ciągnął ku Krakowu. Omijał trakty, szersze drogi, ludne wsie, aby go zaś kto nie poznał i nie zaczepił. Jeśli noc była ciepła, nie dżdżysta, sypiał w stogach siana, w kopach potrawiu, pod stertami zboża. Pożywiał się, jak mógł. Zachodził na odludne plebanie kościelne i, udając wędrownego Słowaka, który w »Polskom« idzie za zarob-

kiem, zdobywał miskę warzy, albo kromkę chleba. Lepiej nieco podjadł sobie u braciszków w pewnym klasztorze, gdzie mu dano nocleg pod dachem; później tylko w ostatniej potrzebie zbliżał się do ludzi. Kilkakroć udało mu się nakopać rzepy, albo kartofli w odległem stajanku i upiec je na zaraniu w jałowcowych gąszczach. Do chłopskich mieszkań wstępował kilkakrotnie w ostatnim głodzie. Słowo prośby, zwrócone do pańszczyźnianego chałupnika, nie mogło mu przeleźć przez gardło. A jednak musiał żebrać i jadł chłopskie kluski z mlekiem, zapraszany życzliwie do misy. Rozpowiadał kmetonom żałosne, a z przedziwnym artyzmem zełgane historye, i bawił się żywo rozdziawionemi gębami słuchaczów.

Nareszcie wzgórza poczęły się zniżać, doliny rozciągać szeroko. We mgłach stanęły przed okiem równie omglone...

Rafał powitał je z niewysłowioną radością. Jego nienawiść do gór równała się teraz ich wysokości. Niziny zapowiadały coś lepszego, odmianę, nadzieję...

Był pochmurny dzień. Obłoki o kształtach ledwie dostrzegalnych grubą nawałą zaścielały niebo. Posępna ich barwa ścigała i tępiła wypieki schorzałego światła, co się gdzieniegdzie chyłkiem przekradało w przestrzeni. Północno-zachodni wiatr nadlatywał i zacichał, miecąc po polach przewiędłe i zeschłe źdźbła. Naokół stały ścierniska opustoszałe, czerniejące, brunatne od krwawnika. Tylko zarośla wysokich ostów zostały na miedzach po to, żeby wiatr mógł obdzierać ich posiwiałe kudły i roznosić po świecie. Tam i sam stojące wysmukłe brzozy nie straciły jeszcze letnich liści, ale

kuliły się już i gięły bez dziewiczego wdzięku, gdy wicher podwiewał ich nadobne, strzępiaste suknie. Rzadko gdzie leżały jeszcze na zagonach krwawe liście tatarki i gęsto czerniały badyle ziemniaczanej naci.

Szedł przez bezpłodną piaszczystą okolicę. Wlókł się suchymi lasami po niezmierzonych wrzosowiskach, które, jak oko sięgło, okrył prześliczny kwiat liliowy, po zeschłych mchach, trzeszczących pod nogą. Czasami las się otworzył i okazywał rudą przestrzeń piachów, porosłą ciemnemi kępami jałowca.

Wąski szlak przemykał się kręto między krzakami, a na nim dwie zastygłe koleiny, wyorane w piasku i dawno przybite od deszczu, prowadziły do wsi dalekiej, z chatami krytemi słomą, szaremi, jak szarym jest piach i mech. Niekiedy wśród tej przestrzeni tak pustej, jakby poto tylko istniała, żeby deszcz przelatujący temi stronami miał na co padać, ukazywało się stojące między wydmami miasteczko, to znaczy — kościół wyniosły, a dokoła niego komunikiem zwartym żółtawe typy stodół. Nad dachami kilka wielkich drzew obłamanych u dołu. A dalej znowu przymglony widnokrąg. Z niego przywykłe oko wydzieli mgliste smugi lasów, bliżej niebieskie ich pasma i szare, suche szkielety topoli a wiązów, sterczące na straży jakiegoś folwarku. Głuchą ciszę przerwie tylko zdala niesione naszczekiwanie psiny, która kwaśnym, ochrypłym dyszkantem złości się na swoją dolę. Czasem wrona przelatująca wystraszy się śmiertelnie, ujrzawszy niezwykłą posturę wędrowca, i z wrzaskiem poszybuje do najbliższej kniei.

Ta chmurna, spłowiała strona o barwie obłoku,

nie zawierająca w sobie nic zgoła, przygarnęła wędrownika, jak żywioł rodzimy. Wciągał płucami jej powietrze i nie mógł się nasycić widokiem. Po stokroć przystawał; nakrył, bywało, ręką oczy od światła i patrzał. Czuł pieszczotę tego widoku prawie fizyczną. Było mu cieplej. Odczyniało się samo przekleństwo uroku. Żeby tak jeszcze posłyszeć swoją własną, sandomierską gwarę, swój domowy akcent, żeby tak dobrnąć do swego dnia i swojej nocy!

W pewnem miejscu drożyny uboczne wywiodły go na ludny gościniec, na bitą, szeroką drogę. Boczną ścieżynką, twardym szlaczkiem ludzi ubogich, szedł szparko, nóg nie żałując. Był do kolan zbłocony, schłastany przez wiatr, przeziębły do szpiku kości, a głodny, jak pies bezpański. Raz w raz waliła tym gościńcem to kareta czterokonna, to bryka krakowska, to lekka wolantka. Szły fury frachtowe, wlekli się najętemi szkapami pejsaci Żydzi. Pod wieczór ukazała się przy tej drodze w szczerem polu murowana oberża, przed którą niemal wszyscy podróżni zatrzymywali się na dłużej. Rafał, niewiele myśląc, aczkolwiek złamanego cwancygiera nie miał przy duszy, przesadził rozciapane bajora wejściowe i wkroczył do głównej stancyi. Była to izba ogromna, wilgotna, zimna i pusta. Pod ścianami stały szerokie ławy i ciężkie stoły na skrzyżowanych nogach. W jednym rogu mieścił się szynkwas z wódką, piwem i pewną kolekcyą zardzewiałych kiełbas. W subtelnych półcieniach antałków uwijał się chudy człeczyna z oczyma krzywoprzysiężcy, biegnącemi na wszystkie strony. Indywiduum to milczało zawzięcie i było złe jakby jego goście byli członkami band karpackich.

Rafał kiwnął karczmarzowi niedbale głową i usiadł sobie wygodnie w ciemnym kąciku. Zapach kiełbas przewracał mu kiszki i doprowadzał do głodowych mdłości, a odór wódki sprawiał szum i zamęt w głowie. W karczmie siedziało kilkoro prostactwa. Jakiś furman grał w zatłuszczone karty ze sługusem w liberyi, drąc się i swarząc. Leżały przed nimi pieniądze. Obok stały półkwarcia z piwem. Kurzył się na misce tłusty schab, i wódka szkliła w zielonej flaszy.

Olbromski podlegał napadom potyfusowego głodu. Domyślał się, że za chwilę coś przedsięweźmie: wydrze mięso foszmanom, albo zerwie kiełbasy, wiszące w półmrokach szynkwasu, i połknie je w mgnieniu oka... Siedział przecie jeszcze znieruchomiały, jak jastrząb na żerdzi, i przewracał oczyma, szukając, coby rozszarpać. W pewnej chwili, daleki od samowiedzy, co się z nim dzieje, wstał, ociągając się, poziewając nieszczerze i z odległości, a hardo spytał oberżystę:

— Słuchaj-no... te... jegomość, masz tam co do jedzenia?

Szynkarz zatrzymał się w swych kieliszkowych czynnościach i, wykłuwając zęby z karygodną niedbałością, odparł zapytanie zapytaniem:

— A cóżbyś tak... te... jegomość... kazał?

— No, coś z mięsiwa. Z mięsiwa! Z gotowanego, smażonego...

Karczmarz pomilczał chwilę, jakby wyliczał sobie w głowie szeregi potraw, następnie zmierzył drapichrósta, nikiej łokciem, i odrzekł:

— Nie. Nie mam mięsa ani gotowanego, ani pieczonego.

— A to, co zajadają tamci? To skąd?

— Co jedzą tamci? Tamci jedzą gotowane.

— No, to i mnie podasz zaraz, co tam masz upitraszonego, i kwita — wrzasnął rozkazującym tonem. — Słyszałeś, wasan?

— Słyszeć, słyszałem...

— No, to żywo! Bo czasu nie mam.

Karczmarz wycierał pracowicie jakąś szklankę.

— Myślisz może, że nie mam czem zapłacić za twoją chabaninę? — dodał Rafał z pogardą tak szczerą, jakby miał kieszenie pełne dukatów, zgoła nie wiedząc o tem, że nie ma przy duszy jednego grosza.

— Ja nic nie myślę — mruknął oberżysta. — Płacić to płacić. Co mam dawać?

— Dawaj, co masz, tylko żywo!

Mówił to z najzupełniejszym spokojem, ani myśląc, co będzie dalej. Byleby tylko jeść! Jeść kupę mięsa, które się dymi, chleba, co trzeszczy w zębach...

Grający w karty, nie przerywając swej zabawy, zwracali spojrzenia w stronę sierdzistego oberwańca. Z uśmiechami pobłażania i mrużeniem ironicznem powiek zwierzali sobie nawzajem jakieś o nim ciche półsłówka.

Karczmarz wyszedł małemi drzwiami do tajemniczych ostępów swoich, a jego miejsce zajęła blada dziewczynina w brudnym fartuszku i zdartych trepciach. Rafał szybkim ruchem zbliżył się do graczów i kiwnął głową na przywitanie, jak to szlachcic, posiadacz ziemski, kiwnie czasami z łaski a dobrej woli głową, odpowiadając na ukłon pracowitego wieśniaka. Tamci odpowiedzieli na ten niby ukłon w sposób niezdecydowany,

ni tak, ni owak, i grając wciąż, pochrząkiwali i pokaszliwali, nie wiedząc, jak sobie począć. Rafał zajrzał w karty z wyniosłością, której, mimo usiłowań, nie mógł w sobie przytłumić.

— Nędzna jakaś dziura to karczmisko.

— A bo i pewnie... — odrzekł furman.

— Wasan tutejszy jesteś? co?

— Nie, ja nie tutejszy.

— A zdaleka?

— Zdaleka.

— To jest skąd?

— No, a wasaneś skąd?

— Ja idę od węgierskiej strony wprost na Kraków.

— Od węgierskiej strony? — z niejakim szacunkiem zapytali gracze.

— Ba, ba! Od Pesztu... Od... Czaczy — dodał ciszej.

— Sztuk drogi! Nawet nie umiem wyrozumieć, gdzie to być może.

— Żebyś wiedział! Człowiek się setnie zmitrężył, a tu jeszcze ten łajdak jadła nie daje.

— No, on tu pewnikiem w te pędy wyniesie...

— Jak też on to przyrządza — zadał sobie pytanie, spoglądając z ukosa na »boczek« wieprzowiny, leżący na misce.

Nie pytając się o pozwolenie, odłamał partyjkę chleba, ukrajał porządny gnat mięsa i zaczął prędko i kategorycznie próbować, jak też smakuje. Okazało się, że owszem, jako tako. Wobec tego nalał sobie kieliszek wódki i wychylił go niedbale, przepijając do oszołomionych dworaków.

— Jeść mi się chce dyablo, a tu jeszcze ta po-

kraka marudzi... — mruczał, zabierając się do lepszej, tłuściejszej części boczku.

Chleb znikał w jego ustach ogromnemi skibami.

— Wasan u kogo służysz? — zapytał furmana, nalewając sobie drugi kieliszek z jego butelki.

— A ja tu czekam na pana.

— Co za pana?

— A czekam z rozstawnymi końmi... — odrzekł woźnica, w głupkowatem osłupieniu patrząc na praktyki Rafałowe.

— Pan wasanów skąd jedzie?

— Z Wiednia.

— Jakże się, u kaduka, ten pan nazywa?

Furman zawahał się przez chwilę, a później udając, że nie dosłyszał pytania, zwrócił się do towarzysza:

— No, teraz ty dajesz...

Olbromski nie nastawał.

Karczmarz wyniósł wreszcie ze swego laboratoryum żelazną rynkę na trzech nogach i podał gościowi skwarzący się w czarnym tłuszczu kawał dyabelskiej kiełbasy, oraz partykę razowego chleba. Przedziwny był smak i uroczy zapach tej potrawy! Rafał zmiótł ją do ostatniej kruszyny, a tłuszcz do kropli wytarł chlebem, głodu jednak nie uspokoił. Był o tyle pewniejszy siebie, że mógł pomyśleć, co przedsiębrać dalej. Zaczął od oględzin karczmarza i wymiaru jego sił na wypadek walki, gdyby przyszło bez pożegnania z karczmy czmychać. Miał zamiar znowu zbliżyć się do stangretów i skorzystać z nich w jaki sposób. W tym celu przysuwał się do nich, gdy przed gospodą rozległ

się łoskot i tętent zajeżdżającego powozu. Furman i jego towarzysz wyjrzeli przez okno i na łeb na szyję rzucili się do drzwi.

Wędrowiec żywił marzenie, że uda mu się skorzystać z rwetesu i wypaść za drzwi, ale przezorny właściciel kiełbas stał sobie pobożnie u wejścia i skłaniał już grzbiet przed niewidzialnymi jeszcze przybyszami. Nie pozostało nic innego do zrobienia, tylko zaszyć się w ciemny kąt i czekać na uśmiech fortuny. Drzwi otworzono szeroko, i zwolna wszedł do stancyi wysmukły pan, modnie i pięknie ubrany. Jego kapelusz, płaszcz, wysokie buty z cholewami, aczkolwiek zabłocone i pomięte w drodze, czyniły w tej karczmie wrażenie przepychu. Młodzieniec rozejrzał się po izbie przymrużonemi oczyma i zaczął jednego ze służących rozpytywać się o zdrowie swej rodziny, o dom i tysiące drobiazgów. Znać było, że wraca z dalekiej podróży i po długiej nieobecności.

Olbromski przypatrywał mu się z bolesnym strachem. Od pierwszego rzutu oka poznał tego człowieka, ale jeszcze pocieszał się, ile mógł, że go oczy mylą. Był to Krzysztof Cedro, towarzysz ze szkoły sandomierskiej, powiernik i przyjaciel... Głuchy wstyd, ruszt rozpalony wsunął się pod ciało byłego więźnia. Ogarnęła go jakby matnia wielkiego włoku niedoli. Oto najgorsze, co mógł jeszcze przeżyć: zetknąć się z dawnym kolegą w takiej odzieży, w takiem położeniu i w takiej chwili! Nie mógł już nawet uciekać, gdyż hańba jego stałaby się jeszcze bardziej głośną i jawną. Zakrył twarz dłońmi.

Tymczasem Krzysztof Cedro zrzucił płaszcz i cho-

dził po izbie, zadając służącym pytania. Gdy tak z kąta w kąt defilował, spostrzegł Rafała. Zwrócił się zaraz do oberżysty i zapytał, czy na czas swego pobytu w zajeździe może być sam. Zapłaci za to, ale chce zjeść posiłek bez świadków. Karczmarz w podskokach przybiegł do Rafała i więcej niż dobitnie żądał zapłaty, tudzież wyniesienia się za drzwi. Wędrowiec wolno dźwignął głowę i rzekł mu przez zęby, że nie myśli wychodzić.

— Zapłacę ci, kiedy zechcę, i wyjdę, kiedy zechcę, a teraz bądź łaskaw odejść ode mnie, jeżeli chcesz nadal mieć całe oko i wszystkie zęby.

Oberżysta skrzywił się, a jego szczęki zadrżały, jak u psa.

— Słuchaj-no, człeku — rzekł szeptem, dobrotliwie: — idź zgodą. Zawołam parobków i na przykładek każę ci gnaty połamać. Co ci po tem?

Odraza do tej nędzy zbudziła w piersi Rafała wybuch postanowienia. Pojedyńczym ciosem z dołu huknął karczmarza w brodę z taką siłą, że ten odleciał aż pod szynkwas. Potem wstał i zbliżył się do Cedry. Stanął w świetle okna i rzekł:

— Czy też mię poznasz, koleżko Krzysiu?

Cedro z okrzykiem żachnął się w tył i, wydobywszy szkiełko w rogowej oprawie, zaczął mu się przypatrywać, zlekka otwierając usta.

— Krzyś!... Sandomierz, Wisła, nocna wycieczka pod Zawichost...

— Rafał... — rzekł tamten zcicha, zbliżając się ku niemu i wytrzeszczając swe krótkowzroczne oczy.

— Ten sam, bracie...

— Cóż ty tu robisz? — mamrotał z przerażeniem,

oglądając jego kostyum z góry na dół, z dołu do góry, unikając widoku twarzy.

— Historya długa, a świadków zbyt wielu. Czy chcesz mi dopomódz w nieszczęściu?

— Ależ!... Na miły Bóg... Rafuś... Olbromski... To on!

— Wszystko ci powiem zczasem, tylko mię o nic nie pytaj.

— Jedno mi powiedz, na Boga! Skąd się tu wziąłeś?

— Idę w stronę Krakowa.

— Idziesz?

— Tak.

— Czemuż, na Boga! idziesz piechotą?

— Bo jestem w ostatniej nędzy.

— Rafał!

— Umieram z głodu.

— Miłosierny Boże! Jacek, puzderko! Waluś... — wołał Cedro, nachylając przed Rafałem swą piękną twarz, jakby z zamiarem oddania mu pocałunku.

Wnet jednak cofnął się gwałtownie i z odrazą, uczuwszy fetor bielizny, zgniłej na ciele i okropnego potu więźnia.

Służba wniosła puzdro z zapasami podróżnymi, rozłożyła obrus, i za chwilę Rafał wobec zdumionych świadków jego nędzy pił chciwie burgunda, pożerał kurczęta, pieczyste i przysmaki. Cedro sam usługiwał mu z nerwowym uśmiechem. W pewnej chwili odwrócił się do służących i namyślał... Rzekł do karczmarza:

— Nie macie tutaj osobnej stancyjki?

— Nie, jaśnie panie, osobnej niema.

— W takim razie...

Podniesionym głosem zakrzyknął:

— Prosiłem, do pioruna! żeby stąd wszyscy wyszli. Chcę zostać sam na sam z przyjacielem. Przynieść mi tu walizę, i wszyscy precz!

Wkrótce Rafał ujrzał bieliznę kolegi rozłożoną na stole

Cedro rzekł:

— Sam nie wiem, co robić... Niepodobna, żeby mój człowiek i furman wiedzieli, że przebierasz się w moje suknie. Chyba zostań w tem, co masz na sobie. Tylko co tchu zmieniaj bieliznę!

Odwrócił się i zaczął pilnować drzwi, a Rafał przebierał się tymczasem. Ohydne, zgniłe gałgany, które miał na sobie, zwinął w kłąb i zatrzymał pod połą kubraka.

— Dawaj tamto!—syknął Cedro.—Sługa wyrzuci...

— Nie!

— Dawaj, to ja sam...

— Nie, to tylko ja sam mogę wyrzucić... — wyszeptał Rafał z uśmiechem krwawego szyderstwa. — To jest moje dotychczasowe życie. Tylko ja sam mogę je odtrącić...

Wstał od stołu i wyszedł na dwór. Obszedłszy karczmisko dookoła, znalazł gnojówkę i rzucił tam swoje wstrętne zawiniątko. Uczyniwszy to, oparł się o mur i w ciągu krótkiego momentu przemyślał bardzo wiele. Czuł wciąż na piersiach swych leżącą zdradę, jak płytę z granitu. Chciał się otrząsnąć i w nadchodzący spokój uwierzyć, ale mógł to uczynić o tyle, o ile chore ramię może udźwignąć bryłę granitu. Ciężko westchnął i wrócił do towarzysza. Ten już zabierał się do dalszej drogi.

— Mówiłeś mi, — rzekł — że dążysz w stronę Krakowa. Ja pędzę wprost na Tarnów, do siebie. Kraków omijam. Ale jeśli ci na tem zależy, walmy na Kraków.

— Broń Boże! — zawołał Olbromski. — Nie pragnę bynajmniej widoku Krakowa.

— Powiedz mi... Czy później... to jest, czy miałeś zamiar wracać do domu, do Tarnin?

Rafał namyślił się głęboko. Rzekł zwolna:

— Prawdę mówiąc, to żadnego nie miałem zamiaru dziś, wczoraj, onegdaj... Myślałem o tem, żeby z głodu pod płotem nie zamrzeć...

— Zlituj się!

— Juścić pewnie, że trzeba będzie do domu.

— Słuchaj!...

— Choć w tym nadzwyczajnym kostyumie wracać w progi rodzinne... Brr!

— Otóż to właśnie, otóż właśnie! — wołał z pośpiechem Krzysztof.

— Ale cóż mam czynić? Jestem, jak trup. Przebyłem bardzo ciężką chorobę...

— To samo właśnie miałem na myśli. Słuchaj — jedź do mnie!...

— Jakto? do Olszyny?

— Do Olszyny, nie do Olszyny, ale wprost do mnie. Mam własny folwarczek.

— Masz własny?

— Jakże? Stokłosy!

— Bój się Pana Boga... Wstyd mię wracać do rodzinnego domu, a jakże ja pojadę do ciebie! Co na mój widok powie twój ojciec?

— Przedewszystkiem pojedziemy do Tarnowa Tam się przedziergniesz w eleganta pierwszej wody. Chodzi tylko o to, żeby służba nic nie wiedziała. Co zaś do ojca, to wierz mi, że przyjmie cię, jak rodzonego syna. Wszakże jesteśmy w kuzynostwie. A zresztą... Rafałku, błagam cię...

Powiedział to głosem dawnym, dziecięcym, sandomierskim.

— Radbym z duszy serca, ale zważ tylko...

— Wszystko rozważam. Przecież mówię ci, że mam swój własny folwark. Tam mieszkam i robię, co mi się żywnie podoba, wróciwszy z Wiednia.

— Wróciwszy z Wiednia... Czy ty stale w Wiedniu mieszkasz?

— Czy stale? Prawie...

— Co tam robisz?

— Co robię?

Przeciągnął się i uśmiechnął z goryczą.

— Robić nic nie robię, ale... staram się...

— O pannę?

— Na szczęście jeszcze nie o pannę. Choć i to wkrótce spadnie na moje barki.

— Jakże to?

— Na teraz, uważasz... staram się o szambelanię...

— Bagatela!

— Ale *à propos*... Dochodziły nas wieści, że bawisz w Warszawie, że się ocierasz o najlepsze towarzystwo. Ktoś nawet wspominał, że należysz do kompanii z pod Blachy.

— Tak, tak... byłem w Warszawie... Ale to już dawne czasy.

— A masz zamiar wracać tam kiedy?

— Do Warszawy? Przenigdy! — zawołał z ponurym na czole marsem na wspomnienie księcia Gintułta, masonów i ich przewodniczącego.

Teraz dopiero pomyślał, że powrót do Warszawy i wogóle w granice Prus Południowych groziłby mu kryminałem, a co najmniej śledztwem z powodu zaginięcia pani de With. A na samo wspomnienie więzienia krew ścinała się w jego żyłach. O tak! Zniknąć w odległym folwarku przyjaciela, zaszyć się w głuszy, przypaść w kotlinie między zagonami, jako zaszczuty szarak Nie wiedzieć o niczem, o niczem... Podniósł na Krzysztofa oczy i rzekł:

— Jeżeli ci to będzie na rękę, to z rozkoszą, z prawdziwą rozkoszą pojechałbym do ciebie.

— *Voilà*. To lubię. Jacek, zakładać!

Wkrótce wygodna wolantka, ciągniona przez kasztany w lejc zaprzężone, unosiły ich tym samym gościńcem w dal zasnutą sinymi lasami. Olbromski miał teraz to, czego tak pragnął: nie wiedział o niczem. Okryty był burką przyjaciela, i ta go chroniła od deszczu, który tego dnia był mu wrogiem osobistym. Nie czuł głodu, ani pragnienia. Znużenie wyciągał ze strudzonych kości miarowy, rozkoszny ruch.

Zanosiło się na deszcz, i lekkie krople niekiedy muskały po twarzy. Wiatr rzeźwy i coraz surowszy powiewał. Wskutek odrębnych dziejów uczucia Rafał teraz dopiero zaczął pojmować swoją niedolę. Patrzał na ścieżkę, biegnącą brzegiem błotnistego gościńca, i widział tam siebie. Czuł swe schorzałe nogi w łachmanach, użebranych w więzieniu, jak idą po twardym

gruncie Spoglądał na gliniane przykopy i dostrzegał jeszcze swe podłe nędzne, plugawe uczucia, łachmany gnojowe. Wzbierał w nim bezprzykładny gniew i bunt. Z całej duszy i ze wszystkich sił szukał winowajcy, ofiary...

Dzielne konie parskały, żwawo i ostro sadząc gościńcem. Kadłuby furmana i lokaja miarowo, sennym ruchem, kołysały się w prawo i w lewo, do taktu z wahaniami pojazdu. W miarę tych ruchów w duszy Rafała tworzyć się poczęły fale myśli tak niestałe, jak nachylenia wolantki, zależne od czegoś z zewnątrz, od byle trącenia do taktu. Płynęły długiemi smugami, jak muzyka niestała, podarta, poszarpana, niepewna minuty, niepewna sekundy.

Oto pola, pola żałobne pod jesień. Zbróździły je już nowe zagony. Żółta, czerwona glina wybija się w nich z pod jałowej szarości piachu, sama bardziej od niego jałowa. Przewracaj, pracowity kmiotku, ten szczery piach i szczery ił, przewracaj do ostatka drewnianą sochą! Zlewaj go potem i łzami, zasypuj chudem ziarnem, odjętem od ust dzieciskom w brudnych gałganach...

W szczerem polu, na ugorze, pasą się dwie krowiny, a obok nich kuca na ziemi pasturka, workiem od deszczu i ziąbu nakryta, podobna zdala do szarej skiby, czy do kamienia polnego. Bose nogi, nagie kolana podwinęła pod się, ręce wtuliła w zanadrze, okryła się wystrzępioną spódniczyną. Grzeje się jak może, to workiem, to płaczem, to piosneczką dziewczyńską:

Oj, da moja, da-da-da!
Oj, da-da-da da moja...

Oto ugór, tak widać nędzny, że go tknąć nie chcą ręce niczyje. Trawa go ledwo, ledwo porasta. Na zagonach strzelają proste, wysokie, złote dziewanny. Teraz okrywa je jasno-żółty kwiat — złotogłów. Kwiat nędza. Zatknij go sobie za śmierdzącą czapczynę, kmiotku pracowity, gdy idziesz z karczmiska na rozstajnych drogach! Niech się serce twoje rozweseli, a oczy roześmieją do szczerozłotej dziewanny — nędzy...

Jarząb przydrożny. Niższe gałęzie obłamane ręką pracowitego, gdy idzie z karczmiska na rozstajnych drogach. Wydarte z pnia wiszą i suchymi listkami szeleszczą. Na wysokich, na niedostępnych rózgach płoną cierpkie jagody, wyszczerzając się z pomiędzy liści żółtych i rumianych, jak śmiech obrzydły nie do zniesienia...

Z obu stron drogi zbliżały się coraz bardziej ku jadącym skrzydła rozległe szerokiego lasu. Padał zmierzch, kiedy bryczka znalazła się u jego skraju. Gościniec zanurzał się w ciemną głębinę i ginął zupełnie, jakby tam kres ostatni znajdował. Las był suchy, na piachach. Nędzne, cienkie sosny ledwo było widać w smutnej ośmie, co wolno zewsząd spływała. Zdawało się, że śniady, błękitnawy dym napełnia przestwór i widok drzew z oczu wydziera. Smutek się flantał na tej ginącej, na niepewnej drodze. Niemiła odraza oblała wszystkich: furman coś szeptał do lokaja, Cedro przeciągnął się i tęgo zawinął w płaszcz. Było cicho, chociaż górą, po szczytach drzew, przewracał się wiatr i kołysał je w prawo i lewo. Na głębi spokój panował, jak pod dachem i między domowemi ścianami.

Słychać było nieustające poświstywanie późnych koników polnych.

Rafał uczuł, jak serce w nim ściska się i drętwieje. Pierwszy to raz przestała go bić dola od tamtej chwili. To ciche, niecierpliwe ćwierkanie zdało się biedz za nim, czepiać się wartkich kół bryczki i żelaznych podków końskich, a wołać z ziemi za uciekającym...

POWRÓT.

W kilka dni później, dobrze po północku, obadwaj przyjaciele dojeżdżali do Olszyny. Zabawili dzień w Tarnowie, gdzie Rafał przeistoczył się w eleganckiego młodzieńca, a następnie w ciągu całej niemal doby, dwa razy przeprzągłszy konie, dążyli ku ostatecznemu celowi podróży. Jakiś czas jechali brzegiem rzeki, płynącej w dość wązkiej dolinie, którą zasypał kamieniec, żwir i piasek. Nad wieczorem dopiero powóz zjechał z wynioślejszych płaskowzgórz, z garbów bezleśnych w sam rozdół Wisłoki. Rafał poczuł nozdrzami powiew z ziemi, nasiąkłej wodą, zadrzewionej, wiklowej. Oczy jego nie mogły dojrzeć w szarzejącym krajobrazie przeciwległych, zawiślańskich brzegów... Każdy szczegół był dla nich tutaj poniekąd znajomy. Mijali wsie długie, zamożne, gęsto zabudowane, gdzie pleciak wiklowy wynagradza każdy zakątek, każdą ścieżkę. Pędzili alejami wierzb i brzóz, złożonemi z drzew tak grubych, wyniosłych i rozłożystych, że zdawały się być utworami ludzkiego snu o widziadłach. Latarnie powozowe ciskały w zapłocia, w podwórza i sady wiej-

skie raptowne smugi światła. Widzieli wtedy ogromne tarcze słoneczników, jakby przestraszone gęby prostacze, gapiące się z za parkanów... Wysokie, badylaste malwy i jaskrawe georginie przypominały Rafałowi wsie z tamtej strony... Tak samo jak tam śliwkowe drzewa gięły się w pół pod ciężarem owocu i podpierane drągami chyliły się ku przechodniowi gałęzie z nieskończonych sadów. Gruszki, jak dzbany i śliczne jabłka migały między strzechami. Suchy liść łopotał już wszędy po drzewach i przejmował serce szczególną tęsknotą do rodzinnego domu, troską o swoich.

Krzysztof opowiadał przyjacielowi o tych miejscach szczegóły co ciekawsze, legendy, dawne podania i dzieje, w umyśle słuchacza tworzył się jakoby welon, zasłona drogocenna, osłaniająca tajemniczo te sioła, ledwie widoczne, wzgórza, łęgi, lasy, krzyże przydrożne...

W nocy powiał ostrzejszy wiatr od Wisłoki, i odwieczne aleje wydały z głębin swych głos stary i potężny. Rafał nastawił twarz przeciwko temu powiewowi rzecznemu. Rzeźwo serce uderzyło mu w piersi, ale wnet je zdławiły wspomnienia... Znowu zamknęło się w sobie.

Dojeżdżając do Olszyny, Cedro nie mógł usiedzieć na miejscu. Stawał w bryce, przechylał się to na tę, to na tamtą stronę, o coś wypytywał woźniców... Czasami wyskakiwał i szedł prędko pod górę, wesoło gwiżdżąc i pośpiewując. Z pewnego pagórka dały się widzieć w oddaleniu światła.

— Nie śpią! — zawołał Krzysztof dziecięcym prawie dyszkantem.

Zawstydził się zaraz tej swojej czułostkowości i dodał tonem sztucznie chłodnym a drwiącym:

— Będziesz musiał, kochanku, asystować przy ministranturze czułych scen familijnych od początku do końca...

Powóz stoczył się ze wzgórza i chwilę zatrzymał przed bramą. Ale nim służący zlazł z kozła, żeby otworzyć, już wierzeje rozwarły się z trzaskiem. Słychać było zajadłe naszczekiwanie psów, wrzawę i wołania ludzi z latarniami biegnących do powozu. Wprędce obadwaj przyjezdni znaleźli się na stopniach szerokiego przedsionka. Krzysztof rzucił się w ramiona czyjeś, co stał w cieniu. Szeptał najczulsze nazwy, oddawał najrzewniejsze pocałunki. Rafał zażenowany stał z boku. Był onieśmielony i wściekły na przyjaciela za te czułości.

— Zaczyna się ministrantura... — myślał w pasyi.

Krzysztof porwał go za ramię i ciągnął ku drzwiom. Tam przedstawił go ojcu, mówiąc:

— Oto papa ma przed sobą mojego wybawcę z nurtów Wisły. Sam we własnej osobie — Rafuś Olbromski!

— Proszę, proszę... Witam! — mówił przyjaźnie stary pan, którego Rafał miał przed oczyma.

— Siłą go zabrałem z drogi...

— Wchodźcież, wchodźcie do pokoju, bo zimno. A gdzieżeście się to zdybali? To dobrze, że przybywasz, panie Rafale... Cieszę się podwójnie, boć jesteśmy w kuzynostwie, aczkolwiek dalekiem. Ojca pańskiego pamiętam jeszcze z roku... czekajcież...

Rafał widział to doskonale, jak wielkiego wysiłku

owocem było zastosowanie względem niego koniecznej grzeczności w chwili, gdy stary pan tak dalece był zajęty synem, że się potykał na progach, potrącał o odrzwia i zawadzał o rogi stołów. Był to szczupły mężczyzna lat około sześćdziesięciu z twarzą schorowaną, wydelikaconą, subtelną i jeszcze piękną. Głowę jego osłaniała gładka peruczka bez pudru, a górną wargę okrywał mały, podgolony i przyczerniony wąsik. Ubrany był we francuskie, jedwabne szatki, w pończochy, pantofle. Żabot i chustka na szyi, koronkowe mankiety, utrzymanie paznogci i rąk, sposób trzymania ich na stole, nawet wówczas, gdy oczyma i słowami pieścił syna, dawało możność w starszym panu Cedrze poznać eleganta pierwszej wody, człowieka najlepszego towarzystwa. Oczy jego były przymglone łzami szczęścia, gdy patrzał a patrzał na syna, ale i wówczas nie ustał w nich wyraz badawczości i siły. Wśród najczulszych słów i najrzewniejszych uścisków padały z jego warg rozkazy, które w mgnieniu oka wykonywali lokaje, kręcący się dokoła stołów. Gdy przybyli zasiedli do wieczerzy w wązkim pokoju, przylegającym do wielkiej sieni, z drzwiczek ukrytych w kącie, za szafą kredensową wybiegła młoda panienka, lat czternastu, piętnastu, w nocnym szlafroczku. Rzuciła się w ramiona brata.

— Mery! — zawołał młody Cedro z uczuciem radości.

Panienka wnet podniosła głowę i spojrzała na niego z zabawnym uśmieszkiem. Za chwilę szepnęła:

— Czy przywiozłeś?

— Naturalnie! A teraz patrz-no, trzpiocie...

— Jakżem szczęśliwa!

— Jesteś ubrana, jak pasterka Filis, a tymczasem... Przedstawiam ci naszego kuzynka Rafała Olbromskiego.

— Kuzyna... — wyszeptała z najgłębszem zdumieniem, odgarniając loki i wlepiając w Rafała oczy tak oszołomione, jakby jej przedstawiono białego niedźwiedzia, albo jaguara.

— Masz go czcić, szanować, poważać i *comme de raison* kochać, jest to bowiem wybawca z nurtów Wisły twego brata, szambelana Jego Cesarskiej Mości, rozumie się szambelana *in spe*, a oprócz tego jest to przedstawiciel *society* warszawskiej, który właśnie wyda wyrok o twoich koafiurach. Ależ prawda, gdzież Kurtiwronka?

— *Elle dort*... — szepnęła siostra, nie spuszczając oczu z Rafała. — Śpi ślicznie, złożyła ręce...

Krzysztof z błazeńską miną pokazał, jak to Kurtiwronka trzyma rączki złożone nadobnie na sześćdziesięcioletniem łonie dziewiczem.

— Ile razy ziewnęła przed zaśnięciem?

— Siedmnaście grubo i trzy w wiolinie.

— Siadajcie, siadajcie do stołu!... — wołał ojciec. — Jutro będziecie mieli dosyć czasu na plotki wiedeńskie i olszyńskie. Patrz-no Krzyś, co tu podają...

Najstarszy z lokajów, uśmiechnięty z tak szczerą radością, jakby to jego rodzony syn zawitał pod strzechę domową, wlewał pieczołowicie na talerz Krzysztofa zupę z owoców, zaprawioną śmietaną. Młodzieniec, ujrzawszy to widowisko, wyciągnął ręce ku niebu i zawołał:

— Garus! Nareszcie, nareszcie... O, Niemcy, jeśli wam kiedy przebaczę, że blizko rok nie kosztowałem ludzkiego jedzenia... O, Niemcy, narodzie filozofów i kiepskich generałów! Skarz mię, gromowładny Jowiszu, pozbaw mię nadziei otrzymania klucza szambelańskiego, wydrzyj mi z piersi serce hrabiowskie...

— Krzyś, już drugi raz... lekkomyślnie... — syknął ojciec, wznosząc uroczyście palec do góry.

— Milczę, papo, gdyż jem i jestem wzorem kochających synów... A czy są i kartofle ze skwarkami?

— Ze świeżuteńką młodą sperką! — szepnął mu prawie do ucha ów najstarszy między lokajami.

Kilku młodszych z nabożnem niewolniczo zadowoleniem przypatrywało się, jak to jaśnie panicz zawija prostacką zupę.

— A gdyby też tak domniemany szambelan... Przepraszam, papusiu!... — mruczał Krzysztof — gdyby też wasz młody pan i dziedzic, przybywający z dalekich Niemców, dostał jeszcze »pędziźrybię«? Cóż wy na to?

— Jest gotowe... — uśmiechnął się lokaj, wstawiając nowy talerz.

Za chwilę Krzysztof z błyszczącemi oczyma krajał na ćwierci *pain de gibier*, mrugając na Rafała, żeby czasu nie tracił. Ojciec i siostra w milczeniu i zachwycie przypatrywali się młodemu. Mery czasami odrywała wzrok od jego twarzy i zabawnie śledziła Rafała.

— Czy papa widzi, co za koafiura! — mówiła, parskając śmiechem i wskazując ostrzyżenie głowy brata

z pozostawieniem na ciemieniu wysokiego, ufryzowanego czuba.

— Nie śmiej się z elegantów wiedeńskich, bo zostaniesz starą panną, i będziesz wtedy przed zaśnięciem ziewała siedmnaście razy grubo i trzy w wiolinie.

— Rafuś! czemu nie jesz? — wołał, rzucając się z nożem i widelcem na ulubione potrawy. — Zlituj się, nie zwlekaj, bo ja za nic nie ręczę. Mogę zjeść wszystko. Tylko jeszcze pieczone kartofle...

— Już podają...

— Myślałam, że zgubisz nareszcie w Wiedniu swe furmańskie gusta... — szydziła siostra.

— Tylko jeszcze pieczone kartofle...! *Herr Je!* cóż za kartofle!... Tylko w Polsce, to jest w Zachodniej Galicyi, ta amerykańska sierotka... Niemcy, jeśli wogóle jedzą...

— Później będziesz obmawiał Niemców, teraz musisz, musisz opowiadać. Już mogłeś zaspokoić głód, więc zaczynaj. Ostrzegam, że jeśli nie będziesz mówił rzeczy ciekawych, wcale nie dostaniesz ciastek od cioci Matyni.

— Opowiem wszystko, tylko dawajcie dużo ciastek cioci Matyni, dużo, jak dla chorego! Rafuś! nie żyłeś jeszcze na świecie, jeśli nie znasz ciastek...

— *A propos*... gdzieżeście się panowie zetknęli? — spytał stary pan.

— W Tarnowie — szybko rzekł Krzysztof. — Rafał powracał właśnie z Bardyowa, gdzie na wodach bawił z przyjaciółmi, szukając... czyż mam wyznać?

— Tu leży sekret... — śmiał się starzec.

— Ale nic sobie nie upatrzył. Niemeczki, Czeszki,

Węgierki... To nie dla nas. Miał już z Tarnowa wracać do siebie w Sandomierskie, ale go namówiłem, żeby zamiast gnuśnieć u rodziców zawitał do mnie, żeby poznał oryginała Trepkę. Obiecałem mu dla zachęty, że papuś obmyśli dla niego jakąś doskonałą karyerę... — dodał bez wahania, widząc dobrze, jak ojciec skrzywił się i wzruszył ramionami.

— Opowiadaj... — nastawała Mery, przypatrując się wciąż Rafałowi, jak dziwowisku.

— Zaraz, zaraz... Nie można odrazu, mościa panno... Ale skoro się tak wszyscy niecierpliwią, więc *incipiam*... Od czegóż? Naturalnie... Skoro zjawia się w domu rodzicielskim *hrabia* Krzysztof Cedro...

Policzki starego pana wolno się zabarwiły, i radość śmiała się w jego oczach, z lekka przysłoniętych rzęsami.

— Skoro zjawia się w domu rodzicelskim hrabia Krzysztof Cedro, to od czegóż ma zacząć swe wiedeńskie epos? Naturalnie od poszukiwań w archiwach. Okazało się, że Marcin Cedro...

— No, tak, tak... — rzucił ojciec z nieszczerem lekceważeniem — wiemy dobrze, kto był Marcin Cedro...

— Ależ kiedy wynalazłem nową jego misyę, jakiej oko nie widziało, ani ucho nie słyszało. Za Michała Korybuta jeździł w misyi sekretnej...

— Kto tam dziś na takie rzeczy zwraca uwagę!...— rzekł ojciec sentencyonalnie. — Dziś dla nas powinno być maksymą to samo, co za Rzeczypospolitej: równość szlachecka. Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie. Posłuchaj, co mówi Trepka. Nie prawdaż, kuzynie?

Rafał mruknął coś niezdecydowanego. Uczuł tylko

po tem pytaniu bardziej niż przed chwilą, jak go twarz pali zarówno od schłostania drogowego przez wiatr, jak od nawału wrażeń.

— Filut z papusia... — szepnął Krzysztof, nachylając się ku ojcu i całując go w rękę.

Po chwili rzekł głośno, zwracając się do lokajów:

— Od dnia dzisiejszego macie, zbiry, tytułować jaśnie pana nie inaczej, tylko jaśnie panem hrabią, panienkę — panną hrabianką, a mnie... Mnie tymczasem jeszcze nie! Jak ma być równość, to równość. I tak jestem szlachcic na zagrodzie, więc równy temu oto... panu hrabiemu i pannie hrabiance.

Stary pan poprawiał mankiety, uśmiechał się, ale i sykał niecierpliwie.

— Jesteś hrabianką z mojej łaski... — rzekł Krzysztof, zwracając się do siostry. — Przynieś za to jeszcze ciastek. Gdyby nie ja, siedziałabyś między parafialnemi makolągwami, jako równa pierwszej lepszej na zagrodzie. Aha! Nakaż Kurtiwronce, żeby do ciebie nie przystępowała bez *comtesse*'y.

— No, teraz już opowiadaj o Wiedniu, Krzyś... — błagała siostra, wieszając się u jego ramienia.

Rafał przypatrywał się tej panience, gdy tak z roziskrzonemi oczyma brała udział w rozmowie, z uczuciem nieuchwytnej prawie odrazy. Jej loki, białe czoło, różowe policzki, ładna, ściągła twarzyczka przypominały mu o istnieniu kobiet i napełniły głowę niejasnem udręczeniem, piersi szlochaniem, których opanować niema czasu wśród ożywionej rozmowy. Nadewszystko, gdy pochylała się z szeptem gorączkowym ku bratu, gdy zatapiała w nim oczy, Rafał wzdrygał się i cierpiał na

całem ciele. Czuł, jak się w nim wówczas zatapiają niewidzialne kły męczarni.

Na szczęście, po wieczerzy wszyscy przeszli do pokojów paradnych, znajdujących się po prawej ręce od wejścia. Były świeżo, widać w przewidywaniu pełnoletności Mery, wyrestaurowane w guście angielskim. Wszystkie meble były z drzewa mahoniowego, a proste, bez ozdób. Ściany pomalowano w arabeski, albo widoki ruin i bladych pejzażów. Dwa niewielkie gabinety odznaczały się szczególnie ową modną *simplicité*: były powleczone nikłym kolorem z wątłymi szlaki, a ozdobione niewielkimi obrazami szkoły włoskiej. Ale w głębi domu istniały jeszcze stare, nieodnowione, zapomniane pokoiki, saloniki nie na pokaz, gdzie ocalały podniszczone, staromodne obicia szpalerowe i brokatele, dawne meble w guście francuskim, esowate, na wygiętych nóżkach z rzeźbionymi kwiatami i bukietami. Tam jeszcze marzyły o ubiegłej świetności i dniach tryumfu chińskie stoliczki, poobłamywane i starte inkrustowane szafki i cacka. Straciwszy prawa modnego bytu i łaski w salonie, zdawały się kryć swoją nędzę po kątach najmniej widocznych. Przechodząc obok dużego zwierciadła w pierwszym salonie, Rafał rzucił w taflę spojrzenie — i cofnął się na widok swojej osoby. Pomimo przebrania w przyzwoite a nawet wykwintne suknie, wyglądał na zamaskowanego złoczyńcę. Nalana twarz była w tej chwili pokryta sinemi i szkarłatnemi plamami, rzadkie włosy oblepiły czoło poorane w bróżdy, a oczy spoglądały z dzikością i drapieżnem brutalstwem. Wszedł prędko do sąsiedniej salki. Staremu panu sprawiało to oczywistą przyjemność, że przed dalekim a niezamo-

żnym krewniakiem może pochlubić się nowomodnem urządzeniem domu. W istocie salon był obszerny i pięknie umeblowany, ale Rafałowi nie zaimponował. Lokaje zapalili świece w kandelabrach ściennych, w świecznikach wiszących i stojących. Krzysztof obrócił się do pantaleonu, stojącego w rogu i zagrał ulubioną, widać prawie domową posenkę:

La nuit tomboit dans la prérie,
L'Echo dormoit dans la vallon
Prè du ruisseau chantoit Amélie...

Stary pan usiadł w fotelu, przymknął oczy i z uśmiechem rozkoszy, z niewymowną radością w załzawionych źrenicach oddychał tą melodyą. Nogi jego, obute w płytkie pantofle i pończochy, nieruchomo spoczywały na dywanie; splecione i zaciśnięte ręce zdawały się przytulać do serca oddalone głowy dzieci.

Panna Mery, wsparta na ramieniu brata, z początku nieśmiało, a później coraz wyraźniej, piękniej zaczęła nucić bez słów. Głowa jej otulona obłokiem loków, nachylona była zrazu ku bratu, ale stopniowo wznosiła się, zwracała ku ojcu, wreszcie ku niemu, ku gościowi. Z piersi dziewiczej płynęła coraz wyżej i wyżej, uroczyściej i piękniej, bujna melodya piosenki. Wreszcie popłynęły wyrazy:

Au matin dans les prés de Flore,
La rose à l'instant de s'ouvrir
Attend que la vermeille Aurore
Sur son char amène Zéphir...

Ale Krzysztof przerzucił się wnet do innej melodyi. Siostra z początku nie mogła jej znaleźć w pamięci. Zawołał, nie przerywając gry:

— *Air: »Dans un bois solitaire et sombre..«*
— Aha, już wiem!...
Zaczęła śpiewać:

Auprès d'une féconde source,
D'où coulent cent petits ruisseaux
L'Amour fatigué de sa course
Dormoit sur un lit de roseaux...

Stary pan nie mógł udźwignąć powiek, ani rozerwać uśmiechu, leżącego na ustach. Nie chciał może spłoszyć chwili głębokiego, śpiewnego szczęścia, co napełniało po brzegi zaciszne pokoje wiejskiego domu...

DZIWAK.

Tylko kilka dni młodzi panowie zabawili w Olszynie. Krzysztof wyrywał się do swoich Stokłosów, folwarku odległego o dobre pięć wiorst od Olszyny. Aczkolwiek dobrze mu było w domu rodzicielskim, pragnął przecież pochwalić się przed Rafałem swą własną chudobą i uwolnić go od dość ceremonialnego życia we dworze.

Pojechali nareszcie. Folwark leżał w lasach, między dwoma płaskowzgórzami, a w dolinie niewielkiej rzeczki, wpadającej do Wisłoki. Trudno było wyobrazić sobie coś piękniejszego nad owe lasy. Każdy parów napełniony był ostępami buków, dębów, brzóz, grabów, klonów. Każdy pagórek był pięknym parkiem. Teraz, na jesieni owe wzgórza i wąwozy płonęły od żółtej i różawej barwy. Jadącemu tamtędy pierwszy raz serce biło ze wzruszenia. Zdawało się, że płomienie i dymy kłębią się, buchają z tych wyniosłości i rozdołów. W głębi kryły się zimne polanki, tem zieleńsze, im bardziej płomienistą była barwa zwisających

liści. Sam dwór w Stokłosach stał w lesie, między sosnami, na wysokim brzegu rzeki. Dach jego był już mocno zmurszały, wielokroć reparowany świeżym gontem, a mocno tu i owdzie wygięty. Modrzewiowe ściany zasuwały się w ziemię. Dookoła rozsiadał się ogród, przechodzący w las. Tuż za oknami kwitły, podobnie jak obok chłopskich chałup, wysokie malwy, żółte, albo brunatne georginie, jasne nagietki i ogniste krzaki nasturcyi. Gdy bryczka zatrzymała się przed gankiem, na spotkanie przybywających wyszedł jegomość średniego wzrostu, zawiędły, w wieku, który trudnoby było określić, gdyż mógł wahać się między czterdziestym a sześćdziesiątym rokiem życia. Twarz miał smagłą, ciemną. Gęste jego włosy, związane były staromodnie, z niemiecka, w tyle głowy. Wystający cienki nos sterczał nad ustami tak wązkiemi, że stanowiły niemal linijkę. Podobnie oczy znać było jakoby dwie szpary pod czarnemi i grubemi brwiami.

Jegomość ów miał na sobie dosyć dziwaczne ubranie, bo żakiet, niegdyś wykwintny, krojem francuskim, z jedwabnemi wyłogami i kamizelką, a na nogach grube buty z cholewami do kolan, dobrze łojem smarowane dla uchronienia stóp od wilgoci. Zamiast żabotu, niezbędnego przy francuskim surducie, miał szalik wełniany, obwiązujący kołnierz koszuli najzupełniej sarmackiego kroju.

— Upadam do nóg pana hrabiego!... — wołał, schodząc ze stopni ganku bez zbytniego pośpiechu. — Nareszcie pan hrabia raczył sobie przypomnieć dziedzinę swoją... cha-cha!... Pewny już byłem, że pan...

— Hrabia... — dorzucił Cedro.

— Że pan... cha-cha! — nigdy do nas nie zjedzie.

Było rzeczą oczywistą, że podkreślał owe tytuły i że z nich właśnie śmiał się tak wesoło. Ku zdumieniu Rafała Krzysztof począł śmiać się również, choć nieszczerze i z przykrością.

— Witam i ja pana posła, dobrodzieja mojego, mentora... Jakże cenne zdrowie?... — krzyczał, wyskakując z bryczki.

— Pan hrabia łaskawość swoją roztaczać raczy, jako to słońce. Miło mi jest ogrzać się w promieniach łaski.

— Pan poseł siwiejesz nie na żarty...

— Z trosków o dobro pańskie... cha-cha... Ośmielę się zapytać nawzajem o zdrowie... choć to od jednego rzutu oka widać, że tyjemy na niemieckim chlebie...

— Czy być może?

— Prawdę mówię. Zupełny butrym!

— Cha-cha!... — śmiał się Krzysztof, stając naprzeciwko i biorąc się pod boki.

— Jakże ja się cieszę!

— Pozwoli pan poseł dobrodziej, że mu przedstawię przyjaciela a najbliższego socyusza od serca, kolegę z lat szkolnych, i że poproszę dla niego o gościnę w Stokłosach. Jest to imć pan Rafał Olbromski. Rafałku — imć pan Szczepan Nekanda-Trepka, *ci-devant* posiadacz wielkiej fortuny, którą na polityczne interesa przefacyendował, prawie poseł na sejm, wielki peregrynant, wolteryanista, encyklopedyk, tudzież szyderca z rzeczy, że się tak wyrażę...

— Cieszę się mocno z poznania przyjaciela pana hrabiego i służby moje pokorne polecam. Zarazem muszę zaprzeczyć nadawanej godności: nigdy w izbie poselskiej nie byłem.

— Ale mogłeś być. Był wybrany... Ale uważasz, upór, coś tego... cyrkumstancye...

— Zbyt wysoka godność, jak na chudopacholski rozumek. *Nec sutor...* A co do uporu, to może i prawda. Twarde łby i karki rodziła nasza ziemia lubelska. Proszę pokornie do pokojów...

Weszli do izb wybielonych wapnem, o ałych oknach i wielkich belkach, podtrzymujących powałę. Szare, drewniane sprzęty, bardzo dawne karła, stoły, ławy i szafy były w porządku utrzymane. Krzysztof Cedro zrzucił płaszcz z ramion i objął Trepkę serdecznie a czule. Śmieli się obadwaj do rozpuku, leżąc w ramionach.

— Długo też pan hrabia myśli zabawić w tej dziurze?

— O, długo, stary adherencie dyabłów, bardzo długo! Włazimy ci na kark obadwaj oto z Rafciem. Będziemy gospodarowali. Bierzemy się do roli.

— Pan hrabia także!

— Sądzisz może, Szczepanku, że tylko ty masz prawo do gospodarki na roli dlatego właśnie, żeś swoją lekkomyślnie puścił z dymem?

— E, cóż tam moje sądy! Oto przyjaciel pana hrabiego mógłby w istocie myśleć, żem wielką jakowąś fortunę dyabłom przyniósł w ofierze. Bynajmniej! Mierna to była, pośrednia fortunka szlachecka. Fenomena klimatyczne, tudzież inne, zmniejszyły jej okrągłość, a osta-

tecznie lubelski upór popchnął wyż wzmiankowaną Wólkę z przyległościami nad nieprzyjemną rzekę Kocytus. Dziś niemasz dla mnie nic z niej innego okrom pragnienia, ażeby teraźniejszy właściciel udławił się jej dochodami. Oto wszystko.

— Nie wszystko. Opowiedz historycznie.

— Treść nie warta formy. Chyba na rozkaz hrabiowski. Byłem właśnie w stadyum peregrynacyi po obcych krajach, kiedy z mego dziedzictwa zostało jeno pewne *quantum* druków, traktujących o uzdrowieniu tego, co już było na dobre strupieszało w grobie. Wówczas ten oto, tutaj przytomny rodak, imć pan Krzysztof Cedro, spotkawszy mię w ciężkiej opresyi na ryngach wiedeńskich, zaprosił po sąsiedzku. Chodź, prawi, stary włóczykiju, na rezydenta do Stokłosów... Poszedłem *volens nolens*. Co większa, fornalów posłał aż do Wólki i ze starego lamusa zabrane kazał przywieźć dwa półkoszki druków, oraz skryptów do tego oto Tusculum. Słyszane rzeczy? Przybywszy ja zaś *personaliter*, aby pożegnać *paterna rura* i zapłakawszy...

— Tyś zapłakał, szyderco!...

— A obaczywszy siedzącego w pradziadowskiem gnieździe szczygiełka, udałem się za książkami i razem z niemi znalazłem gościnę...

— Żebyż to gościnę! Zaczął się tu, Rafałku, rządzić, jak szara gęś! Włada majątkiem, wtrąca się w interesa całego dominium, rachuje nas, jak fiskus, akcydensa wydziela, jak skąpy dziadzio. Toż z Wiednia musiałem go zasypywać słodkimi listami, żeby mi przysłał choć parę czeskich na makagigi. Pędza nam man-

dataryuszów tak dalece, że ani jeden wytrwać przy nim nie może...

— Przesada!

— W sztuce ekscytowania pejzanów przeciwko zwierzchności gruntowej przeszedł samych urzędników krajzamtu. Chaty im buduje z pałacowatemi oknami, felczerów sprowadza, gdy się w karczmie pokrwawią, dni na pańskiem zmniejszył *usque ad absurdum*...

Trepka cmokał ustami.

— Ale co najzabawniejsza... cha-cha!... szkołę umyślił wybudować tu w Stokłosach. Sam powiedz, Rafałku, mogęż pozwolić na takie marnowanie mienia? Sam ja tu teraz popatrzę na twoje sprawki!

— Naprzód trza było waści same sprawki obaczyć we wzorze. Ale tego w Wiedniu nie znajdzie.

— A gdzież to trza jeździć, żeby obaczyć? Do Paryża?

— Nie, na honor, tylko do Puław, do Włostowic, do Pożoga, do Końskowoli, Celejowa... cha-cha!... — śmiał się Trepka.

— Cóżbym zobaczył w owej Końskowoli?

— Wielką kulturę. Jak mamę kocham! Wielką polską kulturę... Warsztat pracy dawno już rozpoczęty, a sprawki dokonane. No, ale potem trza być wielkim panem... Mały panek polski szuka czego nie zgubił po całym świecie, a jeśli co znajdzie, to...

— Tytuł hrabiowski... — rzekł Cedro do Rafała.

— A waszmość również z Wiednia zstępujesz w te powiaty? — zapytał Rafała.

— Nie, on nie z Wiednia, tylko z Warszawy.

— Reprezentanci dwu stolic na mnie jednego. *Eheu me miserum!*

— A jakże też pan hrabia myśli brać się do roli, jeśli spytać wolno?

— Rękami, chudopachołku, rękami i nogami.

— Nowe jakieś podrygi mody wiedeńskiej?

— Niech sobie będzie...

— Pewnie jaki Turn-Taxis zakopał się w swoich folwarkach, i teraz moda runęła na młodzież.

— Jakbyś wiedział. Powinieneś chodzić po odpustach i zbierać cwancygiery za prorokowanie.

— Kiedyż znowu z powrotem do naddunajskiej stolicy?

— Nic nie wiadomo. Aj, Nekando, Nekando! żebyś ty wiedział...

— Do dyaska!... Cóż takiego?

— Żebyś ty wiedział, jak ja jestem znudzony... Powiedz-no mi, braliście też już psy w pole?

— Tędy go wiedli!...

— Mów-że!

— Brać się brało.

— Lotkę?

— Była Lotka, był i Doskocz.

— Któż jeździł?

— Ja, nie chwalący się i Grzesik.

— Powiedz-że, na czemże ty jeździłeś?

— Na karym.

— Mój koń kochany! Chodzi?!

— Chodzić chodzi!

— A czy ja z mojemi ślepiami nie zwalę się z niego pierwszego dnia?

— Koń uważny, mądry... Reszta zależy od jeźdźca

— A w której też stronie zakładaliście?

— Od Jałowcowego smugu ku Bielom.

— Paradne pole! Rafciu, będziemy szaleć co się nazywa! Powiesz mi, co myślisz o moich chartach...

— Charty! — zapalił się Trepka, aż mu oczka zabłysły: — charty lekkie, jak upiory!

— No, mości panie pośle, cóż tam teraz badasz, studyujesz? Powiedz prawdę.

— Pan hrabia przybywasz z jednej ze stolic świata i mnie, chudeusza, wypytujesz o nowiny? Toż ja winienbym dowiadywać się czegoś nowego!

— Wiesz dobrze o mnie, że nie jestem szczurem książkowym; więc czego się ze mną droczysz! Jeżeli chcesz nowin, to ci o jednej wspomnę: przywiozłem ci w darze taki sztucer dziwerowany, jakiego jeszcze twoje oko nie oglądało na tym padole. Teraz na ciebie kolej: mów, co czytasz?

— Sztucer... — szepnął Trepka, przymrużając oko: — to mogłoby być ciekawe. Ale gdzież on jest?... niech go obejrzy moje oko na tym padole! Co do mnie, to czytam sobie naprzemiany... Raz odczytuję jakiś rozdziałek z «Miasta mistycznego» Maryi Agreda a Jesu, to znowu dla odmiany jakieś kazanko księdza Łuskiny... Oto i wszystko.

— Ty wolteryanisto! czytujesz księdza Łuskinę... Ktoby cię nie znał, toby cię kupił. Toż lada dzień dyabeł cię porwie w nocy i tylko kałuża mazi w tem dworzyszczu po tobie zostanie.

— Pan hrabia żartuje sobie nieprzystojnie.

— Skończ-no, proszę cię, z tym hrabią!...

— Albowiem?

— Trepka! żebym ja ci kości nie nadwerężył...

— Może tedy można pana tytułować przynajmniej szwabskim, niemieckim, austryackim hrabią, bo jakże tak bez niczego?... Nie przystoi szlachetce na dwu wioskach w Zachodniej Galicyey być bez tytułu, a cóż dopiero dziedzicowi tylu kluczów!...

— Nie jestem ani niemieckim, ani żadnym innym! Nie jestem wcale hrabią! — zawołał, rumieniąc się dziewiczo. — Wiesz sam dobrze, że to ojciec mój życzył sobie tego tytułu, no więc, przyznasz... musiałem... Ma, czego pragnął.

Trepka spuścił głowę i z podełba świdrował Krzysztofa ironicznie spojrzeniami. Ostra drwina czaiła się w jego wargach zaciśniętych, jakby na zamki zawartych.

— Cóż tak patrzysz? — krzyknął Cedro.

— Patrzę i tyle.

— Nie radzę zbyt długo!

— Postanawiam i ja kupić sobie tytuł austryacki. Cóż u dyaska! Przecież to wiadoma rzecz, że Trepkowie, Nekandy, Toporczyki z Grzegorzewic, ba-ba! Najstarsze w Polszcze nazwisko: za Lechów byli wojewodami!

— Może nie wiesz Rafał, że Rzepicha była Trepczanka z domu?

— A właśnie!

— Oni także świętego Stanisława ze Śmiałym królem zasiekli.

— Kłamstwo!

— I stąd wszyscy są wolteryany... Cóż tak patrzysz?

— Patrzę, którędy z waści niemiecki rozum wylezie.

— Myślisz, szlachciuro, że dam ci się zjeść w kaszy... Śni ci się, że będę tańczył, jak mi zagrasz. Wezmę ja się teraz do ciebie, Szczepanku!

— Może i to być.

— Zacznę ja cię edukować w polityce.

— Wszystko, okrom polityki. Nie bawię się. Teraz dopiero widzę, żem do polityki od urodzenia był dureń. Nie mam ucha do tej melodyi. Sadzić ziemniaki, orać, żąć, konie leczyć, a nawet owce — oto moja dziedzina.

— Wcalę nie przeczę. A poco się do moich spraw wtrącasz! Ja politykuję...

— A no, wyznaję, nie wiedziałem.

— Musimy, uważasz, żyć. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Samem sadzeniem i kopaniem ziemniaków nie wyżyjesz.

— I to rozumiem.

— Gdybyśmy się wszyscy zamknęli w borach, w polach, schowali między kupy nawozu i sterty żyta, tobyśmy do reszty zmarnieli.

— Racya! Powinniśmy leźć do Niemców.

— A tak! Tyś sam nie łaził? Nie włóczyłeś się po Francyi, po Włoszech, po Niemczech?

— Jam się włóczył z rozkazu starszych, jam żebrał. I nie przypominaj mi waść dróg moich, do wszystkich dyabłów! Nędza, wywłóczenie gałganów, dziur i skamlanie — bodaj to!...

— Ja... — mówił Cedro przez ściśnięte zęby —

nie żebrzę i nie bawię się z własnej woli. Ojcowski rozkaz jest dla mnie najwyższą świętością. To wszakże jest moja myśl, że musimy poznawać świat, rozumieć europejskie życie. Powinniśmy iść do Niemców! Właśnie do nich, do ich domu, przypatrywać się ich żywotowi, poznać ich siłę. Jakże inaczej odwrócić ciosy? Trzeba zawiązywać stosunki, aby je wyzyskać. Gdybyś wiedział, ile razy ja nędzny przydałem się... Nie dla chwalby mówię, ale wyznaję, jak bratu, żebyś wiedział. Palce nieraz do krwi gryzłem, czekając w poczekalniach, składając wizyty, jeżdżąc, chodząc, wyczekując, prosząc...

Twarz Trepki była dziwacznie wykrzywiona. Śmiał się szyderczo.

— Bynajmniej mi waszmości nie żal... — cedził, zmrużywszy oczy. — Wcale to jest zbyteczna fatyga.

— Zbyteczna fatyga!

— Owo zgoła.

— Tak... — przedrzeźniał go Krzysztof, szybko chodząc po pokoju. — Zamknąć się we dworze, zatarasować gumno — i niech się wali! Alboż to moja rzecz?... nie przy mnie się zaczęło i nie za mnie się skończy!

— A żebyś waszmość wiedział, że szydząc sobie lekce, prawdy samej dotykasz. Tyłem się odwrócić i swoje robić — oto wszystko. Żadnych a żadnych podłażeń i tych tam łagodzeń. Pyszneś słowo powiedział: nie przy nas się zaczęło i nie za nas się skończy! Nie tak to łatwo zmiamlać, jak się byle amtowi wydaje. A odrobić! Ba! Miazga dopiero... Sama jeszcze nowina, nie tknięta sochą. Życia mało, żeby ją w tylej czą-

steczce przeorać, a waść swój czas, siłę, duszę i rozum tracisz na wysiadywanie w antyszambrach. Starczy honoru na wyrabianie za pieniądze cudzoziemskiego tytułu, ale go niema na tyle, żeby w sobie wzbudzić dumę.

— Jeżeli możesz powiedzieć, że ja tylko tego...

— Jeszczem nie powiedział, że tylko... — Ale ja znam naturę ludzką. Ta natura — to jest szelma, co się zowie. Wiem po sobie, a i napatrzyłem się świata. Widziałem duchy czyste, jak przemieniały się w glinę podłą, którą rzekomo gardziły. Środek w przeciągu niewielu lat staje się celem, osobliwie pod miękką dłonią podwiki.

— Aha, już swoje!

— A swoje... Bo zawsze, ilekroć waszmość wracasz z nad modrego Dunaju, patrzę z abominacyą, czy nie jadą za tobą niemieckie bety i kołyski.

— Ech, Rokito! nie będę z tobą rozmawiał. Rafał, chodź-no, pokażę ci skrytkę tego szczura.

— Cóż znowu!

— Tak, odkryję cię w całej nagości.

To mówiąc, młody Cedro otworzył drzwi do sąsiedniej stancyi i ukazał ją Rafałowi. Pokój ten dawno, widać, nie był bielony, bo nagie, jędrne, brunatne belki z modrzewia gęsto przeglądały z pod wapna. Cała ściana w głębi zastawiona była ogromnemi półkami najprostszej, ciesielskiej roboty, a na nich bez ładu i porządku stały i leżały książczyska. Stosy pism i bibulastych gazet piętrzyły się na szerokim stole pośrodku izby. Tu i owdzie wisiały na ścianach mapy, stare sztychy i karykatury. W ciemnym kącie

stało sosnowe łóżko z lichą pościelą, a nad niem wisiała broń: pistolety, sztucery, dwururka i przybory myśliwskie.

— Tu siedzi i knuje swoje przemierzłe myśli.

— O chorobie pyska i racic, o księgosuszu i kołowaciźnie... — odciął się Trepka.

Rafała na widok tych książek ogarnął nieprzełamany wstręt, właściwy jego naturze od pewnego czasu. Uczuł duszenie, jak we śnie. Trepka, bystry spostrzegacz, nie dopuścił, żeby to uczucie rozwinęło się w gościu. Zajął się nim ze starannością człowieka zdrowego, który baczy na wszystko, a nerwy swoje trzyma na wodzy. Zaczął pokazywać fuzyę i rzemienie, żeby odwrócić uwagę obecnych od książek, tak niemiłych szlacheckiemu oku.

— Więc o samych jeno zołzach i zawłokach traktują te wszystkie bibuły? — czepiał się jeszcze Krzysztof.

— A nie, owszem — i o motylicę zawadzają...

— Polityki ani za szeląg!

— Za szeląg możeby i kupił, ale sam sprzedający nie radzi tentować o towar tak nędzny.

— Także się to zraził, przez tyle lat oną nędzą się bawiąc?

— Prawdziwie... Politycy, przewidywacze, znawcy! Jedno pole należycie zorane, jeden rów z loiką wybrany, żeby przerznął i wygoił sapowatą od wieków niwę, więcej mi znaczy, niż sto broszur o rządzeniu narodem.

— Zaślepienie! Sto razy powtarzam: zaślepienie! — krzyczał Cedro, zbliżając twarz aż do twarzy przyjaciela i wlepiając w niego krótkowzroczne oczy.

— Nie! Wiem, co mówię.

— Nie wiesz! Nie znasz Niemców! To jest nie naród, ale wprost zakon straszliwy, zorganizowany mądrze i bezwstydnie do wytępienia takich oto, jak my, rolników i marzących na jawie. Nad Łabą, nad Wełtawą! Słuchaj!...

— Widziałem toto wszystko. Drwię ja sobie z Niemca, dopóki siedzę na roli, na swojej, czy na cudzej. I cóż poradzi, choćbyś sto razy podpatrzył ich zakonne statuta, jeśli sam swoich nie tworzysz? Czy myślisz, że słowiańska nasza dusza przeistoczy się w duszę niemiecką od patrzenia i nauki? Nigdy! Jesteśmy inni, odmienni. Ty traf w to, co jest twoją naturą i twoją siłą, w rolniczą potęgę, którą bezużytecznie trzymasz w ręku. Jeśli potrafisz wydobyć z niej wszystkie zasoby, to cały zakon niemiecki na tobie jednym zęby sobie wyłamie.

— Nie wiem, co mi ty mówisz. Ja się duszę z rozpaczy, widząc co się dzieje, czując w rozmowach pomysły zagłady, wytępienia. On ze mną politycznie mówi, grzecznie się bawi, a zarazem sondę zapuszcza...

— Wytępienia! — śmiał się Trepka — zagłady... Mnie tu kto zgładzi, mnie wytępi w Stokłosach? A no, owszem, niechże przychodzi ze swoim planem i zamysłem. Chłopów, których ja pracować, żyć, myśleć nauczę... — rzekł, chwytając Cedrę za rękę.

— Otóż ja ci mówię, że się łudzisz okropnie! Jam zajrzał w duszę ich, głupca udając, podszedłem ich skrytości. Wśród szelestu jedwabiów w salonach, wśród koronkowych balów śledziłem ich zamysły. Ludzie ci nie cofną się przed niczem. Czy wiesz? — krzyknął

blady i przerażony: — ci ludzie mogą to sprawić, że ci oto twoi chłopi podejdą w nocy pod dom, wywloką cię z łóżka i łeb ci utną toporem!... Ich polityka tak daleko sięga...

Trepka śmiał się wesoło.

ZIMORODEK.

Kilka długich tygodni Rafał spędził w Stokłosach w zupełnem próżniactwie. Był chory. Trepka, który wśród mnóstwa wiadomości miał niemało lekarskich, nie mógł odgadnąć, co mu jest. To też nie zalecał żadnego lekarstwa. Kazał tylko wynosić dla niego pod sosny łóżko polowe, i Rafał leżał w ubraniu z oczyma zwróconemi ku niebu. Sam nie mógł odgadnąć, co mu dolega. Nie czuł żadnego bólu i nie doświadczał żadnego pragnienia. Jedno, co go pociągało, gdy się budził, i co zamykało jego dzień, to była leniwa chęć: — nie być...

Otaczające życie, zarówno blizkie, jak dalekie, nie miało dla niego żadnej literalnie wartości. Śliczne konie, w których tak się dawniej kochał, psy gończe, broń myśliwska, wrzawa, opowiadania o przygodach Krzysztofa i Trepki, gdy nad wieczorem z chartami wracali, wszystko to męczyło go tylko i przyprawiało o coraz większe zamknięcie w sobie. Ze wszech sił przymuszał się do uśmiechu, do rozmowy, a szczególnie do tonu i trybu życia ludzi tęgich i zdrowych. Na szczęście, nikt go o tajemnicę życia nie pytał.

Cudna była jesień.

Codziennie, gdy otwarto okiennice, wlewało się do bielonych izb roztopione w złocie, chłodne powietrze. Gałęzie sosen zaglądały do okna, kiwając się sennie i szumiąc w ów głos rozkoszny, który zagłusza myśl i nakazuje poddanie się prześlicznej woli swojej. Ze wschodniej strony pnie sosen obite były jakoby złotolitemi blachami. Sroki pokrzykiwały na ich gałęziach, wiewiórki przychodziły aż do futryn okiennych, zięby i cieciorki pogwizdywały nad dachem, okrytym grubo mchem. Cała ziemia w lesie odziana była suchemi igłami, po których noga ślizgała się, jak na parkiecie. Woń grzybów i woń żywicy, płynącej z obarów na sosnach, napełniała powietrze.

Rafał budził się daleko wcześniej, niż wszyscy w obejściu. Słyszał, jak pieją pierwsze koguty; nie otwierając oczu, przy zamkniętych okiennicach, wiedział kiedy słońce wstaje. Poznawał to po szumie drzew wzmożonym, po odmianie głosów natury. Słyszał każdy dźwięk, każde we wsi szczeknięcie psa, krzyk wrony, każdy powiew wiatru. Wszystko to odbijało się w nim, jak w kamieniu. Czasami z jego piersi wydzierało się westchnienie — i na tem koniec. Kamień leżał na sercu. Ale w nizkości swego ucisku nie umarło serce. W głębinach nocnego milczenia, kiedy ostatni szmer rozproszył się i oniemiał, ono jedno słyszało odgłos kroków niepewnych, lękliwych, przemierzających próżnię czasu. Echo wołania z głębi gór wychodziło z ciemności. Wtedy serce dźwigało kamień swój i samo nasłuchiwało bez nadziei usłyszenia powtóre, patrzało krwawym wzrokiem w ciemności bez wiary zobaczenia i łkało

w ciągu godzin nie dlatego, żeby się ukoić. Bo taki padł mu ciężki los, że im dłuższy był płacz jego a narzekanie, tem większa boleść. Dopiero fizyczna wola, wysiłek ciała, odporna moc zwierzęcego bytu była w stanie ukrócić melodyę tęsknoty. Ale była to czynność tak okropna, jak gdyby kto gardziel dwuletniego dzieciątka dusił muskularną garścią chłopską, żeby uśmierzyć jego żałosne kwilenie. Serce upadało w swój grób i leżało w uspokojeniu niemocy aż do nadejścia nowego powiewu. W czasie trwania tych zapasów usiłował nieraz naprawić swoją odrazę do głosów życia, do barw roślin, do wdzięku niewysłowionego światła i cienia. Naprożno! Ustał w nim wzrok żyjący i słuch szczęśliwy, który pozwala widzieć i słyszeć. Teraz obce było dla niego wszystko. Każdy przedmiot, każdy promień słoneczny i każdy cień, każdy zapach i kształt stał się sobą tylko. Przestał już służyć duszy. I oto została sama jedna. Szła, jakoby wśród ruin strzaskanych przez trzęsienie ziemi, wśród rzeczy odrażających dla niej i bezużytecznych. Stopniowo każda z tych spraw, wszystko, co mogło być dosięgnięte przez spojrzenie, traciło swoją wartość i stawało się bytem nieprzyjaznym. Ażeby nie czuć ciżby tych wrogo nastrojonych zjawisk, zamykał oczy, zaciskał usta, zacinał zęby i pogrążał się w sztuczny letarg milczenia. Był wtedy, jak płomień zagasły. Ale gdy się łudził pewnością, że rozszerzy tę chwilę mocy na godzinę, na dzień, rozlegał się daleko szept, głos, imię wymówione miłośnie... Wiatr zniszczenia odzywał się w przestworzu i pustoszył wszystko, co pracowita wola z pośpiechem i mozołem dźwignąć zdołała.

Jednego ranka, w samym już końcu września, nie mogąc zgoła dać sobie rady, a nie będąc w możności uleżeć w barłogu, wstał o świcie i wyszedł z domu. Było chłodno. Wiatr południowy wzbudził szum sosen, oblewając ciało zimnym strumieniem. Rafał, sam nie wiedząc czemu, poszedł nad rzekę, która w odległości kilkudziesięciu kroków od domu płynęła w korycie daleko niższem od poziomu piaszczystego płaskowzgórza. Jeszcze tam nigdy nie był. Szeroko, płytko rozlana woda bez najmniejszego szelestu toczyła swe migotliwe, bystre, drobne fale pomiędzy długiemi smugami piachów, które jej łożysko tu i tam przegradzały. Cały horyzont był tu szczelnie zasłoniony przez zwarte olszyny, wyrastające już w drzewa. Rzeka snuła się w ich cieniu, jakby ukryta przed światem. Dalej widać było, jak zakręcała się i ginęła pod zwieszonemi gałęźmi, niby w grocie czarno-zielonej, zostawiając po sobie wspomnienie w kształcie srebrzystego szlaku. Tam były już drzewa bardzo wysokie: strzeliste, nachylone brzozy, olbrzymie nadwiślańskie topole i wierzby, wici swe taplające w ruchomej wodzie. Z pomiędzy nich buchała w przestwór wyniosłą koroną rozwidlona, stuletnia sosna. Bliżej, wśród samego koryta rzeki były ostrowy, z dawien dawna porosłe drzewami, nad wszelki wyraz urocze ogrojce, dziewicze kępy, których człowiek nie przejął jeszcze w posiadanie od ptaków. Blizko i w dali rozciągały się mielizny, uzbrojone w suche pale, w sękate tramy i korzenie ściętych olch, w zeschłe karpy, sterczące z wody, na obraz potwornych kłów. Obwieszał je śluz szuwarów, zeschłe jelita grążelów, kępy zmulonego siana, chrósty i trzciny — pamiątki ubiegłych

powodzi. Około tych miejsc woda zwijała się wartkimi, mrówczymi skręty, bez szelestu, bez szmeru, bez głosu. Suche ławice piasku leżały bezwładnemi smugami, jakoby trzewia i połcie, równo rozcięte toporem, a rzucone tutaj na wieczną pastwę czasu. Najlżejszy chwast nie czepiał się ich bezpłodnej nagości.

Słońce ostrymi grotami padało już na rzekę, przestrzeliwszy gęste zarośla. Woda żywa spłonęła barwą ognistą. Tem głębszymi stały się cienie tam, gdzie nie dosięgło słońce. Olchy stanęły nad czarnym zakrętem, jako ściana niezdobyta. Odór czerniejących liści przeniknął powietrze. Rafałowi wydało się, że to tak dziwny zapach ma rosa, białym szronem leżąca na ziemi i liściach...

Wspomnienie czegoś bardzo dawnego — Wygnanki, Wyrw, czy Tarnin, a raczej nie wspomnienie, tylko na nowo przeżyte szczęście straconych na wieki dni dzieciństwa objęło go za szyję, niby ręce siostry, którą jedno i to samo łono wypielęgnowało. Na chwilę oddał się temu uczuciu. Skruszyła się odrętwiałość serca i oczy zaszły łzami ulgi. Z rozkoszą, jakiej zawsze doświadczał na widok nowych miejsc w kraju, z ową rozkoszą nienasyconą, zbliżającą się aż do granic bólu, wlepił oczy i przez łzy patrzał w owe zakręty rzeczne, w dzikie kępy olszowe. Wciągał w piersi wilgotny zapach i nasłuchiwał pierwszy raz od tak dawna, jak z cicha jesienne liście szeleszczą. Z dala z pól, polatał chłodny wietrzyk.

Rafał zatrzymał się w miejscu jak wryty i pierwszy raz od tylu czasów roześmiał sie z głębi, z gruntu duszy do myśli nowej dla niego, nieznanej, jakoby obcy świat.

Zadumał się nad tem, jak to dobrze jest żyć... Począł wolno sam z siebie przemyśliwać, jak piękny jest i jak niewysłowiony świat, jak wielkim a błogosławionym cudem jest życie, jak dziwnymi sposoby godzina cierpień przeistacza się w stokrotne bogactwo radości, płynące z widoku ziemi...

W tej samej chwili nad wodami, wzdłuż gałęzi, wskroś całego bugaju brzóz i olch, sosen i wierzb, zimorodek przeleciał z ostrym, zgiełkliwym, donośnym śpiewem. Lot jego ledwie było można pochwycić okiem, tak bardzo prędko przeszył powietrze. Wydało się tylko, że to szafirowa, czy lazurowo-błękitna nić, że cudnobarwny krzyk radości opasał, objął i związał ten bukiet ziemski. Krzyk ten przeszył duszę słuchacza nawskroś, do dna. Cisza już była zupełna, a głos ten długo jeszcze w nim drżał i na zawsze pozostał w duchu...

RANKIEM.

Jak z bicza strzelił, upłynął rok pobytu Rafała w Stokłosach. Jesień, jako gość, przepolował, zimę przetańczył, a na wiosnę gospodarował, już jako współrządca, w towarzystwie Trepki, a poniekąd i Krzysztofa. Zdrowie i kawalerski humor nie zawodziły go w tym czasie. Osobliwie zimową porą czuł się, jak w raju. Nie było tygodnia, żeby w okolicy nie wypadła zabawa, zabawa co się zowie, do białego dnia. Rafał by rozrywany, jako dobry tancerz, gładki kawaler i polerowany Warszawiak. To też tu i owdzie puszczał się w konkury, szukając dużego posagu. Przebierał, namyślał się, a tymczasem bawił, jak nigdy.

Trepka polubił go bardzo. Na wiosnę, w lecie i pod jesień, stopniowo oddawał mu gospodarstwo w Stokłosach. Sam kopał się coraz głębiej w swych książkach. Polowanie, leczenie chłopów i bydła, a peregrynacye od chałupy do chałupy—to były jego rozrywki. Młody Cedro zimę spędził z ojcem i siostrą we Lwowie, gdzie panna Mery w świat wchodziła. Trepka nadrwił się niemało z tego karnawałowania

lwowskiego, choć w gruncie rzeczy rad był, że młody jego przyjaciel nie siedzi w Wiedniu. Tymczasem na jesieni r. 1805 Krzysztof, posłuszny woli ojca, znowu się udał do naddunajskiej stolicy. Trepka i Olbromski spędzali dni tej jesieni na koniu, z chartami, wieczory — na grze w szachy, albo na czytaniu.

Trepka wywierał duży wpływ na towarzysza. W rozmowach, w śmiechach, w drwinkach i uszczyj pliwościach jego siedziały szczególne żądła. Żeby nie doświadczać ich kłócia, Rafał począł zagłębiać się w myśli starego dziwaka i im bardziej w nie wchodził, tem większą znajdował satysfakcyę. Trepka był miłym człowiekiem, ciekawym na długą metę. Można z nim było rozmawiać o wszystkiem, o rzeczach najbardziej trudnych, nie włażących do głowy, aż do najbłahszych, a nawet do rubasznie tłustych. We wszystkiem był majster. Umiał tak oświetlać przedmioty i sprawy tego świata, że się wydawały zupełnie innemi, a tyle miał dowcipu, że nawet obcując bez przerwy, nie można go było zgruntować.

Po długich słotach, jakoś w końcu października rozwidnił się cieplejszy dzień. Mgła jesienna leżała na polach i na zwiędłych już liściastych lasach. Drogi były tak rozkisłe, że tylko konno, i to na zgrabnym koniu, można było przemknąć się wśród bagnisk. Obadwaj w długich butach, zachlastani aż do czapek, jechali wczesnym rankiem z zamiarem puszczenia chartów, gdyby się okazało, że na polach płaskowzgórza role obsiąkły. Mieli zamiar dotrzeć do gościńca, ciągnącego w stronę Tarnowa, a stamtąd boczną, leśną drożyną przerznąć się na owe pola przez lasy bukowe,

Nieodwiedzana dróżka na glinastym gruncie w lesie była twardsza, ale jak lód ślizka.

Zimna, żałośliwa trawka ostro się zieleniła pod ciemnemi drzewami. Liście na bukach, na dębach i klonach były już ciemne, przemokłe, nasiąknięte zgniłą cieczą. Zwieszały się ku ziemi bezsilnie i z gnuśnym bezwładem. Gdy wiatr powiał z pól, leciały za jego wolą, te chore liście, jedne już zarażone żółtą barwą śmierci, inne tknięte dopiero szarą bladaczką. Na ziemi, pod kopytami koni szemrały dawno spadłe. Cały las pełen był uczucia lęku i rozstania, rozłąki i żalu.

Trepka jechał przodem i nucił sobie nie komu starą, a ulubioną swoją i jedyną romancę:

»Kiedy twoje spotkam oczy,
Nim spostrzegę, żem widziany,
Już się na bok wzrok twój toczy
I martwe przebiega ściany...
A mnie wówczas z głębi duszy
Wszystkie czucia żal poruszy...«

Smutne, leśne milczenie, cichość płaszczyzn okrytych jesiennemi mgłami, ów posępny dzień domagały się niejako tej piosenki. I Rafał chętnie jej słuchał... Gdyby był Trepka przestał ją śpiewać dla siebie, samby ją zaczął nucić...

Wyjechali z leśnej drożyny na równinę i skierowali się w stronę gościńca. Charty, idące samopas, skoczyły w mgnieniu oka i poszły lotem w dół. Rzucili się za nimi w mgłę polną. Z nagła stanęli, jak wryci. Z tej mgły, na całej widzialnej długości gościńca wywalała się zwarta masa ludzka, połyskując tysiącem kolorów.

— Jakieś wojska... — wyszeptał Trepka, osadzając wierzchowca.

Po chwili pilnego wpatrywania się dodał:

— Ależ to nie Austryaki!...

Nozdrza jego drgały nerwowo i zmrużone oczy świeciły się dziko ze swoich szparek. Puścił wolno konia. Obadwaj jeźdźcy noga za nogą zbliżali się ku gościńcowi. Charty, wyciągnięte jak struny, szły całkiem w tamtą stronę, ale stanęły wnet, jakby ich nogi w ziemię wrosły. Z nastawionemi uszyma i wytkniętemi szyjami wietrzyły bez ruchu.

Porzuciwszy bagnisty gościniec szły obok niego po niwach nieregularnie wyciągniętemi kolumnami roty grenadyerów z ciężkimi karabinami na ramieniu, a tornistrami na plecach. Olbrzymie, proste, dwubarwne kity na ich kaszkietach kształtu wiadra, przewróconego dnem do góry, chwiały się jak las. Białe nogi w sukiennych kamaszach aż do kolan nurzały się miarowo w rzadkiej glinie. Za grenadyerami sunęły pułki jegrów, pozbawione kit u czapek tegoż kształtu, objuczone wielkimi tornistrami, ładownicami, manierkami i pałaszami. Bagnety ich tworzyły jak gdyby ruchliwe jezioro, które wśród chmur i mgły idzie w nieskończoność, kołysze się stalowemi falami w ciszy i milczeniu.

Tam i sam fale jeziora zataczały półkole, zwijały się wirem w miejscu, kłębiły dookoła jakiegoś środka. Nekanda domyślił się, że tam ugrzęzły działa. W istocie, przyzwyczaiwszy oczy, spostrzegli cały szereg armat zarzniętych w błocie. Około nich ujawili się artylerzyści w ciemnych, kusych fraczkach, wyżej kolan taplając w bajorze sukienne kamasze. Szerokie białe pasy,

na krzyż przecinające ich piersi, były uciarane w bagnie, a wielkie czapy dotykały ziemi, gdy podkładając lewary, dźwigali z topieliska koła, łoża i przodkary ogony i jaszczyki. Zdala za piechotą i artyleryą ciągnęła bokiem konnica. Dragonerya ze strzelistemi kitami, ułani w czworograniastych czapkach, ozdobnym połyskujący strojem, wreszcie pułki białych kirasyerów na olbrzymich koniach. Wielkie ich czaka z włochatymi grzebieniami połśniewały. Zdawało się, że to żelazne legie rzymskich wojowników idą i idą falami bez końca z nieprzejrzanej nocnej mgły...

NA WOJENCE DALEKIEJ.

Dzień dogasał nad spłowiałemi rolami. Tu i owdzie płonęła już ozimina, ale na ogół ziewało w polach pustkowie odłogów jesiennych. Na pastwiskach, po nadrzeczu lśniła się jeszcze jaskrawa zieloność trawników, a na równych łąkach jednostajnie połyskiwał ostatni, szorstki pokos otawy. Wśród drzew, otaczających stary dom w Stokłosach, rozpostarła się przejrzysta, śniada mgiełka. Nieprzeliczone gromady wróbli obsiadły nagie konary lip i zanosiły się od jednostajnego szczebiotu. Stado wron z łopotem skrzydeł i krakaniem, spychając po sąsiedzku jedna drugą, drapało się na wyschłe szczyty włoskiej topoli. Stosy podmiecionych liści obejmowała w niepodzielne władanie wilgoć cmentarna. A z oddali, z południa, powiewał wiatr cichy i ciepły.

Trzej przyjaciele — Trepka, Cedro i Olbromski — siedzieli na ganku dworu, w milczeniu ciesząc się tym ostatnim dniem ciepła w późnym listopadzie. Każdy z nich przeżywał własne myśli natrętną ciżbą oblegające głowę. Otwarte pola ciągnęły oczy człowieka w daleki, daleki widnokres. Piaszczysta droga w alei lip prowadząca do dworu, przyklepana od niedawnych de-

zsczów, a teraz wyschła i stężała, zwolna tonęła w cieniu grubym i tęsknym pniów osierociałych.

— Czy też zważacie, mościpankowie, jak się to czule żegna z nami Favoni?... — rzekł Trepka.

— Iście całuje... — szepnął Cedro.

— Panu hrabiemu całusy zawżdy nasamprzód do imaginacyi przychodzą, kiedy mowa...

— Nie jestem jeszcze starcem zgrzybiałym, więc dlatego.

— Co innego Olbromsio! Ten myśli, dam głowę o kolacyi.

— A bo i prawda! Żołądek źle wychodzi na medytacyach i kontemplacyach.

— Miły wietrzyk! To wam powiadam pod słowem że takiego oto dnia z takiem wianiem wiatru w żadnych Florencyach nie napytacie, choćbyś latami czekał.

— Bo też pewnie nikt nie próbował latami we Fiorenze na jeden wietrzyk czekać.

Wtem psy, drzemiące na piasku przed gankiem, dźwignęły łby i nadstawiły uszu. Szczeknął jeden, podniósł się żywo drugi, i wnet, jak na komendę, zerwały się wszystkie zajadle pędzić w aleję. Głowy przyjaciół ociężale dźwignęły się w tamtą stronę w oczekiwaniu. Psy z nagła ucichły i z podwiniętymi ogonami, trwożnie pojękując, cofały się w podwórze. Z półmroku alei wolno wysuwał się na jaśnię żebrak na kuli drewnianej, w łachmanach. Ciężko utykając, zbliżał się do rozwartej bramy. Tam się zatrzymał. Słońce już gasło i ostatnia jego fala poziomo przepływała nad ziemią. Trepka nakrył oczy dłonią od blasku czerwonego, który mu prosto w źrenice padał, i rzekł:

— Żebrak.

Młody Cedro wydobył z kieszonki cwancygiera i dał go kuchennemu chłopcu, wskazując dziada ręką

— Dać mu tam w kuchni rynkę warzy...—dorzucił Trepka. — Niech dziadowina podje i przed nocą wędruje dalej, bo tu psy złe i dziadom przeciwne.

Kuchcik skoczył ku wrotom i długo o coś z dziadkiem się spierał. Zadziwiło to wszystkich, że wrócił, niosąc pieniążek na dłoni. Już z dala mówił ze śmiechem:

— Nie chce, jaśnie panie, ten dziadek brać pieniędzy. Pytał mi się, czy jaśnie panowie nie są z Niemców przypadkiem... Nie śmie, pada, wejść na dziedzinę.

— Jakiż to hardy dziad!

— Grosza nie bierze i w kwalifikacye dziedziców się zapuszcza...

— Prawi, że chciałby prosić o nocleg.

— Jeszcze czego!

Młody Cedro zwyczajem swym popędliwie skoczył do ubogiego. Za nim dla rozerwania monotonii ruszył się Trepka, wreszcie od niechcenia Rafał. Gdy do wrót dziedzińca podeszli, ujrzeli człowieka w łachmanach z sakwami na krzyż przewieszonemi przez piersi, prostego i w średnim wieku. Twarz jego była ogolona i ogorzała tak bardzo, jak u żniwiarza, co przez lato cienia nie zaznał. Włos płowy, od słot i pożaru słońca wypełzły, widać było z pod czapczyny dziwnego kształtu; opończa i but zdrowej nogi pyłem były zasypane do cna. Patrzały na nich oczy siwe, śmiałe aż do zuchwałości i czyste, jak powietrze. Nie kłaniał się dziadowskim obyczajem, nie skamlał, ani stękał. Czekał wyprostowany. Jasne jego oczy przechodziły z jednej

twarzy na drugą, badając je do głębi. Wreszcie dłużej spoczęły na obliczu najstarszego.

— Cóż to, dziadku, tak nas bierzesz na spytki? — mruknął Trepka.

— Chciałem zapytać się... — rzekł ubogi śpiewną podlaską czy litewską mową — czy z waćpaństwa który wojskowo nie sługiwał?

— A to ci na co wiedzieć?

— Wojskowy człowiek przyjąłby w gościnę kamrata, a postronny człowiek nie przyjmie. Noclegu szukam. Strudziłem się, drogą idący kikut-ŝtukut, och bardzo...

— A skądże idziesz, człowieku, żeś się tak utrudził?

— Zdaleca ja, kulhawiec, idę, bracia rodacy z bardzo dalekiej strony.

Wszyscy trzej zamilkli i szczególnem, prawie boleśnem uczuciem przejęci, patrzali w te prawdomówne, szorstkie i czyste oczy.

— Ta... — rzekł nierychło Trepka cicho i życzliwie — jeśli o nocleg chodzi, to możesz przenocować w tym domu, bracie rodaku.

— Bóg zapłać, mili, że nie odpędzacie od swego proga żebraka wędrownego. Ale, jeśli wola wasza, odprawcie dalej służbę, aby nie rozpowiedziała, że od was łaski takiej doświadczam. Nie dobrzeby to dla was być mogło. A i dla mnie...

— Bądź spokojny! Włos ci z głowy nie spadnie pod dachem tego domu... — rzekł Cedro zniżonym głosem.

Weszli w dziedziniec. Słońce się kryło za pagórkami i od wielkich drzew, od ciemnych sosen i wyso-

kich lip cień już padał tak gruby, że w głuchą noc przepływał. Kazano żebrakowi podać wieczerzę. Panowie swoją z pośpiechem spożyli. Trepka wydał rozkaz, żeby służba szła spać. Przyjaciele sami pozamykali okiennice. Wędrowny dziad usiadł w kącie Nekandowego pokoju i zdjął swe sakwy. Z pod grubej opończy wyjrzały resztki uniformu.

— Skądże teraz idziecie? skąd wracacie? — pytali wszyscy trzej, otaczając go kołem.

— Do dom, do swego kukrzyska idę z miejsca Austerlitz zwanego, gdzie my niesłychaną batalią wygrali, a ja nogę oto postradał.

— Toż w grudniu zeszłego jeszcze roku ta batalia była!

— Prawdę mówisz, panie bracie, ale ja po szpitalach polowych przeleżał tę ciężką zimę. A od wiosny wlekę się z miejsca na miejsce, z miejsca na miejsce...

— Mów-że, bracie, jak to było. Powiadaj!

— Dużoby mówić... Cesarz zrobił swoje. Źle mówię — swoje. Dziewięć ja lat na jego sprawy patrzający, takiego dzieła...

— Dziewięć lat, mówisz?

— Dwanaście już lat upłynie w tym listopadzie miesiącu, jak z towarzyszami odszedł z jakimowieckiego placu. Tak, zda się, jakoby wczoraj było. Z rozpaczą my broń cisnęli, złamali my broń na kolanie, o świętą ziemię strzaskali. A oto z młodego draba ja dziad starzeńki powracam z dalecyny... sam jeden. Wszyscy moi kamraci... gdzie nie wiedz... Za górami, za lasami, za morzami...

— Za morzami nawet?

— Za morzami, tak ja mówię. Prawdę mówię, panowie bracia. Bo i ja, powiedzmy otwarcie, szlachcic herbowy, choć i na jednej habendzie, na jednym zagonie, ta szlachcic dobry. Ojrzyński Saryusz Jelitczyk moje zawołanie, a przydomek nasz starodawny — Mieczyk. Za morzami, panowie bracia! Na bardzo dalekich morskich wyspach Antylów... Jedni w San-Domingo, drudzy w Auzońskim kraju, inni w górach niemieckich, inni we francuskiej stronie. Na ziemi płaskiej i na dnie morza niezgruntowanem śpią braciszkowie serdeczni dobra szlachta podlaska, tęgie męże, wspaniałe żołnierze, zabici czasem przez obce, a nieraz przez braterską rękę, z obcego szeregu rzucone groty. Jam najszczęśliwszy ze wszystkich został na świecie.

Wracam oto w swoje płaszczyzny. Idę obaczyć ojcowski dom, barniaki swoje po piachach, a tak sobie idący myślę, że już pewno ani ojcowskiego budowia, ani brata, ani siostry. Zapomniał ja już, co to dom, co brat, co siostra. Idę, ta ciężkie myśli przed sobą toczę, panowie bracia.

— Braciszku! — rzekł do niego z pośpiechem Krzysztof drżącemi usty: — gdzie stąpisz, na czyj próg, tam dla ciebie wszędzie otwarty dom rodzinny.

— Bóg zapłać za dobre słowo...

— Powiedz-że nam o swojem życiu, o tem, coś przeżył i widział, — nastawał Trepka — bo my tutaj na zagonie wiemy ledwie coś niecoś, ledwie ze słychu, z wieści.

— Dobrze. Powiem wam wszystko, od początku do końca. Niech jeno myśli pozbieram. Ha, no słuchajcie... O scenach ja radoszyckich wspomniałem...

Bardzo ja się już otrzaskał z wojną, a na myśl tamten dzień jak przyjdzie, serce od nowa gore! To tak dziś, a cóż wtedy! Młoda krew była w żyłach i wrzący honor w sercu. Było nas takich w szeregu dość, co my powiedzieli sobie: do dom wracać, półtorak broźnić, spokojnie grykę siać, zwady z sąsiadem o snopek prowadzić?... Taki koniec i skutek? A niedoczekanie! Jak ja dziś wspomnę a zaliczę, panowie bracia, jak ja dziś pomyślę... Rada my w radę po zaściankach, gwaru dzień i noc pełno, krzyku między nami poczciwego. — Ta choćby brukanem z pola! — woła ten, woła drugi...

Dziwne to, dziwne zdarzenie... — śmiał się żołnierz, kiwając głową. — Zważcie ino, panowie bracia: między sobą, widziało się, paplalimy, we swoich ścianach. Aż to jednej i tej samej nocy we wszystkich okolicach szlacheckich wojsko na egzekucyę zwaliło. Kto ino głośniej mełł językiem, tego w rekruty... Już nas w Siedlcach, w Łukowie rozdzielili na partye, potem ubrali w kamasze i marsz, marsz w austryackie dziedziny. Jać nie byłem w gębie ostatni, więc, jak się patrzy, oparłem się aże w regimencie grafa von Koenigsegg-Rothenfels. W trzecim batalionie, aże w mieście Pilsen, w Czechach, wytchnąłem po marszu. Wdziali na mnie biały mundur półfraczasty, białe pantalony, białe kamasze. Żeby nie płytkie, czarne ciżmy i płytki czarny kapelusz, żeby nie mankiety, kołnierz i podszewka malinowego koloru — nic ino anioł.

Karabin, ładownica, biały pas przez piersi — i na mustrę. He, szelmy! Ile to kary, nim człowiek pojął, co taki kapral mamroce, co se pod nosem mruczy leda oficerek! Nie upłynął rok czasu, poszlimy w górną

Austryę, w góry Tyrolu bić Francuza i Papieża bronić. Ale nie samego Ojca Świętego. We łbie się przewracało, kiedy przed frontem wzięli z polska po węgiersku wyczytywać, kto to na one nasze męstwo wyczekuje. Uczylimy się tego, jak pacierza. A to pamiętam Karol Emanuel IV, sardyński król, któremu szubienicznik Buonaparte wydarł jakisi Piemont, a to książę Parmy, to samo Karol i to samo czwarty, ale już nie Emanuel, a to książę Herkules z Modeny i sama królowa Karolina z Neapolu. Niemało ja z kamratami ziemi zdeptał, onych person broniący. Jak ja dziś wspomnę a zliczę, panowie bracia, to my wonczas ze trzysta mil nieustającym przemierzyli krokiem. Szli my piechtami przez kraje niemieckie, zielone, leśne a rolne, przez bardzo piękne sioła, przez one szumne rzeki-strumienie... Boże mój, Boże! Dołami onych pagórów, precz w wyżyny, pomiędzy skały i aże ku białym śniegom... Zrazu nawet wierzył człowiek z drugim, że świętą osobę Najwyższego Pasterza jegomości piersią swoją osłaniać idzie. Z kim się było zrozumieć, komu zaufać, zwierzyć się a ugwarzyć? Naród zegnany z wszech stron, z czterech końców świata. Wilkiem patrzał jeden na drugiego i, jako ten zbój, czyhał na oficera, a oficer znowu, jak wilk, szczerzył zębce na podkomendnych. Nie zostawił ta zresztą komendant pobratymca jednego z drugim w glicie, ba! w kompanii! Niechże to kapral wypatrzy, że się dwaj między sobą w głuchą noc zszeptują, że jeden do drugiego niby to przypadkiem, z głupia frant szlusuje w bitwie, że do się zdala gadają oczyma, albo przez znaki: pierwszy raz będą oba biegali bez żywą ulicę, a drugi raz—kula

w łeb. Toś ta i język umiał dobrze trzymać za zębami, a ślepie pod powieką...

A taki swój swego gdzie nie wiedz, w dziesiątym regimencie po oczach, po kościach lica, po smętku a milczeniu rozezna. Ileż to razy, braciszkowie moi, na pobojowiszczu gonisz zajadły, święty ugór zranionych przemierzasz twardym krokiem i skrzywdzisz obcasem braterską pierś czy głowę! Dopiero krzyk rodzimy, dopiero jęk przebije cię z dołu, jako ten bagnet. A ile takich pól przemierzył ja w pierwszej wojnie! ile w drugiej! W drugiej wojnie zeszlimy byli z gór w pola lombardzkie. Tam to one drzewa oliwne, jakobyś wierzbinę swoją obaczył, tam to brzoskwiniowe sady... Sama była wiosna. Jedni z naszych kamratów pod arcyksięciem Karolem poszli w dół Renu na Jourdana, inni darli w Szwajcary na Masenę, a my pod felcajgmastrem baronem von Kray zeszli nad Adygę rzekę. Wnet baron rozparł się lewem skrzydłem w Legnano, a prawe oddał pod komendę generała Kaim, i tamto stanęło za Weroną. Sam środek opierał się o to stare mieścisko. Generałowie Elsnitz i Gottesheim z siedmioma batalionami piechoty i trzema szwadronami huzarów zajęli stanowisko Bossolengo i Polo na prawym brzegu Adygi. Łańcuch graniczny od modrego jeziora Garda, aż do miejsca zwanego Mamalagna trzymały dwa bataliony wojska granicznego, cztery kompanie strzelców i szwadron huzarów. W tej wsi Polo postawili na Adydze dwa mosty, a przed nimi usypali szańce ziemne. Dnia 26 marca od samego rana zwaliły się na nas dywizye francuskie. Młode bestye, żołnierz z pieluch, to też to szło w biady, sięgało ci do gardła, jak we szkole. Dy-

wizya Grenier! Ale i cesarscy nie dawali się zjeść w kaszy. Żołnierz stary, wyćwiczony, w stu bataliach się terał. Tam to zawrzało! Skłębiły się i zagmatwały te dwa wojska, wżarło się jedno w drugie. Dawaj bić! Bagnet szczęka w bagnet, oczy łypią w oczy. A staremu wiarusowi z pod Melasa, czy z pod Kraya, nie tak znowu łatwo broń z garści wytrąci bele smyk, choćby bestya i młodymi zębami kłapał. Ale był ta między nimi kto inny ku pomocy. W przedniej straży szedł batalion od innych odmienny. Walił środkiem zaprawdę, jak żywy mur. Chłop w chłopa, ramię w ramię, puklerz przed nimi z bagnetów...

Panowie bracia! spojrzę ja na tych ludzi krwawem ślepiem, w boju spracowany... Błąd się głowy czepia, gwer z ręców leci, włosy na głowie stają! Jezusie Marya! Ta że to nasze barwy i znak! Słyszę, przez Bóg żywy, swoja komenda! Pierwszy ja raz tak ich oko w oko zobaczył. Nim słowo rzec — już ci ślocham w głębi szeregu. Nim słowo rzec, już ci z trupa bratniego mundur zwłóczę i na ramiona wciągam. A dokoła mnie swoi ludzie. Słyszę rozkaz. Wtedy! Myślę sobie: »A skoroś mi, Panie Jezu, takowego dnia dał dożyć i takowem miłosierdziem nad dolą moją zaświecił, toć i ja Ci pokażę, żem przecie sroce z pod ogona nie wypadł!« Z tym samym austryackim gwerem w łapach jak pójdę! Jak stanę w szeregu, jak wezmę pospołu z bracią rznąć w batalion Koenigsegg-Rothenfels! Śmierć to śmierć! Tam w oczach moich poległ szef batalionu Lipczyński. Siedemdziesięcioletni starzec, pułkownik za naszych czasów, Darewski, walcząc na ochotnika, jako prosty żołnierz w tym samym, co i ja, sze-

regu grenadyerów, śmiercią mężną skonał. To samo dwaj Zaderowie na szańcach, to samo podporucznicy Borys i Majewicz u Mostów na Adydze, a żołnierzy i podoficerów 150 chłopa. Ale dywizje Delmas i Grenier po czterogodzinnym boju wzięły pazurami szańce z kompletem armat, wyparły moich Austryaków, przegnały ich na lewy brzeg, wzięły szturmem oba mosty i nie pozwoliły ich zniszczyć. W dywizyi Victor był drugi batalion polski pod Rymkiewiczem generałem, co w wigilią tego dnia przybył z dalecyny, bo aż, mówili, z Konstantynopola.

Męstwem swojem ten batalion samych zadziwił Francuzów. Gnalimy białasów aż pod mury Werony. Ale bitwa tego dnia kosztowała legion polski 750 zabitych. Taką to ja drogą poszedł w one legiony... Wliczyli mię do trzeciego, co był ostatkiem, szczęteczkiem. Generał Scherer zaczął się cofać. Bataliony pierwszy i drugi w swoich dywizyach, trzeci z półbrygadą francuską i dwiema armatami pod rozkazem Kosińskiego składał wystawioną straż w Rolta-Vecchia dla zasłonięcia obozu dywizyów Victor i Grenier od Marengo do Casteletto. A gdy armia francuska nie mogła dłużej ustać w tem położeniu bez obawy, że ją otoczą, wtedy Bartki francuskie uradziły, żeby się cofać. Generał Scherer — bodaj z piekła nie wyjrzał! — kazał nam dwustu nowym rekrutom, gdy główna siła naszych poszła do Mantui, zamknąć się w twierdzy medyolańskiej, co ledwie kilka dni bronić się mogła. Wiedzieliśmy, że leda dzień obsaczą nas Austryaki, jak to morze, a skoro się poddamy, łby nam ukręcą. Na nasze szczęście, splamiony Scherer opuścił dowództwo. Zaraz generał Mo-

reau cofnął barbarzyński rozkaz. Wziął nas ze sobą, gdy za Ticino uchodził. Legion Wielhorskiego zamknięty był w Mantui i nasza z nim komunikacya zerwana. Poszlimy z armią włoską. Bylimy w boju pod Valence... Dawne męstwo odżyło, dawne się wspomniały czasy. Wnet generał Macdonald, uchodząc z Neapolu przez wielkie włoskie góry, przyszedł na nieszczęście swoje pod Trebio i stoczył ową bitwę straszliwą. Złączył się potem z armią włoską i poszedł pod komendę generała Joubert. Bój pod Terzo i Medesima! Zginął mężny Joubert, prawdziwy żołnierz, gdy rankiem o godzinie trzeciej w pierwszym brnął szeregu...

Biliśmy się tego dnia od świtu do późnej nocy we trzydzieści tysięcy przeciwko ośmdziesięciu zjednoczonych. Generał Colli z jednym batalionem francuskich mazurków i dwiema secinami naszych, co my się zwali legią trzecią, zasłaniał rejteradę. Po Joubercie — Championnet generał, a gdy ten umarł — Massena. Legia pierwsza pod Dąbrowskim do połowy wybita przyszła w genueńskie góry. Tam my się spotkali. Ożyły nadzieje. Buchnęła w szeregi wieść o powrocie z egipskiej wyprawy »najstarszego Bartka«, jak zwali wtedy wielkiego wodza nasi żołnierze-wiara.

Oręż wrastał w dłonie od samego płomyka nadziei, że leda dzień, leda chwila przybędzie przed nasz front i powiedzie poprzez struchlały Wiedeń. Już my widzieli zjawę karpackich gór, krakowski rynek... Już my w pieśni przemierzali dalekie ziemie... Wśród onych chrobrych dni wkroczylimy do Genui miasta, a bramy jego zatrzasły się za nami. Z lądu, ze wszystkich dolin i gór, obległ nas generał Ott, a okręty angielskie

lorda Keitha z morza. Ustał dowóz żywności. Ziarnko zboża nie doszło już od tej chwili do miasta. Zrazu dawali nam połowicę porcyów, potem ćwiartkę, a koniec końców po dwa łuty śmierdzącego mięsiwa na człeka, po gloneczku chleba. Przyszła nędza bardzo wielka. I nietylko na wojsko, ale na całe miasto Genuę. Ludzie poczęli mrzeć, jak muchy, i nieśli ich ta tłumem na owo piękne *Campo santo.*

W parę tygodni wymarło ze zgniłej strawy i z zaraźliwych chorób dwadzieścia tysięcy ludzi. Z nas znowu, z żołnierzy wdrożonych do biedy i twardzizny żywota, zostało w kupie ośm tysięcy prawdziwych kościotrupów. Siedzielimy na tych górach grzebieniastych ponad grodem, czyhając, jak te sępy. Nasz tam, wiecie, Polak krótko się martwi. Wzdychać se wzdycha w najgorszej chwili, jako i zaklnie aż w kościach trzeszczy, ale wnet się przecie skrzepi bele czem. I jużci słyszysz, śpiewa swoje... Aby ino razem, aby w kupie, to i dobrze. Samego zostaw na dwa dni — jużci się tak rozstęka, że najtęższy chłop na nic. Widzieliśmy austryackie zastępy rozwleczone w dolinach i het — precz! — po suchych gołogórach, jak se ta na nasze trupy ostrzyli bagnety. Wołalimy na nich: »Chodź-że, chodź, nienasytku, a po drodze przemień się w kruka, żebyś nas przecie całych pożżerał!« W dali przed nami było wielkie morze. Jak je sobie wspomnieć!... Dalekie, modre lądy idą stamtąd we dwie strony świata, na wschód i na zachód słońca, a giną i rozpływają się we mgłach niebiosów i we mgłach wód. Jest takie miejsce, gdzie ich już oko nie chwyci, — wypsną się najbystrzejszemu — a długo patrzysz, żeby je gwałtem, jak idą

między niebo a wodę, wyśledzić, to ci ino łza z oka pociecze. Najbliższy ząb gór, Portofino, wrzynał się w morze z lewej strony, a na prawej za miastem Savoną już ledwie znać było ziemię. Morze dalekie było stamtąd widać, jak chodziło szumne, gromkie, zmiennobarwiste. Och, morze moje, morze!... Tam ja się poznał z tobą... Zatoko moja, zatoko... Jak to tam nad nią stały złomy nagie, w których spalone szczeliny wszczepia jastrzębie knykcie szary, drapieżny kaktus. Jak to tam leżą w rozpadlinach uschłe łoża potoków, drogi, którędy ino chodzi złość a furya burzy wylęgłej w morzach. Żylimy w pośrodku rumowisk, gdzie cienia nie znaleźć przed mściwem słońcem. Czasem się tam zabłąka pokręcony krzew bukszpanu i tuli pod sobą cień tyli, że w nim głowy nie schowasz. Przyszedł na nas w ostatnich dniach obrony głód nieladajaki. Spadziste ulice Genui! One ciemne a wązkie jamy, gdzie słońce nigdy nie dociera!... Puste były, gdyś tam szedł ku portowi, żeby choć z morza co nie co wyłowić na haczyk ze śpilki, — jakby już wszyscy do nogi wysnęli.

Gdy my się tam szwendali, jak psy bezpańskie, szukając byle ochłapa, żeby choć ducha odświeżyć, nieraz śmierć w oczy zajrzała. Skoroś ino ostrożnie wsunął nos i oczy z ulicy w czarną i zimną sień, wnet na cię warknął Włoszyn zielony z głodu, abo ci lufę krócicy wprost między ślepie wstawił, abo ta na paluszkach szedł z nożem w rękawie, jak pies - milczek. To nieraz taka desperacka fantazya pchała człowieka, że właśnie szedł od nory do nory... Skutek zawżdy był jeden: pustka w jelitach.

Kapitulowały wreszcie nasze »Bartki« — Massena i Soult. Resztki legionów wyszły z miasta w stronę Marsylii. Bez tynfa w wacku, bez butów i odzienia, w rędach starganych i zetlałych szmat, półnadzy i o głodzie, ciągnęlimy w świat francuskiemi górami. Zima była, deszcz, bieda! Gdyś się na bosaka podbił, stłukł a poranił nożyska, że popuchły, jak bochenki chleba, brało się deszczułkę za podeszwę, szpagatem ją przytwierdzało do stopy — i dalej. Gałgany zlatywały z gnatów... Idziemy, bywało, przez włoskie w Morskich Alpach siedliska, śmieją się z nas piękne dziewki, stojąc przed progami murowanek, i pokazują palcami nasze stroje. Tornistry na nas ino całe a czapki. Reszta dziury. Wstyd! Dopiero panowie dowódcy dawajże nas w ambit wbijać! Idzie oto nasz Słoński, chłop osobisty, walny, z jednej sztuki, krokiem twardym, a bańczucznie, a hardo. Mundur na nim białą nicią w stu miejscach ześcibany, buty jeść wrzeszczą, że to w szeregu całym słychać. Kiszki w nim takiego marsza grają, że żadnej nam orkiestry nie trza... Wszystko—bajki! Wąs drze do góry, nadął się jak po trzech obiadach, mina, jak sto tysięcy dyabłów.

— Trzymaj się jeden z drugim! — wrzaśnie, gdy mu w glitach stękają. Równaj się! Wiedz jeden z drugim, że najjaśniejszą Rzeczpospolitą w tornistrze dźwigasz!

Zaraz się ta mężniej nogi ruszały i głód się nie ważył doskwierać.

Trepka chodził po izbie cichymi krokami. Czasem stanął i, plecami oparty o ścianę, kołysał się tam i sam. Przez zaciśnięte jego zęby wydobywało się bezwiednie świstanie ulubionej melodyi:

»Kiedy twoje spotkam oczy,
Nim dostrzegę, żem widziany...«

Wędrowiec westchnął i zamilkł.

— Cóż się z wami stało później? — szepnął Cedro.

— W Marsylii równa nas czekała bieda. Rząd dyrektorów nic o nas wiedzieć nie chciał. Za swój własny ostatni grosz oficerowie sprawiali żołnierzowi chusty, odziewali przybyszów w uniform i stawiali pod dawne chorągwie.

Przybyli oficerowie, w niewolę roku siódmego wzięci w Mantui, co w pustym klasztorze pod Leoben jedenaście miesięcy przetrwali. Uzyskawszy wolność odrazu ruszyli do nas. Za nimi ściągnęli żołnierze, co w czasie kapitulacyi uszli byli i, przebywszy górę Cenis, tułali się po Fraucyi. Potem nie było już dnia, żeby po jednemu, po dwóch nie przybywali towarzysze wzięci w niewolę, co to w kajdanach rozesłani byli po regimentach austryackich, a teraz znowu, powtóre uszli z cesarskich szeregów i o setki mil szukali swojej komendy w legionie. Objął nad nami komendę generał Kralewski, a po nim Karwowski. Nierychło, nierychło przeczytali nam wodzowie dekret pierwszego konsula, że idziemy na żołd Rzeczypospolitej Francuskiej. Na dwa my się rozpadli legiony. Pierwszy z siedmiu batalionów piechoty i jednego artyleryi dostał się pod komendę naszego generała-porucznika i przyłączon do armiów włoskich, a drugi ze czterech batalionów pieszych, regimentu kawaleryi i dwu kompanii artyleryi konnej pod komendą Kniaziewicza poszedł do armii nadreńskiej. Wkrótce nasz pierwszy legion liczył sześć

tysięcy ludzi. Ruszylimy się z Marsylii w Mantuańskie pod starego Massenę.

Rok dziewiąty! Odparci cesarscy za Mincio. Część naszej legii poszła do obwodu Peschiery, a ja w drugiej pod Mantuę. Dziwne losu zrządzenie! Zważcie jeno, panowie bracia: przyszlimy w te same wądoły, nad one zgniłe rowy i murowane fosy, co je krew naszych braci zbroczyła. Mielimy możność hojnie odpłacić za podłą zdradę roku siódmego, za sekretny paragraf Kraya. Krzyk się w szeregach rozszerzył: »Nie darować!«

Gdy my wyciągnęli linię na ćwierć mili, a białe wojska miały z murów wychodzić, legia, jak jeden człowiek, ścięła zęby i w bramę wlepiła krwawe oczy. Ci tu stali, co na tem miejscu hańbę ponieśli. Chwila i rzucą się, jak jastrzębie na schorowaną i bezsilną załogę. Broń u nogi, ale śmierć zieje z oczu... Wtem, jakoby na komendę, staną przed szeregami panowie oficerowie i przemówią krótkiem słowem do duszy wojska... Hańba-by to, prawi, była i zmaza na honorze niepokalanym rycerzy plugawą i nędzną zemstą się parać. Nie fałszywemi przysięgi, nie zdeptaniem słabego nie pobratymstwem z zakonem zbójców walczy Polak. Honor żołnierza rozkazuje równą wrogowi, a kamienną pokazać stałość w niedoli i w chwili tryumfu.

Nie sprzeciwił się żołnierz legionowy swemu dowódcy. Stanęliśmy w porządnym szyku, gdy nieprzyjaciel wychodzić zaczął z twierdzy przez cytadelę. Zażądał tylko nasz pan generał, żeby wojsko austryackie nie krokiem paradnym szło, lecz żeby go odmieniło na prędki. Tak się też stało. A gdy tak szli bez sztanda-

rów, a żywo, żywo — raz w raz z ich glitów występował żołnierz — Polak, roztrzaskiwał broń w oczach komendantów i stawał w naszej kolumnie.

Ostatnia to była nasza piękna chwila. Pokój w Lunewilu! Zachmuliły się dusze... Widzielimy, że przekrzściał i opada ostatni kwiatek nadziei. Tak, jakoby z pod onych bram Wiednia... Legion drugi otrzymał rozkaz iść z nad Renu w dziedzinę Toskanii, która Królestwa Etruryi wzięła tytuł. Rzucił mundur generał Kniaziewicz i co ognistsi jego oficerowie. Sokolnicki wiódł legią przez Szwajcary trzema szlakami na miejsce przeznaczenia. My w sile półsiodma tysiąca głów zajmowali Modenę i Reggio.

Nikt już teraz nie wiedział, co będzie dalej. Mówiono, że mamy iść w służbę króla Etruryi, to znowu, że na żołd cyzalpiński. Zlękli się ludzie. Wdała się dezercya, nastał bezład. Szeptali coś świadomsi, że zrobią z nami to samo, co jakiś Wielki Fryc z najemnem wojskiem po Siedmioletniej wojnie, a że nikt dobrze nie wiedział, co zaś za Fryc i co on zrobił z onemi wojskami, więc strach szedł coraz większy. Wtedy to powstał plan obrony...

Jeden mocny nasz batalion stał załogą w Mantui i był najsilniejszą częścią garnizonu. Myśl obronna była taka, żeby opanować bramę Pradelli, gdzie tyle krwi naszych wyciekło w fosy — i przez to miejsce wpuścić drugą dywizyę wojska pod Sokolnickim. W tym samym czasie miał regiment kawaleryi pochwycić Peschierę i całą linię nad Mincio, wszystkie mocne i niezdobyte miejsca. Wtedy garnizon puścić na patrol i iść w biady, czy w układy z Rzeczpospolitą Francuską. To była

myśl Fiszera. Wezwano do rady oficerów po kilku z każdego batalionu. Wszyscy w jeden głos okrzyknęli, że się zgadzają i z zapałem najgorętszym oświadczyli gotowość do dzieła. Ale się oparł sam pan generał. Inną myśl podał. Wyjdźmy, prawi, cichaczem z Modeny do Otranto, pochwyćmy statki, usiądźmy na nie i płyńmy zbrojnie na Korfu, Cefalonią i inne wyspy, co składały Rzeczpospolitą siedmiu wysp Jońskiego morza. Tam radził opanować silne punkty, ogłosić wysp niepodległość, jako ich armia osiąść i czekać aż do czasu. Z tym planem udał się pan generał Dąbrowski do pierwszego konsula.

Kiedy takie zamysły nurtowały w naszych korpusach, przybył z kwatery głównej do Modeny generał Vignolie dla wykonania nowej organizacyi. Przywiózł nam słowo pierwszego konsula, że skoro legiami być już nie możemy, a wzdrygamy się iść w służby króla Etruryi, żeby nas za najemnych szwajcarów nie poczytał świat, tedy on proponuje nam, abyśmy przyjęli poddaństwo Francyi. Kto z was, mówił generał, nogą stanie na ziemi francuskiej, otrzyma wszystkie prawa francuskiego obywatela. Zawierzono. Zaraz tedy odjęto nam tytuł legiów polskich i zamieniono na półbrygady wojsk cudzoziemskich. Jedenaście batalionów piechoty zredukowali do dziewięciu, to jest zmienili na trzy półbrygady. Stu blizko oficerów straciło miejsce w nagrodę zasług. Dwa pułki przeznaczone zostały do służby cyzalpińskiej, a trzeci miał zostać w Etruryi. Sztab legionowy odsunięty od komendy. Pierwszej półbrygadzie natychmiast kazano maszerować do Medyolanu... Tak to korpusy nasze zostały rozerwane. Usiłowania pana

generała żadnego nie odniosły skutku. Projekt ambarkowania się na siedm wysp i opanowania Morei nie znalazł aprobaty chytrego ministra. W smutku powrócił wódz, oznajmiając upadek legionów. Kiedy już się to dokonało, wówczas przez kilka miesięcy żołd trzeciej półbrygady został wstrzymany, a kiedy oficerowie dla wielkiego niedostatku nie byli w stanie z miejsca się oddalić, wyszła piąta i sześćdziesiąta ósma półbrygada, stanęły obie pod bronią z rozkazem użycia gwałtu w razie naszego oporu. Otoczono nas siłą przewyższającą i poniemusem pod paszczami armat przymuszono wsiadać na fregaty w Livornie...

— Dokąd? — wyszeptał Cedro.

— Dokąd? Zrazu mówili, że do Tulonu, a wreszcie wyznali wprost.

— Na Antyle?... — mruknął Trepka.

— Tak jest, panowie bracia.

— I to wy, co się honorem chlubicie, żołnierz z bronią w ręku!

— Z bronią w ręku...

— Trza było skonać, a nie iść poniemusem.

— Słowo łatwiej powiedzieć, niż rzecz samą wypełnić. Onych i wtedy nie opuściła nadzieja. Mówili sobie: »Zginął nas jeden tysiąc, drugi, zginie trzeci — a taki zatrwamy!« Dziesiąty tysiąc, a nie to dwudziesty z kolei przyjdzie na miejsce swoje. Wielki wódz słowo dał. A żołnierz słowo wodzowe na czułej szali waży. Tylko widać tego ostatniego tysiąca, mówili wtedy, jeszcze nie wybiła godzina. A panowie oficerowie! Posłuchaj, panie bracie, chętnem sercem, a uważ...

Panowie oficerowie naszej półbrygady, choć wie-

dzieli, co ich czeka, nie chcieli się chyłkiem uwalniać ze służby, nie chcieli w tej bardzo złej godzinie opuścić żołnierza, któremu przewodzili w boju, a z którym przeszli góry, niziny. Ani jeden nie uszedł z Livorna, żeby głowę ocalić, choć były potemu sposoby.

Słowem honorowem polskiem sprzysięgli się dzielić los z bracią. Prawda, był później, słyszałem, jeden, co towarzyszom naszym w drodze do Genui, gdy szli naszymi tropy ambarkować się za morze, przystawił z boków i z tyłu szwadrony kawaleryi francuskiej, żeby snadź żaden ucieczką się nie salwował. Z jego także naprawy wyszło posądzenie oficerów o spisek i bunt co przyśpieszyło rozkaz wsiadania. Sam ów został na lądzie, gdy fregaty wojenne od brzegu genueńskiego, odbiły. Pierwsze to było i ostatnie złamanie wiary w legionach.

— Mów-że waćpan, co z tobą — nastawał Cedro.

— Jam ci należał do 113 półbrygady, co w dniu 13 czerwca 1802 roku wstąpiła na pokład w Livornie. Ostrożność generała Rivaud, który z piechotą, konnicą artyleryą, otoczył nas pierścieniem i pchał do portu, była całkiem zbyteczna. W porządku stanęlimy na kamieniach portu. Rzędem czekały szalupy. Rozpacz tłukła nam piersi, jak ona burza... Bo burza sroga wstawała tego dnia w morzu! Pomnę... One mury zimne, samotne płoty kamienne w morzu z południa, za cichą zatoką, jak na nie z czarnych dołów chlaszczą piany białe. Niebo wpośród dnia czarne, jako o północku, a w niem niedaleka, zda się, tuż tuż, grozi ponura skała Kaprai. Latarnia morska połyskuje na niej raz za razem, raz za razem, nikiej bolesny znak na trwogę.

Ptactwo na żelaznem niebie z piskiem się chyba. Padnie piorunem w siwe, chodzące góry, w złe doły, w one dymy sieczne i palące — i znowuj lotem w górę, na skrzydłach, aż ta zginie. U nóg twoich, człowieku, morze między złomami chlepa a ślocha. Jakie to ta w niem głosy! Jakie ta krzyki!

Stoi domek strażniczy na samym końcu *molo*. Przysiadł, zda się, i czeka. Tyłem się wykręci, mchy kamiennego daszku na się — i cierpi. Strzeli w niego bałwan rozbiegany z prawej, leci nań z daleka od Elby czy Korsyki góra wodna, jakoby dziki, zjuszony koń... W porcie wiatr przyciszony. Poszarpuje ino nasze korwety. Wydmie dolne żagle, naciągnie, aże zawarczą, zaświszczą liny. Górne zwinięte do cna. Wielki żagiel, co go nazywają marynarze *grand wual de mizen*, czasami ino rozciągnie się, jakoby siły swojej mocarskiej próbował.

Dali rozkaz: »W szalupy!«

Każą nam wyciągać kotwicę kontradmiralskiej fregaty. Werznęła się była w dno i zahaczyła o głazy. Stu kilkunastu nas dołożyło ramienia. Wreszcie poszła. Okręt manewruje, żaglami nastawia się... Wnet idzie z pomiędzy kamiennych grobli na pełne morze. Nasza korweta dybie za nim trop w trop. Hej-że, hej! Ledwie my się pokazali na głębokich toniach, na wiatrowisku, porwie nas i poniesie. W szyję między Elbą a Korsyką! Zda nam się krótko widzieć kamienny, pusty, ciemno-rudy brzeg. Słyszymy, jak to tam dzwonią w skały rozwścieczone wełny, jak tam świszczą lasy po górach, jak grają skały czerwone. Wnet jeden maszt złamany, jakby ten pręt leszczyny, i pospołu z żaglem ciśnięty w fale. Z trzaskiem lecą na pokład latarnie

urywane z górnych masztów! Burza! Pójdzie nasz okręt w górę i na dół. Pocznie go zagon morskich wałów z boku na bok kłaść, bić w pierś, jakoby belką! Straszne, siwe morze! Och, wściekłe!

Dużo ja w życiu twardych dzieł widział, a nigdy jako wtedy. Strach me obszedł wokoło. Blizka a niespodziewana śmierć zajrzała w oczy, tchnęła w twarz... Rozmiotła burza naszą flotylę, z trzynastu okrętów złożoną, w cztery strony świata. Dwa tylko zdołały napowrót do portu zawinąć. Trzy wpędzone zostały do kanału Piombino między wyspą Elbą a lądem suchym, okręt grecki rozbił się całkiem o skały i ze stu sześćdziesięciu ludzi tylko jeden kapitan Kastus ze swą żoną na brzeg się wydobył z toni. Reszta okrętów, a między innymi nasz, latała w morzach, miotana wściekłością żywiołów. Ani przez ten czas strawy, ani napitku. Kto leżał bez duszy i taczał się z końca w koniec sali pod pokładem, tego kapitan nie mógł brać do roboty, ale który mógł ustać na nogach, tego na pokład i do lin! Nie jednego bałwan huknął w piersi i połknął pianami na wieki wieczne. Bosy, przemokły do ostatniej nitki, spracowany a zeszarpany od womitów, bez siły w sobie ciągnął człek one liny. Jednego razu w ciemną noc grzmotnęło okrętem w jakieś skały. Zatrzeszczał, zadygotał i legł na boku. Stanął.

Usłyszeliśmy krzyk kapitana: »Siekiery! Tnij liny! Tnij drugi maszt! Armaty z zatopionego krańca w morze!« Dali go wtedy, co mocy w ramieniu! Plusnęły nasze działa, wszystkie sześć, jak jedno—i okręt wolno wstał, sprostował się. Po czterech dniach i czterech nocach zaczął wreszcie żywioł nacichać. Dopiero ja

z towarzyszami — spać. Zimnica trzęsie, sny straszne.. Pić... Nie wiedziałeś, człeku, owo zgoła, gdzieś jest, co się dzieje. Tymczasem rozbite nawy znalazły się między wyspami Balearskiemi a brzegiem Hiszpanii. Łatał się tam nasz statek, stroił w żagle. Po kilkunastu dniach zebrał się wreszcie i popłynął ku Maladze. Tam już i inne członki flotyli zdążyły. Dopędził nas okręt, na którym był szef batalionu Bolesta starszy, który to okręt pod Syrty afrykańskie był zapędzon. W lipcu okręt nasz podniósł kotwicę, a sterując po podlądziu, między brzegami Gibraltaru i Algesiras a Ceutą w Afryce, szedł wolno w stronę naznaczoną. Widzieliśmy gołem okiem z pokładu starą ziemię... Cicho było i pięknie. Ledwie się marszczy, ledwie gzi morze. Jeszcze mi w oczach do dziś dnia stoją one dwa brzegi dalekie. Brzeg hiszpański, z którego strzelają w niebo góry skaliste, nagie, gdzieniegdzie porosłe pinią i cyprysem... Pierzaste liście wierzchołków palmowych wznoszą się z kujaw piachu, płasko rozciągniętych na brzegu Afryki. Jakoby wiklowe chlusty widzą się zdala, jak u nas po nadrzeczu. Jeden za drugim szły okręty. Ludzie nasi odkryli głowy. Milczą i żegnają się oczyma z lądem co ich wydał. Straszny żal...

Nazajutrz zawinęliśmy do Kadyksu. Półbrygada mająca się przesiąść na inne okręty, wysiadła w Kadyksie i dwanaście dni straciła na przygotowania do odjazdu. W sierpniu dopiero z pomyślnym, północnowschodnim wiatrem opuściliśmy port, ominęli cypel Tangeru... Idziemy między wyspą Maderą a Kanaryjskiemi, potem jeszcze dalej. Wiater się odmienił, weszliśmy na wody krążącego oceanu. Odtąd stateczny, wschodni wiater przy niebie pogodnem dozwolił nam

sterować prosto po kędzierowatych falach ku Antylom. Upały nastały najstraszliwsze. Noce tylko przynosiły chwilę odetchnienia. Pod sam koniec sierpnia taka cisza nastała w morzach, że nawy stały jak na murowanym fundamencie, na litem zwierciadle. Czekalimy z upragnieniem zachodu słońca. Ledwie się utopiło w onych stojących równinach, wznosił się w tem miejscu, gdzie zginęło, blady, sinawy pas światła zodyaku. Dygotał wtedy każdy, bo było tak, jakby z trójkąta, nachylonego nad wodami, patrzało w nas Oko wieczne. Podobne my widywali dzieckami w kościołach rodzinnych wsiów. Ale wtedy! Deska onego trójkąta była u podstawy rozległa, jak samo morze, a szczyt jej gubił się w schodzącej nocy... Nocami świecił nam księżyc. Nieraz my go opasali oczyma i tak oto całą noc leżym na pokładzie, czuwający, dokiela blady i zimny nie odszedł w odmęty zachodniej strony. Świeciła nam gwiazda wieczorna tak wielka, że się od niej strzała pozłocista kładła napoprzek morza.

Nieraz, bywało, wyjdzie z topielów błędna sucha chmura i wszystkie oczy powiedzie na wschód, w niezmierność oceanu, rzuci na nas widzenie senne lądu ojcowskiego... Zmniejszono nam racye jadła i wody. Woda stała się brudna, cuchnąca, pełna robactwa, a i tej tylko kwartę na człowieka dziennie dawali. Par stał się taki, że mdlał najtęższy. Smaga w ustach dniem i nocą, że się wargi raz kole razu trzaskały. Język wysechł na suchą drzazgę. Żołnierz, jako to żołnierz. Skakał z pokładu w morze dla ochłody. Źle się to najczęściej kończyło: jedni dostawali kurczów, a inni od rekinów i morskich wilków pożarci.

Około pierwszego września ocknął się wiater wschodni i z największą szybkością pognał nas ku wyspom. Ale dopiero w połowie października ujrzelimy przylądek Samana. Wkrótce wpłynęlimy do zatoki Mancenilla i pod miastem Cap-Français rzucili kotwicę. Odtąd zaczęły się nasze dzieje. Już wtedy wódz zbuntowanych Murzynów, Tussen-Luwertiur, zdradą pochwycony został, odesłany do Francyi i tam w jakimsi ponurym zamku żywota tęgiego dokonał. W sierpniu 1802 roku rozeszła się po uciszonej wyspie szeptana wieść o zaprowadzeniu pomiędzy Murzynami niewoli Takie postanowienie francuskiego rządu wzbudziło powszechną zgrozę i stało się hasłem rokoszu. W górach San-Domingo stanie na czele kreolów Murzyn Lamur de Rans, w Wilier wzbudzi bunt San-Susi, w Dondon Noël, w Plesans — Sylla, w okolicach Port diu Pe — Makaja. Istotnym przecież wszystkich wodzem był Karol Beler, a tego siedliskiem były góry Kaho. Prawie cała ludność murzyńska na wyspie złączyła się z mulatami i chwyciła za broń. Kapitan jeneralny Leklerk, podszczuwany przez naczelników murzyńskich, co jeszcze w służbie pozostali, takich, jak Dessalin, ten sam, co się potem za cesarza wyspy Haity pono ogłosił — postanowił szerzyć wśród nieprzyjaciela postrach morderstwami. Pastwiono się na jeńcach wojennych. Wyszła taka zasada, że każdy jeniec wojenny ma skonać wśród tortur. Murzyn, złapany z bronią w ręku, a nawet i bez broni, ale w polu, wszystko jedno, winny, czy nie winny, śmiercią konał. Przeciwna strona czyniła to samo. Nowy to dla nas był sposób prowadzenia wojny. Okropne choroby zaścielały pole, a nadewszystko straszliwa »cio-

tucha«—żółta febra. Dziwna to była słabość. Jednych zabijała na miejscu, jak piorun, bez żadnych poprzednich oznak, a dla drugich była długiem bezlitosnem konaniem. Tak to nagle, pamiętam, umarł nasz podporucznik Bergonzoni na pokładzie fregaty. Pewnego poranka, o samem świtaniu wszedł był do kajuty kapitańskiej, w której przebywał szef Małachowski. Gdy ten go spytał, czegoby żądał, Bergonzoni, jako że był służbista, wyprostował się i oświadczył, jako przybywa oświadczyć, że umiera. Wziął go szef pocieszać i uspokajać. Nic nie rzekł i wyszedł na pokład. Tam postąpił kilka kroków naprzód, padł i skonał. Włożyli go w wór, kulę wielkiego kalibru uwiązali przy nogach — i w morze. Inaczej było z przewlekłą chorobą. Żołnierz czuł w marszu, jakoby cios od kuli. Nieraz przysięgały się stare wiarusy, że ich kula przebiła, gdy naokół było cicho, a nieprzyjaciela nigdzie. Zaraz następowało wielkie osłabienie, dochodzące aż do omdleń. Ręce i nogi przeszywał ból, jakby były połamane. Trzęsące zimno Wszczynał się wielki trzask w czole, potem we wszystkich stawach i w krzyżu. Nieszczęśliwi słyszeli uderzenia pulsu w skroniach, oczy im wysadzało na wierzch i przemieniało w słup. Straszliwa bojaźń i wielka, niezgruntowana tęsknota nie daje pono spocząć biednej myśli. Nigdzie ulgi. Dech pędzi, jakoby ci Murzyn piersi zgniótł kolanami. Już po upływie dnia twarz nabrzmiewa i zaczyna czerwienić się, jak u człowieka mocno spitego winem. Wnet skóra żółknie, a białka oczu staną się, jak szafran. Na trzeci dzień zwidzi się choremu, że już przeszło, że już lepiej. Duch mężniejszy, oddech wolniejszy. Ale oto zacznie ustami, nosem,

uszami, a nieraz wprost ze skóry na szyi, na policzkach ciec wolno krew rzadka, czerwono-ruda. Nogi zimne, jak marmur, oczy ze szkła. Pot zimny, czarne womity, gangrena nóg i rąk — i wreszcie już upragniona śmierć. Ilu to ja tam kamratów wypatrzył w onych pochodach! ile ja cierpień ich, zwierzeń, spowiedzi wziął na barki! Och, a tamten okręt.

Jednego razu zawinął z oceanu do przystani Cap-Français okręt pasażerski. Siedziałem ja wtedy na brzegu morskim, zabity na ciele i na duchu. Już to było po roku naszego wojowania na wyspie. Byłem zranion w nogę i kurowałem ją ta, zasypując ranę miałko tartym prochem strzeiniczym, zalewając winem co najtęższem, a dla odmiany wodą morską. Kula murzyńska nadarła mi mięsa niemało, stłukła i roztrzepała kość. Spuchł kulas, jak baran, więc pozwolili mi naczelnicy siedzieć i wylegiwać się u brzega. A no siedzimy coś w dziesięciu, czy we dwunastu towarzysza, wszystko kalek, i gwarzymy o naszej wyspie. A już my się na niej wyżej czuba nażyli. Co który powie zdarzenie, to jedno od drugiego lepsze, jakby je sam dyabeł wymyślał. Duszy swojej, to już żaden nie czuł, czy nie miał... Każdemu wszystko jedno: śmierć—to śmierć, a żywot—to żywot. Darować komu życie, czy mu je skrócić — jedna jedyna chwila. Ani ta przedtem zastanowienia, ani potem krzyny żalu. Przygnały tedy fale pod brzeg okręt z daleka. Żagle na jego rejach rozpięte wisiały trzema rzędami, jeden na drugim. Czarne były, mokre, dziurawe, jak łachmany na zbóju. Wietrzyk je czasem rozdął, i wtedy szedł statek kadysi w morze, to znowu środkowa połać żaglów zaczynała się flańtać i zwisać,

a nawa do nas wracała, bezradna, jak ten korek na fali. Podpłynął ta ku niej Murzynek portowy na swej pirodze z dębu korkowego, wdrapał się, jak małpa, po linach na pokład. Patrzymy: zrobił na nim krok, zrobił dwa — i jakże nie pójdzie w dół! Buch w łódkę i we wiosła! Tylko się migał. Wyskoczył na brzeg... Patrzymy: cały na popiół zbielał ze strachu. Ślepie mu kołują, kołują, gęba się trzęsie, kolana tłuką jedno o drugie. Dopiero, gdy my mu zagrozili, że kulą w łeb weźmie, jeśli nie będzie gadał a żywo, wybełkotał, co widział. Cała załoga, kapitan, sternik, wszyscy podróżni do ostatniego majtka, wszystko co tchnie powietrzem, wymarłe na żółtą febrę, leży pokotem. Widzielimy go zdala, ów cmentarz chodzący po morzu, i śmielimy się z niego między sobą:

— Na taki ci to głupi koniec przyszło, — mówilimy — piękny okręcie!...

Fale były ciche i dobre, jak bywają nieraz rankiem w dzień jasny na jesieni. Przypływ je dopiero zaczął poganiać różaną gałązką, żeby tańczyły dokoła kamieni, sterczących pod brzegiem, żeby z pluskiem leciały w kamienne ostoje. Każda nowa fala rzucała nam pod stopy swój niezapomniany dźwięk, w którym słychać głos znajomy, jakoby prędkiego wiatru w podlaskim lesie. Zaraz po niej grzmiała druga, za tamtą pędziła trzecia. Jeden głos wlewał się w drugi; przenikały się wzajem, obejmowały wpół i dzwoniły nad naszemi głowami, jak daleko huczące dzwony w podlaskim kościele. Na tych błękitnych wełnach, na błękitnych, albo powleczonych barwą żywego srebra, przypłynął potępiony okręt tak blizko, że my weń oczyma

zajrzeli. Szalupa zaczepiona biła go w bok, tłukła się i kłapała. Zwisającą banderę wiatr kiedy niekiedy wydął... Kadłub okrętu szedł ku nam to prawym, to lewym bokiem, to kręcił się wkoło, przechylał, jak gdyby pragnął koniecznie pokazać nam swój pokład i taczające się po nim żółte, rozdęte trupy. Śmielimy się z niego i z nich... Minęło południe. Wzmógł się wiater. Aż się ów statek weźmie i wściecze ze złości! Wydął tęgo żagle, przechylił się na bok, zatoczył koło świszczące i poszedł w morski ocean. Widzielimy go, jak się stawał mały, coraz mniejszy czerniał, znikał, jak się zawlókł siną mgłą i przepadł.

— Idź straszyć innych, głupcu — wołalimy za nim. — Idź innym śmierdzieć swoimi trupami. Nam ta trupy nie dziwne...

Język ludzki tego opowiedzieć nie potrafi, co za bezrząd opanował wojsko francuskie. Trzecia ledwie część żołnierzy trzymała się na nogach. Każdy zniechęcony, drałas, w zniszczonym ubiorze, smętny, wypatrywał miejsca, w którem go śmierć dopadnie. Jeden tedy oddawał się najwścieklejszej rozpuście, swawoli i bezprawiom, jakich rozum nie obejmie, hulał, pił, rozbijał bagnetem, wydzierał majątek i cnotę, noce spędzał wśród kreolek, murzynek, mulatek, a drugi gotował się na śmierć w postach i trawił noce, krzyżem leżąc obok posłania. Szpitale pełne były chorych, zalelegających pokotem na ziemi bez dozoru, pomocy i opatrzenia. Wszelka subordynacya ustała, porządki wojskowe zgoła znikły. Szeregowiec równy był wodzowi. Nikt ta już nie zajmował się myślą o wygrywaniu bitew, o sławie. Serca zlodowaciały, dusze się objawiły

zbójeckie. Bagnet stał się ostatniem prawem. Każdy się tylko podle, haniebnie lękał, albo jeszcze nikczemniej łajdaczył. Była przecie jedna dusza, dusza bez trwogi... To Paulina Buonaparte, siostra pierwszego konsula, a żona kapitana generalnego Leklerka. Nie straciła w owych czasach ani odrobiny fantazyi. Przeniósłszy się z Cap-Français do miejskiego ustronia, wpośród nieustających uczt, zabaw, tańców, muzyki starała się zapomnieć o tem, co się rozgrywało dokoła. Był czas kiedy my trzymali straż przy tej siedzibie. W lekkim i przewiewnym pałacu między palmami huczna muzyka, śpiew. Wino lało się brodem. Często wprost z balu, z bezcennych kobierców podjęlimy trupa tancerza, wynieśli za ogrody pałacu i zakopali w ziemię. Ale takie sprawy nie przerywały tańca. Mówiło się pięknym paniom i wesołemu gronu oficerów, że ten a ten poszedł spocząć na chwilę pod cieniem palm i magnolii.

Och, wyspo, wyspo!

Ziemskim zdałaś nam się rajem, gdy my zdala ujrzeli twą piękną górę Cibao, okrytą piniami i woniejącą jodłą. Śliczne twe rzeki wypływały stamtąd — Neira, Artibonit, Juna — o wodach przeźroczystych, jak drążony kryształ. Wilgotne ciepło biło na nas z nizkich sawanów, z gęstwin lasów palmowych... Ona dzika, niewidziana obfitość ziół, co pokrywała wilgotne brzegi, poszarpane od fal morza. Oczy nie mogły się nacieszyć widokiem różowo-barwnych ptaków, flamingów, jakby kwiatów latających, co uganiając się za rybami, rozweselały płaszczyzny zatok. Ledwie my stanęli nogą na tym lądzie, oczu my oderwać nie mogli od palm wachlarzowatych i trzciniastych, co tworzą szemrające

gaje i puszcze, od paproci wysokich, jako nasze sosny i świerki. Szlimy do pierwszego miasta szerokiemi ulicami, które były wysadzone drzewami pomarańcz, cytryn i brezylią. Gdzieś okiem rzucił, widziałeś z radością figi, pola trzciny cukrowej, drzewa kakaorodne, tytuń, ryż, proso, kukurydzę...

Ale wprędce przyjdzie straszne ocknienie. Owe nadmorskie sawany są tak nizko położone, że się nie dźwigają ponad mielizny zatok. Porasta je drzewo manyles, podobne do blekociny. Te to smugowia mokną w porze deszczów, które się leją głównie w porze naszych godów zimowych. Kraby znowu, jaszczurki a gady zdychają i gniją zalane w swych karpach i dziurach od wylewu rzek. Takim tedy porządkiem wstaje zimową porą ponad morzem jedno bezgraniczne bajoro, pełne ognisk niezgruntowanych, duchowina, skąd wywala się ziew zgniły z zapachem smoły nie-smoły... Komar, zwany moskitem, tnie tak, że na miejscu ukąszonem zostaje krosta i bąbel, jak od sparzenia ukropem. A dopieroż, gdy z wiosną pocznie ogniste słońce przepalać powietrze na wskroś! Nastaje taki par, że koniec świata. Rzuca się na człowieka kleszcz zaskórny, zwany *szik*, składa pod paznogciami torebkę z zarodkiem, a te we dwadzieścia cztery godziny urastają w gruczoł tyli, jak laskowy orzech. Dopiero to sklamantes! Ból okropny, a po nim gęsta gangrena i śmierć. Mrówki skrzydlate łażą po ścianach, po stołach i tną człowieka. Żebyś umierał ze strudzenia po całodziennym marszu, skoro ci się do łóżka dostaną, wstawaj bratulu, i umykaj w pole! Potem nauczylimy się radzić sobie z nimi, ale w pierwszych początkach, cudeńki, co my cierpieli. Po-

tem nie kładlimy się spać inaczej, tylko w szałasach, gdzie mahoniowa deska zastępowała stół, łóżko było z surowej skóry bawołu, zawieszone na słupach, a przez całą noc dla odpędzenia komarów tliły się pniaki spróchniałe.

Och! noce, noce!

Nieraz już dawno wiater począł wiać od lądu, noc późna, a ty, człowieku usnąć nie możesz. Drzemiesz niby, a przez sen słyszysz, że żaby rechoczą, jakoby u nas w parną a krótką lipcową noc... Konik polny poskrzypuje.

Przelatywały straszne burze, których słowo ludzkie nie wypowie. Wtedy w lasach, powiązanych lianami, wyrywało dukty na parę wiorst, las walił się pokotem, jak żyto po ulewie. Zwierz uciekał, jak oszalały, a całe litwy ptactwa wicher straszliwy gnał w ocean i ciskał w wodę. Człowiek, nawykły do jagłów a do żelaznej kaszy, miał ci teraz ile chciał, pomarańczów, ananasów, moreli, cynamonowych jabłek, granatów. Mogłeś rabować w bród po plantacyach banany, pistacye żółto-różowe... Ale nasz żołnierz i tego nie czynił. Jak my pierwszego dnia po wylądowaniu dostali placki z manioku, zwane *kasaw*, tak my też żyli ciągle, aż do ostatka, bo nam chleb swojski, sitny przypominało.

Ile to walk, ile pochodów, utarczek, śmiertelnych bojów! Od pierwszej do ostatniej chwili... Pierwszy batalion pod dowództwem Murzyna, generała Klerwo, przyłączony do półbrygad murzyńskich, już w ośm godzin po wylądowaniu ruszył do boju. Wnet przecie ów murzyński generał zdradził naszych i ze wszystkiem czarnem wojskiem swojem przeszedł na stronę powstańców

Polacy pod kapitanem Wodzyńskim zatarasowali się w kościele i mężny dawali odpór, a później ze stratą stu kilkudziesięciu żołnierzy wymknęli się z pułapki i uszli do fortecy pod Cap-Français. Dzięki tylko ramieniu polskiemu to miasto ocalone zostało od napaści i zagłady. Ale ten pierwszy batalion, walcząc tam właśnie pod Cap-Français, uległ zarazie. Z tysiąca ludzi, którzy weszli do miasta, w przeciągu jednego miesiąca zostało ośmdziesiąciu kilku. Drugi batalion pod wodzą starszego Bolesty, gdziem i ja służył, wyruszył pod rozkazy Dessalina, generała murzyńskiego, w kierunku rzeki Exter. Przeprawilimy się przez rzekę Artibonit w czółnach pirogowych z jednego kloca mahoniu i przeszlimy do miejsca St. Marc. W kilka dni później Dessalin z całą dywizyą Murzynów przeszedł w nocy na stronę powstańców, którzy stali naprzeciwko nas pod komendą Krzysztofa i Pawła Luwertiur. Ech, bieda, bieda!... Jeden batalion tych Murzynów, czterystu chłopa, jak heban, nie zdążył udać się w pochód za Dessalinem. Ledwie na doświtku dnia spostrzeżona została zdrada tamtego. Jeden jedyny nasz polski batalion Bolesty nie był w stanie utrzymać w karbach i zmusić do boju z rodakami kilkuset tęgich a uzbrojonych Murzynów. Co z nimi robić? Puścić na wolność, to powiększą armię wroga, wlec ze sobą, to zdradzą w najgorszej chwili. Generał Fressinet, nasz nowy dowódca, Francuz rodowity, rozkazał czarnym wystąpić do apelu, jak co dnia. Zwyczaj wojskowy każe stawać do apelu bez broni. Skoro na plac wyszli, nasz batalion z rozkazu Bolesty otoczył ich ze czterech stron. Generał Fressinet wyszedł. Dał znak. Murzyni nie spodzieli

się nawet. Chwycilimy za broń i wykłólimy bagnetami bezbronnych, wszystkich czterystu, co do nogi. Nie upłynęło pół godziny, już ani jeden nie zipał.

— Milcz! — wrzasnął Trepka, zataczając się na ścianę. — Milcz, nie mów do mnie!...

Żołnierz patrzał na niego chłodnem, obojętnem okiem. Na chwilę zamilkł.

— Potoście tam popłynęli...—jęczał, waląc w stół pięściami.

— Wojna jest wojna — rzekł Ojrzyński. — Bóg nasz sędzia, nie waszmość. W parę tygodni czasu z naszego batalionu, który tysiąc miał ludzi, zostało nas stu kilkunastu. Żółta febra... Och, złe to czasy! Tam my w gorącej ziemi złożyli starszego Bolestę, kapitanów Osękowskiego i Rębowskiego... Złe to czasy!

Trzeci batalion 113-ej półbrygady wylądował był w Port-au-Prince. W ciągłych marszach, utarczkach, walkach, znojach, gdy dzień i noc trza było z wrogiem brać się za orzydle, z chorób samych utracił sześciuset ludzi. Tak to, panowie bracia: z 3.700 chłopa, jak dzwona bukowe, którzy wysiedli na ląd w San-Domingo, zostało nas żywych trzystu, a oficerów naszych kilkunastu.

Po śmierci Leklerka przyszedł nad nami przewodzić Roszambò. Ten powziął myśl psy rozjuszone, ćwiczone głodem i chłostą, puszczać na Murzynów. Wtedy już druga nasza legia, czyli 114 półbrygada, wsiadłszy na statki w Genui, przypłynęła do Antylów. Pamiętam jak zawijały z oceanu do zatoki wolno idące okręty: *le Fougueux, Héros, la Vertu, la Serpente, l'Argonaute* i inne. Stała nas garsteczka na brzegu, żeby przybywającym oddać honory i przywitać ich w progu wyspy.

Ujrzawszy nas, zadrżeli. Cóż dopiero, gdy posłyszeli z ust kapitana Przebendowskiego, który był osobistym adjutantem generała Roszambò, że przed nimi stoi połowa pierwszej legii... Wkrótce nowi przybysze wyruszyli przeciwko Murzynom. Rozdzieliły się nasze drogi. Wnet usłyszelimy o śmierci porucznika Weigla i dzielnego adjutanta-majora Królikiewicza w bitwie u redut Carvahanac... W tym to czasie ja sam przebyłem żółtą febrę, alem się z niej wylizał. Leżałem w barłogu długi czas między życiem a śmiercią. Nie wiem, co się działo z braćmi na przeklętym lądzie. Dusza moja zczerstwiała wtedy i uczynił się z niej jakoby płytki brzeszczot, co krwią ocieka. Udało mi się wreszcie dostać z kilku towarzyszami zwolnienie i wrócić do Europy. Wsiedlimy na fregatę, idącą do Brestu, i dopiero w morzach człowiek westchnął. Szczęśliwie przybyłem do Francyi. Wyznaczono nam na mieszkanie Chalons-sur-Marne, dano pół żołdu. Ale skoro człowiek przyszedł do siebie, natura pociągnęła w szeregi. Obwieścili nową kampanię. Wciągnęlimy się w kilku do szeregów francuskich — i znowu marsz — marsz! Zabiło serce, boć my szli wprost na Wiedeń. I weszlimy w otwarte jego bramy. Austerlitz! Oto ja ujrzał te czeskie i morawskie wzgórza, com je, jako piechór austryacki, przemierzył. W dali, w dali siniały nasze wysokie góry. Ale nie sądzono mi było wystąpić na swoją ziemię. U samych jej drzwi musiałem przyklęknąć i czekać: strzaskano mi nogę, urznęli...

— Sprawiedliwie mówisz...—rzekł twardo Trepka:— niegodne były wasze nogi, żeby na ziemię tę wstąpiły. Bóg pewnie karze za takie czyny, jak wasze na wyspie.

— Zemsta jest moją, mówi Pan... — głucho odparł żołnierz.

— Na skinienie uzurpatora, wskutek intrygi jego współszalbierzów deptać wolne ludy, dusić plemiona...

— Zemsta jest moją, mówi Pan. Nic waszmość nie wyrokuj! Spojrzyj-no, co się stało... Dwanaście lat my przelewali krew w zawrociach świata. Bracia moi co do jednego prawie wwalili się w mogiły z głuchą rozpaczą. A teraz... Rakuskie mocarstwo roztrącone, jak kupa zgonin. Dodał ramienia pod Jeną, pod Auerstädt — i pruskie państwo roztrącone! Uzurpator! Ten sam uzurpator jest panem Berlina i panem Wiednia. Nie wiesz waszmość owo zgoła, co mówisz... Niech żyje cesarz! Po stokroć! Po tysiąckroć! Chwała mu wieczna! A teraz, słyszysz waszmość, dopadła mię tu wieść w jednem miasteczku: idzie w Poznańskie, w Mazowsze.. Do Warszawy! Przez żywy Bóg tak będzie! Armie przemierzają równiny moje, gdzie rządził Prusak. Obok nich wstają ze snu powiaty, miasta, wsie. I teraz dopiero pójdą w bary! Niemca tam już jednego człowieka niemasz! Ja tylko jeden jedyny, com obszedł świat, czekając na tę chwilę, nie pójdę z nimi. Ale nim piach mi oczy zasypie — dowiem się reszty. Niech żyje cesarz!

Rzekłszy te słowa, żołnierz wsunął głowę w ramiona i cały się zgarbił, jak gdyby w sobie samym ukryć chciał resztę myśli. Już ranny świt przeciekać zaczął przez szpary okiennic. Woskowe świece dawno pogasły. Trepka pchnął okno jedno i drugie. Mokry, rezedą pachnący chłód ciemnego rana jesieni buchnął do dusznego pokoju.

Młody Cedro ukazał się w oświetleniu poranka,

jak inny człowiek. Stał na tem samem miejscu z rękoma splecionemi na poręczy krzesła. Twarz jego była blada i szczególnie wydłużona. Włosy były podniesione, jak od wichru. Z pod nawisłych powiek surowe, zamyślone źrenice nie schodziły z twarzy żołnierza.

Znagła westchnął i wstrząsnął się gwałtownie. Zimny uśmiech przeleciał po jego twarzy.

— Rafał! zawołał głosem gromkim, szukając towarzysza oczyma.

Tamten siedział na nizkim stołeczku, z głową bezwładnie leżącą na dłoniach. Podniósł leniwie i niedbale czoło. Rzekł z wyrazem szczególnej wzgardy:

— Wiem, wiem...

Obadwaj uśmiechnęli się do siebie, czy do jakiejś myśli nowej, nieznanej.

— Bodaj to wszyscy dyabli! — zgrzytnął Trepka wychodząc z izby i z trzaskiem rzucając drzwi za sobą,

STRZEMIENNE.

Rzeka Pilica, na którą w dniu 28 listopada 1806 roku spadł niespodziewany zaszczyt stanowienia granicy między królestwem Galicyi a sześcioma departamentami po-pruskimi, była tak uważnie i pieczołowicie przez *Gränzregimenty* strzeżona, że o przeprawie nawet mowy być nie mogło. Rozstawione wojska, nie przepuszczając nikogo zgoła, nawet poczty listowej, strzelały bezwarunkowo do każdego, kto się do rzeki zbliżał. Kara główna, to jest śmierć przez powieszenie naznaczona przez rządy Galicyów na śmiałka, któryby się ośmielił przekradać »do Polaków«, paraliżowała wykonanie zamiaru, dawno powziętego przez Cedrę, i Rafała. Wielokrotnie Szczepan Trepka wymykał się bryczką to tu, to tam, upatrując dyplomatycznie znośnego miejsca przeprawy. Wracał przemarzły, zmoknięty, głodny i zły, a klął na czem świat stoi. Trzy tygodnie czasu zeszły na przygotowaniach i przeszpiegach. Nareszcie w połowie grudnia nadeszła sekretna wiadomość, że granica po Nadwiślu, od strony Śląska,

mniej jest strzeżona, a przynajmniej, że kordon tamtejszy nie jest tak gęsty, jak nad Pilicą. Postanowiono tedy korzystać ze sposobności i nie tracić ani chwili czasu. Dla niepoznaki obadwaj awanturnicy postanowili wyruszyć niby to na polowanie, konno i z psiarnią. Z pod Tarnowa dopiero mieli wsiąść w dyliżans jako młodzieńcy lekkomyślni, zdążający na karnawał do Krakowa. Trepka zostawał w domu. Był już, jak mówił, za stary do tego rodzaju wypraw i coś tam jeszcze na swoje usprawiedliwienie przyłączał bardzo uczonego, o czem młodzi jego przyjaciele słyszeć nie chcieli.

Co ostatecznie uradzono, zaraz weszło w życie Osiodłane w nocy konie stały u żłobów. Strzelec Walek ze sforą chartów wyjechał poprzedniego dnia do znajomego myśliwca pod Tarnów. Wstało wreszcie owo dodnia zimne, wietrzne...

Deszcz ze śniegiem, chamerami przelatujący, powlekał grudę na drogach łańcuchem oknisk i kałuż, ślizkich, jak lód. Światło nie było w stanie wydrzeć się z powrozów nocy, choć dawno już był poranek. Zdawało się, że dzień nie nadejdzie... Ogień dymnie i z oporem płonął w czeluści pokojowego komina. Obadwaj spiskowi krzątali się z pośpiechem po izbach starego dworu, czyniąc ostatnie przygotowania. Byli ubrani w grube buty, w kurtki myśliwskie. Harapy mieli w ręku, kordelasy u pasa. W zanadrzu odzieży każdy z nich pieścił ukrytą, krótką broń.

Trepka był zły, rozjątrzony, dokuczliwy. Mówił, że jest niezdrów, i o byle co wściekał się na służbę Siedział w rogu sofy i co chwila zrywał się na równe

nogi, jakby z zamiarem ogłoszenia wielkiej tajemnicy. Kończyło się przecież na wybuchu przekleństw, w których mieszały się w chaos wyrazy niesalonowe polskie, francuskie, węgierskie, a może nawet i tureckie.

— W każdym razie, — pomrukiwał — kiedy otrzymacie krótki a węzłowaty rozkaz wyrznięcia co do nogi klanu jakich Kafrów, czy Botokudów w domniemanym interesie skołatanej... hm-hm, miejcie również niejaką klemencyą na oku. Po prostu przez zaskórne wyrachowanie. Zawiążcie sobie węzełki na końcach wąsów, żeby nie zapomnieć o tej przestrodze. Dobrze jest być tyranem względem sąsiada w swoim czy swoich interesie, ale przezornie jest zostawić sobie choć skromną furteczkę na wypadek, czego Boże broń, sądu historyi. *Magistra vitae,* uważasz, Olbromski?

— Każ-no dawać śniadanie... — przerwał Cedro.

— Dobrze jest wydrzeć język nieprzyjacielowi w sprawie przyjaciela Napoleona, który idzie na Berlin, ale darować kiedy niekiedy życie również nie zawadzi. Wszystkich pruć — stanowczo nie radzę. Niechże choć na zarybek zostanie. A nuż między ułaskawionymi trafi się Klopstock, albo i zgoła Gutenberg?

Ostatni raz wniesiono do jadalnej komnaty winną polewkę, i przyjaciele zasiedli do wspólnego stołu. Trepka odsunął kubek, poszedł do swej nory i wyniósł stamtąd niewielką, starą butelkę. Kazał ją służącemu otworzyć i nalał trzy kieliszki. Podniósł swój w górę i usiłował wygłosić jakiś toast, czy wypić czy-

jeś zdrowie. Długo w ustach miamlał najrozmaitsze wyrazy, ale poza owe węgierskie i francuskie klątwy nie wyszedł. Jego febra udzieliła się Krzysztofowi. Padli sobie w ramiona i długo ściskali się w milczeniu, nim ów toast spełnili.

— Nekanda! — wołał Cedro.

— Czekaj! Oto... na starą naszą w dziejach świata racyę bytu!... Do pioruna, głupio mówię... Żebyście, do miliona set nędz! nowej hańby nie dodali...

— Słuchaj, zaklinam cię! — wołał swoje Krzysztof: — skoro tylko wyjedziemy, siadaj na bryczkę i leć do Olszyny zawiadomić ojca.

— Dobrze, dobrze...

— Zrobisz to dla mnie. Chodzi o to, żeby go przebłagać, wystawić całą istotę sprawy. Powiedz mu to, słyszysz? powiedz mu, żem, wyjeżdżając, wiedział, jaką popełniam względem niego nikczemność.

— Powiem mu, powiem, do stu tysięcy...

— Szczepanie, chyba rozumiesz, jaką misyę wkładam na ciebie? Wiem, że nie zgadzasz się z ojcem, że nie możecie ze sobą przestawać, ale w tej chwili, gdy ja sekretnie uchodzę...

— I boję się swoją drogą papy... Nie ucz mię pan hrabia z łaski swojej, o czem powinienem pamiętać! W tej chwili!... W każdej chwili mego życia wiem, co powinienem robić. Pojadę do Olszyny i uniewinnię cię. Powiedziałem, że pojadę. Mam zdolności dyplomatyczne, więc nie będziesz wydziedziczony, ani pozbawion dziedzicznego tytułu.

— Czyż i w tej chwili nie możesz mu przebaczyć małych słabostek?

— Czy i ja mogę, albo nie, przebaczać słabostki? to już chyba ja najlepiej!... Mój Rafale, bądź sędzią, czy ja wogóle...

— Każ nam, stary, konie podawać, — szepnął obojętnie trzeci — widzę bowiem, że zaczynasz się alterować.

— Wściekłeś się! Niech słońce wzejdzie! Będziesz zęby po ciemku zbijał i konia jeszcze hrabiemu skaleczysz. Niech się rozwidni.

— Nie marudź!

— Chłopak je śniadanie. Dajcież ludziom zjeść, do stu piorunów! Że sami się natkacie i opijecie grzanem winem, to nie racya, żeby ludzie o suchej gębie przemarzli dla waszych wybryków!

— Lepiej, żeby nas wyjeżdżających jak najmniej oczu widziało.

— Nie róbcie-no tylko wielkich rzeczy z tych spraw żakowskich! Wiem, że wrócicie z drogi! Na trzecim popasie zajęczy strach was obleci i za uzdy przyprowadzicie te same wierzchowce pod ganek. Tyle, że dedy zgonicie.

— Proszę cię, Trepka...

— Wielkie mecye... Moje-że wojaki!

— Niech podają! — mruknął Cedro.

Przywołany chłopiec pobiegł ku stajniom, i za niewielką chwilę dało się słyszeć miarowe po grudzie stąpanie ośmiu kopyt. Trzej przyjaciele w milczeniu podnieśli kielichy, znowu napełnione starym węgrzynem. Spojrzenia ich skrzyżowały się, jak szpady przysięgających. Nakryli głowy futrzanemi czapkami, wybiegli i skoczyli na siodła. Trepka z odkrytą głową

szedł za nimi jakiś czas przez podwórze, ale konie skoczyły żywo, pomknęły i znikły za stodołami.

Dzień był ohydny. Dęła śnieżyca, to znowu sypały krupy, raptownie przechodzące w zimny deszcz. Trepka chwilę przystanął i słuchał, jak to wiatr świszcze za każdym węgłem domu, jak się z jękiem wałęsa pod drzewami ogrodu, jak leci oślizgłemi polami i gnie zeschłe badyle.

Usłyszał w jego gwiździe polotnym coś, jakby dźwięk ludzkiego głosu, jakby słowo napół wyrzeczone, które twarda siła na wieki urwała. Głos ten przebódł mu serce. Oczy zmrużyły się, żeby nie widzieć pustki roztoczonej dokoła. Uczuł w sobie starość i opuszczenie. Dawna miłość, która tyle już sercu zgotowała zawodów, owa miłość-krzywda znowu dźwignęła się w piersiach, jak ów feniks z popiołów. Nowe zażegła ognisko zgrzyzoty.

— Jak wtedy, jak wtedy... — szeptał, dużymi kroki wracając do domu.

Usta jego drgnęły i słowa bez związku, własne, prawie niedorzeczne słowa-symbole, świadki dawnych udręczeń i starych rozmyślań, słowa-westchnienia porwał mu z warg lotny wicher:

— Plemię moje, plemię!... Najbiedniejsze moje...

Tymczasem dwaj młodzi ostrym kłusem przebywali bezludną drogę, która prowadziła do szerokiego traktu. W dali czerniał las, a pod nim wioska. Ogieniaszki błyskały już tu i tam w małych, przyziemnych oknach grubo ogaconych chałup. Na prawo i na lewo szły w dal zagony, obleczone w czarne, zgniłe ścierniska. W brózdach tuliły się smugi wody, drżąc i marsz-

cząc się z zimna. W pewnem miejscu oko Krzysztofa padło na kamionkę wśród miedzy, okrytą szkieletami uwiędłych pokrzyw. Ostatni, mokry, czarny liść, jak łachman, plątał się dokoła łodygi na falach krętego wiatru.

— Żegnaj i ty... — wyszeptały usta.

W głębiach ciemnego powietrza stała samotna gruszka polna z krzywemi a kolczastemi gałęźmi. Pamiętał ją z najwcześniejszego dzieciństwa, widział z okna swego pokoiku, gdy jeszcze był maleńkim Krzysiem. Wspomniał mu się jakiś dzień odległy, kiedy zbudzone ze snu jego oczy, jeszcze pełne łez po dziecięcej, sennej boleści, powitały widok jej daleki, jako znak życia i pozdrowienie szczęśliwego bytu. Teraz krzywe pręty zadrgały, nagie gałęzie poczęły łkać, i głuche, ciemne szlochanie starej gruszy rozległo się wśród pola.

Zgłuszył je śmiały i potężny tętent konia, pędzącego po ślizkiej grudzie. Przybyli do miejsca, gdzie się drogi rozchodzą w cztery strony świata. Stał na rozdrożu spróchniały słup, niegdyś pomalowany ciemną farbą. Pod jego szczytem widniał obrazek na blasze, przybity czterema gwoździami. Patrzały z niego oczy miłościwe, zamazane jakoby łzami, wypłakane i skostniałe od żalu. Patrzały w ciemną jaskinię nocy, uchodzącej za bory, lasy, w pustkę ugorów, w żal sennych dróg. Krzysztof ściągnął cuglami konia i osadził go w miejscu. Zwrócił go łbem do słupa. Zdjął czapkę i wzniósł oczy na święty obrazek. Westchnął... Nie z głębi cielesnego serca, lecz z dna duszy wypłynęła krótka modlitwa. Nie za siebie, nie o zachowanie

życia, nie za ojca, nie za siostrę i nie za duszę matki lecz za one nizkie i mokre zagony, za nieobeszły, spracowany kraj...

Wnet lecieli polem, wichru mając pełne uszy i pełne głowy. Minęli w skok drogę, prowadzącą do Olszyny. Zdala na uboczu został rodzinny dom. Krzysztof raz tylko rzucił w jego stronę ukośne spojrzenie. Wśród mglicy nadrannej mętnie czerniały tyły stodół z murowanymi słupami, dachy ich szeroko rozsiadłe, a nad nimi wielkie ogołocone drzewa, których szczyty chyliły się za wiatrem. Z głębin ogrodu wznosiły się dwa białe kominy dworu, a z nich dym już się wymykał i rozwiewał między chmurami. Krzysztof stanął w strzemionach, poprawił się na siodle i ściągnął konia harapem. Mieli tylko jeszcze przebyć las brzozowy, żeby wyjechać na główny gościniec, zbliżali się właśnie do skraju...

Wtem Rafał zdarł konia z okrzykiem przerażenia. Z pomiędzy gęstych drzew wyszedł stary Cedro i brnął środkiem błotnego szlaku wprost na jeźdźców. Policzki jego były zapadłe, oczy wwaliły się w oczodoły, nieuczernione włosy siwymi kosmykami padały z pod kapelusza. Ubiór był naprędce, krzywo włożony. Idąc nieprzerwanie, starzec przywlókł się do szyi końskiej, do strzemienia, w którem była noga syna. Ujrzał go Krzysztof. Ręka wydelikacona, biała, prześliczna, zgrzybiała ręka zaczęła ślizgać się bezsilnie po ubłoconem puślisku, po zachlastanej cholewie buta. Głowa z wysiłkiem dźwignęła się w górę, i oczy zalane łzami oślepłe z rozpaczy szukały twarzy dziecka. Usta, te usta zawsze uśmiechnięte, usta nigdy nie skażone

gminną boleścią, teraz pełne były łkania, szlochu i bezzębnego bełkotu:

— Krzysiu, Krzysiu...

Ramiona wzdrygały się, a ręce trzęsły, jak od przypalania białem żelazem.

— Krzysiu, Krzysiu...

Stopy plątały się bezładnie, następując jedna na drugą. Widać było, że nie ustoi, że jak badyl złamany od wiatru padnie za chwilę na ziemię. A ręce bezwiednymi ruchami usiłowały ściągnąć syna na drogę, czepiały się jego rękawów, kieszeni...

— Każę zawołać... parobków... zwiążę cię... zamknę cię... — miamlały usta.

Krzysztof puścił wodze wolnym, obłąkanym ruchem. Śmiertelna bladość okryła jego twarz.

Oczy miał półzawarte, usta zacięte. Schylił się pomału i ujął ręce dziada, jakby go obezwładniał, jakby te ręce bolesne i cudne chciał związać, skrępować na zawsze. Podniósł je obie i z jękiem przycisnął do piersi. Głowy ich zetknęły się, oddechy zmieszały, i bezsilne ciała ciągnęła ku sobie niewysłowiona potęga.

Zdało się Rafałowi, że ta chwila nigdy się nie skończy. Był pewien, że już wszystko przepadło.

Ale z nagła Krzysztof się ocknął i dźwignął. Oczy mu się rozwarły szeroko i straszliwy wyraz mocy z twarzy uczynił jak gdyby maskę żelazną. Twardym ruchem odsunął rozwarte ramiona ojcowskie. Westchnął. Zdzielił konia straszliwym ciosem harapa. Oba rumaki stanęły dęba, skoczyły z miejsca i runęły naprzód. Krzysztof swojemu nie przestawał zadawać ciosów.

Lecieli z głuchym, ciężkim tętentem, na wyścigi z wichrem, schyleni na siodłach. Chwytali zimną zawieję łkającemi piersiami. Pędzili coraz szybciej, szybciej, szybciej... Zanurzali się we mgłę oddalenia, w bezbrzeżny tuman, w świszczące wiatry.

STARA CIOTKA.

W mroźny, grudniowy dzień, około południa przybyli do Krakowa. Tęgie konie cugowe zaprzężone do kutej bryki krakowskiej były dobrze zgrzane, a podróżni zniecierpliwieni. Pragnęli co tchu a niepostrzeżenie wjechać do miasta i stawić się u pewnego jegomości, kuzyna Trepki, który dalszymi losami ich miał kierować.

Podjeżdżając do Bramy Floryańskiej, zdala już spostrzegli znaczny ruch pospólstwa, a w pewnem miejscu za zburzonymi murami miejskimi — zbiegowisko.

Nagle Rafał ścisnął niepostrzeżenie przedramię przyjaciela i niemym ruchem głowy wskazał coś w oddali. Krzysztof wytrzeszczył oczy, ale dla krótkości wzroku, nic osobliwego nie dojrzał. Wtedy Olbromski nachylił się ku niemu i z dziwnym uśmiechem rzucił mu do ucha słowo:

— Ciotunia...

Cedro raz jeszcze skierował oczy we wskazanym kierunku... Dostrzegł wreszcie dziwaczny znak... Wyniosły słup, z długiem poprzecznem ramieniem... Tłum dokoła tego miejsca krążył i wrzał a wrzał. Leciało stamtąd echo gwaru—chargotu.

Wrzawa wznosiła się, wznosiła wciąż, jako wówczas, gdy burza idzie z boru w bór. Chwila jeszcze i strzeli piorun. Straszliwy grom zwali się w miasto i zatrzęsie posadą ziemi. Wtedy gwar cichnie, przygasa, upada. Słychać jeno głuche krążenie szeptu.

Ponieważ Brama Floryańska była zawalona wyjeżdżającymi i wjeżdżającymi wozami, więc przyjaciele zeskoczyli z bryki i poszli w kierunku widomego kształtu. Wmieszali się w tłum i zaczęli nasłuchiwać. Tylko urywki rozmów dochodziły ich uszu, bo każdy człowiek, aczkolwiek gadał namiętnie, przecie usiłował, żeby go słyszał tylko ten, komu szeptał do ucha. Usłyszeli jednak nazwiska. Dwa powtarzały się ciągle: Wysiekierski, Baum, Wysiekierski, Baum... Co parę kroków przystając za grupami rozmawiających i coraz lepiej nastawiając uszu, zrozumieli wreszcie, że wkrótce mają być przyprowadzeni na to miejsce stracenia trzej młodzieńcy, skazani na śmierć za to, że się »do Polaków« przekraść usiłowali. Ujęci na granicy przez patrol, pod gołemi szablami ściągnięci do Krakowa, w parę godzin osądzeni, mieli oto zawisnąć na hakach świeżo wkręconych dla postrachu setek i tysięcy.

Mróz przeszedł po kościach słuchających. Na usta Rafała wypełzał zwolna więzienny uśmieszek, który już

dawno, dawno znikł był z nich, czasu wytchnienia w Stokłosach.

— Baum, Baum... Ciekawość, czyby to miał być syn konsyliarza?... — mówił moszterdziej, w ciepłe futro po same uszy zakutany.

— A jakbyś jegomość wiedział: właśnie syn konsyliarza... — odpowiedział ktoś z tłumu.

— E, to mu ta stary łaskę wyprosi!

— Łaskę u wojskowego sądu wyprosi — a jakże! Będzie ją widział.

— Wysiekierski to samo ma brata urzędnika, więc mógłby na protekcyę rachować, ale gdzie! Trzy haki w »ciotkę« wkręcone!

— Powiedźcież mi, ludkowie, któż to na trzecim ma dyndać?

— Nie wiem tego, moja imość.

— Potrzebne to było chłystkom!

— Ba-ba! We łbach się pali, mościpanku. Chęć do wojaczki gnała...

— Młode a głupie.

— Naści wojaczkę jeden z drugim!

— Prawdę jegomość mówisz. Mundur z galonami osłom się spodobał. Zachciało się *parle franse.* A tu dragon w te tropy i za połę! Teraz ci po podgarlu powróz zrobi *parle franse.*

— Żal serce ściska...

— Ale za to co nauczą, to nauczą...

— Inaczej niema sposobu, boby kuźden w derdy leciał za Pilicę, robićby się żadnemu nie chciało.

— Bo i prawda! Sam smyka mam pod wąsem.

Aże po sercu źga, jak se pomyśleć. O, stoi, patrzy... Stój, patrzaj! Odechce ci się, jak poczujesz, jak powąchasz, czem takie chętki pachną!

— Powiadali, że szło toto między posterunki, jak ja z imością między stragany na Kleparzu.

— I co też to w takim łbie usiędzie! żeby też tego rozumu nie mieć!

— To ta młodość szelmowska, widzisz pani. Krew takiego kłuje cięgiem: idź, idź... Mierzi go, widzisz pani, miejsce...

— Jedzie, jedzie!

— Kto jedzie?

— Dragony jadą! Konnica! Zielone dragony Loewensteina!

— Białe dragony za nimi!

— Heskie dragony!

— Karabinierzy za nimi!

— Białe Althany za nimi!

— Bębny walą...

— Słyszycie... Za umarłe!

— Co to?

— Dzwon!

— Dzwon, dzwon!

W ulicy Sławkowskiej rozległ się głuchy, głęboki łoskot bębnów i strasznym urokiem melodyi swojej pognał lud. Gwar coraz głośniejszy, coraz żywszy rozciekawionej tłuszczy, zdawało się, że go zagłuszy. Było coś niewymownego, coś żelazną obręczą ściskającego serca słuchaczów w tym pokrzyku tłumów coraz bardziej natężonym, coraz silniej podbechtanym i jak gdyby radosnym. Cedro i Olbromski, potrącani i pocią-

gnięci przez ciżbę, szli, a raczej płynęli w masie z oczyma utkwionemi w nagie, żółtawe drewno z poprzecznem ramieniem. W oddali, w mrocznych czeluściach ulic, za opustoszałymi placami, w zdławionej piersi miasta rozległ się samotny, śpiżowy głos dzwonu.

Tłum wychynął z ulic i wwalił się na wały, rozpierzchł po gruzach murów i okrył je sobą. Wolno sunęła konnica, dzwoniąc podkowami, uprzężą a bronią. Za nią piechota środkiem ulicy. Bębny melodyjnym łoskotem biły wciąż, jakoby wzburzone serce tłumu. Z nienacka ponad zbitą masą głów ukazały się trzy postacie. Trzy blade widma. Ręce ich związane w tył, szyje obnażone... Śmiało weszli...

Motłoch zamilkł, wtulił głowy w ramiona, znieruchomiał i zastygł. Wówczas i bębny raptownie urwały. Cisza śmiertelna. Nie ustał tylko samotny dzwon.

Dał się słyszeć jakiś jeden głos, dochodzący zdala, jakoby dziecięce gwarzenie, głos dziwny i okrutny, śmieszny w tej wielkiej gromadzie. Długo brzmiał, zlewając się w szereg dźwięków niezrozumiałych... Ucichł.

Wtedy na pomoście szafotu ukazała się czwarta postać. Wicher zduszonego westchnienia przeleciał po tłumie. Strach zatrząsł ludzkiem jeziorem od brzega do brzega.

Ów człowiek zbliżył się do skazańców i pierwszemu z brzega rozwiązał ręce. Potem go ujął za ramię i sprowadził z pomostu.

Tłum westchnął. Szept najcichszy, na obraz szelestu liści w brzozowym lesie przed burzą, leciał z ust do ust, z końca w koniec placu:

— Wysiekierski, Wysiekierski, Wysiekierski...

Oprawca wrócił zwolna po schodach. Słychać było w śmiertelnej ciszy, jak świeżo zbite stopnie skrzypią pod jego mocnemi stopami. Drugiemu skazańcowi z kolei rozwiązał ręce i sprowadził go ze schodów.

Lud głośniej, radośniej zaszemrał:

— Baum, Baum...

Wszystkie głowy drgnęły i z ust do ust leciała błogosławiona wieść:

— Chwała bądź Bogu!

— Pan z nami...

— Do wojska oddali!

— Na wieczny czas!

— W kamasze ich!

— Darowali życie, darowali życie.

Kat po raz trzeci wszedł na rusztowanie i ze spokojem na wielkie dłonie kładł czerwone rękawiczki.

Trzeci skazaniec stał nieporuszony. Głowa jego była zadarta do góry. Duże włosy czarnym puklem spadały na szyję nagą. Białe miał czoło. Nieruchome oczy, jak dwie głębokie jamy, patrzały w lud.

— Ten ci jest winowajca!... — szept się rozszerzył.

— Tamtych podmówił.

— Wywiódł ich z domostw rodzicielskich.

— Bronił się w polu.

— Milczał w sądzie.

— Winowajca!

Kat zbliżył się do niego łagodnymi kroki. Bardziej mu szyję obnażył. Zręcznym ruchem zarzucił stryczek.

Nagle wyprężył się powróz.

Nim się pospólstwo opatrzyć zdołało, nim zdążyło westchnąć i oko przetrzeć dłonią, już nieznajomy ów

człowiek zawisł na haku. Nogi jego w kolanach zgięły się, pięty stuliły i leniwym ciągiem dźwigały ku górze. Oprawca łagodnym ruchem przytrzymał ciało i mocno je za ramiona szarpnął ku dołowi. Zaczem zdarł szybko z dłoni rękawiczki i cisnął je na szafot.

JAZ.

Dawni przyjaciele i powinowaci Szczepana Trepki ułatwili Cedrze oraz jego towarzyszowi możność uzyskania paszportu do Wiednia, dokąd obadwaj rzekomo śpieszyli na karnawał. Częste wyprawy Krzysztofa do stolicy naddunajskiej, zadokumentowane wizami na dawnych paszportach, nieposzlakowanie lojalne stanowisko ojca i inne postronne okoliczności ułatwiły zadanie. Nieco trudności było z paszportem Olbromskiego, ale i te przełamano, a właściwie przebyto sposobem podlezienia. Rafał nosił teraz inne nazwisko. Przyjaciele zaopatrzyli się w kostyumy podróżne z sukna ciemnozielonego, gdyż, jak wiedzieli, o takie sukno trudno w »kraju Polaków«, za Wisłą i Pilicą. Najęli sanie do pierwszego popasu, który, według ułożonego misternie planu, miał wypaść nad Wisłą, w majątku Jaz — i w wigilię wigilii ruszyli w drogę.

Osoby ułatwiające wybrały kilka punktów po nadrzeczu, którędy można było przemknąć się za granicę. Jedno z pierwszych miejsc w tej liście zajmował Jaz, majątek szambelana Ołowskiego. Dla obudwu spiskow-

ców była to rzecz najobojętniejsza w świecie, którędy mają się przemycać, ale oto Rafał z ust pewnego modnisia, kuzyna Trepki, usłyszał, że żoną owego pana Ołowskiego jest księżniczka Gintułtówna, jedna z sióstr księcia Jana Gintułta Grudzieńskiego. To go troszeczkę podnieciło. Od niechcenia, bez śladu, nawet bez chęci nacisku, skierował tak akcyę, żeby do Jazu jechać naprzód i tej drogi przedewszystkiem próbować. Było to dla niego obojętną rzeczą, którą z księżniczek mógłby przy tej sposobności zobaczyć, ale ciekawość, leniwy pociąg, żeby spojrzeć na dawno niewidzianą twarz... Obadwaj wyglądali przepysznie w swych, jakoby w Wiedniu najbardziej modnych fraczkach i obcisłych ze sprzążkami inekspymablach, którym tylko brakowało galonów i kantów, żeby mogły być przekształcone na artyleryjskie mundury.

Cenne to były mundury! W każdym z nich zaszyte były umiejętnie rulony dukatów. W zanadrzu mieli weneckie sztylety i małą palną broń na wypadek. Zato modne kapelusze i futra czyniły z nich pustych młokosów, pędzących hulaszczo w poszukiwaniu zabawy.

W wigilię Bożego Narodzenia, pod wieczór, stanęli w Jazie. Zatrzymali się w oberży przy trakcie. Piętrowy pałac, a raczej piętrową kamienicę bez ozdób, niedawno wzniesioną, widać było wśród drzew na wzgórzu, w dość znacznej odległości od Wisły. Olbromski szczegółowo lustrował okolicę i naturę gruntu pod pozorem troskliwości o konie. Cedro, niby to zabierając się do noclegu w oberży, począł rozpytywać karczmarza, jak przejezdny ze stron dalekich: kto mieszka w pałacu? jak się zowie? czy ma dzieci?... Chodziło o zatarcie

wszelkich podejrzeń. Z tej rozmowy z oberżystą wyłoniła się smutna prawda, okazało się bowiem, że w ostatnich dniach przysłano do Jazu oddział dragonów austryackich z oficerem na czele dla jak najściślejszego patrolowania nad Wisłą. Żołnierze — prawił karczmarz — rozstawieni są we wsi nad samą rzeką, a nawet oficer ma swą kwaterę nie we dworze, lecz w chłopskiej chacie. Patrol styka się z patrolem wsi sąsiedniej. Palą nocą ogniska na całej linii i czuwają co się nazywa. Jeżeli się kto zbliża do rzeki z tej czy tamtej strony — kula w łeb, i skończona zabawa. Tym sposobem Wisła, odgraniczająca Śląsk, już zajęty przez Francuzów, od Galicyi, była strzeżona nie na żarty. Cedro, nie tracąc tęgiej miny, pysznej obojętności i werwy, jakby te wiadomości ani odrobinę go nie obchodziły, zaczął rozpytywać się o dziedziców majątku.

Powziął tedy wiadomość, że sam dziedzic bawi w Wiedniu, ale oczekiwany jest na święta, że pani dziedziczka daje wielki bal, na który zjedzie wiele osób z okolicy, a nawet zaproszony jest oficerek, komenderujący oddziałem dragoneryi. Przyjaciele porozumiewali się głośno w obecności służby i oberżysty, czyby nie warto przez uszanowanie dla tak wielkiego święta złożyć wizyty pani dziedziczce i prosić ją o gościnność przynajmniej na pierwszy dzień święta, skoro już podróż do Wiednia w takim czasie odbywać wypadło. Po długim namyśle i głośnej naradzie zdecydowali, że należy pójść niezwłocznie do pałacu. Udali się tam. piechotą. Mrok już zapadał, gdy weszli w aleje parku.

Rafała ogarnął teraz pewien niepokój. Świat dawno zamarły, zdrętwiały, odtrącony stanowczo i z młodą

siłą wśród mocowań ducha, teraz był tak blizko... Nie obeszłoby go bardziej, jeśliby to była nawet sama księżniczka Elżbieta. Ale ujrzeć kogoś z tamtych przedziwnych czasów młodości znaczyło tyle, co ocknąć się w zimie i ujrzeć dokoła siebie dzień wiosenny. Ciekawość wzmagała się bez przerwy... Po chwili przemknęła trwoga, granicząca z odrazą i, co najdziwniejsza, popychała naprzód. Raz pragnął dowiedzieć się tylko i cofnąć od niedorzecznych widm i, wspomnień, to znowu miał zamiar podmówić Krzysztofa, żeby wcale nie wchodzić... A jednak, gdyby tak przyszło cofnąć się naprawdę, zraniłoby go to do głębi, jak rozkosz wydarta.

Gdy szli zwolna pomiędzy rzędami nagich drzew, które w zimnym wietrze huczały jednostajnie, Rafał zapytał towarzysza głosem najobojętniejszym, jaki mógł wydobyć z siebie:

— Czy nie wiesz czasem, jak na imię owej pani Ołowskiej?

— Na imię? Nie wiem. Skądże mógłbym?... Nie znam wcale.

— Może to jej imieniny pojutrze?

— W święty Szczepan? Mocno wątpię, czy jaka dama jest imienniczką naszego, ach, Trepki.

— Prawda, że to Szczepana...

— Jesteś troszeczkę, o ile sobie przypominam, nastrojony... Czy cię, jak tamten przewidywał, strach nie zaczyna oblatywać z czterech stron świata? Może chcesz wrócić?

— Za żadne skarby na kuli ziemskiej... — rzekł Rafał, przeciągając się leniwie.

— Ale czekaj-że, będę wiedział imię tej pani. Zawsze to potrzebne, może się przydać. Nawet powinniśmy to sobie obecnie wziąć za maksymę, że należy zwracać pilną uwagę na wszelkie, na najmniejsze drobiazgi.

— Weź sobie za maksymę, co chcesz, tylko naprzód powiedz, skąd... to imię...

— No tak, naturalnie... Mam przecie do niej bilecik rekomendujący nas, od tego utrefionego kuzynka Trepki.

— Pokaż.

Cedro wydobył z sekretnego przedziału w pugilaresie maleńki karteluszek śniadego papieru, misternie złożony. Przy gasnącem świetle dnia usiłował przeczytać adres. Obadwaj nachylili się nad tem pismem i Rafał pierwszy dojrzał: »Madame, Madame Elisabeth de Ołowska«...

Zimne mrowie przemknęło po jego kościach... Później wrócił pozorny spokój i pozorna wesołość. Podniósł oczy na okna pałacu, w których właśnie tu i tam światła błyskać poczęły. Główne wejście z portykiem, ku któremu się zbliżyli, było na głucho zamknięte. Stopnie balkonu omarznięte i zasypane świeżym śniegiem... Rafał szedł obojętnie z uczuciem wesołej ciekawości, prawie z rozczarowaniem. Poddał się już pewnej, miłej, mistycznej niejako myśli, że to stać się musiało, że inaczej w jego życiu być nie mogło. Musiał tu przybyć. Doświadczał nawet nikłego wrażenia, jakby na jego ramieniu coś spoczęło, nikiej zimna ręka... Sprawiło to w nim szybki i trwogę miłą szerzący rozruch. Tem uczuciem teraz oddychał.

Okrążyli róg pałacu, szukając dostępu, i trafili wreszcie na uczęszczane, ciepłe, boczne drzwi. Były zupełnie otwarte i wiodły do ciemnej sieni. Zajrzeli na prawo, zajrzeli na lewo do pokojów służebnych, aż wreszcie trafili na starego lokaja w codziennym stroju i zbudzili go z drzemki. Ten, dowiedziawszy się, że przybyli z Krakowa i mają sprawę do pani dziedziczki, iął krzątać się, przepraszać, dreptać i zaprowadził ich nareszcie do pokojów. Znaleźli się w małym, doskonale ogrzanym saloniku, którego sprzęty ledwie było widać przy gasnącej już zorzy wieczornej. Gdzieś, w mrocznym kącie, na szczycie nizkiej szafki napoleońskiej, wesoło szedł stojący zegar, obdarzony głosem, który, zdawało się, służył do mierzenia długości trwania tych uroczych, radosnych momentów życia. Służący zapalił kilka woskowych świec, wziął dwie karty wizytowe z wypisanemi nazwiskami przybyłych, a ozdobione cudnemi winietami, które sztychował na miedzi najmodniejszy w Krakowie artysta — i oddalił się. Płomyki świec, zrazu przygasłe, rozszerzyły się zwolna, i żółte ich światło napełniło salon.

Rafałowi marzyło się, że jest jakby w Warszawie... Czeka na Helenę de With, czy co... Za chwilę wejdzie, za chwilę się ukaże... Czyż to możliwe? Helena de With... Rozkosz czekania roztrącała ciosy przytomności, i wtedy przez zaciśnięte zęby szeptał z głębi do siebie:

— Milcz, milcz... Ucisz się, ucisz...

Za oknami, których szyby powłóczył mróz kryształowemi drzewkami, głucho i jednostajnie huczały nagie konary drzew. Krzysztof siedział zadumany z głową

wspartą na ręce i oczyma zatopionemi w płomieniu świecy. W pewnej chwili, gdy oczekiwanie przeciągało się bardzo długo, rzekł, podnosząc głowę:

— Cóż u licha! Nikt nie przychodzi...

Rafał drgnął cały, tak dalece głos przyjaciela był ciosem obcej istności w tym świecie, wskroś którego błąkała się jego dusza. Z niechcenia dotknął ręką albumu, oprawionego w skórę, ze ślicznemi złoceniami, wyciśniętemi na rogach i grzbiecie. Otworzył je i zaraz na pierwszych kartach zobaczył akwarelowe widoki Grudna. Przerzucił kilka kart i znalazł »swoją« aleję. Artysta usiłował pochwycić i zatrzymać na zimnej karcie ów żywy, zielony blask, wpadający do głębi ciemnika i oddać niewysłowione piękno jego melancholii... Ale pochwycił tylko same barwy, surowe kolory. Nędzne i bezsilne były jego zamysły, chociaż niepospolitym był malarzem. To też w jednym tylko widzu wywołał uczucie rzeczywistości, wspomnienie jasne tego, co nigdy już nie miało powrócić, wezwanie przed oczy ducha jeszcze raz chwili młodej, która już umarła na wieki. Widzem tym był Olbromski. Zapomniał, gdzie jest. Oczy jego utonęły w karcie. Przebywał w kole zaczarowanem dni, kiedy to po śmierci brata sam jeden był na świecie, wypędzony z domu, kiedy wśród ludzi obcych mu zgoła i nowych dla niego od stóp do głów znajdował swoją własną drogę, torował dla duszy swej szeroki gościniec.

— Alejo... — szeptał teraz — alejo moja...

W głębi, w zamglonem oddaleniu rysunku widać było wylot szpaleru. Tamtędy z czarodziejskiego świata wyszło się w świat rzeczywisty... — marzył z gorzkim

uśmiechem na ustach. Coś do niego mówił Krzysztof. Nie mógł i nie chciał dosłyszeć jego słów. Pragnął wypatrzyć z akwareli, którą miał przed oczyma, wszystko, co w niej było za osłoną barw. Stał się, jak człowiek zasłuchany w ulubioną melodyę, która mu budzi i nęka duszę, która porusza i wskrzesza obumarłe serce. Ileżby za to dał, by posiąść na własność ten bezcenny wizerunek!

Krzysztof znalazł na stoliczku również coś dla siebie. Leżało tam kilka książek. Jedną z nich otworzył w tem miejscu, gdzie była założona haftowaną zakładką — i począł czytać, nosem, według swego zwyczaju, jeżdżąc po stronicach. Treść znaleziona tak go zajęła, że w poszukiwaniu lepszego światła wstał ze swego miejsca i nachylony do płomienia świecy, który profil jego dobrze uwydatnił, na amen oddał się lekturze. Kiedy niekiedy zwracał się odruchowo do Rafała, żeby mu zakomunikować te niezwykłe myśli, które teraz opromieniały mu czoło niby blask samoistny, ale napływ nowych, tryskający, widać, z wierszów książki, w coraz go głębsze, piękniejsze i bardziej zupełne pogrążał zdumienie. Byli teraz oddzieleni od siebie niezmierzonymi przestworami...

Tymczasem u portyery salonu rozszerzył się jedwabny szelest. Naciśnięta lekką stopą któraś z tafelek topolowej posadzki ostrożnie trzasnęła. Przyjaciele nie zwrócili na to uwagi. Szelest ucichł. Nastała znowu ta sama cisza. Tylko mały, marmurowy zegar wesoło mierzył szczęślwe czasy...

Wtem Krzysztof nie mógł wytrzymać i prawie krzyknął:

— Posłuchaj! posłuchaj! Jest to coś fenomenalnego... Przecie ja to tysiąc... co mówię!... sto tysięcy razy myślałem...

— Co, co myślałeś? Nie krzycz!

— To samo myślałem!

— Ale co mianowicie?

— To są moje własne myśli!... Rafał! Gdybym ci to mógł słowami wyrazić, jakie to szczęście i jaki dziwny ból znaleźć swe myśli potwierdzone i wykryte. wyciągnięte z mroku!

— Jakież to myśli takie znów fenomenalne?

— Oto tu nareszcie znajduję samego siebie! Wydawało mi się zawsze, że jestem niespełna rozumu, gdym marzył takie rzeczy, a on to samo głosił tak już dawno! Już to wszystko przemierzył niewymownym rozumem. Jakże to mówi! Posłuchaj tylko... O, Rousseau, Rousseau!... Posłuchaj...

Podniósł na Rafała oczy i nagle spuścił książkę. Stropił się i w eleganckim ukłonie cofnął się o dwa kroki. Rafał, spostrzegłszy jego pomieszanie i ruchy, wstał z miejsca i obrócił się.

Stała przed nim księżniczka Elżbieta.

Nie, nie dawna księżniczka. Stała pani Ołowska dwakroć, trzykroć, dziesięćkroć piękniejsza, jako kobieta, ale nie dawna już księżniczka Elżbieta. Była to dwudziestoześcioletnia piękność, wspaniała i rozkwitła, jak najcudniejszy kwiat przy końcu wiosny.

Rafał nie mógł się nadziwić, napatrzyć tej zmianie, owemu przedzierzgnięciu się jednej formy piękna w inną, jeszcze bardziej zachwycającą. Pani Ołowska ubrana była w najmodniejszy szlafroczek jasno-cegla-

stego koloru, nie dosięgający kolan i w białą, dość krótką suknię. Na odsłonionej szyi i ramionach miała szal zielony z suto haftowanymi brzegami. Inne już teraz było uczesanie jej włosów, których loki ocieniały twarz, a olbrzymi pukiel był związany w węzeł na tyle głowy.

Przez chwilę mierzyła przybyszów dość wyniosłem, choć filuternem spojrzeniem, nim odpowiedziała na ukłony. Wreszcie posunęła się uprzejmie ku Krzysztofowi, oddając mu ukłon za ukłon. Rzekła:

— Rada jestem, że mogę powitać Waszeć Mościpanów...

Rafała przyjęła nieco odmiennie, ale inaczej, niż w Grudnie.

Wspomniała w urwanem półsłówku, że miała już przyjemność spotykać go dawniej. Słuchając tego głosu i patrząc na tę postać, Olbromski liczył chwile, które pozostały do odjazdu. Cieszył się, że już ich niewiele zostało. Niezwykły ciężar uciskał mu piersi. Spuścił oczy na ziemię i, kiedy Krzysztof bawił gospodynię grzeczną rozmową, tonął w obrzydłych myślach. Gdy tak w ich tłumie błąkał się tam i sam, trafił na jedną, która mu się odrazu stała pocieszycielką:

— Idę sobie do wojska — i kwita! Będę sobie tęgim żołnierzem. Co mi tam. Niemasz pana nad hułana, a nad lancę niemasz broni!

Podniósł oczy z dawnem, grudzieńskiem zuchwalstwem i spotkał się ze spojrzeniem pani Ołowskiej.

I ono nie było już dawne. Długo, spokojnie i śmiało patrzały w jego twarz te oczy prześliczne, te same, a jednak inne. Nie zmierzchły i nie zaszły gęstym

obłokiem od ognia duszy, ani nie zasłoniły się mgłami wstydu od tajemniczej ciżby uczuć. Teraz już nie! Patrzały badawczo i napastniczo. Chwilami lśnienia dzikie i pełne grozy migotały w nich, jak błyskawica w chmurze. Usta miały nieprzebrany zasób uśmiechów dla Cedry. Z warg spływały słowa łaskawe i dobroci pełne.

— Byłam uprzedzona — mówiła — o waćpanów zamiarach, i wszystko składało się jak najlepiej, ale teraz zaszły niespodziewane przeszkody... Jak to przykro... — ciągnęła z niechcenia, odczytując bilecik kuzyna Trepki. — Wojsko jest we wsi. Jest także w sąsiedniej. I to tyle ich, takie hordy... Żołnierz żołnierza widzi, niemal ręką dotyka. Ognie wciąż palą po nocach i krzyczą, że spać nie można.

— Tak, słyszeliśmy o tem przybyciu wojska, idąc do pałacu... — rzekł Cedro z ukłonem.

— I nie odwodzi to waćpanów od ryzykownego przedsięwzięcia?

— Nie, ani odrobiny!

— Istotnie... to po rycersku. Szczerze podziwiam... ich męstwo.

Powiedziawszy te słowa, zmierzyła Rafała drwiąco napastniczem spojrzeniem. Po chwili rzekła:

— Skoro tak, to musimy brnąć dalej...

— Pani szambelanowo...

— Słowo się rzekło, a raczej napisało. Ale uprzedzam, że teraz sprawa istotnie jest groźna. Na wypadek ujęcia zbiegów władze ani myślą żartować. Słyszałam od osób najwiarogodniejszych, że po prostu w sposób najordynarniejszy założą stryk na szyję i wieszają

na szubienicy, na belce w pierwszej lepszej spotkanej stodole.

— Mieliśmy możność widzieć już tę procedurę austryacką... — rzekł Krzysztof ze swym bezwiednym dygiem.

— Wieszanie na belce, w stodole?

— A nie, na szubienicy.

— Na domiar złego mój mąż nie wraca z Wiednia. Miał już być... Wprawdzie on na nicby się w tej sprawie nie przydał, jako czynny pomocnik, gdyż innych jest pryncypiów, a Napoleona za cesarza dotychczas nie uznał... — dodała z uśmieszkiem ledwie, ledwie znacznej ironii. — No, ale w razie poważnego wypadku musiałby użyć jakiegoś szczegółu ze skarbnicy swych stosunków i wpływów, których ja...

— Pani szambelanowa raczy być z nami zupełnie otwartą... — mówił Cedro. — Gdyby nasza przeprawa miała dla niej pociągnąć jakiekolwiek przykrości...

— O, nie, nie. Ja lubię zwalczać przeszkody i lubię tego rodzaju przykrości. Trzebaż choć raz, około Bożego Narodzenia, zażyć odrobiny emocyi. Bez tego lekarstwa życieby w nas zastygło, krewby stanęła w biegu.

— Czyż w tych stronach tak trudno o emocye?

— Białogłowom trudno jest zawsze i nietylko w tych stronach przeżywać niepokoje, wstrząsające światem. Już ja dałam wszelkie wskazówki i polecenia plenipotentowi mego męża, który tę sprawę podjął się przeprowadzić. Plan jest, a przynajmniej był taki: w święty Szczepan odbędzie się w tym domu zjazd i zabawa taneczna. Waćpanowie, jako podróżni, raczy-

cie zabawić tu przez święta, a w czasie balu będziecie tańczyli dużo i ochoczo. Ale w nocy na dany znak trzeba wyjść chyłkiem i bez chwili oporu, namysłu i zwłoki udać się za przewodnikiem, w nocy na łodzi przepłynąć Wisłę... Czy zgoda?

— O, pani... — rzekł Cedro, unosząc się z krzesła.

— Jeszcze nic nie mówmy, gdyż jeszcze sprawa nie załatwiona. Wisła tu nie szeroka, ale jej nie przeskoczy tak łatwo.

— Dla nas to tak, jakbyśmy już byli na tamtym brzegu. Już się tedy pojutrze zacznie wojna! — rzekł, nachylając się do Rafała ze swym entuzyastycznym, szczerym i dziecięcym prawie uśmiechem.

— I to waszmość, który, jak słyszałam, miałeś w Wiedniu takie aspekta i takie mogłeś rościć nadzieje, puszczasz się na ślizkie pola zdradnej Bellony! Bez żalu i skruchy rzucasz jednego cesarza dla innego...

— Pani szambelanowo! ze zdumieniem słyszę o moich wiedeńskich sukcesach... Więcej w tem famy, niż prawdy, a co do cesarza, to uwielbiam tylko jednego. Niech żyje cesarz!

— Słyszałam o powodzeniach pańskich od męża, który znowu wie wszystko, co się w Wiedniu dzieje, wie, co tam pantofle skrzypią, co fraki szeleszczą, co mówią klamki i zgrzyty drzwi. Czy to może towarzysz waćpana pociągnął go na pole chwały? — spytała po chwili.

— Prawdziwie nie wiem. Zdaje mi się, że obudwu nas tknęła jedna iskra. Za Pilicą cały kraj na koń siada!

— Tak... słyszałam. A waszmość, kiedy o siada-

nie na koń idzie, zawsze pierwszy? — rzekła piękna pani, zwracając się do Rafała.

— Tak... — rzekł zagadnięty głosem twardym i nieswoim: — zdaje się, że do konia byłem i jestem stworzony.

Znalazł głębokie zadowolenie w dźwięku tych wyrazów, w ich szorstkości. Jeszcze przez chwilę z upodobaniem zatapiał myśl w kontemplacyi swej siły. Zdało mu się, że dusza w nim zwiększa się i rozrasta. Nie był już teraz chłopcem szlacheckim, na którego z ukosa patrzano. Hardo podnosił oczy i tyle tylko ustępował ze swej żołnierskiej już sztywności a buty, ile było niezbędne dla zachowania form salonowych. Ani cienia dawnego lęku.

Wskutek niewytłomaczonej zbieżności nastrojów pani Ołowska jak gdyby odczuła stan jego duszy. Była prawie zwyciężona. W jej ruchach, sposobie mówienia, w pochyleniach głowy, kiedy zwracała się, ażeby słuchać, co będzie mówił, przebijało się coś, jak uszanowanie, czy sama dążność do naprawienia złego. Ale zarazem modłę jej sposobu bycia począł cechować niewymowny powab, coś pociągającego, naturalnego, pięknego, bez żadnej rachuby i wysiłku. Oczy miały wyraz większej słodyczy, choć w pierwszych momentach błyskał w nich piorun.

Rafał począł wpatrywać się w nie, ile się dało, ile było można. Ani się spostrzegł, kiedy uległ niebezpiecznej władzy tych oczu, pokornych prawie i onieśmielonych. Coraz dłużej trwały te chwile, w których ciągu nie był w możności oderwać wzroku od łuków powiek, ocienionych błękitnawym cieniem prześlicznych

rzęs, od wyrazu oczu, w który spłynęło wszystko czarodziejstwo nieba nad ranem i wszystek urok wiosny rozkwitłej. Ogarnął go poryw niewysłowionej ciekawości, jakoby na widok nagle odsłonionego nagiego morza, pustyni, czy łańcucha śnieżystych gór. A w ślad za tem uczuciem pierwiastkowem płynęła do piersi wonnemi falami nieprzezwyciężona radość zachwytu. Teraz dopiero począł uczuwać prędzej, niż widzieć, niezrównany tok czoła, lśniącego białością śniegu, czy kararyjskiego kloca, czoła, w którem taiły się myśli niewiadome, nieznane, subtelne, piękne, jak z ciszy nocnej wychodząca muzyka i młode, jak kłęby zdroju. Teraz dopiero począł przyswajać sobie, na własność brać różowy cień policzków, który wpływa w białość lic niepostrzeżenie, jak zorza ranna w błękit dnia. Przed chwilą jeszcze nie widział był nic prawie, prócz surowego jednolitego w swej treści wspomnienia. Teraz nie uszły jego oka cudne przemiany świateł i cieniów, krążące około rozkosznych ust, ani grubość warkocza włosów, którego nie zdołałby pewno objąć żołnierską swą garścią. Każdy ruch rąk wydelikaconych, przejrzystych prawie od próżniactwa, miał w sobie niepokojący powab. W piękności tej było coś duszącego, coś, co tamowało oddech i oszołomiało głowę. Im więcej się zdumiewał, patrząc bez przerwy, tem bardziej się unosił w głębi siebie. Ale nadewszystko czarował go naturalny wdzięk bez śladu sztuki, chęci podobania się i kokieteryi, owa łatwość, z jaką można rozsiewać najsubtelniejszy, najtrudniejszy, zdawałoby się, królewski urok. Ciche, łaskawe spojrzenie, kilka łagodnych niejako swojskich wyrazów — i oto Rafał poczuł w so-

bie ucisk przerażenia tak wielki, jak za najcięższych swych dni. A kiedy dochodził prawie do obłąkania, nie wiedząc, co się dzieje, słyszał wciąż spokojne, powabne wyrazy, pełne niewinnej wesołości i naturalnej ciszy ducha. W żyłach jego poczęła wrzeć i rwać owa krew odmienna, jakby cudza, tryskająca z wiecznego źródła rozkoszy. Wówczas bardzo musiał zmienić się wyraz jego twarzy, gdyż piękna pani kilkakroć dłużej na nim zatrzymała spojrzenie.

Wszedł służący i zasłonił okna grubemi firankami. Z poza tych osłon i szyb dochodził teraz przyduszony huk wiatru, miły, jak poduszczenie, pochutnywanie a oklask. Blask świec napełnił salonik rozkosznem, żółtem światłem. Wszedł inny służący i zawiadomił swoją panią, że plenipotent oczekuje. Kazała go prosić. Za chwilę wszedł mężczyzna wysoki, w polskim stroju, z wąsami blond, jak wiechy. Twarz miał tęgą, tłustą, czerwoną z wiatru, oczy wypukłe i ogniste. Sapał jak w polu, mało sobie robiąc ze wszystkich.

— Jegomość pan Kalwicki, nasz kochany opiekun — rzekła pani Ołowska. — A oto dwaj zdrajcy. Czy mam wymienić ich nazwiska?

— Nazywają się Polacy, a miny mają niczego... Pocóż mi tam ich nazwiska?... — wysapał wąsal. — Skoro mię wwalą na tortury, przynajmniej będę miał sposobność niewydania nazwisk i słowem honoru nie będę po próżnicy wywijał.

— Miło nam poznać waszmość pana... — kłaniał się Cedro. — Właśnie jego opieka i pomoc...

— A ba... pomoc! Tu się właśnie rozłazi. Bardzo mi miło... poznać... Myślę już od wczorajszego wieczora,

skoro pani dziedziczka wyrwała się... te!... z tą gotowością pomagania waćpanom. Bo to z panią dziedziczką sprawa nie łatwa. Nudzę się, nudzę się... A potem rób, co chcesz... Upór...

— Panie Kalwicki, panie Kalwicki, trzymaj się, z łaski swej, w ryzach!

— Już milczę. Już trzymam język za wąsami!

— Cofnij-że go waść jeszcze głębiej, bo mogę przyciąć, a to boli.

— Ale bo pani dziedziczka nie zwraca uwagi, a to pachnie najgrubszym powrozem. Możemy w taką wleźć kalafutrynę, że nietylko buty, ale nogi w niej zostaną.

— A niech sobie zostają waścine nogi, a osobliwie... te buty...

— Chciałem coś jeszcze powiedzieć...

— Nic już nie słucham.

— Muszę przecie powiedzieć, żem onego oficyerka zaprosił wreszcie na święty Szczepan. Com ja miał z tem brzydactwem!

— Bardzo to dobrze. To chwalę.

— A i ja tak sobie myślę, że to jest dobrze.

— Cóż jeszcze, staruszku? Tylko żywo, bez elokwencyi!

— O, zaraz: staruszku! To się nie godzi...

— Co jeszcze? pytam swego plenipotenta.

— Zaraz z książęca! Muszę jeszcze dodać, że dla dragonów trzeba będzie postawić co najmniej kufę piwa. Panie Boże, mało mię udar nie zwali, jak pomyślę...

— Postaw im waszmość kufę...

— Włosy mi stają na głowie, pani dziedziczko, na samą myśl, gdy dziedzic przyjedzie — co to będzie?

— Nic mię nie obchodzą włosy waszmości.

— Stało się tedy, że ja na stare lata muszę, jeśli nie piersi, to pleców nadstawiać pod kule, bo otwarcie mówię, pludry nie żartują. Sam waćpanów nocą powiozę, ale jaki to wyda owoc... — dodał szeptem, zbliżając się do Krzysztofa.

Kiedy ci dwaj zamieniali ze sobą ciche wyrazy, pani Ołowska odeszła od nich. P prawiła od niechcenia śliczny ekran *à la / siché*, a później stanęła odrazu tuż przed Rafałem. Przez chwilę miała oczy spuszczone, na ustach przecudny uśmiech.

Zwolna podniosła błękitne źrenice i zatrzymała je na twarzy gościa. Uśmiech z jej warg nie schodził, a stawał się coraz świetlistszy, coraz bardziej uduchowiony. Nozdrza szybko drgały. Kiedy Cedro wziął pod rękę starego szlachcica i zaczął z nim wśród ożywionej rozmowy chodzić tam i sam po saloniku, pani Ołowska zbliżyła się jeszcze o krok i, nie spuszczając oczu z twarzy Rafała, wyrzekła przez ściśnięte zęby, tak, że tylko on mógł te wyrazy posłyszeć:

— Szukam... śladu... mojej szpicruty...

Olbromski stał nieporuszony, aczkolwiek zachwiał się, słysząc te słowa. Płomień ognia buchnął mu na twarz, na szyję i czoło. Zadzwoniły mu w uszach te wyrazy prawdziwie, jako świst stalowej rózgi. Krew wolno spłynęła do serca.

W chwili, gdy dwaj rozmawiający zbliżyli się do stołu, pani Ołowska otwarła z uśmiechem album ry-

sunkowe i, wskazując Rafałowi pejzaż po pejzażu, rzekła z uprzejmą obojętnością:

— Grudno.

Przewracała kartę po karcie, przypatrując się to tej, to innej kombinacyi barw. Gdy otwarł się widok alei, Rafał przytrzymał go dłużej i spytał:

— Czy można wiedzieć, kto malował ten oto widok?

— Można.

— Któż to?

— Ten sam, co malował całe album; to widać.

— Któż to?

— Ja to malowałam.

— A czy można zapytać, dlaczego wybrała pani tę aleję? W Grudnie były miejsca daleko piękniejsze.

— Dlatego, że to był najulubieńszy mój kąt. Tu najczęściej chodziłam.

— Ach, tak...

Podczas wieczerzy, do której w jednym z sąsiednich pokojów we czworo zasiedli, Rafał znalazł się obok starego plenipotenta i musiał wdać się z nim w rozległy dyskurs *de omni re scibili*. Tymczasem gospodyni domu bawiła się z Krzysztofem tak żywo i przyjemnie, jakby od dawien dawna byli przyjaciółmi. Rafał słyszał tę całą rozmowę. Zdusił w sobie wściekłą zazdrość, bezlitosną wolą wpakował ją na dno. W pewnej chwili, raz jeden pomyślał z postanowieniem żelaznem: »Zaduszę tego chłystka!« Później mógł już rozmawiać swobodnie. Ani na jedną chwilę, na jedno mgnienie oka nie zwróciła się ku niemu królewska głowa, obciążona przepysznymi splotami

włosów. Ani razu nie dostrzegło go oko. Teraz dopiero poznał, że to jest ta sama księżniczka Elżbieta, która go napawała udręczeniami bez granic, a której przecie wyzbył się był zapomocą skutecznych środków. Ta sama. Widzi i nie widzi, słucha i nie słucha, wie o nim i nie wie... Przyszedł tedy na dawne miejsce, zdala obszedłszy tak wielki kawał świata. Dziwił się wewnątrz siebie temu porządkowi zdarzeń, temu jak gdyby prawu rządzącemu w ciemnościach. Ni to nienasycona chciwość tych dawnych cierpień wznosiła się w jego piersiach, jak rozwścieczona burza. Wyzywał ją na rękę, szarpał wolą ku sobie. Po dawnemu jął śledzić z pod nawisłych powiek, z zasadzki rzęs, powab tej twarzy i tajemnice przecudnego łona. Oczy jego z manowców tych szpiegowań wracały niemal z rozpaczą, gdy znajdowały się wobec niezbitej prawdy, że piękność ta nie zmniejszyła się, lecz wzmogła, że teraz stała się równą nieskończoności. Co najgorsza, była teraz świadoma swej potęgi i władała nią, jak wódz włada mieczem. Wobec tego w głowie miał taki zamęt, że na pytania plenipotenta Kalwickiego ledwie, ledwie mógł dawać odpowiedzi przytomne. Z oczu, kiedy je na piękną zwracał, buchały ognie wewnętrznego pożaru, których żadnym wysiłkiem zdusić nie mógł. Obojętność pani Ołowskiej doprowadziła go do szaleństwa. To też prawie z radością wstał od stołu i w jaką godzinę później udał się na spoczynek. Jak błędny szedł za lokajem, który im przyświecał po schodach na piętro, mijał pokoje i znalazł się wreszcie w niewielkiej, ogrzanej komnacie. Z tą sąsiadowała druga, gdzie miał spać Krzysztof.

Rafał rozebrał się i rzucił na łóżko. Zaraz usnął. Późno w nocy zbudził się i podniósł.

Okrążała go woniejąca girlanda myśli, że jest w tym samym domu, co i księżniczka Elżbieta, że po tylu latach spotkał ją stokroć piękniejszą, niż była dawniej, tylko jeszcze barăziej w piękności swojej straszliwą. Ta myśl najgłówniejsza obchodziła dokoła jego pościel, jak ciche kroki szatana. Była tak olbrzymia, tak rozmaita i wielostronna, że jej głową ogarnąć nie mógł. Przybierała coraz to inną postać i formę, miała tysiące płaszczyzn i granic. Była współcześnie czarującem kuszeniem, tak oczywiste nasuwającem obrazy, że widział tuż przed spalonemi ustami nieśmiertelną piękność wpatrzonych oczu, wargami dotykał ust i chciwą ręką nagich ramion. Była także zachwycającą nadzieją, która wiedzie jakoby na skrzydłach motyli poprzez czas i przestrzeń aż do błękitnych krain, których nigdzie niema, i była żalem nie do zniesienia rozważającym, jak zegar, utratę tych minut bez ceny, które właśnie, szepcąc w pośpiechu niezrozumiałe a groźne wyroki, uchodzą w ciemną sztolnię nocy. Dał się unieść marzeniom. Przebywał w szczęściu i zlatywał w głuche doły odtrącenia, gdzie wicher potępieńczy wyszarpuje ze strun swej lutni nikczemne jęki. Cały świat porywało mu co chwila z przed oczu nieoczekiwane wahanie się uczuć. Jak zdroje dotychczas nieznane wybuchały z duszy postanowienia, by za chwilę zniknąć w podziemnych swoich cieśninach i łożyskach, skąd nigdy już nie powrócą. Oto marzył długo i namiętnie, żeby za jakąbądź cenę tu zostać. W jakiejkolwiek roli! Przerzucić się na stronę austryacką, pruską, czy dyabel-

ską, stać się żołdakiem, czyimkolwiek jurgieltnikiem — wszystko jedno! Zostać w pobliżu tego domu szczęścia, gdzie każdy sprzęt wrasta w duszę, kamienieje i zamienia się w jej skarb, gdzie chropawe ściany są zasłonami rozkoszy, gdzie każdy szelest może być ukochanym zwiastunem łaski.

Usłyszał oddech śpiącego Krzysztofa i oto już drugi raz uczuł w sobie nienawiść. Przeszył mu głowę jego wesoły śmiech z przed kilku godzin, ugodziły go spojrzenia rozmarzonych oczu, które był pochwycił podczas wieczerzy. Dla niego była łaskawą. On tutaj odniósł tryumf. Któż wie, może naprawdę odniesie go jutro, pojutrze? Gdyby tak było!... Pchnęła go z łóżka nagła myśl... Cóż trudnego? Właśnie są okoliczności potemu. Wyjdą w nocy. Puszczą się w manowce nadrzeczne. Tam krótki strzał w ucho głupca, trupa w wodę i pod lód. Wtedy — wrócić, wrócić... Och, i teraz nie byłoby to trudne chwycić gardziel tego szczygła, zatrzymać na zawsze oddech. Za cenę jednego uścisku, za cenę jednego sam na sam — czegóżby nie uczynił! Za cenę jednego takiego uśmiechu, jakich tamten tyle dziś odebrał!

Ale pocóż to czynić? pocóż to czynić? Wszakże można raz jeszcze spróbować napaści. Czy znać na twarzy ślad twojej szpicruty? Przyjrzyj się, żmijo! Wzniesiesz znowu rękę do ciosu? To i cóż stąd? Dotknąć ustami przed odtrąceniem, przycisnąć ją do piersi i złote włosy mieć sekundę na ustach. A potem niechże strzela w łeb, kto chce — Niemiec, czy Francuz, mąż czy kochanek!

Bezwiednym ruchem zaczął ścierać z szyby za-

mróz nocny i spojrzał w świat. Księżyc raz w raz wypływał z pomiędzy chmur, szybko pędzących. W dali, za szczytami nagich drzew parku, rzeka w blasku miesięcznym to lśniła wszystkimi lodami, to gasła w cieniach. Nad jej brzegiem płonęły tu i owdzie przygasłe ogniska, od nich długie drżące smugi światła spadały na wodę. Rafał roześmiał się, patrząc na te ognie. To on tam ma się udać... Między te ognie... Tysiąc strzałów wymierzą, gdyby kiedykolwiek chciał wrócić do tego domu. Spełni to dobrowolnie, żeby już tutaj nie mieć prawa powrotu. Już nigdy! Roześmiał się powtórnie. Każdy najnędzniejszy parobek ma prawo przebywać w tym okręgu rozkoszy, każdy pies ma prawo położyć głowę na tym progu — tylko nie on, który za to prawo gotów jest oddać połowę życia, nie, zaiste, całe życie! Ogarnięty bezrozumem i wichrem miłości, oślepły od jej błyskawic, strachów i niezwyciężonych poduszczeń, zaczął chodzić tam i sam po komnacie cichymi, poplątanymi, szalonymi krokami.

NOC I PORANEK.

Muzyka, umieszczona na galeryi, stroiła instrumenty. Z głębokiego westybulu raz wraz wynurzały się nowe postacie i wolno szły w górę po marmurowych schodach. Szelest jedwabiu, zapach perfum płynął z dołu Szmer rozmów...

Tysiące świec woskowych rzucały blaski na słupy z ciemnego marmuru, podtrzymujące strop wspaniałego przedsionka. Przy jednym z tych słupów stał pan Ołowski, człowiek jeszcze młody, z twarzą subtelną. wydelikaconą i piękną. Niebieskie jego oczy były zapadłe pod bladem czołem, a przymusowy uśmiech w krótkich przerwach między jednym komplementem a drugim, między jednem a drugiem powitaniem nowo przybywających gości, zsuwał się z twarzy, jak maska.

Obok drugiego filaru stał plenipotent Kalwicki w najwspanialszym ze swych kontuszów; jeszcze niżej na platformie, gdzie się zawracały schody, kłaniał się przed każdą wkraczającą parą kamerdyner i okazałym ruchem prawicy wskazywał pana domu.

Kalwicki oczekiwał właśnie na oficera, którego

już sam osobiście był przywiózł i w bocznej gotowalni na dole umieścił, żeby się tam dostatecznie po swojemu wymuskał i oczyścił. Wreszcie ukazał się ów porucznik. Szedł żwawo po schodach w swym półfraku, świecącym od naramienników i ozdób, w obcisłych inekspryma blach i ciżmach, dumnie i swobodnie wydymając usta. Kamerdyner skłonił się przed nim we dwójnasób nizko i poprzedził go bokiem o kilka schodów, żeby snadź Niemiec nie pomylił się co do osoby gospodarza. Kalwicki łamaną, z łacińska-polską, a pan Ołowski wyśmienitą niemczyzną przyjęli gościa i z wielką atencyą, komplementami, wśród ukłonów prowadzili do salonu.

Tam już rozstawione pod ścianami kanapki i krzesła napełniały się doborem najpiękniejszych dam okolicy. We drzwiach do sąsiednich salonów tłoczył się zastęp tancerzy. Środek sali był pusty. Pani Ołowska w pobliżu głównego wejścia witała przybywających.

Włosy jej, utrefione tego dnia w sposób szczególny, objęte były dwiema gałązkami lauru. Szyja i ramiona wyłaniały się z pomiędzy szerokich buf rękawów. Lekka, prześliczna suknia, z wpiętemi w przód spódnicy różami, *robe de gaze, à raies de satin*, koloru morskiej wody, nie dosięgająca ziemi, otoczona była u dołu liśćmi kamelii i osłaniała nogi powyżej kostek. Długie aż do ramion rękawiczki osłaniały obnażone ręce. Za przepaską, pod osłonionemi piersiami drgał życiem bukiet fijołków z Parmy. Kiedy wszedł porucznik i z wyszukaną elegancyą Wiedeńczyka skłonił się przed nią, przyjęła go, równie jak mąż, z honorami. Zażądała, aby jej podał ramię i przeszła z nim przez opróżniony

środek salonu do grupy poważnych obywateli, wymieniając jego nazwisko.

Za chwilę jej atłasowe ciżmy prześliznęły się po parkiecie sali ku rozwartym podwojom głównego wejścia

W grupie młodzieży, u przeciwległych drzwi salonu, stali — Olbromski i Cedro. Ujrzawszy Niemca, poczuli, że zaczyna się ich epos. Krzysztof przyjął ten widok jako młodzieńczą podnietę, a Rafał jako pchnięcie kindżałem.

Należało decydować się szybko.

W ciągu tych dwu dni twarz Rafała osunęła się, a oczy pełgały niezdrowym połyskiem. Z godziny na godzinę zwiększała się jego namiętna, rozszalała miłość, żądza, przesycona poczuciem utraty. Nie czuł, patrząc na piękną gospodynię, radości, ani zachwytu, lecz bezradną, stratowaną rozpacz. Wszystko miał teraz postawić na kartę. Tak, lub inaczej zdecydować w ciągu tych godzin o całej swej przyszłości. Nie spał był nocami, a we dnie szukał, szukał, szukał spotkania. Wciąż pełno było gości, przybyszów, sąsiadów, z których każdego i każdą rozszarpywał i ćwiertował wzrokiem takiej nienawiści, jak najzaciętszego wroga. Wciąż musiał z kimś rozmawiać, witać się, żegnać, ukrywać w sobie spiskowca i, co najgorsza, śmiać się. To też śmiał się czasami tak oryginalnie, że zimno przejmowało rozmówców. Czasami spostrzegał ją gdzieś daleko, w tłumie. Wtedy usta jego szeptały prawie głośne wyrazy uwielbienia, pochwały i pieszczotliwe bezmysły, albo głuche i niebezpieczne przekleństwa, przywarłe do uszu i serca w więzieniach Orawskiego zamczyska. Nieraz w szale, bez wiedzy, przedzierał się ku niej,

żeby nareszcie wyznać, co się z nim dzieje... A kiedy się zbliżał i słyszał mówiącą wesoło, zalotnie, rozkosznie, odchodził z duszą rozstrzelaną jej śmiechem, uśmiechając się z cicha.

Tak przetrwał te dwa dni świąteczne.

Teraz stał w tłumie, wystrojony według ostatniego wzoru mody, i nie spuszczał oka ze swego bożyszcza.

Jakże była piękną!

Głowa jej stała się podobną do odwiecznej kamei, wyrytej ręką Greka w białych wstęgach onyksu. Włosy ujęte w laurowe gałęzie, wiły się, jak barwne jego zwoje. Bure brwi stykały się jedna z drugą nad linią nosa niepostrzeżenie, ledwie dostrzegalnej barwy mchem, a to ich rozkoszne złączenie było jak obraz pocałunku. Nigdy cudniej nie wyróżniały się śnieżne skronie od płonących cichem zarzewiem rumieńców lica. Nigdy rozkoszniej nie rozchylały się usta.

W pewnej chwili Rafał uczuł, że nie pojedzie na projektowaną wyprawę za Wisłę. Doświadczył zaraz znamienitej ulgi. Kamień spadł mu z serca. Miałżeby jeszcze tylko parę godzin ją widzieć, a za parę godzin utracić na wieki? Cóż za bezgraniczne głupstwo! Przenigdy! Zostanie tutaj za wszelką cenę. To, co raz w nocy prędko pomyślał, teraz wykona. Uda, że ma gorączkę, że jest chory, umierający. Wróci po świętach do Krakowa. Stamtąd będzie przyjeżdżał. Wymyśli interesy, do Kalwickiego, do Ołowskiego, weźmie tu folwark w dzierżawę. Będzie się tu włóczył po polach. Będzie zachodził niby to z polowania do rządcy. Z pól widać ten pałac. Oglądał przyszłe dni i noce swoje, przeszpiegi i przygody, jak na dłoni.

Chodziło tylko o to, jak rozmówić się z Krzysztofem. A może i on zostanie? Wyłżą się przed Trepką trudnościami... Bo czyliż to istotnie nie trąci obłędem iść prosto w pętlę stryczka? Czy nie widzieli w Krakowie? Czyż nie lepiej pracować na roli, jak Bóg przykazał, zamiast szukać wiatru, a raczej pewnej śmierci na szczerem polu? Będzie z pewnością trochę wstydu, trochę szeptań i śmiechu, trochę gawęd i wytykania palcami, ale potem wszystko pójdzie w zapomnienie. Rzecz ludzka. Ci sami, którzy będą wytykali palcami, niegdyś sto razy gorzej dawali nurka.

Tylko jak zacząć z głuptaskiem Krzysztofem? jak wyrazić pierwsze słowo po tylu dniach i nocach zapału? Ziewnął skrycie od przeszywających dreszczów. Wyciągnął dłoń ze sztywnymi palcami, żeby ku sobie przyciągnąć Krzysztofa. Zdawało mu się nawet, że go przyciągnął... Tymczasem Cedro stał wyprostowany, wpatrując się pilnie źle widzącemi oczyma w figurę austryackiego oficera. Ręka Rafała spoczęła na ramieniu towarzysza, a skrzywione usta wykaszlały:

— Krzyś... boisz się?

Tamten drgnął, jak od dotknięcia nagiego ciała soplem lodu.

— Nie boję się! — rzekł zupełnie jak dziecko, gdy mu w żywe oczy zadają kłamstwo.

— A ja...

— Co ci jest?

— A ja myślałem, że się boisz.

— Lepiejbyś westchnął do Boga za pomyślną noc dzisiejszą, zamiast mię nękać i osłabiać.

— Głupcze... — szepnął mu w samo ucho Rafał.

— »Trzeba zaczekać«—pomyślał—»jeszcze czas«

I oto niespodziewanie olśnił go genialny pomysł Gdy nadejdzie chwila odjazdu, skryć się w pałacu i zmarnować dogodną chwilę. Uda, że się spił. Człowiek pijany nie odpowiada za swe postępki i nie traci na honorze. Wylezie wówczas, gdy wszystko będzie stracone, o świcie. Krzysztof, jeśli chce, niech idzie sam. Ależ owszem, niech idzie, nawet niech się przeprawi szczęśliwie w myśl swoich modlitw, albo niech wreszcie zdechnie od kul dragońskich! Ależ owszem, niech — cha-cha — idzie za Wisłę, do wszystkich dyabłów! Dość już tutaj i tak nazbierał uśmiechów i słówek...

Doznał głębokiej znowu ulgi. Pachnący wiatr rozkosznej przyszłości wionął na jego czoło. Ujrzał przed sobą szereg świetlistych dni.

Właśnie kapela zagrała polskiego i wyniosłe, wspaniałe dźwięki porwały na skrzydłach swoje nowe postanowienie Rafała. Unosił się wśród szczęścia odzyskanego, płynął wśród blasku. Jak w sennem złudzeniu widział szereg par, z wdziękiem i powagą okrążający salę. Stary jakiś jegomość, z panią Ołowską marszałkujący temu tańcowi, znikał mu z przed oczu w sąsiednich salach i ukazywał się znowu. Odkryte ramiona i piersi, włosy przetykane perłami i przeplecione wstęgami, trefione i lśniące od kamieni, połysk i szelest cennego atłasu, migotanie brylantów, zapach perfum, czarodziejstwo spojrzeń a uśmiechów — i muzyka — przepływały dokoła, jakoby fale rozkoszne. Oto przesuwają się pary jedna za drugą... Przemyka się, jak mgła, dziewica w przystroju głowy *l'oiseau de*

paradis... Dalej szeleszczą suknie bramowane futrem *en lapin de Moscovie*, głowy półkryte, w tokach *de gaze argentée*, w turbanach *à pointe mameluck*, w szatach lewantyńskich i egipskich.

Ledwie skończono poloneza, melodyjny walc poniósł w wir wszystką młodzież. Rafał pragnął tańczyć z panią Elżbietą, ale nie mógł pochwycić ani jednej tak szczęśliwej chwili. Zawsze z nią walcował ktoś inny, albo znikała mu z oczu, pełniąc obowiązki gospodyni. Tańczył tedy z osobami, które były w pobliżu, żeby przynajmniej na miejscu nie stać. Raz jeden, już około północy, przez krótką chwilę udało mu się przebiedz salon, trzymając swój skarb w objęciu. Zniknęły wówczas z jego mózgu słowa, ustały, zdawało się, myśli. Ani jednego wyrazu nie znalazł, choć silił się, żeby go wymówić. Milczał ze ściśniętemi zębami.

Minęła północ, i Krzysztof coraz częściej począł szukać towarzysza oczyma. Rafał słyszał bicie nadchodzącej godziny w sercu, w głowie, w szpiku kości. Młodzieniec, prowadzący tańce, zapowiedział nowomodny taniec angielski *country dance*, w którym miało wziąć udział całe niemal towarzystwo. Pomimo wszelkich usiłowań, nie udało się Rafałowi tańczyć z panią Elżbietą. Dopiero los szczęśliwy zdarzył to w następnym tansyerze. Znał ów taniec jeszcze z Warszawy, wiedział tedy, że tańcząc na *vis-à-vis*, będzie miał możność obcowania z nią w pewnych chwilach. Z przymkniętemi oczyma marzył o tem, co będzie.

O, gdybyż mógł wyznać jej mękę swej duszy! Odejść i odejść bez jednego słowa... Tancerkę swoją

pierwszą lepszą pannę z brzegu, zasypywał mnóstwem słów wesołych, dowcipnych, miłych, bezmyślnych. Bawił ją, jak wesoły trzpiot, jednocześnie drwiąc z niej oczyma pełnemi odrazy i wzgardy i klnąc ją wewnątrz siebie najwstrętniejszemi przezwiskami. Wśród kaskad słów, skierowanych do tancerki, marzył o tamtej, córze nieba i dnia. Zaczął się taniec. Zaraz w pierwszej figurze, kiedy z panią Ołowską sam na sam został, rzekła do niego cichaczem:

— Za parę godzin...

— Co, księżniczko? — wyszeptał białemi usty.

— Tak niegościnnie muszę przypomnieć... Za parę godzin pójdziecie waćpanowie.

— Wolałbym tu umierać, niż na rzece.

Rozłączył ich płynny, powabny pląs. Odeszła wśród ukłonów z uśmiechem na przecudnem obliczu. Tylko nikły rumieniec... Ale za parę chwil znowu mu ją dał taniec. Wtedy z głębokości serca, targającego się w powrozach swych, wyszeptał:

— Księżniczko...

— Cóż to?...

— Księżniczko...

— Nie jestem już księżniczką, mości panie. Dawno już przeminęły tamte czasy...

— Dawno już przeminęły tamte czasy, a tylko moje nieszczęście...

— Cóż to waćpanu?

— Kocham cię... Na śmierć, do zatracenia duszy! Umieram z żalu za tobą... księżniczko!

Złożyła mu ukłon pełen wdzięku, dyg, pełen czaru, jak kazał taniec, i zostawiła go z inną kobietą, z tan-

cerką, którą sobie był wybrał. On szedł w taniec jedwabnymi krokami, z uśmiechem na ściśniętych wargach. Bielmo zasłaniało mu oczy, a krew ostygła w żyłach. Zdawało mu się, że już nigdy nie nadejdzie ta chwila, żeby mógł dotknąć tamtej ręki. Widziało mu się, że światła gasną, muzyka niemieje i ludzie stają zdumieni wokoło. Mijała chwila czekania. Setki w niej wieków przepłynęły. Mówiła coś do niego tancerka, i on wesoło jej odpowiadał. Uśmiech wesoły wdział na twarz...

Nie, nie nadchodzi... Wabi ją muzyka, wesoła jak śmiech serdeczny. Czy nigdy już nie nadejdzie? Czyż nie uczuje dłoni jej w swej dłoni i lazurowych oczu nie przyjmie z uwielbieniem? Odmienną falą opłynęła go muzyka, jak mowa zrozumiała, zwrócona bezpośrednio do niego. Nie wiedząc o tem wcale, wykonał prawidłowo figury tańca.

Nareszcie...

Poznał ją po błękitnem powietrzu, w którem była dla niego zawsze. Poznał ją po zapachu włosów i po szeleście szat. Nie mógł własnego spojrzenia udźwignąć z ziemi. Widział jej stopy w białym atłasie i białe wstążki skrzyżowane... Oto trzyma rękę jej w swej dłoni, nieruchomą, długą, trwożliwą, miękką i subtelną jak wiązka nikłej rezedy. Oczy wciąż jeszcze nie mogą objąć postaci, nie widzą. Dusza tylko nasyca się nią, jak kwiat nasyca się mgłą nocy.

Oto mówi do niego tak cicho, ciszej, niż szelest jedwabiu:

— Nie powinnam była...

— Co, księżniczko?

— Nie powinnam była pozwolić, żebyś waćpan jedną godzinę przebywał w progach tego domu. Tylko wzgląd wyższy...

— Jeszcze tylko parę godzin... Odejdę zaraz i już na wieki.

— Niech się tak stanie.

— Ani jednego słowa litości...

— O litości wspomina ten bezczelny, który się porwał...

— Pani, pani... Kochałem cię nadewszystko w życiu mojem. Dlatego... To tylko chciałem powiedzieć...

— Już się dokonało.

Odeszła znów. Jak woniejący dym, okurzył go dźwięk tych wyrazów. — »Już się dokonało«. — Cóż mogą znaczyć te słowa? co mogą znaczyć te słowa? co mogą znaczyć? Wszystką władzę rozumu wytężył, żeby zrozumieć. Ale nim cokolwiek ułożył w myśli, przesunęła się obok niego wśród nieustających zbliżeń i oddaleń tańca. Gdy na moment znowu byli razem, rzekła:

— Nigdy waćpan nie wrócisz tutaj? Wszak to już sam wyrzekłeś?

— Tak wyrzekłem.

— I honorem ręczysz swoim?

— Co prędzej, co prędzej uchodź, — cha-cha...

— Nigdy nie będziesz się waćpan starał, żeby mię widzieć?

Milczał.

— Mów-że waćpan...

— Nie mogę tego przyrzekać. Jeśli żyć będę, wszelkich owszem dołożę starań, żeby skrycie widywać to miejsce. Ale o tem nikt wiedzieć nie będzie.

— Przysięgnij waćpan, że tego nie uczynisz, a możebyś usłyszał coś takiego, co cię do głębi...

— Przysięgam na moje życie, na mój honor, na dobrą sławę, że nie mogę... Kocham cię...

— Zamilcz.

Po chwili mówiła znowu:

— Słuchaj, co mówię. Chciałabym zawsze tak wspominać moją w Grudnie aleję, jak ją dotąd wspominałam. Chciałabym zawsze tak samo... Lubię tę w sobie pasyę. Tam to chodziłam wieczorami do szaleństwa gardzić twoją zbójecką napaścią. Tam to chodziłam patrzeć w mrok i niby na jawie widzieć twe wilcze oczy wbite we mnie, jak haki, twe śmiertelnie uśmiechnięte usta, słuchać, jak w piersi serce łomoce... Jak teraz...

— Jeszcze słowo...

— Chodziłam sama w puste ciemniki tęsknić, żebyś raz jeszcze spróbował napaść tak samo i żebym cię mogła zabić od jednego ciosu, nie rzemiennego pręta, nie! Żebym cię mogła zabić od jednego ciosu sztyletem w huczące serce. Miałam go zawsze w pogotowiu...

— O, gdyby teraz... Od jednego ciosu!...

— Już teraz nie chcę. Przeminęło.

— Jeśli rozkażesz, to dziś nad ranem dam się rozstrzelać, ale wysłuchaj wszystkiego.

— Ciszej waćpan szeptaj, bo nam się przypatrują...

Głęboki ukłon.

Brak wzroku i tchu. Ocknął się, widząc, iż należy tańczyć nową figurę. Śnił przez chwilę, iż inny zgoła

człowiek jest w nim samym. Spoglądał wokoło jasnemi, uciszonemi oczyma. Pilnował w sercu płomyka cichego szczęścia. Już nie zbliżyła się w tych figurach. Dopiero w ostatniej, gdy razem na chwilę stanęli, rzekła mu:

— Będzie gawot. Czy tańczysz go waćpan?

— Tak.

— Czy dobrze?

— Dobrze.

— Ale czy bardzo dobrze?

— Zdaje mi się.

— Zaproś mię waćpan później do tego tańca.

— Księżniczko, daruj mi jedną jedyną chwilę nim stąd odejdę, jedną chwilę na osobności.

— Zamilcz.

Skończył się taniec i nastała chwila przerwy. Rafał oddalił się do jednej z sąsiednich sal i tam ukrył we framudze okna. Był znużony, jakby wszystkie kości miał połamane. Był obojętny na wszystko, nawet na to, co się przed chwilą dokonało. Wiedział tylko tyle, że te sekundy, które przemijają, to najrozkoszniejsza doba życia. Samej ich rozkoszy nie czuł wcale. Otrząsnął się ze swego stanu wówczas dopiero, gdy spostrzegł panią Ołowską w otoczeniu kilkunastu osób, panów i pań. Wszyscy ją o coś usilnie prosili, a ona zaprzeczała, śmiejąc się srebrnym swym śmiechem. Rafał zbliżył się także i posłyszał wówczas, że ją proszono, by tańczyła *tamburino*. Nie chciała za nic. Trwało to dosyć długo. Nareszcie Rafał przypomniał sobie, co mu poleciła. Przecisnął się tedy ostrożnie przez tłum, skłonił się przed gospodynią i prosił, żeby raczyła tańczyć z nim gawota.

— Ach, więc jedni chcą, żebym tańczyła *szal*, ci, żeby *tamburino*, a jeszcze waszmość pan... gawota. Nie. Wynajdę sama inną tancerkę.

— Pomimo ponowionych próśb?

— Nie mogę — *et tout est dit.*

Rafał począł nalegać, nastawać, prosić.

Po długiem wahaniu się, którego na pozór nie mogły przezwyciężyć nawet prośby pana Ołowskiego, przystała wreszcie na odtańczenie gawota. Zagrała muzyka.

Kreśląc w przestrzeni linie i szlaki niepewne, jakoby ślady bujania w kraju widzeń, zataczając zwroty kołujące i wśród niespodziewanych ukłonów, owych zaprzeczeń, pewnych uprzejmego powabu, co są niby znaki symboliczne wstydliwości i bojaźni, tancerka stała się podobną do muzycznego instrumentu, do harfy czy lutni, tworzycielki wzniosłej i pięknej melodyi. Samemu zdawało się, że tworzy i pierwszy raz w życiu gra. Ruchy jej były z każdą chwilą wdzięczniejsze, coraz bardziej pewne swej piękności, jak tony muzyczne, od wieków leżące w milczeniu, które teraz, po wyrwaniu z nicości, okazują wszystek swój przepych i potęgę władzy piękna. Bezkarnie i bez przeszkody, jawnie a w myśl przepisów tańca, mogli obejmować się miłosnymi uśmiechy, tonąć w sobie nawzajem oczyma. Każdy ukłon i każdy przegub ciała więcej oznaczał, wypowiadał i dokonywał w sprawie miłosnej, niż sonet, ułożony ze słów i zawartych w nich pragnień.

Rafał ledwie kilkanaście postawił ślizkich a wytwornych kroków, między jednem a drugiem zbliżeniem ciał, usłyszał wyrazy:

— Pójdź...

— O, pani...

Przebiegła ślicznymi ruchy przestrzeń salonu, wróciła znowu. Oto, ująwszy palcami gazę spódnicy, uniosła jej lekko i łagodnymi rytmy, cichymi skoki mijała tancerza, Wtedy szept:

— Boję się ciebie...

— Kocham...

Ukłon i szept:

— Pójdź...

Znowu szept:

— Przez szereg pokojów...

Musiał teraz oddalać się od niej i wracać, oddalać i wracać wciąż. Słuchał, słuchał, słuchał. Była obok i milczała. Nic, tylko ciosy własnego serca... Mijała go w milczeniu. Nareszcie, kiedy się najmniej spodziewał, kiedy oszalały tracił już wszelką nadzieję, posłyszał znowu wyrazy, ledwie się dobywające z pomiędzy nieruchomych warg:

— Pójdź... do siebie...

Za chwilę znowu:

— Stamtąd zejdziesz...

Szereg ukłonów i cichych, rzewnych kroków do taktu muzyki gawota, aż znowu szept, głos cichy a wstrząsający do szpiku kości:

— Na dół schodami... tak... które są w końcu korytarza.

— Co dalej?

Muzyka nieco odmienna. Taniec znów. Uśmiech. Oczy zemdlałe w zaśnieniu. W różanych wargach zęby z trwogi szczękają:

— Będą tam półotwarte drzwi.

Nic już nie rzekła aż do końca. Źrenice oczu skryły się w cieniach rzęs. Na ustach wyraz bolesny. Włosy, rozrzucone w tańcu, tworzyły dokoła zbielałej twarzy złotolitą burzę.

Rafał wcisnął się w tłum mężczyzn i stanął w przejściu, wiodącem do sali sąsiedniej. Tył głowy wsparł o ślizkie odrzwia mahoniowe i otwartemi oczyma patrzał w dal. Zbliżył się do niego Krzysztof i rzekł:

— Bądź gotów.

Rafał spojrzał na niego z ukosa i uśmiechnął się dobrodusznie. Rzekł cicho głosem spokojnym i łagodnym:

— Bardzo mi się podobasz dnia dzisiejszego.

— Ale z ciebie tancmistrz nielada...

— Tak sądzisz?

— O, wierz mi, powinieneś był dawno wstąpić do baletu w Krakowie... Nie byłbyś się tułał po gościńcach...

— Jesteś, ile sobie przypominam, złośliwy, mości Cedro. Lubię dobry dowcip, a bez złośliwości niema dowcipu. Obawiam się, że dziś rano zginiesz. Wiesz, idź do sąsiedniego pokoju, napisz testament według reguł procedury austryackiej, a mnie możesz, jeżeli ci to w smak pójdzie, zrobić generalnym spadkobiercą.

— Zapiszę ci, ale nie tak znowu wiele... — rzekł Krzysztof ze złym uśmiechem. — Co najwyżej mogę ci w spuściźnie przekazać ten frak, który masz na sobie i w którym tak misterne stroiłeś piruety. Pończochy również i trzewiki...

— Jakże śmiesznym jest mąż, któremu zazdrość dziurawi skorupę mózgu!

— O ciebie... — szepnął Cedro ze ściśniętymi zębami, ale Rafał odsunął go od siebie łagodnym i łaskawym ruchem. Na przeciwległej stronie sali, w odosobnionem krześle siedziała jego księżniczka z głową opartą o kraj marmurowego kominka. Patrzali się w siebie zaklętemi oczyma przez długi, niewymowny czas. Nie umieliby powiedzieć, ile go upłynęło, nie umieliby określić, co się działo na świecie otaczającym, ani w głębokości ich dusz. Nie wiedzieli nawet o tem, że upływające minuty niosły na falach najwyższe złudzenie rozkoszy.

Zakłócała ciszę muzyka i zajmowała przestrzeń młoda, piękna panna, z wdziękiem tańcząca solowy taniec — *szal.* Przebiegła salę to tu, to tam, rozciągając nad głową błękitny szal z kaszmiru. Jeśli stawała na złotolitej drodze spojrzeń obłąkanych z rozkoszy, przywierali na mgnienie powieki, by za chwilę z tem straszniejszą miłością upajać się sobą.

Wreszcie, nim piękność ukończyła swój taniec, Rafał podniósł głowę. Od niewypowiedzianego uśmiechu zaćmiły się i ściemniały jego oczy i stały się do oczu księżniczki podobne. Usta oblekły się wyrazem potęgi i cudownej siły. Stał się piękny, wspaniały i niezwyciężony. Wolnymi kroki, z wdziękiem i zwinnością tygrysa poszedł, nie widząc miejsc ni osób. Przeszedł wskazane korytarze, schody, sienie, znowu schody. Wszędzie było pusto i cicho. Daleki gwar zagłuszał odgłos kroków. Pchnął pół otwarte drzwi i wszedł do buduaru. Panował tam prawie mrok. Na kominku żarzył się stos bukowych węgli. Okrył je już popiół fijoletowo-perłowy. Zdala, z za dziesiątych ścian, docho-

dziły tony stłumione i szczególnie urocze w tem oddaleniu. Olbromski zamknął za sobą drzwi i usiadł przed ogniem. Zapadł w zadumę przesyconą wonią róż i jaśminu. Oddychał westchnieniami, które płynęły z tajemniczego zdroju na świętej górze szczęścia.

W pewnej chwili błysnęła jasność w przeciwległej ścianie. Pani Ołowska stanęła we drzwiach. Zamknęła je za sobą. Gdy wstał z fotelu przed ogniem, zajęła to miejsce i przez chwilę nieruchoma siedziała z rękoma na poręczach leżącemi bezwładnie. Ujrzał przed sobą, w słabych brzaskach światła węgli, jej twarz, szyję, ręce. Ujrzał ją przed swoją duszą. Kiedy podniosła na niego oczy, i kiedy znowu spoczął w spojrzeniu, przerwanem odejściem z sali, upadł przy niej na kolana, objął jej nogi rękoma i pozwolił płynąć nieutulonym łzom szczęścia.

Nie odtrącała go, ani się poruszyła na swem miejscu.

Dopiero nierychło, nierychło, kiedy już serce jego było spokojne i oschły łzy na powiekach, dotknęła ręką jego czoła.

Podniósł głowę.

— Spełniłam wszystko, czego chciałeś.

— Tak jest.

— Żegnam cię.

— Żegnam cię, pani.

— Przyniosłam ci ten z albumu widok alei w Grudnie. Sama go niegdyś zrobiłam... W latach moich szczęśliwych, w domu moich snów na jawie... Weź go sobie i miej na sercu. Nie przebiją go kule.

— Czy nie chcesz, żebym dziś umarł?

— Nie.

— Czy nigdy więcej nie mam cię ujrzeć?

— Słyszę w tem pytaniu... Nie chcę powiedzieć.. Idę już stąd.

— Księżniczko!

— I cóż jeszcze!

— Ciebie jedną kochałem w życiu! Wysłu chaj mię!

— Cóż chcesz, żebym jeszcze uczyniła?

— Dziś rano umrę, jeśli zechcesz... dam się w ręc dragonów. Grób zachowa tajemnicę... Na wieki, n wieki!

— Przenigdy!

— Więc kochasz kogo innego?

— Nie powiem!

— Powiedz na Boga!

— Sam wiesz najlepiej.

— Nic nie wiem.

— Byłeś i jesteś jeden. Będziesz zawsze.

Wstała i, odsunąwszy go, skierowała się k drzwiom, któremi była weszła. Ale nim ich dosięgł zawołał na nią cichym szeptem oszalałej rozpaczy, śle pej niedoli, niezwyciężonej miłości. Zatrzymała si u proga. Zawahała się... Potem wróciła, jęcząc cich i gryząc zębami chustkę...

O jakiejś porze usłyszeli w pokojach na piętrz żywe, gwałtowne kroki i łoskot. Rafał wiedział, co t oznacza. Szukają go. Myślał o tem z uśmiechem, ni odrywając ust od czary swego szczęścia, nie budzą się z omdlenia. Wszystko jedno. Czy umrzeć już, cz jeszcze żyć — jednego to nie warte uśmiechu. Al

na rozkaz, że ma się udać z Krzysztofem na ową wyprawę, odszedł w okamgnieniu i stanął w swoim pokoju. Wistocie szukano go na wszystkie strony. Kalwicki klął na czem świat stoi. Krzysztof był już gotów.

— Gdzieżeś ty był waryacie, aż do tej pory! — wołał z największym gniewem.

— Jakto? Czyż ci nie wiadomo? Byłem, byłem na balu.

— Dzień się już za jaką godzinę zrobi! Przez twe guzdralstwo możemy wszyscy zginąć.

— Ale daj-że pokój! Nie zginiesz. Złego dyabeł tak znowu chętnie nie bierze! Kto idzie na wojnę, mój krwiożerczy rycerzu, musi mieć odwagę w każdym calu duszy i w każdej żyle. Chcesz, to pójdziemy w dzień. Cóż mi to szkodzi?

— Ubieraj się co tchu. Chwila najstosowniejsza, a tego niema!

— Dla mnie każda chwila nocy, czy tam dnia zarówno stosowna.

— Waćpan sobie fanfaronuj i baraszkuj, ale innym razem! — złościł się Kalwicki.

— Biada mi!

— Oficeram już napoił szampanem do zupełnej miary, leży mi w poczekalni, jak pień olszowy, konie czekają... Ech, jabym wasanu zadał, żebym tak był twoim ojcem!

— A no... Bóg strzegł.

— Jeśli za dwa pacierze nie wyjedziemy, to niema co zaczynać, ja nie jadę. I niech was dyabli!... Jestem stary człowiek, mam dzieci i wnuki.

Rafał kiwał głową. Od jednego zamachu zdzierał z siebie balowe szaty. Wszystkie, nim je odrzucił, to żabot, to rękawy fraka, przesuwał koło ust, chwytał wargami, wdychał zapach i całował. Po raz ostatni upajał się cielesną wonią dotknięć, która jeszcze nie uleciała, ciepłem rozkosznych oddechów, co jeszcze nie ostygło. Cisnął wreszcie wszystko w otwartą walizę, jak w grób, zatrzasnął wieko, i w kilka minut wdział swój obcisły rajtrok, do którego brakowało tylko obszlegów, żeby się stał artyleryjskim mundurem. Zatrzymał kartę papieru z darowanym pejzażem i schował ją według rozkazu. Wpakował za pas parę dubeltowych pistoletów, wsunął puginał. Był gotów. Wdziali swe krótkie kożuszki, czapki — i wyszli z cicha bocznemi schodami.

Muzyka wciąż jeszcze grała i pałac huczał od tańców, teraz dopiero na dobre rozbawiony.

Miało się już pod świtanie, ale noc jeszcze stała. Prószył lotny śnieżek. Mróz pod nogami skrzypiał.

Kalwicki znikł im z oczu, a za chwilę podjechał sam ku bocznemu wejściu saniami zaprzężonemi w parę koni, jak wcielone dyabły, szczękających podkowami po zmarzłym śniegu. Według umowy, Rafał siadł na koźle i ujął lejce. Krzysztof stanął w tyle sanek jako lokaj. Kalwicki wrócił do pałacu. Czekali chwilę. Konie na miejscu kuły nogami i prężyły się do biegu. Para z nich biła kłębami. Rafał widział ją w promykach światła, padającego ze szczelin w okiennicach.

Całe jego ciało jeszcze marzyło, a głowa wciąż leżała na obłokach, w niebie rozkoszy. Słodkie szepty snuły się bez końca po wargach i jako nici pajęcze

oplatały wzrok, słuch, dotykanie. Wargi jeszcze były przyduszone od pocałunków nawiecznych, a wszystka dusza przemieniła się w słupy dymów wonności.

Otwarły się drzwi. Kalwicki wyprowadził, a raczej wyniósł oficera ubranego już w futro. Dociągnął go w swych barach aż do sanek, usadowił w głównem siedzeniu, otulił mu nogi bardzo starannie i krzyknął:

— Ruszaj!

Rafał puścił konie. Polecieli w skok. Kalwicki krótkimi rozkazami wskazywał kierunek jazdy. Oficerek spity, jak bela, gadał wciąż do plenipotenta:

— *Bin doch ganz knall... Sacra! Wer bist du eigentlich?*

— Ależ tak... *ja wohl...* panie lejtenancie!

— *Sind Sie vielleicht Olowski's Freund?*

— *Freund?* A jakże! najzupełniejszy! Jedź tam ostro, te, guzdrała! Koniom po bacie!

Rafał zaciął konie.

— Niech się pan porucznik niczego nie lęka — wołał Kalwicki Niemcowi nad uchem — mamy niezłego furmana, a i lokaj jest jaki taki, choć safanduła. Dojedziemy z paradą.

— *Frau Olowski ist ja... Sind Sie vielleicht ein sogenannte Kalwicki? Frau Olowski ist aber schön...*

— O, to się wie!

Konie wpadły w opłotki, prowadzące do wsi i skokiem kopały się w głębokim śniegu. Mdły brzask począł się niecić na wschodzie. Wiatr nadranny ocknął się w polach.

— Co pary w koniach! — wołał Kalwicki głosem tak rozkazującym, że Rafał poddał się mu bez oporu.

Wpadli między stodoły, w ulicę wiejską. Najtęższym galopem lecieli czas jakiś utartą drogą. W pewnej chwili plenipotent kazał zawrócić na lewo, w wązki, wygrodzony wygon, wiodący w dół ku rzece. Sam stanął w saniach i poduszczał konie. Dom, zajęty na kwaterę oficera, stał znacznie dalej, we wsi. Gdzieś, u końca tej drogi, którą lecieli, paliło się ognisko, i zdala już widać było przy nim szyldwacha na koniu. Gdy się ku temu ogniowi sanie pędem zbliżać zaczęły, jeździec skierował ku nim swego konia i ostrym kłusem nadjeżdżał, krzycząc z całej siły:

— *Wer da! Wer da!*

Ujrzeli go tuż przed sobą, osędziałego i lśniącego od polerowanych rzemieni, od wyczyszczonej stali...

Kalwicki stanął w saniach i wołał głośno:

— *Herr Offizier! Herr Offizier!*

Odsłonił przytem kołnierz futra, pokazując kapelusz i twarz uśpionego oficera, który leciał mu przez ręce. Dragon stanął w strzemionach, schylił się i dobrze, szczegółowo, uważnie rzecz wybadał. Potem oddał swemu dowódcy honory wojskowe szablą, ale się z miejsca nie ruszał.

— Gdzie jest kwatera komendanta? — wrzeszczał Kalwicki straszliwą niemczyzną.

Dragon wskazał szablą kierunek i daleki dom.

— Prowadź nas! Komendant zasłabł. Wraca z balu. Wieziemy go do domu! Prowadź!

Dragon zawahał się, jeszcze raz obejrzał kapelusz oficerski, wreszcie trącił konia ostrogą, żeby wjechać w opłotki, czy dać znać do drugiego posterunku. Skoro tylko odwrócił się tyłem do sanek, Rafał i Krzysztof

zsunęli się ze swych miejsc i chyłkiem, wpół zgięci skoczyli za ognisko. Do wału rzecznego było kilka kroków. Minęli go jednym susem. Po drugiej stronie tego jazu rosły wikle. Całe to zbocze od strony rzeki pokryte było skorupą lodu, który wezbrana czasu powodzi rzeka wyniosła była i zostawiła na chaszczach. Pomiędzy tą skorupą a jazem umykali teraz, jak lisy, w dół rzeki. Świstali z cicha, wiadomym sposobem, według instrukcyi. Kiedy tak dopadli połowy odległości między jednem a drugiem ogniskiem, usłyszeli tuż za wałem tętent konia, lecącego w skok. Przycupnęli. Koń przeleciał.

— To z drugiego posterunku...— szepnął Rafał.— Leci na znak do tamtego.

Tuż pod nimi rozległ się trzykrotny świst jakby kulika. Rozsunęli rokity i ujrzeli w pobliżu pod rozłożystym pniem starej wierzby, której pień wisiał nad nurtem, łódeczkę. Chłop w kożuchu chwycił silnie każdego z nich za ręce i wciągnął do łodzi. Mruknął ze srogim gniewem:

— Późno! Dzień wylazł...

Kazał im przytulić się do dna, sam, siedząc w kucki na przodzie, pchnął łódź tak potężnym rzutem wioseł, że odrazu wypadła w wart. Tam jeszcze raz wmieśił wiosła w nurty. Jeszcze jeden całoramienny zamach wioseł, jeszcze jeden... Wtem na brzegu rzeki rozległ się krzyk z kilku stron. Stało się to w mgnieniu oka. Zbiegi tyle, że zdołali odwrócić głowy, kiedy im prosto w ślepie trzasnął błysk jeden, drugi, trzeci... Tuż koło nich przeciągle gwizdnęły kule.

Jedna z nich musnęła w wodę koło burtu łodzi.

Cicho i boleśnie jękła druga. Nieustraszony Ślązak-przewoźnik wstał teraz na nogi. Wiosła dźwiękły i zagrały w jego potężnych rękach. Ujrzeli przed sobą ogromną jego postać, od głowy do stóp zamkniętą w wielkim kożuchu. Łódź pomknęła w dół, ukośnie tnąc wart środka rzeki. Lecieli nad wyraz chyżo. Ale na opuszczonym brzegu rozległ się nowy grzmot kanonady i rozwalił ciszę nocy.

Przewodnik raptem siadł na nogi swoje w tem miejscu, gdzie stał, zakaszlał się straszliwem chrzypieniem. Wiosła wypadły mu z rąk. Przez chwilę w zdumionych oczach zbiegów kiwał się to w tył, to naprzód, charcząc i ciągnąc w piersi powietrze, aż runął na dziób łodzi, zwieszonemi rękawami kożucha trzepiąc i chlapiąc po wodzie. Silnie od początku pchnięta łódź przebiła wiry głębokiego koryta i leciała za wodą bez wioseł po drugiej już stronie wartu wodnego. Rafał wychylił się i złapał jedno wiosło. Leżący chłop zawalił całe miejsce. Nieporęcznie, wydzierając sobie wiosło, to docierali do skorupy lodowej tamtego brzegu, to odpadali od niej ku środkowi rzeki. Lodowisko tamtej strony sięgało daleko w wodę i broniło przystępu. Rafał w rozpaczy zwalił je wiosłem, ale tylko zadźwiękło, jak dzwon śmierci. Ciekli jeszcze w milczeniu i zgrozie, coraz szybciej, coraz szybciej... Wiry wlekły ich w środek rzeki... Wtem ujrzeli wyłom między lodami. Łódź spodem docierała mielizny, więc ze wszech sił, wpierając ocalone wiosło w ławice piasku podwodnego, dobijali. Już przedświt powlekał pędzącą wodę śniadą barwicą. Coraz wyraźniej było widać rzekę i przestworza. Na galicyjskim brzegu gromadził się

zastęp żołnierzy... Udało się Rafałowi werznąć łódź w piach i utwierdzić ją tyle, że mogli wyleźć w wodę. Kazał Krzysztofowi brnąć na brzeg, sam szarpnął barkę za łańcuch i wywlókł z wody na mieliznę, w ostoje międzylodowe. Kiedy byli w łozach tamtego brzegu, runęło kilkadziesiąt strzałów. Kule gwizdnęły, jak osy, trzaskały z ostrym brzękiem w lód i rozpryskiwały go na wsze strony. Dźwignęli co tchu chłopa. Obrócili go twarzą ku niebu. Oczom im przedstawił się widok brunatnej twarzy, z której rozwartych ust waliła się falą ciemna krew. Oczy już zaszklone bielmem śmierci patrzały w nich spojrzeniem tamtego świata. Ujrzawszy niewysłowioną mowę boleści w tej twarzy stężałej wśród życia, wśród siły, wśród potężnej pracy, Krzysztof zachwiał się na nogach. Kolana jego głęboko werznęły się w śnieg. Z załamanemi rękoma, z wyrazem rozpaczy bezdennej, stokroć mocniejszej, niż wówczas, gdy żegnał ojca, patrzał i patrzał w leżącego trupa. Znagła zatrząsł się cały i począł łkać, jak dziecko. Głowa jego padła do nóg zabitego, ręce kurczem objęły mokre, staplane buty. Począł w boleści skomleć i wyrzekać:

— To ja... To moja wina... To ja cię zamordowałem!... Dlatego, że mi się spodobało iść na wojnę, ty tu leżysz! Boże, Boże! Cóż ja teraz poczne? cóż ja teraz poczne, nieszczęsny! Boże wielkiego miłosierdzia!...

Wzniósł obłąkane, skostniałe oczy na Rafała i pytał go z ogłupiałem skamlaniem:

— Cóż teraz będzie? Zlituj się nade mną! Cóż ja teraz z nim poczne?...

— Wiesz co — rzekł Rafał, ściągając przemokłe buty — ty nadzwyczajnie nadajesz się do stanu żołnierskiego. Bardzoś sobie właściwy zawód obmyślił. Bardzo! Jeżeli nad każdym trupem wojny będziesz tak piękne wigilie śpiewał, to z ciebie będzie najtęższy oficer w armii... Przedstawią cię generałowi Napoleonowi, jako żołnierza nad żołnierze, do stosownej nagrody.

Krzysztof słuchał uważnie. Wytrzeszczonemi oczyma patrzał, jak Rafał drze swą koszulę i suchemi onuczkami przewija sobie nogi, jak znowu wdziewa buty...

— Cóż my poczniemy? — szeptał coraz ciszej...

— Przedewszystkiem ściągnij buty, udrzyj z koszuli płat i zawiń nogi.

Spełnił to wszystko, co prędzej, siedząc za jazem rzecznym, jakby w istocie taki był środek ratunku, o który się pytał. Gdy już byli obuci, Rafał kazał mu jeszcze bardziej wyciągnąć łódź na brzeg, sam okręcił łańcuch jej o pień wierzby. Wtedy zdjął czapkę, zwrócił się twarzą do trupa i przez sekundę modlił się cicho.

Dzień wstawał. Wyszli z zarośli nadbrzeżnych i wielkim krokiem wdarli się na wyniosłość pobrzeża. Ale skoro tylko ukazali się tam, znowu warcząc i bucząc, górą przeleciały kule i rozległ się huk wystrzałów. Rafał parsknął śmiechem. Krzysztof patrzał na niego bezsilnemi oczyma, do których spływały jeszcze łzy.

— Niemce! — wrzasnął Olbromski, nastawiwszy dłoni koło ust. — Austryaki! Gałgany! Strzelajże jeden z drugim, a celnie! Godzinę celuj, a traf przecie raz w życiu!... Na szubienicy tobyś wieszał, austryacki wojaku! Celuj! Niedołęgo!

Świsnęło dokoła ze sześć, ze siedm kul. Wleźli obadwaj na biały piaszczysty wzgórek. Tam Rafał rozkraczył nogi i wrzasnął:

— Niech żyje cesarz! Przyjadę ja tu do was psy kulawe!

Poszedł naprzód wielkimi kroki, gwiżdżąc całą gębą. W pewnej chwili zwrócił się do Krzysztofa:

— Wciąż jeszcze beczysz?

— Słuchaj-no, daj mi pokój...

— Jeżeli chcesz beczeć to idź sobie osobno, bo gotowi ludzie pomyśleć, że to ja cię za uszy ciągnę do wojska.

Krzysztof był już oddawna spokojny. Szedł takimi samymi krokami, jak jego mentor. W milczeniu przebyli płaszczyznę i zaczęli wstępować na wzgórki długim wałem wyznaczające dolinę Wisły.

— Krzyś, — rzekł szybko Rafał głosem wesołym — a wiesz ty, bratku, o tem, że my już byliśmy w bitwie! Słyszysz, gazda! Kule nam koło uszu gwizdały, jak najprawdziwszym żołnierzom. Słyszałeś, jak gwizdały?

— Słyszałem.

— Ale ty nie śpij, tylko odpowiadaj przytomnie.

— Mówiłem ci już raz, żebyś mię zostawił w spokoju.

— Dobrze, czuły Galicyaninie, zostawiam cię w spokoju. Gdzież u licha jest ta chałupa? Kalwicki tu nam kazał się zgłosić. Powiedział, że na wzgórzu... Chodźmy jeszcze wyżej.

Weszli na najwyższy wydmuch, ledwie teraz owiany szronem i śniegiem. Czarny, zmarzły piach ustępował

pod ich stopami... Rozejrzeli się wokoło. W dali, za Wisłą, w brunatnych zaroślach z błękitnawych mgieł świtu wyłaniał się pałac w Jazie. Dach jego z ciemnej dachówki przerzynał brutalną plamą jasny błękit nieba. Rafał zatrzymał się, znieruchomiał. Przyglądał się dalekiemu widokowi posępnem spojrzeniem. Gdy tam stał zastygły i oniemiały, widziało mu się, że żyje w chwili tak bardzo dawnej od jego życia, jakby w dzieciństwie. Alboż to, na co patrzą oczy, istnieje? Cóż to go zajmowało wczoraj, dziś w nocy? Uczuł w sobie brak, pustkę, loch ciemny. Czyliż naprawdę istnieje ten wyniosły dom? czy było w czasie szczęście, którego ten kształt widomy jest wyrazem? Różane zorze zabarwiały prześlicznie ów daleki niebieskawy spłacheć ziemi. Połyskiwała rzeka, szybko pędząca wśród brylantów lodu. Odwrócił się raptem od tego widoku i poszedł ku domostwu, które stało w pobliżu. Na wzgórzu nagiem sterczało to siedlisko rybackie, czy miejsce ucieczki dla powodzian. Do resztek dawnego muru karczmy, czy schroniska dla nędzy, zalanej wodą, przybudował teraźniejszy mieszkaniec lepiankę z wiciny i rzecznego mułu, z kawałów belek, szczątków desek, krokwi a łat odebranych wiślanym falom. Nad połową tego budowania wysoki i śpiczasty niegdyś dach zapadł się zgniłemi krokwiami i zwisał dziurawym łachmanem. Nizkie drzwi były obite słomianą plecionką, ściany ogacone mchem i nawozem. Okienko z jednej szybki, jak ciepłe usta dziecka, wychuchało sobie głęboką donicę w zaspie, która je przydęła. Dym wywalał się już z pomiędzy czarnych, oślizgłych gontów.

Zakołatali we drzwi pięściami. Nie zaraz otwarło

je babsko wyschłe, czarne, kudłate. Za niem pokazały się głowy dzieci o twarzach jakoby kobuzów i kukułek.

Rafał odchylił całe drzwi i mimo smrodliwej pary, która ich owiała, wszedł do środka. Rozejrzał się naokoło w mroku i dziko uśmiechnął. Wspomnienie Baśki i tamta noc...

— Wasz przewozi bez Wisłę? — zwrócił się do baby.

— Ja ta nie wiem, przewozi, czy nie przewozi...— odmruknęła niechętnie.

— No, nas przewiózł, więc wiadomo.

— Nie wiem, co i jak gadają. Mój jest rybak. Kto jego wie, czy przewozi? Teraz wojsko stoi i z gwerów bije. Ja o niczem nie wiem.

— No, my tu mieli do niego interes.

— To przyńdzie pod połednie, a ja nie wiem.

— Kazał wama powiedzieć, matka... — rzekł Rafał, licząc ponuro oczyma dzieci — że te... że przyńdzie dopiero na odwieczerz. Teraz nie przyńdzie. Rozumiecie?

— Czy ja niby rozumiem?

— No!... A co mu się od nas za przewóz należy i za to wino, co je to przemycał, to wam kazał dać w rękę. Nacie...

Wyjął z kieszeni garść pieniędzy, odliczył kilka dukatów i dał jej w rękę.

— Trzymaj to, babo, garścią, bo to nie koprowina, ino samo złoto! — krzyknął na nią.

Otrząsnął się i co prędzej miał ku drzwiom.

Ze dworu już wrócił po wyjaśnienie, gdzie tu najbliższa wieś, czy dwór, żeby można furmankę nająć.

Wtem ujrzał, że Krzysztof kozikiem pochwyconym ze stołu rozdziera brzeg swego rajtroka i wygarnia zaszyte złoto.

— Co robisz, waryacie, co robisz?! — syknął na niego. — Za cóż ty kupisz konia, mundur i najmiesz pocztowego?

Tamten nie odpowiedział ani słowa. Darł nożem podszewkę dookoła i co wymacał dukata, to wszystko, aż do ostatniej sztuki kładł na stole. Baba z rozdziawioną gębą przypatrywała się wszystkiemu, przekrzywiając obojętnie głowę, to na prawe, to na lewe ramię. Wreszcie, gdy Krzysztof wyrzucił z kieszeni wszystko, co miał, aż do sztyletu i krócicy, Rafał go chwycił za rękę.

— Pytam ci się, co masz zamiar czynić?

Krzysztof nie odpowiedział. Całe jego ciało wstrząsało się co chwila od wewnętrznego rozruchu, szczęki były zwarte, oczy przysłonione powiekami.

— Zbierz te pieniądze ze stołu i schowaj, słyszysz! — rozkazał Rafał szeptem. — Dasz jej pięć dukatów, i tak będzie bogata. Czy ty słyszysz, ja ci rozkazuję!

Szarpnął go za ramię. Ale z nienacka Krzysztof odtrącił go precz od siebie ruchem i giestem tak nieoczekiwanym, spojrzał takim wzrokiem, że Rafał uchylił się dość pokornie. Opuścili domostwo.

Szli w milczeniu po śniegu z wierzchu obmarzłym i przyprószonym ponownie — ku wsi, którą widać było w przestworze. Słońce wznosiło się nad lasami, nad garbatą i pogiętą ziemią i zwijało w rozdołach błękitnawe tabory nocy.

PO DRODZE.

Niepostrzeżeni przez nikogo dostali się jałowcowemi zaroślami aż do wioski. Wesołe jej dymy błękitnemi smugi przerzynały różową przestrzeń. Rafał wyprzedził towarzysza i wszedł do pierwszego z brzegu siedliska z zapytaniem: czyby nie można wynająć koni do Mysłowic? Kiedy Krzysztof nadszedł, już go przyjaźnie wołano do izby. Obszerne domostwo, otoczone z pola parkanem, a ode drogi zasłonione sadkiem rozrosłym, kąpało się w porannem słońcu. Drzewa były okryte śniegiem od korzenia aż do najwyższej gałązki i łudziły oko, że mają potrójną liczbę owych białych a splątanych konarów. Dom był murowany z cegły, pod gontem. Na kominie świetlicy trzaskał ogień i przez drzwi uchylone do sieni zdawał się wołać do środka. Tęgi rolnik naradzał się po cichu z Rafałem, stojąc w progach domowych.

— Do Mysłowic jednym ciągiem, bez noclegu?... Sztuk drogi! Nad samą polską granicą...

— Ech, jak konie dobre, niekutemi saneczkami przeleci, jak ta jaskółka! — nastawał Rafał.

— Moje fuchsy ta nie ostatnie, śtreka je, ale święto...

— Widzicie gospodarzu, świętowanie dobra rzecz, ale i zarobek coś znaczy.

— Jo, recht. A kieloż dadzą?

— Damy trzydzieści złotych.

— A tryngield dadzą?

— Damy.

— Jeśli wywalą nie papierkami, ino twardym pieniądzem, jeśli tryngield zaprzysięgną...

— Damy samymi niderlandzkimi talarami.

— No-no... Niechże wstąpią...

Weszli do obszernej świetlicy i powitali gospodynię, krzątającą się dokoła komina. Gospodarz był chłop młody, wesoły i kuty, widać, na cztery nogi. Z pod oka przyglądał się swym gościom, choć nie dopytywał się, co są za jedni, skąd i dokąd zdążają. Z malowanej szafy wydobył słodką gorzałkę w kolorowej karafce, chleb komiśny i piękny, masło, strucle świąteczne, ser śląski, a z komory wyniósł gąsiorek przemycanego wina. Pykał żywo z glinianej fajeczki, kłaniał się i zapraszał:

— Niechże też nie pogardzą, niechże przecie jedzą, jak za swoje pieniądze.

Rafał nie dał się prosić i tęgo zajadał. Krzysztof wypił kilka kieliszków wódki i w milczeniu żuł kawałeczek chleba z solą.

— Cóż wasze Niemcy dobrze wam się sprawiają? — rzucił Rafał zapytanie, gdy gospodarz wrócił ze stajni do stancyi, żeby się do drogi odziać.

— Niemcy? Nasze? E, jak to Niemcy...

— Teraz tu, podobno, u was chodzi, kto chce: są Niemcy, są Francuzy. Co kto lubi...

— Jo... trafiają się rozmaici... Co kto lubi. Śmiesznie to powiedzieli...

— A któż, u dyabła, teraz panuje nad tym waszym Śląskiem?

Gospodarz rozejrzał się chytrze, pyknął kilkakroć ze swej fajeczki i rzekł wesoło:

— Kto ich wie. Panuje kto chce, a tak sprawnie, jakby żadnego nie było.

— O bitwie jakiej nie słychać?

— Co niema być słychać? Gonią się z miejsca na miejsce.

— Któż kogo?

— Trudno wiedzieć. Ale tak cości miarkujem, że nasz Niemiec po wsiach nierad siedzi. Woli w mieście. A już najprędzej ku takiemu ślusuje, gdzie garnizon i festung.

— Patrzajcież!

— Byłem ta wczoraj w kościele, w Tarnowskich Górach. Wyszlimy po sumie, słyszymy a tu tumult, za miastem strzelają, aże szyby w kościele dzwoniły. Kto? co? A no lecą ludzie i gadają, że z Polski ślachta bije się z królewskiemi.

— No i cóż?

— Polecieli ludzie w Krakowską, w Lubliniecką, w Gliwicką ulicę patrzeć, ale już mało co było widać. Wyparły się wojska w pola jedne za drugiemi. Ino się za nimi po zagonach dym wlókł aże po rzekę, po Małápanew. Powiadał ta nad wieczorem jeden mieszczan, że podobno Polaków Prusaki pobiły, a zaraz potem same uciekły.

— Takie bitwy to aż miło!

— Che-che! a bo i pewnie.

Wprędce zaprzężono zwięzłe kasztanki do niekutych, lekkich sanek, wysłano siedzenie kilimkiem, i obadwaj przyjaciele ocknęli się w polu. Woźnica zacinał szkapki i galopem prawie dopadł lasu. Dopiero gdy wjechali w dobrą gęstwinę, zwolnił nieco i, odwracając się bokiem, rzekł:

— Tak mi się widzi, że pewno wolą nie spotykać się z Prusakami...

— E, nam wszystko jedno... — rzekł Rafał obłudnie — ale zawsze lepiej się nie spotykać.

— A no i ja ta nierad ich widzę. Pojedziemy lasami.

— A czyje to lasy?

— Furt grafskie lasy.

Wązka drożynka, zasypana sypkim śniegiem, którego nie tknęło jeszcze kopyto ani sanica, przeciskała się wciąż lasem zwartym. Jechali już kilka godzin, i miało się dobrze pod południe, kiedy woźnica rzekł, jako niezadługo ujrzą trakt z Tarnowic do Siewierza, idący na Niezdarę, a przy tym trakcie będzie austerya, gdzie wartoby koniom wytchnąć, a samym się posilić. Jakoż las począł rzednąć, i ukazała się murowanka. Ślązak ostrożnie, jak lis, okrążył zajazd lasem, a nim podjechał, wyjrzał na trakt i długo zapuszczał bystre oczy w jedną i drugą stronę. Przed karczmą nie było nikogo, na drodze również. Wróble stadem rozgrzebywały siano i resztki obroku przed wrotami zajazdu. Nie wypuszczając z ręki bata, woźnica wszedł w progi karczmy i zlustrował jej wnętrze. Wówczas

dopiero podjechał, gdy się uspokoił zupełnie. Kiedy podróżnicy weszli do szynkowni, za ladą jej, w otoczeniu antałów i beczek, ujrzeli tylko pejsatego Żydka, tak dalece pogrążonego w medytacye, że ledwie ich dojrzał. Jednak marzące jego oczy z niechęcią i odrazą niejako zatrzymywać się poczęły na figurach młodych mężczyzn, na ich twarzy, odzieniu... Zażądali gorzałki. Przyniósł usłużnie i, milcząc, podawał, co kazali. Spożyli po kawałku chleba z serem i mięsiwem z zapasów woźnicy. Cedro był gniewny i oburkliwy. Na troskliwe pytania Rafała odpowiadał, że jest niezdrów. Teraz, po wypiciu kilku nowych kieliszków wódki, zwiesił głowę na ręce, oparł się całem ciałem na stole i drzemał, czy udawał, że śpi. Olbromski wyciągnął się na długiej ławie pod ścianą i bezmyślnie ślepiał w powałę izby. Żydek powolnym, melancholijnym krokiem, nie chcąc, widocznie, przeszkadzać panom obecnością swoją, wyniósł się z za szynkwasu. Po chwili jeszcze ciszej wrócił. Konie wprowadzone pod dach, do stajni, która stanowiła jakoby przedsionek oberży, parskając chrupały obrok.

Dość już długo trwał ten cichy wypoczynek, gdy wtem dał się słyszeć łoskot od gwałtownego zatrzaśnięcia obudwu wrótni stajennych. W tej chwili furman blady śmiertelnie rozwarł drzwi do stancyi i rzucił wyraz:

— Jogry!

Rafał zerwał się na równe nogi i chwilę stał w bezczynności, nie wiedząc, co przedsięwziąć. Ślązak huknął nań, jak na sługę:

— Drzwi tarasować!

Rzucili się obadwaj do stajni i zarówno wierzeje bramy wjazdowej, jak furtkę boczną jęli podpierać znalezionymi kołami, drągami, drabiną, żłobem, półkoszkiem wozu, co jeno było pod ręką. Na dworze słyszeć się dał wesoły gwar, szczęk broni i łoskot końskich podków po grudzie. Wnet pchnięto drzwi. Rozległo się kołatanie, krzyk, rozkazy. Woźnica skoczył do izby i szukał Żyda. Karczmarz siedział spokojnie w cieniu beczek. Oczy jego świeciły się, jak kocie.

— Masz broń?

— Ja... broń?

— Dawaj, co masz, naboje żywo!

— Skąd ja mam mieć naboje?

Chłop, nie mieszkając, chwycił go za gardziel i trząsnął raz, drugi, trzeci. Izraelita, skoro złapał nieco powietrza, wskazał oczyma dyl w kącie. Podnieśli tę deskę z trudem i wydobyli nabitą fuzyę, oraz jakąś zardzewiałą karabelę. Gdy się to działo, już we drzwi karczemne łomotano szablami i bito sposobem szturmowym. W zamarzłe okno huknęła pięść Prusaka i wybiła szyby. Kłąb białej pary buchnął na dwór. Duża łapa w rękawicy wsunęła się przez wybity otwór i ujmowała właśnie ramę okienną, kiedy zaczajony Ślązak ciął z całej siły w rękaw wyrwanem szabliskiem. Krzyk i zgiełk wszczął się na dworze. W otwór wsunęło się kilka naraz luf i razem w różnych kierunkach huknęły słupy dymu. Olbromski wetknął Krzysztofowi, który wciąż osowiały i bezczynny siedział na swem miejscu, krócicę w prawą rękę, szablę w drugą — i postawił go z boku, pod oknem. Chłopu z kobylicą, wyrwaną ze stępy, kazał pilnować drzwi, a sam chwycił

Żyda za łeb i powlókł go ze sobą, krzycząc, żeby wskazywał, gdzie jest wejście na strych.

W mgnieniu oka wtargnął po szczeblach drabiny na górę, stanął we drzwiach wystawy, przez którą podawano słomę na poddasze stajni. Uchylił owe zwieszone drzwi i przypatrzył się. Zliczył oczyma zielonych jegrów. Było ich siedmiu ze straży nadgranicznej. Trzech siedziało jeszcze na koniach, a czterej walili w bramę i podchodzili do okna murowanki. Kiedy Rafał wyjrzał, wszyscy trzej z konia opatrywali rękę kolegi. Trwało to chwilę, bo oto zdjęli z pleców karabiny, podsypali prochu na panewki i mieli razem huknąć ponownie w wywalone okno. Złożyli się. Rafał zmierzył w kupę i wypalił. Razem huknęły strzały i poszły w las, jak łoskot piorunowy. Jeden z żołnierzy padł na ziemię. Trzej siedzący jeszcze na koniach, skoczyli ku niemu. Inni rzucili się z pałaszami do okna. Rafał znowu zmierzył w kupę i strzelił. Nowy jęk. Rzucili się mężnie w otwór okienny. Tam Cedro, ujrzawszy ich przed sobą, palnął z krócicy wprost, o krok. Rafał, spełniwszy swoje na górze, leciał ku niemu na pomoc. Wlókł Żyda za pejsy, żeby go nie zdradził. Teraz we trzech przypadli do okna. Ślązak huknął w otwór swą kobylicą i zwalił dwu jegrów aż na środek drogi. Cedro niespodziewanie skoczył w to wywalone okno i połową ciała był nazewnątrz, gdy go chwycił Olbromski z krzykiem:

— Co robisz?

— Puszczaj! Chcę zginąć, do wszystkich dyabłów!

Szarpnął się naprzód i bezużytecznie wypalił w tłum żołnierzy ostatni strzał, jaki mieli. Rafał i przewodnik siłą wywlekli go z okna na środek szynkowni. Żyd pod groźbą śmierci nabijał strzelbę, gdy Rafał stał zaczajony pod oknem z pałaszem w ręku, a Ślązak rychtował do ciosu swój taran.

Na dworze zaległa cisza. Kiedy chyłkiem wyjrzeli przez szczelinę we drzwiach, zobaczyli z pociechą, że jegry siadają na koń i że wciągają na siodła rannych, czy trupów. Nim odjechali, nabili jeszcze broń i z konia dali pięć strzałów w karczmę, celując w okna, we drzwi i wrota. Potem w skok pomknęli w kierunku Tarnowic. Idąc za radą Ślązaka, Rafał z Cedrą wymknęli się z karczmy na piechotę, skoro tylko konie założono do sanek.

Brnęli zrazu śniegami, unikając gościńca, w obawie spotkania z nowym oddziałem patrolującym. Ale drogi tu nie były woźnicy znane. Wkrótce tedy wypadli na trakt i, pilnie patrząc naprzód i poza siebie, pomknęli co koń wyskoczy. Drzewa leśne tylko migały im się w oczach. Chłop wtulił czapkę na uszy i pogwizdywał a gnał. W pewnej chwili rzekł wesoło:

— Rychtyg my taką bitwę zwojowali, jak te pod Tarnowskiemi Górami. Prusaków my pobili, a teraz sami w nogi co pary w szkapach!

— Dobra i taka, bracie! Bóg ci zapłać. Gdyby nie ty, zgniliby my w lochach, abo na szubienicy krukom na żer służyli.

— No-no... Żeby mię ino ten Żyd nie wydał, nicby ta nie było frymuśnego.

— A jakże wrócisz bracie?

— Wrócić wrócę lasami. Ino ten Żydak... Oczy ma pogan psie, paskudne — uch! Trza go będzie poprosić, żeby nie szczekał...

— Poprosisz go?

— Już jak ja go poproszę, to nie piśnie.

— A no, rób ta jak chcesz... — mruknął Rafał niechętnie.

Krzysztof podobnie jak na początku dnia, był wciąż niemy i odrętwiały. Widać wskutek wypitej w oberży gorzałki drzemał na saniach i kiwał się w prawo i w lewo. Przez sen ciągle coś mamrotał i otrząsał się niespokojnie. Gdy otwierał oczy, wodził niemi ze zdumieniem po lesie, i twarz jego miała wyraz przykrego uszczęśliwienia, dziecięcej prawie uciechy.

Nad samym już wieczorem przypadli do Mysłowic. Tam już było bezpiecznie, gdyż w miasteczku i w majątku hrabiego Mieroszewskiego stał oddział szaserów francuskich.

Zaraz przy wjeździe ujrzeli żołnierzy w zielonych mundurach, w szerokich, jak sto dyabłów bermycach, z czerwonymi nochalami i z wąsem co się zowie. Krzysztof, mówiący po francusku bez porównania lepiej od Rafała, stał się teraz pierwszą osobą. Ślązak, zapłacony grubo i sowiciej niż się umówił, pożegnany po bratersku, wesoło ruszył przed siebie i znikł w zaułku. Wędrowcy poszli do dworu, gdzie mieszkał komendant placu. Ów komendant, pijanica, widać, i awanturnik, zrazu począł obudwu badać sierdziście, z niedowierzaniem, ale wkrótce złagodniał. Nietylko, że dał im kartę drożną na Siewierz do Częstochowy, ale nawet z własnej ochoty wyjednał stancyjkę we dworze na nocleg dla ochotników.

Przed zachodem słońca wyszli obadwaj dla przyj rzenia się okolicy. Stojąc na wzgórzu, widzieli przed sobą za rzeczką Przemszą rozległe niziny leśne, które przedziela fala wzgórz, ginących w siwem oddaleniu. Słońce już gasło, a poziome jego rzuty złotem i czerwienią oblewały całą tę daleką, jałowcową niwę. Obadwaj młodzieńcy zadumali się, patrząc w ten kraj, pierwszy raz widziany, który mieli teraz przemierzyć krwawymi krokami. Głuche, zagmatwane przeczucia grały w każdym z nich, niby ułudny głos muszli, na który darmo ucho nastawiać...

O zmierzchu zwiedzili kuźnice niemieckie, założone niedawno, i cichaczem wrócili do swej stancyjki.

Nazajutrz, skoro świt, puścili się najętą furmanką w drogę do Siewierza. Przybywszy do tego miasteczka, według zlecenia komendanta placu w Mysłowicach, poczęli dopytywać się o mieszkanie komendanta placu miasta Siewierza, kapitana Jarzymskiego. Nazwisko nie było Rafałowi obce. Tajona nadzieja mówiła mu, że spotka w komendancie kolegę z liceum. W lokalu tego dygnitarza dowiedzieli się, że kapitana można widzieć dopiero o jakiejś godzinie południowej, gdyż obecnie pogrążony jest we śnie. Radzi nieradzi poszli w miasto. Zwiedzili stary zamek biskupów krakowskich, sypiący się w gruzy... W pobliżu ruin usłyszeli zgiełk wojskowy i, wdrapawszy się na pewną wysokość, spostrzegli jazdę, odbywającą ćwiczenia. Pobiegli tam co tchu. Krzysztof teraz się dopiero ożywił. Była to chorągiew pospolitego ruszenia z porucznikiem na czele, nie cała, bo tylko z pocztowych złożona. Pięćdziesięciu parobków siedziało na niezłych szkapach. Mieli na sobie gra-

natowe kurtki i takież rajtuzy z czerwonymi kantami, barwy województwa krakowskiego, czapki czarnem suknem obszyte, a przy nich kitki włosiane na kilka cali wysokie. Niektórzy rajtuzy mieli szarego koloru, a kilku, miasto mundurów, było odzianych w zgrzebne lejbiki z rękawami. Jedni byli uzbrojeni w pałasze, pistolety, karabinki i ładownice, a inni, których w osobnym glicie musztrowano, tylko w piki drewniane, sześciołokciowe, z dzidami i żeleźcami na końcu. Nie było to wojsko efektowne, niezgrabnie jeszcze sprawiał się jego szyk na błoniu, ale widzowie drżeli na jego widok. Sękate garście twardo dzierżyły drzewca pik i z ogniem machały szablicami najrozmaitszej miary i pochodzenia.

Zbliżało się południe. Ochotnicy przypomnieli sobie o terminie wizyty u komendanta placu i poszli ku miastu. Dość długo musieli czekać na ganku, potem wpuszczeni zostali do pierwszej stancyi i tu znowu czekali blizko godzinę. Nareszcie posługujący wiarus dał im znać, że pan kapitan pije już kawę i że za chwilę nadejdzie. Drzwi się wreszcie otwarły i poważnie wyszedł w mundurze z błyszczącymi bulionami, a z miną srogą — Jarzymski.

Ujrzawszy przed sobą tak dawno niewidzianego a tak zmienionego kolegę, Rafał nie mógł słowa przemówić i nie wiedział, jakie teraz obrać dla siebie stanowisko. Jarzymski, widać, to samo odczuwał, gdyż nie odrazu głos zabrał. Jakoś jednak owładnął sobą i, zbliżywszy się do Krzysztofa ze zmarszczonem czołem, zapytał:

— Nazwisko waćpana?

— Cedro.

— A twoje Olbromski, to wiem. Znamy się przecie ze szkół. Czegoż to waćpanowie życzycie sobie odemnie?

Podali mu swoje marszruty i wyjaśnili z uszanowaniem, że udają się do Częstochowy dla zaciągnięcia się do wojska. Kapitan przygładził wąsika i słuchał z uśmiechem, patrząc niekiedy na kolegę z pod oka. Gdy mu już wszystko wytłómaczyli, chwilę dumał i rzekł wreszcie:

— Czemuż to koniecznie do Częstochowy?

— Tak nam poradzono.

— Tak poradzono... Ha! Bo moglibyście i tutaj przecie znaleźć miejsce. Wszyscy przecie ruszymy pod Łowicz. Mamy tu dosyć tego, jak je Cesarz Jegomość nazywa »la pospolité«. Sprawnie się to dosyć szykuje.

— My pragnęlibyśmy dostać się do artyleryi — wtrącił Cedro.

— Do artyleryi, a! to co innego. Uprzedzam jednak, że takie żywiąc zamiary, trzeba mieć pieniądze. Na żołnierskie umundurowanie, i to najprostsze, trzeba mieć 73 złote, nie licząc bielizny i rekwizytów. Cóż dopiero oficerskie!

— Przyjaciel mój jest człowiekiem zamożnym — rzekł Rafał.

— A jeśli tak, to co innego. Przepraszam, nie wiedziałem. Zaraz waćpanom każę wydać karty drożne. Owszem, w Częstochowie jest sześciuset naszych, którzy ją w posesyę wzięli i garnizon składają. W gruncie rzeczy jednak tobie, Olbromski, radziłbym tutaj zostać. Byłbym w tem, żebyś miał stopień oficerski odrazu i awans zapewniony. A i waćpanu także. Mamy

tu młodzieży tęgiej, dostatniej, kupę... Patrzcie, koledzy, na mnie! Miesiąc trwa ruchawka, a ja już jestem kapitanem i komendantem placu.

— Tak... To bardzo szczęśliwie...

— Rozumie się, że szczęśliwie. Mam tu krewnych, moja to jest okolica, wobec czego...

— Ułatwiono ci... — mruknął Olbromski.

— *A vrai dire*... — tłómaczył się Jarzymski z miną skupioną i poważną — właściwie, mój drogi, czego kto silnie pragnie, to osiąga napewno, dołożywszy starania. Otoczeniu mogłoby się wydawać, że ja po prostu sam się mianowałem, ale tak nie jest, bo mianował mię Męciński, rotmistrz, dowódca pospolitego ruszenia tej części województwa krakowskiego. Czas jest gorący, nagły. Kraj potrzebuje ludzi, a tu brak zupełny. Trzeba było pychę z serca złożyć, porzucić miękkie szaty, iść na służbę, przyłożyć ręki...

— Co do mnie... nie wiem, jak tam Rafał... — rzekł raptem Cedro, cały czerwony i ze spuszczonemi oczyma — ja... postanowiłem dosługiwać się stopni od najprostszego kanoniera.

— A!

— Nic nie umiem, więc jakżebym mógł być oficerem? Nawet nie mówię o wyższych stopniach...

— A chyba, że waćpan nic nie umiesz... — odpalił z miejsca Jarzymski — to co innego. Ja sądziłem... Jeżeli się nic nie umie, ha! w takim razie trudno rzeczywiście zaczynać od czego innego, tylko od najprostszego kanoniera.

— Tak. Ja postanowiłem, że będę słuchał rozkazu — i basta.

— Bardzo dobrze... — rzekł Jarzymski.

Rafała uśmiech ogarniał, ale i złość na Krzysztofa buzowała w nim, jak ogień. Niemiłe uczucia wzbudziło w nim to spotkanie. Coś trupiego wyłaziło, jak z pod ziemi...

— To jednak musi być ogromna satysfakcya tak szybko wykierować się na dygnitarza... — rzekł, patrząc Jarzymskiemu prosto w oczy.

— Ja sądzę. Oczywiście mówiło się to *figurément*... samemu! — odparł kapitan nie stropiony wcale i nadymając się jeszcze bardziej. Każde sto koni wybiera trzech oficerów, jak za Rzeczypospolitej. Między oficerami ktoś przecie musi być starszy, ktoś młodszy...

Otrząsnął się, wyprostował po wojskowemu i, patrząc na nich bestyjskiemi oczyma, z dobrotliwym i wyrozumiałym uśmiechem ciągnął:

— Owszem, owszem, jest to bardzo zacna myśl dosługiwać się wyższych stopni od prostego kanoniera. Pochwalam tę myśl... A nawet będę was miał w pamięci, szlachetni młodzieńcy! Potrzebujemy, ale to potrzebujemy gwałtownie, ludzi z charakterem, ludzi oddanych, którzyby szli do szeregu nie dla karyery, nie dla pięknej szlufy i brzmiącego tytułu, lecz dla służby! Przecie to i książę Józef, niegdy wódz naczelny, stanął potem do apelu, jako szeregowiec... Są to rzeczy znane... Bardzo to chlubnie świadczy o szlachetności uczuciów waszych! Bardzo!

Było mu jednak trochę nieswojo, gdy obadwaj wyprostowani, z oczyma wlepionemi w jego oczy, milczeli. Zmienił tedy nieco ton i rzekł:

— Żałuję, że w tej żołnierskiej kryjówce nie mam

nawet czem kolegów poczęstować. Ale wiecie co... Jest tu resursa Greka, Pescarego, raczcie się tam udać na przekąskę. Rafał, ty po starej znajomości, a waćpan przez sentyment dla spólnego przyjaciela.

Dawna przeciw woli przyjaźń, zastarzałym nałogiem leżąca w duszy, ocknęła się w pamięci Rafała. Ileż to lat zbiegło od ławy w Collegium, od pohulanek w Warszawie! Z prośbą o zgodę w oczach spojrzał na Cedrę i rzekł:

— A no, dobrze, owszem... O ile ty, kapitanie...

— No-no, przecie nie będziemy się tytułowali za każdym wyrazem, my, stare urwisy warszawskie... — szepnął mu do ucha. — Skądżeś się ty tu wziął, u dyaska? Psujesz mi szyki, rujnujesz powagę...

— To też jadę, jadę!

— Przystań, mówię ci, na porucznika. Dam ci pięćdziesięciu drabów i będziesz ich ganiał po błoniu. Znajdę takiego, co ci odstąpi swej rangi, a nawet konia i munduru, za niewielki grosz. Tak tedy... — ciągnął głośno, bądźcie łaskawi, koledzy, iść tam za przewodem mojego famulusa, a ja zaraz nadejdę.

Z cukierni, ledwo drzwi uchylili, buchnęło na nich duszne powietrze i gwar. W ciasnych stancyjkach chmurą wisiał dym, a wszystkie miejsca były zajęte. W głębi, w ciemnej izbie, kule bilardowe szczękały, głośne rozmowy i śpiewy towarzyszyły naokół grze w domino, w warcaby i kostkę. Przybyszom zrobiło się nieswojo. Znaleźli się wśród samych oficerów. Wszyscy mieli na sobie mundury prosto z igły, a galony wprost od szmuklerza. Kurtki mieli granatowe z wyłogami w barwach wojewódzkich, rajtuzy z wypustkami i białe

kolety, Czapki tegoż koloru z czarnym barankiem i białemi piórami. Sami to byli porucznicy, chorążowie i namiestnicy, młodzież zamaszysta, tęga, buńczuczna, zdrowa, wszystka, widać, z niedalekich okolic, gdyż mówili do siebie po imieniu, albo po przezwisku. Szukając w tłumie jakiegoś osobnego stoliczka, Rafał i Krzysztof znaleźli się w kącie wobec dwu młodych ludzi zranionych. Jeden z nich wspierał się na kuli świeżo wystruganej i miał głowę przewiązaną bandażem, drugi trzymał rękę na chustce. Obadwaj siedzieli w zapomnieniu i nic nawet nie mieli przed sobą do jedzenia ani picia. Cedro wśród swoich nieśmiałych ukłonów zapytał ich, czy nie mógłby się z przyjacielem przysiąść do tego stolika. Ranni dość niezgrabnie przystali. Wnet się zawiązała rozmowa. Byli to, jak się po prezentacyi wzajemnej okazało, dwaj sąsiedzi, synowie szlachty uboższej, dzierżawami siedzącej na małych folwarkach w okolicy Kurzelowa, w Galicyi ówczesnej, za Pilicą rzeką. Po rozesłaniu wici przez wojewodę Radzymińskiego, zasięgnąwszy języka, odrazu siedli na koń i przybyli w miejsce wskazane.

— My ludzie nie bogaci — mówił starszy — konie nasze dobre, ale bez rasy. Mamy to, co kazali: koń, powiadają, dobry, mocny — no jest; munsztuk, powiadają, grzebielec, szczotka, dera — no jest, jak się patrzy. Ale to nie oficerskie, tylko jak na żołnierzy. My ludzie nie tutejsi, obcy. Jak życie nasze, my za Pilicą nie byli. Za obszarem naszej włoszczowskiej, czy kurzelowskiej parafii, my koligacyów nie mamy. Przybyli my tutaj, miejsca już pozajmowane; co miejsce oficerskie, żeby choć tego namiestnika, to już szczelnie ob-

sadzone. No, cóż my? Wpisali my się do chorągwi na proste rycerstwo. Wydali my resztkę grosza na mundury swoje i na pocztowych i teraz te... czekamy, co dalej będzie. Dziesięciu nas w chorągwi rycerstwa, a pięćdziesięciu pocztowych.

— Toście waćpanowie z Galicyi tak samo, jak my!

— A no! My z pod samego Kurzelowa. Historye my mieli z tą naszą wyprawą. Bo to my wyjechali niby na jarmark do Secemina gościńcem szczekocińskim. Dopiero z drogi buchnęli my w lasy chrząstowskie i precz już samymi lasami aż pod Koniecpol. Dopieroż jednego razu wyjeżdżamy z lasu: rzeka okropna przed nami! Pilica! Czekaliśmy w lesie nocy i po ciemku w tę rzekę łomot na koniach. Tak to my uśli za granicę. To potem światami, Bóg wie gdzie, na Lelów, na Irządze, na Mrzygłód przerznęliśmy się do tego Siewierza.

— Aleście, koledzy, już, widzę, w potrzebie byli!

— A no, nie chwalący się, już my trochę łomotali Niemiaszków.

— Jakże to było?

— A no stoimy tu już ze dwa tygodnie w tym Siewierzu i musztrujemy się na błoniu. Raptem przyszła wiadomość do tych panów dowódców (tu wskazał nieznacznie głową na hałasującą kompanię), że jeden batalion Prusaków został wykomenderowany z Wrocławia dla wzmocnienia załogi w Koźlu. Odrazu zabrali nas około stu człowieka wraz z pocztowymi i pośli my na Niemców nocą. Zabrnęli my lasem aż pod Tarnowskie Góry. Rzeczywiście śli forsownym marszem.

W ciasnem miejscu, pod samem miasteczkiem,

Tarnowskie Góry, skoczyli my na nich z ukrycia. Piki' szable, sztucery, co kto miał — wszystko w kupę — i bij, zabij! Nawetem sam skrobnął z konia piechura szabliskiem, że aż nogi zadarł. Ale gdzież to! Komendant ich, jak tylko zobaczył, że nas tyla ruchawki, jakże ci nie wrzaśnie na nich po swojemu! A to, widać, tresowane, jak pudle... Odrazu sformowali w szczerem polu czworobok — i ani weź! Jakże hycle nie wyrzną do nas! A niechże to wszyscy dyabli! Cóż za szelmowski ból, jak rypnie w rękę! Ale i nas złość wzięła. Będziecie tu do nas, jak do zajęcy na stanowisku... O, pludry! Nie chwalący się, jak skoczymy naprzód z kupą rycerstwa, a choćby ot i z Pawełkiem, sąsiadem, Kuleszyńskim! Jak zaczniemy łupać we łby! I nie my jedni. Kto miał konia tęższego, a mógł go spiąć ostrogami, rzucić się w szereg, abo, czy ja wiem, był odważniejszy, czy co, to spłatał Niemców dowoli, no i dostał za swoje. Czternastu ich ta leży po mieszczanach, we dworach i tu w Siewierzu. Ośmiu na zagonach zostało. My jeszcze, dziękować Bogu nie najgorzej na tej aferze wyśli. A kto miał konia ścigłego i nie czekał, to jakoś wyszedł na cało...

To mówiąc, powtórnie wskazał oczyma dowódców.

Tymczasem drzwi się otwarły i z miną marsową, tęgą i w miarę wyniosłą wkroczył Jarzymski. Odrazu go otoczono zwartem kołem. Krzyk się wzmógł. Jeden z oficerów, mocno już cięty, aczkolwiek nie od pałasza, wychodził z izby sąsiedniej, wołając:

— Kapitanie komendancie, obowiązkiem to jest twoim, żebyś się nam wystarał o drugi bilard — czy to nie skandal?

— Bilardu nie mam, — z powagą odpowiedział Jarzymski — ale zato mam radę dla tych, którym się chce grać, a nie mają na czem. Niech zdejmą mundury, odepną pióra, obszyją sobie czapki suknem zamiast baranka i zapiszą się u drugiego porucznika na szeregowych. Przynajmniej nie będą mieli prawa pchać się do resursy i zabierać miejsca.

— Racya! — zawołał ktoś z tłumu: — braknie właśnie poczty do obrządzenia koni tylu wodzów.

— To też zacznij awans od siebie i idź obrządzić mojego wałacha... — odciął się tamten.

— Czemu nie, jeśli o to chodzi, żeby pokazać, jaki z ciebie hołysz, skoro cię nie stać nawet na najem parobka?

— Cicho, cicho, wodzowie!... — uspokajał Jarzymski. — Niema o co! Teraz żołnierze doprawdy lepiej się odznaczają, niż dowódcy. Wspomnijcie sobie tylko Wosińskiego i Częstochowę.

— Ba! nie zawsze się ma do czynienia z Niemcem tak tchórzliwym, jak ten komendant Częstochowy. Wspomnijcie sobie tylko Tarnowskie Góry!

— Cha-cha, ma racyę! To prawda — wołano naokół.

— Słuchajcie — rzekł Jarzymski, uroczyście podnosząc rękę. — Mam nowe wieści. Ale naprzód... Daj-no mi, Pescary, kieliszek. Chcę wypić zdrowie starego Wosińskiego.

— Niech żyje! — huknął cały tłum.

— Takich nam!

— Bić Niemca!

— No, jak w tym wypadku, to chyba sztuką

w pole wywodzić, bo co do bicia... — przekrzyczał innych pierwszy mówca.

— W pole wywodzić, filozof! Bić Niemca i kwita! Na kwaśne jabłko pludrów!

— Zaraz, nie koniec jeszcze — mówił zwolna Jarzymski, nalewając sobie nowy kieliszek. — Chcę wychylić ten drugi kielich za zdrowie Trembeckiego.

— Niech żyje!

Wyjął z kieszeni papier i napoły czytając, napoły mówiąc z pamięci, głosił:

— Komunikuje mi imci pan Męciński, rotmistrz-dowódca pospolitego ruszenia w tej części województwa Krakowskiego, że oddział stu szlachty pod sprawą imci pana Trembeckiego...

— Nasz oddział.

— Że mówię hufiec, do którego niektórzy z waszmościów panów mieli honor należeć w potyczce pod Tarnowskiemi Górami, wziął grafa Henkla, landrata z Tarnowic, w zakład za panów Mieroszewskiego i Siemieńskiego i odprowadził go do twierdzy częstochowskiej. Między papierami tego landrata znaleziono odezwę do Ślązaków, wydaną przez grafa Götza, fligel-adjutanta królewsko-pruskiego, do łączenia się z wojskiem pruskiem i dostarczania koni, oraz żywności. Ale co najważniejsza, to to, że imci pan Trembecki zabrał po drodze 118 koni, przeznaczonych dla jazdy pruskiej, a co już najmilsza dla ucha, to to, że wziął kasę królewską.

— To chwacko, to wyśmienicie! Niech żyje Trembecki!

— Ten trzeci toast — mówił zwolna Jarzym-

ski — chcę wypić prze zdrowie dwu młodzieńców z Galicyi...

— Młodzieńców? Co za ckliwe gdakanie...

— Gdzie? kto z Galicyi?

— Panów Cedry i Olbromskiego...

Krzysztof, czerwony, jak burak, wstał ze swego krzesła. Rafał poszedł za jego przykładem.

— Koledzy! — mówił komendant — ci młodzieńcy przekradają się do naszych szeregów przez Wisłę! Ci młodzieńcy nie żałują swoich ognisk domowych, narażają życie, pragnąc dotrzeć do Częstochowy, ażeby wstąpić w szeregi artylerzystów! Ci młodzieńcy odrzucają moją propozycyę ce do karyery w naszych szeregach i postanawiają... słuchajcie, słuchajcie!... dosługiwać się stopni oficerskich od prostego kanoniera! Wnoszę ich zdrowie!

— *Vivant!* — huknęła kompania.

Nastała chwila ciszy. Krzysztof podniósł głowę i rzekł śmiało:

— Nie dziwcie się, waćpanowie, że jesteśmy zmieszani. Ten toast zastał nas nieprzygotowanych. Jesteśmy w drodze do naszego celu — oto i wszystko. Dziękuję w imieniu swojem i towarzysza za życzliwość dla nas. Wywdzięczając się, chciałbym i ja wnieść zdrowie, a raczej... Już tedy wolne jest od niecnego wroga z prawieków, od pruskiego zdrajcy, nasze Pomorskie województwo, Malborskie i Inowrocławskie, Gnieźnieńskie i Poznańskie, Kaliskie i Sieradzkie, ziemia Wieluńska, Rawska i Łęczycka. Wnoszę ten toast na cześć naszej prastarej macierzy Małopolski. Na cześć i zdrowie...

— Patrzajcie-no! Tęgi chłop...

— Macierzy Małopolski!...

— Dobrze gada!

— Gębę ma, jakby się pod Słomnikami rodził...

— Bestya miła, mówię wam, że serce mięknie...

— Z siebie, widzisz, gada, nie z wierzchu, tylko ze środka...

— Ale — ciągnął Krzysztof — nim ten toast wychylę w imieniu Galicyi...

— Co za Galicyi?

— Niema Galicyi!

— Zbazgrał się...

— Jest, panowie bracia, jest jeszcze przez Bóg żywy! — zawołał Krzysztof głosem twardym i nie znoszącym przeczeń. — Nim ten toast wniosę w imieniu Galicyi, muszę naprzód spełnić poprzedni, który tu pito, Wosińskiego. Było to zdrowie, widać, godne, skoro je tak zacna kompania chórem podtrzymała! My przecież, z pod Austryaka, nie wiemy nawet, kogoście uczcili.

— Znowu z tym Austryakiem...

— Raczcież nas łaskawie oświecić...

— Który tam w gębie najobrotniejszy? Kończewski! tyś z pod Wielonia... Rozkręcaj język!

Wypchnięto naprzód namiestnika przysadkowatej statury, a tęgiego, co się zowie. Ten chwilę się namyślał, musztrując oburącz najeżoną szopę na głowie, wreszcie dał folgę wrodzonej swadzie:

— Żeby w niewielu słowach rzecz zmieścić... taka była afera. Nocą z 17 akuratnie na 18-ty listopada przyszło sto koni jazdy francuskiej pod dowódcą Dechampsem do podnóża Jasnej Góry. Prawdę mówię?

— Kto cię tam wie?... Ale jedź dalej!

— A no! Trzeba zaś waszmościom wiedzieć, że w murach warowni było pięćset lutrów dobrze zaopatrzonych we wszystko. Francuzi zato nie mieli ani jednego działa. Jakże tu dobywać twierdzy samą konnicą? Śmiech!

— Chyba płacz?

— Cicho tam, nie psuj mu porządku, bo się zmyli i co innego opowie.

— Ale od czegóż dowcip? Azaliż niema już głów na karkach między Sarmaty! Stary, jeszcze z Naczelnikowskich czasów kapitan strzelców, imcipan Stanisław Wosiński, który prowadził garsteczkę pospolitaków z ziemie Wielońskiej, nie chwalący się, spędza w nocy chłopstwo okoliczne pod mury forteczne, każe temu pospólstwu rozpalić mnóstwo ognisk i uwijać się pejzanom koło ognia, żeby się wydawało, że liczne pułki piechoty oblegają Częstochowę. Dechamps znowu ze swojej strony strzelcom konnym rozdał znaki i epolety grenadyerskie i partyę ich wysłał do Niemca, żeby, prawi, twierdzę poddawał bez namysłu a zwłoki, bo w przeciwnym razie natychmiast szturm przypuszczony będzie, i wtedy załoga co do nogi w pień wycięta. Nie myślę, powiada, w polu, na zimnie zębami kłapać. Dobrze. Poszli, powiadają. Niemiec, ten komendant Kune, tak się przecie spietrał, że tego samego wieczora pieronem twierdzę poddał. Dopiero o świcie, kiedy już wojsko bezbronne stanęło na stoku i broń złożyło, a Francuzi z naszymi wchodzili w bramy i obejmowali Jasną Górę, przekonał się, sierota, że wydał fortecę, trzydzieści dział, magazyny i kasę nieprzyjacielowi pięć razy słabszemu i bez jednej armaty. Załoga niemiecka

poszła w niewolę do Francyi. Poznacie, waćpanowie' dzielnego kapitana Wosińskiego, skoro idziecie do Częstochowy, bo on tam jest teraz komendantem fortecy. *Dixi.*

— Pijemy jego zdrowie! — rzekł Krzysztof.

— Skoro wznosimy toasty, — zawołał nagle Olbromski — to ośmielę się i ja prosić waćpanów, żebyście wypili za zdrowie tych, którzy już proch wąchali pod Tarnowskiemi Górami, a osobliwie zaś tych, którzy już rany ponieśli!

— Niech żyją! — wykrzyknięto.

— W górę ich! Tęgie chłopy, co się zowie!

— A ba, jeszczeby też: z pod Włoszczowy!

Ktoś z drugiej izby wołał:

— Zdrowia piją, a o Sieradzanach zapomnieli. Sieradzan zdrowie!... Oni pierwsi stanęli, jak jeden człowiek. Z każdych dwudziestu dymów, rachując w czambuł wszystkie kominy, jeden kantonista, czy tam z ochoty, czy tam przez ciągnienie losu. Z tego będzie infanterya jak mur! Każdy szlachcic posesyonat daje jednego. Masz konnicę. Nie chcesz iść *personaliter*, boś stary, niedołęga, albo, uczciwszy uszy, tchórz, płać walor na umundurowanie i na żołd miesięczny! Wnet stanie kompania strzelców.

— Łęczyczan zdrowie!

— Tych, którzy pod Łowiczem ramię w ramię z Frankami prali wroga na kwaśne jabłko!

— Słyszeliście? Już jednego Niemiaszka, burmistrza z Gołańczy, a drugiego Differta z Obrzycka rozstrzelali za to, że Prusakom ludzi wydali.

— Za poległych...

— Pod Łowicz!

— Wszystko pospolite rycerstwo — niech żyje!

— Niezmordowany!...

— Jan Henryk!... Wielki Napoleon! Wielki Napoleon! Napoleon!

Wrzawa powstała tak wielka, że zdawało się, rozsadzi mury resursy Greka Pescarego...

NOWY ROK.

Stało się, że »Galicyanie«, Cedro i Olbromski nie dotarli do Częstochowy i upragnionej artyleryi. Krzysztof nie miał ani grosza, gdyż wszystkie swoje pieniądze zostawił w chacie rybackiej. Jego również fundusz, zaszyty w kurcie Rafała, po skrupulatnem obliczeniu nie mógł pokryć kosztów umundurowania artyleryjskiego obudwu. Zresztą Jarzymski wdał się w tę sprawę i swoimi sposoby zdołał nakłonić Rafała do pozostania w Siewierzu. Na pozór wydawało się, że sami Galicyanie zepsuli swą myśl, zbyt długo zatrzymując się w drodze. Czas leciał na skrzydłach, a dzień zwłoki o wszystkiem stanowił. Już we dwa dni po świętach owa cząstka pospolitego ruszenia, która ćwiczyła w Siewierzu, wyszła z »części Krakowskiej«, dążąc na miejsce zebrania, pod Łowicz. Ochotnicy z konieczności, a nadto pod wpływem namowy całego składu oficerskiego, przystali na pospolite rycerstwo w konnicy krakowskiej. Jarzymski sprzedał im dwa konie wierzchowe z własnej stajni, jakoby tak niezrównanej wartości, że cena ich pochłonęła wszystkie niemal dublony, wygarnięte ze

szwów Rafałowego rajtroka. Urządził nadto jakieś zastępstwo z łaski pewnego sąsiada, co wolał zostać w domu, a zgadzał się za niewielkie wynagrodzenie zostawić tak zwane »mondury« na grzbietach dwu parobków, dostawionych do szeregu. Tym sposobem ochotnicy weszli na opróżnione miejsca w regimencie, przerzedzonym wskutek wyprawy pod Tarnowskie Góry. Znaczna część tego oddziału wciąż jeszcze pod wodzą Trembeckiego uwijała się po Ślązku między Nisą, Koźlem, Gliwicami a Bytomiem.

Zajadły komendant tamtego oddziału urywał, gdzie mógł, oddziałki pruskie, zajmował miasta i wioski. Stamtąd na Kalisz ruszył w stronę Torunia pod rozkazy generała Zajączka.

Maleńka armia siewierska, z konnicy samej złożona, wyruszyła pod wodzą rotmistrza wojewódzkiego Męcińskiego w szyku i sprawności na Częstochowę, Bełchatów, Brzeziny...

Po drodze spotykali małe oddziały piesze i konne, ciągnące pod Stokowskim z ziemi Wieluńskiej, pod Lipskim z Sieradzkiego, pod Janem Gliszczyńskim z pod Kalisza. Nad wieczorem dnia 31 grudnia wkroczyli w nizką równinę Bzury. Zdala, o dwie blizko mile, ujrzeli wieże kolegiackie Łowicza. Przebywszy rzekę, regiment krakowski wszedł do miasta, ale tam, dookoła starego ratusza, gdzie mieścił się sztab główny, panował ścisk taki, że rycerze jak niepyszni musieli wycofać się i szukać schronienia aż na przedmieściu Bratkowickiem. Zmarzli jeźdźcy, skoro tylko zdołali umieścić we wskazanych im stajenkach konie swe i obrządzić je, ile można, rzucili się w objęcia snu.

Nazajutrz od samego świtu gotowali się do wystąpienia. Miejsce zebrania wyznaczono na polu marsowem wśród łowickiego błonia. Już przed godziną dziesiątą zaczęły ściągać się z muzyką wojskową poszczególne regimenty. Chlubny tytuł pułku pierwszego otrzymała konnica, prowadzona przez świeżo mianowanego pułkownikiem Jana Dąbrowskiego (syna), zorganizowana przez generała Niemojewskiego w Gnieźnie i Rogoźnie. Nadciągnęły zaraz wśród okrzyków ludu siły, zgromadzone przez Walentego Skórzewskiego i przez Biernackiego. Nie świetna była broń tego wojska. Pochodziła przeważnie z arsenału częstochowskiego. Karabiny były nienabite, brakowało kul, nabojów, skałek. Zato szabel i pik była obfitość. Ale porządek i karność w rozwinięciu szyku, piękna czerstwość i malownicza siła, bijąca z postawy tej młodzieży, zapał budziły w widzach. Około godziny dziesiętej już jazda w sile sześciu tysięcy ludzi, czyli bez mała trzy regimenty, licząc po sześć dwukompaniowych szwadronów w regimencie, utworzyła zbity czworogran. W głównem jego ramieniu widać było otwarty namiot z ołtarzem polowym.

Zahuczał od strony miasta krzyk ludzki.

Wszyscy kawalerowie, jak jeden, zwrócili się twarzą w tę stronę. Cedro i Olbromski, stojąc obok siebie w strzemionach wytężyli oczy. Serca w nich stanęły, jako i w tym całym tłumie.

W otoczeniu generałów i adjutantów wjechał na pole, między żywe mury Jan Henryk Dąbrowski. Ciężko szedł koń cisawy pod jego olbrzymią posturą. Generał wiódł oczyma po szyku i niezgruntowana radość błyskawicą strzelała mu z oczu.

W milczeniu, ciężko zlazł z konia. Poszedł ku namiotowi. Wówczas otworzył się w innem miejscu szereg wojskowy i weszli tamtędy dwaj oficerowie: Roman Matusewicz, adjutant-major kawaleryi, i Józef Lubieniecki, rotmistrz. Pierwszy niósł na ponsowej poduszce pałasz króla Jana Sobieskiego, przez legiony polskie zdobyty w Loretto, drugi na wezgłowiu — buławę hetmana Czarnieckiego.

Za wodzem postępował jego sztab, świeżo przez Napoleona mianowany, więc Maurycy Hauke, pułkownik, niegdyś współdyrektor robót ziemnych w Mantui na San-Giorgio, obecnie pierwszy szef sztabu, za nim Tremo, podpułkownik i adjutant polny, dalej Pakosz, Weyssenhoff, Godebski i Cedrowski, podpułkownicy adjutanci, za nimi porucznicy-adjutanci: Józef Hauke, Andrzej Stoss, Lettow, Jankowski, Bergonzoni, Stanisław i Józef Denhofowie.

Zaczęła się msza polowa. W milczeniu słuchało jej wszystko rycerstwo. Gdy skończyło się nabożeństwo, generałowie i oficerowie wyżsi pośpieszyli ku namiotowi. Nie bacząc na porządek, kawalerya stanęła w strzemionach. Zwrócił się teraz wódz twarzą. Mówił:

— »Rycerze!

Za najszczęśliwszy dzień życia poczytuję ten, który po dwunastoletnim rozstaniu się połączył mię z wami, rodacy, który mi daje oglądać słodkie owoce prac moich, za granicą podjętych ku utrzymaniu mężnego ducha w Polaku. Jestem sowicie od niebios nagrodzony, kiedym was w istocie przekonał, że nie płonnemi ziomków moich karmiłem nadziejami. Ten rok 1807 jest pierwszym, w którym każdy z was życie swoje poczyna...«

Ścisnął Cedro rękę towarzysza z całej siły i nie puszczał aż do końca mowy. Ale oto ujrzeli obadwaj, jak generałowie koleją starszeństwa idą przysięgać. Podnosząc trzy palce prawej ręki do góry, a lewą rękę kładąc na buławie Czarnieckiego, powtarzali uroczyście słowa.

Na dany znak wojsko podniosło do góry broń.

KU MORZU!

Około trzech tygodni pospolite ruszenie zabawiło w Łowiczu. Kotłowała się tam sprawa formacyi korpusów, a nawet przewodnictwa nad całem wojskiem. Nosił, co prawda, w dniu przysięgi tytuł Naczelnika Dąbrowski, ale szeptano na wszystkie strony o naczelnictwie księcia Józefa Poniatowskiego, który zdecydował się wreszcie na krok przystąpienia do Napoleona i jego sprawy. Tymczasem wojsko, zgromadzone w Łowiczu, podzielono z gruba na regimenty piesze i konne i z nich w myśl Dąbrowskiego, wodza *de facto*, tworzono legie. Już poznańska siła wojskowa stanowiła najlepiej zorganizowaną legię pierwszą. Składały się na nią cztery regimenty piesze, jeden pułk jazdy i nieco artyleryi.

W tej pierwiastkowej formacyi każdy pułk jazdy miał w sobie sześć szwadronów. Szwadron tworzyły dwie kompanie. Kompania liczyła 170 kawalerów. Sztab składał się z pułkownika, sześciu szefów szwadronowych, jednego adjutanta-majora, kapitana i dwu adju-

tantów podoficerów. Na czele kompanii stał kapitan Ten miał pod sobą: porucznika, podporucznika, wachmistrza starszego, furyera, czterech wachmistrzów, ośmiu kapralów, dwu trębaczów, kowala i 150 jazdy.

Gorzej daleko prezentowały się wojska formacyi kaliskiej. W batalionach pieszych można było widzieć nietylko, jak chciały odezwy i instrukcye generała wojewódzkiego, młodzież od lat ośmnastu do dwudziestu pięciu, ale również i staruszków mocno zniedołężniałych. Siaki taki *possesionatus* wolał przecie wysłać na pola zdradnej Bellony najniedołężniejszego ze swych poddanych, niż tęgą siłę roboczą. Ubranie tej piechoty było wielobarwne, aż miło. Ponieważ na miły Bóg wzywano w okólnikach, żeby dawać kantonistom majtki krótkie do kolan w takim tylko razie, jeśli im się daje buty z długiemi cholewami, a trzewiki tylko w takim razie, jeśli kantonista otrzyma majtki długie do kostek i bardzo ciepłe, więc siaki taki *possesionatus* zaopatrywał swego obrońcę w majtki przez pomyłkę krótkie, ale zato dawał mu nie buty, lecz trzewiki. Tym porządkiem widziano w szeregach jakoby Tyrolczyków. Z szykiem i sprawnością, do taktu narodowej muzyki, połyskiwali na mrozie z sarmacka — wątpliwą białością goleni.

Broń pruską zwożono furami z twierdzy wrocławskiej, która się była właśnie poddała, z Częstochowy i Koźla. Była to broń zapasowa rozmaitych kalibrów. Brakowało do niej skałek i nabojów, brakowało ładownic i tornistrów. W torbach parcianych, po dawidowemu żołnierze nosili ładunki. Mimo to wszystko wojsko piesze występowało do apelu trzy razy

dziennie, w gotowości jak do wymarszu. Bataliony z rana były egzercerowane *en détail*, to jest po jednym rekrucie, a po południu plutonami i całym batalionem. Uczono głównie najpierwotniejszych ćwiczeń i poruszeń bojowych, tych jakoby skurczów i odruchów żywego ciała: formowania kolumny diwizyami i rozwijania jej w marszu, tworzenia z szybkością czworoboku i rozprostowania go w linie. Tę wszystką siłę pieszą podzielono na bataliony. Każdy batalion składał się z dziewięciu kompanii, z których jedna była grenadyerska i jedna woltyżerska. Kompania liczyła 140 głów. Na czele batalionu stał jego szef. Ten miał pod sobą adjutanta-majora w stopniu porucznika i dwu adjutantów podoficerów. Kompanią dowodził kapitan, a miał pod sobą porucznika, podporucznika, sierżanta starszego, furyera, ośmiu kapralów, dwu doboszów i 120 piechurów.

Lepiej daleko na ogół przedstawiała się jazda. Stali tu w szeregu ludzie lepiej odziani, zastępcy dziedziców i dzierżawców, więc ekonomowie, pisarze, leśniczowie, strzelcy, szlachta uboga, a nawet, powiedzmy, lokaje i kuchciki. Nie wszystkie konie były osiodłane, jako że odezwy mówiły jeno o koniu i uździe, to też niektóre szwadrony ćwiczyły się i paradowały oklep. Jeszcze też prawie w tej armii nie było podkomendnych i wodzów. Wodzami z natury rzeczy byli ci, którzy żywot sterali w bojach, legioniści, oraz jeńcy pruscy narodowości polskiej. Sam wódz naczelny nie był przez nikogo wodzem mianowany, ani potwierdzony. Ten nim był, kto był naprawdę, to znaczy — Dąbrowski.

Obszlegi jeno a kanty kurtek znaczyły, skąd ta kto rodem. Tu barwy papuzie — więc od Kalisza, tam ponsowe — to z Krakowskiego. Generał Krasiński przewodniczył całej jeździe kaliskiej, sieradzkiej, wieluńskiej i krakowskiej. Tak też zwano ów regiment — »kalisko-sieradzko-wieluński«. Generał Niemojewski miał pod sobą regiment młodego Dąbrowskiego, najcelniejszy, strzelców poznańskich i kawaleryę płocką. Surowy, mały, spiczastonosy generał Fiszer, albo raczej »Fiszerek«, komenderował całą infanteryą i ćwiczył ją po polach tak akuratnie, że aż chłopom świeczki w oczach świeciły, a kolana tężały, jak zgonionym zającom. Mimo wszelkie braki, mimo biedę kwiczącą, mimo niezapłacone *lenungi,* albo wypłacane *fierkami* i trojakami zamiast należności właściwej i koniecznej na strawne — tęgie to było wojsko.

Cały Łowicz zmienił się w obóz wojenny. Jakąż to tam uroczystością było przestrzeganie parolu i hasła, tajemniczego *mot d'ordre* i *mot de ralliement!* Tłum cywilny, który nie miał prawa znać hasła, ni parolu, umyślnie przecie chodził na przechadzkę tam właśnie, gdzie stały zaciągnięte warty i gdzie nie wolno było przystępować. Chodziło o to tylko, żeby słyszeć groźne a surowe pytanie szyldwacha, czy trzeba było o to pytać, czy nie: — Kto idzie? — i odpowiadać głośno: — Swój, Polak!

Zaraz na początku stycznia generał Dąbrowski wyjechał do Warszawy, dokąd przybył już był właśnie sam cesarz Napoleon z pod Pułtuska, Gołymina, Czarnowa, Nasielska... Dnia 18 stycznia przyszedł rozkaz wyruszenia dla wszystkich sił łowickich. Usłyszeli, że

mają iść do Bydgoszczy jedni, do Torunia drudzy. Z radością przyjęły ten rozkaz regimenty.

— Ponad rzekę! Z Wisłą! Na Prusaka!

Rozdzieliły się w Łowiczu drogi Rafała i Krzysztofa. Cedro został w szeregu, na miejscu, które zajął w pierwszej chwili. Rafał nie chciał za nic służyć w pstrej i przeważnie chudopacholskiej jeździe krakowskiej. Zakręcił się, pozawiązywał znajomości, stosunki, wynalazł koleżeństwa i został wreszcie wpisany do księgi kompanicznej jazdy Dziewanowskiego, do najprzedniejszego szyku, który już był chodził w awangardzie Jana Henryka. Początek marszu na Bydgoszcz, wskutek tego, że wojsko szło kupą, Galicyanie odbywali, choć nie w jednym szeregu, lecz jeszcze razem. Kazano wojsku ominąć Warszawę. Z żalem ten rozkaz spełnili. Zdala, zdala jeno widzieli bure dymy, a jasną łunę po nocy. Tam ci był on wódz nad wodze, niezwyciężony Napoleon...

Przyszedłszy do nowego mostu na Wiśle między Zakroczymiem a Utratą, widzieli zdala, we mgłach zimowych ów po Zawiślu spłacheć ziemi pod galicyjską granicą, którędy w puszcze nadnarwiańskie weszły wojska Francuzów. Była przed nimi niedościgła gołemu oku, ale w niem kresą krwawą, jakby ostrzem noża, wyryta granica galicyjska, od ujścia Świdra kierująca się na Miłosnę, na Zieloną do Grzybowskiej Woli tuż za Grochowem, żeby dalej przeciąć rzeczkę Długą, snuć się przed lasami Słupna i Radzymina, przez Wólkę Radzymińską, żeby od Wolicy raptownie wrócić pod sam brzeg Buga, okrążyć blizkie lasy Załubic i za ujściem Narwi w Bugu utonąć.

Stojąc przed szeregami, uczyli swych żołnierzy wachmistrze, kaprale, furyery:

— Słuchaj, tamte oto czarne lasy, co pod Radzyminem widać, to już, psia ich mać, w Galicyi, a te bliższe, to nasze... Słuchaj! patrzaj!

Ruszyli w swoją drogę lewym brzegiem Wisły, wielkimi marszami. Zima była niestała: dzień mrozu, nagła odwilż, wicher i deszcz, znowu przymrozek. Błota dróg, dopiero co zgęstniałe i ścięte od przymrozka nocnego, ranna odwilż przemieniała w rozciecze i bagna. Infanterya w swych kamaszach, butach, nieraz krypciach, a nierzadko w obuwiu, zostawiającem na glinie ślady pięciu palców i okrągłej pięty, brnęła z wysiłkiem i marzła siarczyście. Jeźdźca grzeje brat — koń, gdy pluchota obu batem bije, a wicher ćwiczy po udach. Piechura nie ogrzeje nic. Noclegi wypadały, gdzie Bóg dał. Czasami w pobliżu dworów, lub wiosek, a nieraz w polu. Chwaliło sobie wojsko, jeśli kiedy choć pod borem, pod lasem. Jeśli była w pobliżu wioska, wnet jazda zajmowała dla zdrożonych koni stodoły, szopy, stajenki i wozówki. Tam je pocztowi rozkulbaczali, żeby się zaś nie sedniły, a paśli czem się dało. Biada wtedy strzechom nietylko chałup, ale i samych miejskich jurydyk! Nieraz i znaczny dworski dach piorunem zjechał na ziemię i przemienił się na kilkanaście przyziemnych budek.

Wydelikacony kandydat na dyplomatę, Krzysztof Cedro, nauczył się wnet cenić, jakoby skarb, zacną mazowiecką sośninę. Skoro tylko wyznaczono obóz i dla szwadronów stanowiska, czyli poczty, wnet schodzili się po staremu z Rafałem, zwinnie ścinali chojary co naj-

bardziej rozrosłe, wkopywali je jeden przy drugim, żeby zwartą z nich ścianę uczynić od wiatru. Wierzchołki wiązali mocno, tworząc z nich, jakby kopułę. Był to styl »bizantyjski«. W razie, jeśli strzechy wieśniacze, a nawet — o horror! — dworskie, były w pobliżu, mościli na wierzchu gałęzi grubą strzechę z kłoci, nadartej w stylu niezupełnie misternym. Na dno tego wigwamu, którego otwarta ściana zwrócona była zawsze w stronę dużego ogniska, kładli umiejętnie gałęzie i wachlarzowate spławy świerkowe, zrazu wielkie, później drobniejsze, dopóki się z nich nie utworzyła wysoka aż pod kopułę a elastyczna pierzyna. Wówczas rzucali się na nią w pięciu, sześciu, pewni, że będzie unosiła, jak sprężyny, i od zetknięcia z błotem mazowieckiem napewno uchroni. Gdy się nadto oparli jeden o drugiego plecami, a ponakrywali szczelnie dekami z pod siodeł, zapadali w sen kamienny. W przymrozki odchodziło spanie kawalerskie. Wstawali rano weseli, wśród figlów, rzeźwi i czerstwi, jak z edredonowej pościeli. Ale w deszcz i wicher wyłazili z pod przemokłej słomy i z pomiędzy ociekłych wodą gałęzi w humorach niezbyt edredonowych.

O chmurnych i ponurych świtaniach ostatnich dni stycznia wyrywał ich z legowisk gniewliwy a potężny łoskot ziemi, głuchy i tępy, głębią gruntu idący grom. Słuchali go we czci i zdumieniu. Zdawało się sennemu wojsku, że to łomoce w zmarzłą ziemię straszliwy kijsamobij, że wali w nią z góry, z wysoka młot-samogrzmot. Szedł polem — lasem ów grom daleki. Niosły go wiatry i dżdże, śniegi a nocne mgły.

— Wiara, słyszyta! — mruknie, bywało, starszy

wachmistrz Jacek Gajkoś, co świat obszedł, jak długi i szeroki: — słyszyta, jako to tupie!

— Słyszymy, panie wachmistrzu! A kto też to tak może tupać?

— E, gemajny! To i tego nie wiesz! Cesarz jegomość tupie. Zły!

— Zły?!

— Słyszysz, jeden z drugim, jak bije nogą w ziemię! Raz, raz! Jeszcze! Nie tak, jak kazał, nie tak, jak trzeba, zrobiły mu, widać, marszałki... Lecą tera ku niemu na chybkich koniach, a kapelusze w garściach, a łydki pod nimi dygocą, jeden przed drugim szwargoce, że nie on winien...

— A gdzie też to cesarz jegomość siedzi tera, panie wachmistrzu?

— Bóg jego sam wie, gdzie on. Słuchaj, skąd głos idzie. Tam cesarz siedzi. Sto armat bije. Słyszysz, my tu nad rzeką, nad Wisłą, a tam, widzisz, Zawiśle, tam Bug, tam Narew przez podlaskie i mazowieckie piachy cicho płyną. Gdzie to ta wlazł — Jezusie, Marya! W puszcze, w lasy, w Pułtuskie, w Przasnyskie, ponad jeziora, het — precz w północną stronę! Już się tam zdrajca brandeburski rozsiadł na piękne, kartofli nasadził, faję zakurzył, a ty na swoim własnym zagonie czapkę przed nim trzymaj! Bo na to wyszło. — Na wieki, prawi, tu ostanę i ciebie, prawi, stąd wygonię, a swoich Michałków na twoją ziemię sprowadzę i Michałkom twoją ziemię oddam. A ty idź, precz mi się z tela wynoś! *Majn* to jest, prawi, *faterland*, moje panowanie i rozkaz. Twoja ziemia to jest teraz moja ziemia... Warszawę wziął i zabrał, Częstochowę wziął

i zabrał, pod sam Kraków się podciągnął, ale gdzie! Za Górą Kalwaryą, do Warki, ponad Wisłę się wszczepił! A tera, pludrze, portkiś zgubił, tak zmykasz! Gdzież to je twoja ziemia? Pokaż-no ją! Berlina swego nie masz, zuchelka ziemi nie masz, złodzieju cudzego dobra! W głębokie morze chyba kozła magniesz ze świętej ziemi. Poznałeś, jako to pachnie, kiedy cię z pieleszów wykurzą ojcowych?

— Musi być, że się Niemiec jeszcze w kupę weźnie...

— Nie pomoże mu nikt, żebyś ta nie jednego, ale dziesiąci zwołał, bo sam cesarz idzie!

— A dokąd też tak zajdzie cesarz jegomość?

— Nie waż się o to pytać! Nie waż się! Sam jeno Bóg Najwyższy tę rzecz wie. Jemu jednemu po nocach kazuje, jak prawo na świecie robić. On tylko jeden tę rzecz wie na tym świecie. A ty się nie waż pytać!

Cedro słuchał tych bajdów-pogwarów z twarzą surową i poważną. Wspominał mu się Jelitczyk-Ojrzyński, z przydomkiem Mieczyk. Czy też i on słyszy, czy też słyszy, jak wielki cesarz gniewnie tupie nogą w mazurską ziemię?...

Aczkolwiek miał pocztowego, Krzysztof sam pilnował swego konia. Czyszczenie tylko i zadawanie obroku zostawiał żołnierzowi, a zresztą wszystko sam pełnił. Uczył się służby obozowej i garnizonowej, składu musztry, szyku i porządków. Koń jego nie był nadzwyczajny, ale i nie ostatni. Krzyż miał żelazny, boki zwięzłe, mocny był w kolanach, kopytach i zadzie, łeb trzymał prosto, a w pysku był miękki w miarę. Krzysz-

tof jeszcze od Jarzymskiego nabył dekę obszerną, terlicę choć nie nową, ale wytrzymałą, węgierskim krojem. Dekę zawsze sam składał we czworo pod kulbakę, według zasad starszego wachmistrza, o pięć palców od przedniej łopatki.

— A dekę wytrzepać, wytrzepać nie raz i nie dwa!... — mruczał stary Jacek. — Ze słomy, ze siana, z igłów sosnowych ochędożyć do znaku, bo my nie Żydy i nie na jarmark do Bełchatowa ciągniemy. Terlicę kłaść ostrożnie, żeby się zaś pasmo grzywy pod kulbaką nie zaplątało, bo głupi konia znarowi, jak mu grzywę terlicą przytnie. Popręgi upiąć nie mocno, bo głupi poprężnicę koniowi sfasuje, a znowu i nie za letko, bo kiep zleci ze szkapy w samym środku ataku, jak lancę przyjdzie za koński łeb wydalić, albo pałaszem ciąć z góry a od serca. Abo i ten mantelzak! Mantelzak równo i mocno przytroczyć — to ta już pierwsza rzecz! Równo i mocno, a jak dobrze przypięty, wtedy dopiero noga w strzemię. Stopa zgięta, ostrogę nieść, jak jajko. Trzy! No... Teraz-że na nas wychodź, czarny jucho, albo i sam, czerwony huzarze!

Zaraz po przybyciu do Torunia mała armia była rozdzielona na dwie części. Jedna z nich poszła dalej, do Bydgoszczy, a druga została pod komendą generała Zajączka. Do tej drugiej gromady, która miała wejść w skład legii drugiej, czyli północnej, należał Krzysztof Cedro. W Toruniu był już spory zastęp oficerów i żołnierzy polskich, sformowany w Hagenau i Lipsku z jeńców pruskich, wziętych w niewolę pod Jeną, Auerstaedt i Prenzlowem. Rafał ze swym pułkiem pociągnął o milę od Wisły, do Bydgoszczy. Zastał tam

już nie naczelnika siły zbrojnej polskiej, lecz tylko generała dywizyi i komendanta legii pierwszej — Jana Henryka Dąbrowskiego. Legia składała się z kompanii artyleryjskiej, z czterech regimentów piechoty i jazdy pospolitego ruszenia. Mówiono wciąż o przekształceniu pułków jazdy. Trzy szwadrony miały się składać na pułk. Czekano lada chwila na rozkaz w tej materyi komisyi rządzącej — i ministra wojny. Zawrzało w Bydgoszczy gorączkowe, rzec można, namiętne życie. Zwożono jeszcze broń, skóry, szyto siodła i ładownice. Krawcy nie mogli nastarczyć, nad siodlarzami żołnierz stał dzień i noc. Ściągały się jeszcze pojedyńczo oddziały najświeższego składu. W jeździe pospolitego ruszenia fortragowano szybko i łatwo żołnierzy na stopnie podoficerskie, a nawet na subalternów, byleby »objekt« posiadał choć jakie takie uzdolnienie. Ten i ów ani się obejrzał, kiedy otrzymał prawo na zamówienie u szmuklerza znaków szarży oficerskiej i miał możność przyczepienia do prawego ramienia szlufy podporucznikowskiej z dwiema jedwabnemi pręgami, kontrepoletu, feldcechu i kordonków bez bulionu. Świeżo umundurowani porucznicy połyskiwali pręgami, przerobionemi granatowem jedwabiem na taśmie przez całą jej długość u szlufy, nowi majorowie z dumą wznosili ramiona, obciążone dwiema szlufami, których buliony trwogą przejmowały gemajnów, a »przeciwna« taśma urągała samym kordonom u pułkownikowskiego kapelusza.

W tym samym czasie trafiały się między żołnierstwem przypadki dezercyi. Pojmano kilku, przeważnie starych, jak zmiatali w stronę domową napoły bosi,

obdarci, z pustymi brzuchami. Tłomaczyli się, że przy żadnem wojsku nigdy nie byli, że głód marli, że duszy w sobie nie czują. Sąd wojenny zebrany natychmiast, skazał ich na długotrwałe ciężkie roboty w łańcuszkach, do twierdzy częstochowskiej. Na gwałt ustanawiane kresy między Bydgoszczą, Toruniem a Sieradzem do poczty listowej musiały, w braku ludzi, odstawiać na miejsce przeznaczenia pierwszy transport... zbiegów.

Krótko to wszystko trwało. Już w pierwszych dniach lutego generał Dąbrowski wyszedł z Noteciny i pociągnął ze swoją siłą w marsz, pod rozkazy zrazu Bernadotte'a, księcia Ponte Corvo, później generała Lefebra-Desnouettes, operującego na prawym brzegu Wisły. Rozeszła się w legii wieść: »Na Gdańsk! na Kołobrzeg!« W marszu, na postojach, nocą na pocztach uczył starszy żołnierza, co je ów Gdańsk, gdzie i na jakiej ziemi stoi Kołobrzeg. Nieśli z sobą i rozrzucali wszędzie odezwę generała Dąbrowskiego, z kwatery głównej w Nowem wydaną »Do Holendrów i wszystkich rodu niemieckiego mieszkańców na ziemi Polskiej«, której to odezwy główne punkty głosiły:

»Holendrzy, Niemcy i jakiejkolwiek religii i rodu ludzie, zamieszkali na ziemi Polskiej, którzy się zachowają w swoich domach spokojnie, żadnego z nieprzyjaciółmi kraju nie będą mieć porozumienia, zachowają wierność dla rządu polskiego, wypłacać będą postanowione kontrybucye i podatki, doświadczą wolności w wyznawaniu swojej religii, obrony swoich osób, majątków, uważani będa jako bracia i ziomkowie. Wy zaś, Polacy, — głosiła odezwa — którzy wyzna-

jecie religię katolicką, pomnijcie, że przychodnie, na waszej osiedli ziemi, przez wspólne dla kraju obowiązki stali się waszemi bracią; pomnijcie, że Ewangelia każe nam żyć po bratersku, zostawcie wolność każdemu od Boga nadaną wielbić go podług swojego przekonania i, nie badając różnicy wiary, bądźcie oby watelstwem połączeni z mieszkańcami, którzy przemysłem i pracą kraj wasz zbogacają...«

Lewe skrzydło korpusu polskiego szło pod rozkazami generała »Amilkara« Kosińskiego, który grzmiał teraz pod Brdą, w borach pomorskiego pojezierza, jak istotny Amilkar, tak przed nim chyżo Niemce uciekały. Lewe skrzydło jego oddziału sięgało Słupska, przezwanego Stolpen, i przecinało Gdańsk od Kołobrzega. Miasto Chojnice stanowiło miejsce oparcia i punkt koncentracyjny wszystkiej siły Amilkara. Dopiero około dwunastego lutego generał Łubieński z komendy Kosińskiego zmuszony był pod Szczecinkiem (Neu-Stettin), wśród wyżyny pojezierza atakować nieprzyjaciela na czele rycerstwa z województwa Rawskiego. Pokazały się znaczne siły Niemców. Była to nietylko piechota liniowa pruska, ale nadto uzbrojeni mieszkańcy miasteczek, owi »Holendrzy i Niemcy...« Siły te znacznie przewyższały co do liczby armię Amilkara, ale jazda rawska rzuciła się na tłum nastawionemi lancami, niewiele sobie robiąc ze strzelania, i skutek był pewny: dziesięciu położono trupem, a pięćdziesięciu zagarnięto w niewolę.

W tym samym czasie główny korpus wojska generała Dąbrowskiego nieustannie szedł naprzód. Znajdował się już na wysokim brzegu Wisły, skąd widać

było po tamtej stronie rysujące się w dwumilowej odległości mury Grudziądza i Kwidzyna. W przedniej straży, która zostawała pod ogólnem naczelnictwem generała Niemojewskiego, szedł regiment jeźdźców poznańskich pospolitego ruszenia pod Dziewanowskim. Tam właśnie kwitł Rafał Olbromski.

Już pod Nowem, na brzegu Mątawy, ów regiment, dybiący zawsze na sztychu, wpadł na mocny patrol czerwonych huzarów. Była to pierwsza utarczka Rafała. Mało z niej odniósł wrażeń. Zdala ujrzał jeźdźców w burki owiniętych, przemokłych, wskakujących, na koń w popłochu. Rzucił się za innymi naprzód, dobywszy pałasza, ale jeno przecwałował w kupie ze dwa stajania pola. Prusacy, odrębując się, strzelając z rzadka, gdyż mieli, widocznie, broń zmokłą, cofnęli się ku miastu na rozkiełznanych koniach pod osłoną piechoty i armat. Później dopiero Olbromski dowiedział się, że wzięto kilkunastu jeźdźców — i z podziwieniem oglądał posępnych, bezbronnych, milczących chłopów niemieckich. gdy ich miano odstawić w kierunku na Bydgoszcz. Podobnie pomyślna gratka trafiła się poznańskim kawalerom pod Opaleniem czyli Minsterwaldem, gdzie jazda Dziewanowczyków dopadła i wzięła w jasyr 16 dragonów i ośmiu piechura z przedniej straży pruskiej.

Tegoż dnia przyszło do bitwy. Dywizya polska musiała się w niej cofnąć przed nieprzyjacielem, który z drugiego, prawego brzegu Wisły przeszedł po lodzie. Grad kul sypała artylerya konna pruska, stojąc na prawym brzegu rzeki, w młodą piechotę polską. Batalion pierwszy regimentu trzeciego pod wodzą Fiszera

i batalion pierwszy regimentu czwartego pod pułkownikiem Wasilewskim zostały napadnięte bagnetem Pomimo całej nieumiejętności, braku skałek i nabojów młode wojsko zdołało bronić się przez cały dzień i odpierało napaść, ile mogło. Pierwszy to raz sześciu trupów, poległych na placu, nocną porą zakopała wiara w zmarzłą grudę. Kilkudziesięciu rannych wyniesiono z szeregów.

Runęła już była między wojska wieść o strasznej bitwie pod Pruską Iławą. Wieść wychwalała ten bój, jako zwycięstwo. To też nowy duch wstąpił w wojsko polskie, które przez zawieszenie blokady Grudziądza, przez wsteczny ruch prawego brzegu Wisły, mając odsłonione i, wskutek zamarznięcia Wisły, bezbronne prawe skrzydło, musiało było skoncentrować się o trzy z górą mile od Bydgoszczy, w Świeciu. Po rozpoczęciu około 15 lutego ponownego oblężenia Grudziądza, przyczem dwie kompanie batalionu Fiszera przeszły pod gradem kul Wisłę i przyczyniły się do zdobycia twierdzy, generał Dąbrowski ruszył znowu naprzód. Stanął wreszcie kwaterą w Gniewie nad Wierzycą. Stare mury, fosy wodą napełnione, dawały tu niejaką nadzieję obrony. Mocne posterunki wysłane zostały na trakt bydgosko-gdański ku Tczewu i na drogi do Starogardu, ponad jezioro zwane Staw, ponad Wiejskie jezioro do Rakowca, do Biały, czyli Gellen, i do Królówlasu (Königswalde) nad rzeką Jonką. Z Gniewa do Gdańska zostawało jeszcze sześć mil drogi bronionej. Wojsko spoczęło i miało tu przebyć czas pewien na leżach. Tylko 56 rycerstwa z jazdy sieradzkiej, która była przebyła Wisłę, żeby wziąć udział w bitwie pod

Kwidzynem dnia 11 lutego, gdzie marszałek Lefebvre pobił na głowę generała Roquette, nie wróciło na miejsce swoje.

Niedługo jednak zostawiono Dąbrowskiego w spokoju. Już 18 lutego Prusacy z dużą siłą 3.000 ludzi napadli zarówno z prawego flanku na Starogard, w równinach między lasami na prawym brzegu Wierzycy, jak również i na Peplin. W Starogardzie tego właśnie dnia stanął korpus generała Menarda w sile sześciu tysięcy ludzi, przeznaczony do wzmocnienia generała Dąbrowskiego; w odległości niespełna dwu mil od tego miasta stał pułk Dziewanowskiego. Posłyszawszy strzały, Dziewanowski pchnął szwadron ze swego regimentu pod wodzą porucznika Łojewskiego. Oddział ów szedł ze wszelkiemi ostrożnościami mając o 200 kroków przed sobą kwatermistrza, dowodzącego tak zwaną szpicą.

Dragonerya pruska wypadła z lasu i obces, zwartym szykiem, rzuciła się na ów oddział. Jeźdźcy polscy, uzbrojoni w lance, nastawili się proporcami i skoczyli na nieprzyjaciół z taką furyą, że dwu położyli trupem, a piętnastu wzięli do niewoli. Sam pułk Dziewanowskiego był w tymże czasie atakowany przez regimenty jazdy. Dzień był ohydny. Bił w oczy śnieg z deszczem, wicher niósł słotne chmury po samej ziemi. Z mroku, z lasów niewidzialnych w zamieci, jazda pruska wyrwała się, jak nowa chmura. Pułkownik, trzymający swoich w pogotowiu i czuwaniu od chwili wysłania Łojewskiego, mógł dać dragonom silny odrzut, ale w regularnem starciu świeżo zebrana jazda nie mogła wytrzymać długiego natarcia umiejętnie ćwiczonej kawaleryi pruskiej. Wszczęło się zamieszanie. Jeźdźcy rąbali sza-

blami na odlew, z ramienia. Żołnierz polski walczył przeważnie lancą.

Gdzie mógł kupą się rzucić w skok z nastawionym proporcem, tam wywracał cały hufiec; Prusak zlatywał z konia, albo chwytał się ostatniej obrony kawaleryjskiej: palił z pistoletów i umykał. Część dragonów została odparta, odpędzona aż pod baterye, wegnana za nie i znikła w tumanach zawiei. Wszelako i z polskiej strony były straty. Jeśli tylko dragonerya mogła nagle i sprawnie uderzyć pałaszem, pędząc z kopyta i wbijając się między konie polskie, tam zapewnione miała zwycięstwo. Z pistoletów i sztucerów ubito kilkanaście koni. Rafał wywijał tego dnia szabliskiem co się zowie Nacierał już dwakroć i odrębywał się sprawnie. Nieszczęście jednak stało tego dnia przy nim. W mroku i wichrze, zapędziwszy się samotrzeć w starciu z kilką dragonów, nie spostrzegł, co się dzieje, i został otoczony. Ze zgrozą rzucił spojrzenie na bok, w tył... Dragony nań zewsząd z szablami. Obok niego jeno trębacz i trzech rycerstwa! Chciał się w ostatniej minucie rzucić w lukę między ludźmi. Zdarł konia. Do pistoletu! Wszystko za późno. Pierwszego trębacza chwycił dragon za kark i wykręcił mu w tył rękę. Wraz jemu samemu kilku ciosami obezwładnili ramię i wydarli pałasz. Wreszcie i trzech towarzyszów ściśnięto kołem i odebrano im lance.

Najstraszniejszy wstyd i głęboka rozpacz buchnęły w piersi jeźdźca. Miał jeszcze w olstrach pistolety, a dragonów było kilkunastu. Wzięli jeńców we środek i co koń skoczy pędzili środkiem mokrego pastwiska, kierując się w stronę Starogardu. Właśnie sypnęły krupy

śnieżne, i cała ziemia utonęła w kurniawie. Kiedy tak rwali z kopyta i kiedy właśnie z moczaru wypadli na trakt starogardzki, raptownie — tętent — krzyk:

— Bij! zabij!

Dragony wyrwały szable i w bój! Rafał co tchu w piersiach szarpnął rękę, wydarł się, sięgnął w mgnieniu oka po pistolet i pierwszemu kawalerowi z brzega huknął w łeb, przyłożywszy otwór lufy niemal do ucha. Szarpnął wodze, ostrogi w bok, wykręcił na miejscu i piersiami końskiemi uderzył w najbliższego Niemca. Dym zasłonił mu obrót sprawy. Wypadł ze środka. Za nim wrzała utarczka. Prusacy rozpierzchli się, słychać było szczęk walki i chlustający plusk wody po błoniu. Olbromski nie oglądał się poza siebie. Gnał pustkowiem, aż zdało mu się, że cała łąka pierzchła pod jego koniem. Dopiero w przyległym lesie wstrzymał się i stanął. Koń jego robił bokami. Zgrzany od ognia, trwogi i biegu dymił się teraz kłębami pary. Sam jeździec mokry był, jakby ze stawu wylazł. Serce waliło mu w żebra, jak dobosz w bęben. Wrzawa jeszcze trwała. Słychać było w lasach i mgle od Starogardu piorunowe łoskoty strzałów i ciągłe echa leśne, jakoby posępne jęki puszcz. Po długiej chwili nasłuchiwania Rafał stwierdził nareszcie z radością, że gwar cichnie i znika w oddaleniu. Wtedy wolno ruszył przez las i po długich błądzeniach dotarł do jakiejś wioszczyzny. Tam życzliwie przyjęty od włościan powziął wiadomość o drodze do Peplina i trafił do swego szwadronu. Gdy przybył na miejsce, z niemałą radością dowiedział się, że jego trzej towarzysze wraz z trębaczem są już na miejscu, odbici z niewoli przez podjazd mło-

dego pułkownika, Jana Dąbrowskiego, i że on sam jednemu z eszelonów tego podjazdu winien jest swoje ocalenie.

Po odepchnięciu natarcia Prusaków od Starogardu i Peplina przez tydzień trwały mało znaczące utarczki forpocztów, osobliwie na lewem skrzydle. Przednie straże, prowadzone przez poruczników, podporuczników i chorążych regimentowych, wyjeżdżały małemi komendami w kraj i czyniły wywiady. Tu i owdzie, skoro tylko było to możliwe, zabierano ze sobą burmistrzów i amtmanów, żeby od nich powziąć wiadomość o stanie okolic i sile wojsk pruskich, rozlokowanych na drogach ku Tczewu. Po upływie tych kilku dni generał Dąbrowski zdecydował się na krok stanowczy. W dniu 23 lutego wykonał atak na miasto powiatowe Tczew, o trzy mile odległe od Gdańska, a stanowiące niejako klucz tej fortecy. Głównymi punktami koncentracyi sił niemieckich poza murami Gdańska był właśnie Tczew (Dirschau), Miłobądź (Mühlbanz) i Skarszewy (Schöneck) nad Wietcisą, rzeczką, zasilającą wody Wierzycy o dwie mile ku północy od Starogardu. Siły polskie i pomocnicze francuskie pod dowództwem Menarda wypoczywały na leżach w Gniewie, Peplinie i Starogardzie. Ostatni posterunek wzmocniły właśnie w ciągu tych dni — regiment badeński, jeden batalion młodej piechoty krakowsko-kaliskiej z legii północnej Zajączka, oraz dwie armaty. Generał Dąbrowski stał kwaterą w Gniewnie, a przednia jego straż koczowała na traktach bydgosko-gdańskich, sięgając do Gręblina na wysokości lewego brzegu Wisły. Ta straż przednia składała się z regimentu jazdy poznańskiej, z czterech kompaniów

strzeleckich i miała ze sobą cztery armaty. Ruch, wykonany w dniu 23 lutego, rozpoczął z rozkazu głównodowodzącego, Jana Henryka Dąbrowskiego, generał Menard.

Wyruszył mianowicie ze wszystką swoją siłą ze Starogardu na Skarszewy gościńcem starogardzko-tczewskim, wyparł nieprzyjaciela ze Skarszew i pewnej części swojej dywizyi kazał je zająć. Sam pociągnął dalej. Przednia jego straż pod sprawą generała Putod, składająca się z dwu batalionów polskich i z jazdy badeńskiej, uzbrojona we cztery granatniki i jedną armatę, miała rozkaz zawrócić na północ i zagrodzić drogę siłom, któreby z Gdańska na odsiecz Tczewa śpieszyć mogły. Była to pierwsza kolumna wojska atakującego. Z Gniewna i Peplina szła druga, to jest korpus wojska generała Dąbrowskiego pod »Amilkarem«. Oprócz tego jeden batalion zdążał do Tczewa drogą, prowadzącą z Rajkowy na Czyżykowo (Zeisgendorf). Pierwsza kolumna, czyli lewe skrzydło, jak to przewidział Dąbrowski, wnet spostrzegła siły pruskie, ciągnące z Łęgowa (Langenau), miejscowości o dwie mile odległej od Gdańska, bitym traktem tczewsko-gdańskim. Wnet przednie straże francusko-polskie zetknęły się z Prusakami pod Dąbrową (Domerau). Generał Menard pośpieszył na miejsce, a za nim cała jego komenda.

Zawrzała bitwa.

W tym samym niemal czasie prawe skrzydło uderzyło na szańce Tczewa. Piechota niemiecka ukryta za starymi wałami, raziła napadających ogniem plutonowym, a dwie armaty, ustawione naprost traktu w bramie północnej, czyli Gdańskiej, oczyszczały drogę. Wnet

jednak pod silnym impetem napaści strzelców polskich obrońcy wałów musieli cofnąć się na przedmieścia. Wypadło zdobywać miasto wstępnym bojem. Żołnierze pruscy i uzbrojeni mieszkańcy, zaczajeni w dymnikach, we drzwiach, sieniach, oknach, za węgłami, strzelali bez przerwy. Szef sztabu, Maurycy Hauke, na czele grenadyerów i woltyżerów poznańskich, uderzył na te domy bagnetem. Idąc na kule, w gęsty dym, zdobywano dom po domu, stodołę po stodole. Major Sierawski z batalionem pierwszego regimentu piechoty pośpieszył im na pomoc. Niemcy ustąpili z lichych domostw przedmiejskich, ale uchodząc, zapalili te wszystkie szopy i budy, żeby uniemożliwić dostęp do bram. Brama zachodnia zawarła się przed atakującymi, którzy teraz wystawieni zostali na strzały z za murów, a sami wili się między zgliszczami, jak w piecu ognistym. Przy bramie Gdańskiej, gdzie Prusakami dowodził major von Bothe, wrzała walka tem zaciętsza, że tam biły bez przerwy armaty sześciofuntowe i strzelała piechota liniowa. Generał Niemojewski i sam wódz naczelny wszelkich dokładali starań, żeby złamać wejściowe wierzeje. Z dachów, ze strzelnic, z dziur, dymników leciały na oblegających kule i ogień kartaczowy. Cztery armaty i dwa granatniki pod komendą porucznika Charelot krok za krokiem zbliżały się do tej bramy północnej. Drugi batalion regimentu piechoty, dybiący śladem tych armat, wytrzymywał z flegmą i stałością wszystek ogień obrońców. Nareszcie porucznik Charelot zbliżył się tyle, że mógł wśród gradu kul ustawić dwie swoje haubice naprzeciwko bramy i zaczął w nią prać na wylot, raz za razem. Ale stara brama nie puszczała. Walka z całą zaciętością

ciągnęła się już sześć godzin. Trzydzieści trupów zasłało drogę, prowadzącą do Gdańskiej bramy, a sześćdziesięciu ciężko rannych wiło się w rowach, pod przekopami, wśród zgliszcz. Dwunastu oficerów ciężko rannych wyniesiono z placu boju.

Kiedy tak ciężko walczyło pod dwiema bramami wojsko polskie i kiedy ciągle grozi mu niebezpieczeństwo odsieczy z Gdańska, gdyby Menard został pobity, zdarzył się wypadek, który na los oblężenia wpłynął odrazu i decydująco. Miasto Tczew posiadało trzy bramy: Młyńską, czyli Gdańską, na północy, Wodną, czyli Wiślańską, na południu i Wysoką na zachodzie. O istnieniu bramy Wodnej nikt z oblegających nie wiedział. Z tej strony miasta, między ogrodami, wśród parowów stały tylko tu i owdzie na wyższych miejscach pikiety i podsłuchy polskie. Żywego człowieka nie było w całej okolicy. Błąkał się tylko ponad Wisłą jakiś niedorostek obdarty i półnagi. Kiedy zbliżył się do podsłuchu i był zapytany, co jest za jeden i czego tu łazi, odpowiedział, że jest świniarkiem, że służy u jakiegoś Steltnera i że ojcu jego na przezwisko Ćwikliński. Skarżył się z bekiem, że go pan zbił i wygnał z domu. Ojcu, powiadał, boi się pokazać na oczy, panu to samo. Nie ma już teraz dachu nad głową. Idzie przed siebie i tyla. Ponieważ był z miasta i znał je wybornie, zaczęto mu zadawać pytania. Wtedy rzekł:

— Oj, ludzie, ludzie!... Wy tam strzelacie z przodka, a tu od Wisły miasto całkiem gołe.

Rozpytano go szczegółowo, i wtedy jasno wyłożył, że brama Wodna nie ma żadnej straży. Pikiety odstawiły chłopca do czat, te podały go dalej, aż stanął

przed obliczem generała Dąbrowskiego, który z wyniosłości pagórka pod Sztembargiem przypatrywał się kolejom bitwy i lustrował okolicę. Wysłuchawszy powieści chłopca, generał kazał podwoić ogień na bramę północną i zachodnią. Młody książę Sułkowski, ranny już, na czele drugiego batalionu regimentu pierwszego, i major Brucken, jako dowódca piechoty badeńskiej, natarli z całą forsą na bramę Gdańską. W tym samym czasie generał Dąbrowski, wziąwszy ze sobą batalion majora Sierawskiego i batalion pułkownika Fiszera, ruszył chyłkiem według wskazań Ćwiklińskiego. Po wertepach, dołach, parowach, przesadziwszy płoty ogrodów, parkany i rowy, dotarł do bramy Wodnej, czyli Wiślanej. Brama wistocie była na poły zepsuta i bez obrony. Bataliony wyłamały ją, weszły do miasta, przebiegły tylne ulice i z nastawionym bagnetem rzuciły się na osłupiałych Niemców. W tej samej chwili zdruzgotane kulami wierzeje bramy Gdańskiej runęły, i wojsko z północy wdarło się do miasta. Prusacy strzelali z okien i ze drzwi. Wreszcie, kiedy i bramę Zachodnią rozwalono, załoga w sile pięciuset ludzi z dowódcą poddała się. Zabrano działa. Kiedy po dokonanej kapitulacji Dąbrowski wjeżdżał na główną ulicę miasta, w pobliżu kościoła katolickiego św. Krzyża z okna kamienicy padło kilka strzałów. Jeden z tych zdradzieckich pocisków ranił generała w nogę. Rozjątrzone wojsko rzuciło się na ten dom i przetrząsnęło jego wnętrze, nie szczędząc nikogo. Chwytano niewolnika, zabierano bagaże i broń, uprowadzano konie, albo zabierano z nich uprząż, ściągano wozy do przewiezienia z pola rannych, chromych i osłabłych. Stanęły wreszcie wojska w mieście. Roze-

szła się wśród nich wieść, że opanowane są Skarszewy i Miłobądź, a nieprzyjaciel z pośpiechem cofnął się w mury fortecy. Wtedy jeden okrzyk rozległ się w szeregach:

— Na Gdańsk! ku morzu!

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.